



JENNIFER RYAN

Chórzystki

Czarująca, zabawna i inspirująca
opowieść o kobietach walczących
na domowym froncie

JENNIFER RYAN

Chórzystki

Przełożyła Nina Dzierżawska

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Spis treści

Okładka Strona tytułowa Strona redakcyjna DZIENNIK PANI TILLING LIST
OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY PAMIĘTNIK
KITTY WINTHROP LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL
LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY DZIENNIK
PANI TILLING PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP LIST OD PANNY EDWINY
PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY PAMIĘTNIK SILVIE PAMIĘTNIK KITTY
WINTHROP DZIENNIK PANI TILLING LIST OD PORUCZNIKA
LOTNICTWA HENRY'EGO BRAMPTON-BOYDA DO VENETII WINTHROP
LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL PAMIĘTNIK KITTY
WINTHROP LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY
LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL LIST OD PANNY
EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY DZIENNIK PANI TILLING
LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL DZIENNIK PANI
TILLING PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP LIST OD PUŁKOWNIKA
MALLARDA DO JEGO SIOSTRY, PANI MAUD GREEN, ZAMIESZKAŁEJ
W OKSFORDZIE PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP DZIENNIK PANI
TILLING LIST OD PORUCZNIKA LOTNICTWA HENRY'EGO
BRAMPTON-BOYDA DO VENETII WINTHROP PAMIĘTNIK KITTY
WINTHROP LIŚCIK OD PANNY EDWINY PALTRY DO BRYGADIERA
WINTHROPA DZIENNIK PANI TILLING PAMIĘTNIK SILVIE LIST OD
PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY LIST OD VENETII
WINTHROP DO ANGELI QUAIL DZIENNIK PANI TILLING PAMIĘTNIK
KITTY WINTHROP LIST OD PORUCZNIKA CARRINGTONA DO PANI
TILLING LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL DZIENNIK
PANI TILLING PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP LIST OD VENETII
WINTHROP DO ANGELI QUAIL DZIENNIK PANI TILLING LIST OD
PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY PAMIĘTNIK KITTY
WINTHROP PAMIĘTNIK SILVIE LIST OD VENETII WINTHROP DO
ANGELI QUAIL DZIENNIK PANI TILLING PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP
DZIENNIK PANI TILLING LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ
SIOSTRY CLARY LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL
DZIENNIK PANI TILLING PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP LIST OD
VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL LIST OD PANNY EDWINY
PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP LIST
OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL DZIENNIK PANI TILLING
PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP LIST OD ELSIE COCKER DO
PORUCZNIKA LOTNICTWA HENRY'EGO BRAMPTON-BOYDA LIST OD

PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY LIST OD
PORUCZNIKA LOTNICTWA HENRY'EGO BRAMPTON-BOYDA DO ELSIE
COCKER LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL DZIENNIK
PANI TILLING PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP DZIENNIK PANI TILLING
LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY LIST OD
VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL LIST OD PUŁKOWNIKA
MALLARDA DO JEGO SIOSTRY, PANI MAUD GREEN, ZAMIESZKAŁEJ
W OKSFORDZIE DZIENNIK PANI TILLING PAMIĘTNIK KITTY
WINTHROP LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL
PAMIĘTNIK SILVIE DZIENNIK PANI TILLING PAMIĘTNIK KITTY
WINTHROP PODZIĘKOWANIA Przypisy końcowe

Tytuł oryginału

THE CHILBURY LADIES CHOIR

Redakcja

Małgorzata Głodowska

Projekt okładki

Magdalena Kuc

Ilustracja na okładce

© Mick Wiggins

Korekta

Beata Wójcik

Redaktor prowadzący

Anna Brzezińska

Copyright © 2017 by Jennifer Ryan

All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017

Copyright © for the Polish translation by Nina Dzierżawska, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejszy plik jest objęty ochroną prawa autorskiego i zabezpieczony znakiem wodnym (watermark).

Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku.

Rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody właściciela praw jest zabronione.

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-268-7

Wydawnictwo
**CZARNA
OWCA**
www.czarnaowca.pl

Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.

ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa

www.czarnaowca.pl

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: redakcja@czarnaowca.pl

Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: handel@czarnaowca.pl

Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: sklep@czarnaowca.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Dla mojej babci, Eileen Beckley, i kobiet z Frontu Domowego

**OGŁOSZENIE PRZYPIĘTE NA TABLICY PRZED ŚWIETLICĄ
WIEJSKĄ W CHILBURY W NIEDZIELĘ 24 MARCA 1940 ROKU**

W związku z faktem, że wszystkie głosy męskie są na wojnie, wiejski chór zakończy działalność po pogrzebie komandora Edmunda Winthropa w najbliższy wtorek.

Pastor

DZIENNIK PANI TILLING

Wtorek, 26 marca 1940 r.

Pierwszy pogrzeb, od kiedy zaczęła się wojna, a nasz wiejski chór po prostu nie potrafił śpiewać czysto. „Święty, święty, święty” wypadło tak żałośnie, jakbyśmy byli gromadką ćwierkających wróbli. Nie chodziło jednak ani o wojnę, ani o tego łajdaka, młodego Edmunda Winthropa, w którego łódź podwodną trafiła torpeda, ani nawet o to, jak koszmarnie pastor odprawiał nabożeństwo. Nie, rzecz w tym, że był to ostatni występ Chóru Chilburskiego. Nasz łabędzi śpiew.

– Nie rozumiem, dlaczego musimy zakończyć działalność – warknęła pani B., kiedy już zgromadziliśmy się na spowitym mgłą cmentarzu. – Nie stanowimy chyba zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego.

– Wszyscy mężczyźni odeszli – wyszeptalam z nieprzyjemną świadomością, że dźwięk naszych głosów niesie się w tłumie żałobników. – Pastor mówi, że nie może być chóru bez męskich głosów.

– Mamy rezygnować z występów tylko dlatego, że poszli na wojnę? I to akurat wtedy, gdy chór jest najbardziej potrzebny! Ciekawa jestem, czyją działalność pastor rozwiąże po nas? Swoich ukochanych dzwonników? Odwoła niedzielne nabożeństwa? Boże Narodzenie? Coś mi się nie wydaje! – Skrzyżowała na piersi ramiona w geście rozdrażnienia. – Najpierw zabierają nam mężczyzn i każą im walczyć, potem zmuszają kobiety do pracy, zaczynają racjonować jedzenie, a teraz zamykają nam chór. Kiedy dotrą tu hitlerowcy, nie zastaną nic poza garstką osowiałych kobiecinek, w każdej chwili gotowych do kapitulacji.

– Przecież trwa wojna – odpowiedziałam, by ją udobruchać i położyć kres jej donośnym narzekaniom. – My, kobiety, musimy wziąć na siebie dodatkowe obowiązki, włączyć się w walkę dla sprawy. Nie mam nic przeciw dyżurowaniu w szpitalu jako pielęgniarka, choć niełatwo łączyć mi to z pracą w naszej wiejskiej przychodni.

– Chór od niepamiętnych czasów tworzy ducha Chilbury. Wspólne śpiewanie podnosi morale. – Wyprostowała się, a jej potężna postura czyniła ją podobną do piersiastego feldmarszałka.

Żałobnicy zaczęli kierować się w stronę Chilbury Manor na obowiązkowy kieliszek sherry i kanapkę z ogórkiem.

– Edmund Winthrop – westchnęłam. – Miał ledwie dwadzieścia lat, kiedy zginął na Morzu Północnym.

– Był wstrętnym łobuzem, dobrze o tym wiesz – wypaliła pani B. – Nie pamiętasz, jak próbował utopić twojego Davida w stawie?

– Tak, ale to było całe lata temu – wyszeptalam. – Zresztą trudno się dziwić Edmundowi, że nie panował nad sobą, skoro ojciec tłukł go od małego. Na pewno brygadier Winthrop żałuje tego teraz, kiedy jego syn nie żyje.

Albo i nie, pomyślałam, spoglądając w jego stronę. Mężczyzna walił laską w swój wojskowy but, a żyły na jego szyi i czole były sine z wściekłości.

– Nie może uwierzyć, że stracił dziedzica – rzuciła pani B. – U Winthropów dziedziczy się tylko w linii męskiej, więc majątek przepadł. Córki obchodzą go tyle co nic... – Zerknęłyśmy w stronę młodzianki Kitty i pięknej Venetii. – Status jest dla tego człowieka wszystkim. Na szczęście pani Winthrop znów jest w ciąży. Miejmy nadzieję, że tym razem będzie chłopiec.

Pani Winthrop pod ciężarem śmierci Edmunda kulila się niczym przerażony ptaszek. Mój syn może być następny, pomyślałam na widok zbliżającego się do nas Davida, takiego dorosłego w nowym żołnierskim mundurze. Zmężniał, odkąd rozpoczął musztrę, ale uśmiech i łagodność pozostały takie same. Wiedziałam, że zaciągnie się, kiedy tylko skończy osiemnaście lat, ale dlaczego to się stało tak szybko? W przyszłym miesiącu wysyłają go do Francji, a ja nie mogę przestać się zamartwiać, jak ja to przeżyję, jeśli coś mu się stanie. Jest wszystkim, co mam, odkąd zmarł Harold. Edmund i David jako dzieci bawili się ze sobą w żołnierzy albo piratów, albo w bitwy, w których zawsze wygrywał Edmund. Mogę się tylko modlić, by walka Davida nie zakończyła się tak samo.

Jak na razie wojna toczy się złowróźnie cicho. Hitler jest zajęty podbijaniem Europy, ale wiem, że wróg nadchodzi i wkrótce otoczy nas śmierć. Będzie tak, jak podczas ostatniej wojny, kiedy z powierzchni ziemi zniknęło całe pokolenie mężczyzn, a wśród nich mój ojciec. Pamiętam dzień, w którym przyszedł telegram. Siadałyśmy właśnie do drugiego śniadania, słońce zaglądało do jadalni, z gramofonu płynęła muzyka Vivaldiego. Usłyszałam skrzywienie otwieranych drzwi frontowych, a potem dźwięk osuwającego się na podłogę ciała matki; słońce nadal zalewało pokój blaskiem, niczego nieświadome.

A teraz nasze życie pogrąża się w chaosie po raz kolejny: giną ludzie, jest więcej pracy i walczymy, by wiązać koniec z końcem. W dodatku nasz wspaniały chór zostanie rozwiązany. Mam wielką ochotę napisać do pastora list protestacyjny, choć pewnie się na to nie zdobędę. Nigdy nie lubiłam robić zamieszania. Matka zawsze powtarzała mi, że kobiety powinny się uśmiechać i zgadzać na wszystko. Jednak czasem jestem tym wszystkim taka sfrustrowana. Chciałabym po prostu to wykrzyknąć.

Zaczęłam pisać dziennik chyba po to, by móc wyrazić rzeczy, których nie chcę wypowiadać na głos. W radiu mówili, że prowadzenie dziennika może poprawić samopoczucie komuś, kto nie ma przy sobie najbliższych. Wczoraj wybrałam się więc do sklepu i kupiłam specjalny zeszyt. Jestem pewna, że niebawem go zapełnię. Zwłaszcza kiedy David wyjedzie i zostanę sama, w głowie

będą mi się kłębić myśli, których nie będę mogła wypowiedzieć. Zawsze myślałam o tym, by zostać pisarką, więc może zrealizuję swoje marzenie choć w ten sposób.

Wzięłam Davida pod rękę i ruszyliśmy za żałobnikami do Chilbury Manor. Spojrzałam przez ramię na rozsypujący się stary kościółek.

– Będzie mi brakować chóru.

Pani B. odparła na to ostro:

– Jakoś nie widziałam, żebyś przekonywała pastora do zmiany decyzji.

– Ależ proszę pani – wtrącił David z chytrym uśmiechem. – Robienie afer zawsze zostawiamy pani. Rzadko nas pani zawodzi.

Musiałam zasłonić dłonią uśmiech w oczekiwaniu, aż pani B. wybuchnie gniewem. Jednak w tym momencie minął nas sam pastor. Dreptał pospiesznie za brygadierem idącym zamaszystym krokiem w stronę rezydencji Winthropów.

Pani B. wystarczyło jedno spojrzenie. Z posępną determinacją chwyciła swój parasol i ruszyła naprzód, wołając:

– Pastorze, proszę pozwolić na słówko.

Był to jej ulubiony okrzyk bojowy.

Pastor odwrócił się i widząc, jak jego parafianka nabiera rozpędu, co sił w nogach pobiegnął za brygadierem.

LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY

Church Row 3, Chilbury, hrabstwo Kent

Wtorek, 26 marca 1940 r.

Szykuj się, Claro, bo niebawem będziemy bogate! Złożono mi najbardziej nieuczciwą propozycję, jaką możesz sobie wyobrazić! Wiedziałam, że ta cholerna wojna otworzy przede mną nowe możliwości – kto by pomyślał, że bycie akuszerką będzie takim dochodowym zajęciem! Do głowy mi nie przyszło, że złoty interes uda mi się ubić z tym snobem, brygadierem Winthropem, arystokratą-tyranem, który wyobraża sobie, że cała nasza świątobliwa wioska należy do niego. Wiem, powiesz, że to niemoralne, nawet według moich standardów, ale muszę wreszcie skończyć z byciem pogardzaną akuszerką, gnieżdżącą się w jakiejś nędznej klitce. Muszę wrócić do starego domu, gdzie będę mogła żyć po swojemu i być wolna.

Czy Ty tego nie rozumiesz, Claro? Wkrótce oddam dług, tak jak obiecałam, i wtedy wreszcie zobaczysz, jaka jestem sprytna, jak potrafię zadośćuczynić za dawne błędy. Będziemy mogły o wszystkim zapomnieć i nigdy więcej nie wracać do tej sprawy z Billem (choć zawsze będę uważać, że Cię przed nim uratowałam). A potem odkupię nasz stary dom w Birnham Wood, wraz z łąkami i klifami, i będziemy żyć bezpiecznie i szczęśliwie. Zupełnie jak przed śmiercią mamy. Skończę z porodami, niemowlętami i paskudnymi wysypkami poniżej pasa, z ludźmi, którzy mi rozkazują i śmieją się ze mnie za moimi plecami. Znów będę panią własnego losu i nikt nie będzie mi mówił, co mam robić.

Ale po kolei. Opowiem Ci o tym interesie, bo wiem, jak zawsze interesują Cię szczegóły. Był pogrzeb Edmunda Winthropa, nikkczemnego syna tego brygadiera. Chłopak w zeszłym tygodniu wyleciał w powietrze razem ze swoją łodzią podwodną. Miał ledwie dwadzieścia lat – w jednej chwili był odrażającą gadziną, a w następnej pokarmem dla rybek.

Poranek był zimny i mokry jak policzek wymierzony świeżo złowionym dorszem. Czułam się tak, jakbyśmy sami byli na Morzu Północnym; wiał porywisty wiatr, niebo zakrywały gęste chmury, a nad naszymi głowami krążył monstualny jastrząb i rozglądał się za ofiarą.

– Całkiem na miejscu – usłyszałam, kiedy w ścisku, pod parasolami, szliśmy przez ociekający deszczem cmentarz do wilgotnego, zatechłego kościoła.

Był wypełniony po brzegi, roił się od plotkujących gapiów. Z przodu siedzieli Winthropowie i ich znajomi arystokraci, wyelegantowani, cali w piórach.

Wyglądali jak rząd czarnych łabędzi. Jak zwykle dało się też zauważyć trochę zielonych i szaroniebieskich mundurów, noszonych przez mężczyzn przekonanych o własnej wyjątkowości, podczas gdy tak naprawdę byli zwyczajnie głupi. Żołnierze! Raczej żal-bierze, jak to zawsze mówię.

Reszta miejscowej ludności (obecnie są to głównie kobiety w wełnianych płaszczach) musiała gnieść się za nimi, słuchając żalosnej parodii chóru: kilku drżących głosów, fałszujących „Święty, święty, święty”. Mieszkanki z wyższych sfer są niezadowolone, że chór ma zostać rozwiązany, ale ja po takim występie wolałabym słuchać marcowych kotów.

Przez cały czas trwania tego drętowego nabożeństwa matka poległego pochlipywała z twarzą schowaną w dłoniach, trzęsąc się pod czarną garsonką. Jest znowu w ciąży, w jesieni życia – choć nie ma jeszcze czterdziestki. Mówią, że jej wredny ojciec zmusił ją do poślubienia brygadiera, gdy miała zaledwie szesnaście lat, i od tamtej pory mąż nieprzerwanie ją terroryzuje.

Poza nią nikt nie płakał. Nie byli tak jak ona ślepi na grubiańskie, butne zachowania Edmunda – chłopak wdał się w ojca. Jestem pewna, że kilkoro wśród obecnych uznało wręcz, że ten wczesny zgon to słuszna kara za jego postępkę.

Jego dwie siostry, osiemnasto- i trzynastoletnia, siedziały posłusznie przy pogrążonej w żalu matce, lecz nie starały się nawet wyglądać na specjalnie smutne. Starsza, kokietka Venetia, ta ze złotymi włosami, była bardziej zainteresowana rzucaniem zalotnych spojrzeń przystojnemu nowemu artyście niż pogrzebem. Druga, Kitty, patykowata jak młoda sarenka, rozglądała się wokół, jakby zobaczyła ducha. Jej trójkątna buzia przypominała chochlika w liliowym świetle witraży, wznoszących się nad ołtarzem. Siedząca obok niej mała uchodźczyni wyglądała na przerażoną, jakby już wcześniej widziała śmierć i niejedno poza tym.

Brygadier wpatrywał się przed siebie gniewnym wzrokiem jak jakiś despotyczny sęp. Za sprawą lśniących medali i arystokratycznego rodowodu zdawał się górować nad wszystkimi w kościele. Rytmicznie uderzał srebrną końcówką swojego pejsza o cholewkę buta. Jego porywczosć jest legendarna, a dziś nikt nie zamierzał wchodzić mu w drogę. Widzisz, stary Winthrop stracił nie tylko jedyne syna, ale także rodzinny majątek. Chilbury Manor może odziedziczyć tylko mężczyzna, a śmierć Edmunda pogrążyła całą rodzinę w chaosie. Brygadier stałby się pośmiewiskiem, gdyby majątek przypadł na jego oczach. Ale ja znam ten typ. Na pewno tak łatwo się z tym nie pogodzi.

Po nużącym nabożeństwie wzięliśmy swoje maski gazowe i zaczęliśmy brnąć przez zacinający poziomo lodowaty deszcz w stronę budynku Chilbury Manor – georgiańskiego szkaradzieństwa wzniesionego brutalnie przez jakiegoś praszczura Winthropów.

Zasapana wdrapałam się po schodach i stanęłam przed wielkimi drzwiami, licząc na kieliszek czegoś mocniejszego i wygodną kanapę, ale dom był już pełen

przemoczonych żałobników i ociekających wodą parasoli. Hałas jak na King's Cross, cały ten marmurowy hall z krużgankami rozbrzmiewał stukotem obcasów i gwarem rozmów. Winthropowie są starą, majątną rodziną, a miejscowi to banda obrzydliwych sępów, krążących wokół z nadzieją, że coś im skapnie.

A ja? Ja już znalazłam dojdzie do ich pieniędzy, i dlatego muszę mieć oczy szeroko otwarte i pilnie się rozglądać. Otóż brygadier płaci mi za to, żebym nie puszczała pary z ust na temat jego romansów, w tym niechcianej ciąży z zeszłego roku, oraz jego paskudnego synalka, który roznosi po wsi brzydkie choroby szybciej, niż zdążysz wymówić „tryper”. Ta wojna to dla mnie gratka. Szanująca się akuszerka nie może nie zauważyć potencjału kryjącego się w takiej sytuacji, zwłaszcza w przypadku ludzi z gatunku tych zbereźnych szlachciców uważających się za Bóg wie kogo. Łatwo wyłudzić od nich parę groszy – tu dwadzieścia, tam czterdzieści. Ziarnko do ziarnka, a zbierze się miarka.

Kiedy weszłam do środka, w oczy rzuciła mi się ładna pokojówka, stojąca z tacą pełną kieliszków sherry na schodach. Jej długa szyja wyglądała wytwornie, ale minę miała pannica kwaśną jak cytryna. W zeszłym roku przysłała do mnie z rzeźączką, której nabawiła się od komandora Edmunda, tak samo zresztą jak połowa tej nieszczęsnej wsi. Powiedziała mi, że przyrzekł się z nią ożenić, obiecał jej pieniądze, wolność i miłość, a potem dał drapaka do marynarki, jak tylko wybuchła wojna. Żal mi się jej zrobiło, więc opowiedziałam jej o innych kobietach – poprzedniej pokojówce, żonie ogrodnika, córce pastora – jak jedna po drugiej przychodziły do mnie z tym samym kłopotem. Leczyłam je wszystkie, i Edmunda też, tego wstrętnego bydlaka. Elsie, tak było na imię tej pokojówce. Chyba trochę ją rozstroiło to, że zdradziłam jej tyle sekretów; na pewno bała się o własny. Wytłumaczyłam jej jednak, że powiedziałam jej to dlatego, że jesteśmy przyjaciółkami, ona i ja.

Uśmiechnęłam się do niej porozumiewawczo i wzięłam sobie kieliszek sherry z jej tacy. Nigdy nie wiadomo, kiedy ktoś może się okazać przydatny.

Stałam w kolejce do składania kondolencji za markotną panią Tilling, pielęgniarzką i chórzystką, która wiecznie chce zadowolić wszystkich wokół.

– Zostanie na zawsze zapamiętany jako bohater – mówiła z ogromnym uczuciem.

Jest tak rozpaczliwie pełna dobrych chęci, że mam ochotę zanurzyć jej głowę w beczce z piwem, żeby nabrała trochę życia.

– To nigdy nie powinno się zdarzyć – wtrąciła pani B., kolejna chórzystka, wyprostowana, jakby kij połknęła, i pełna przejęcia typowego dla dam z wyższych sfer. Co za duet – jedna nie do wytrzymania, druga nie do zdzierzenia! Jej pełne nazwisko brzmi Brampton-Boyd, i do szału doprowadza ją to, że wszyscy mówią na nią „pani B.”.

Kiedy przysłała kolej na mnie, pani Tilling cmoknęła z rozdrażnieniem.

Nigdy mnie nie lubiła. Wtargnęłam na jej pielęgniarzkie terytorium, zanadto się zbliżyłam z wiejską społecznością. Nie da się też wykluczyć, że słyszała o pewnych moich nie do końca przepisowych praktykach. Albo o tym, co za nie dostaję.

– Co za straszna tragedia – powiedziałam swoim najlepszym głosem. – Odszedł tak młodo.

Przywołałam na twarz melancholijny uśmiech, szybko usunęłam się i stanęłam z boku. Ludzie od czasu do czasu zerkali w moją stronę, zastanawiając się, co mnie tu sprowadza.

Właśnie myślałam, czyby nie uchylić paru drzwi i nie powęszyć po domu, kiedy przypominający zgarbionego goblina kamerdyner poprowadził mnie do salonu. Liczyłam, że uda mi się załapać na jakąś wystawną stypę dla osób z wyższych sfer, ale okazało się, że jestem sama w wielkim, cichym pomieszczeniu.

Podczas gdy od bogato zdobionego stropu odbijał się odległy dźwięk uderzania w klawisze pianina, na którym wygrywano *Sonatę księżycową*, ja przesuwałam palcami po krytej złotym brokatem kanapie. Potem wzięłam do ręki brązowy posążek nagiego Greka, ciężki niczym zabójcza broń. Przepych salonu zapierał dech; te sięgające podłogi zasłony z błękitnego jedwabiu, majestatyczne portrety odpychających przodków, porcelanowe figurki, ta cała starożytność, ta niesprawiedliwość.

Nie mogłam powstrzymać się od myśli, że gdybym to ja miała tyle gotówki, zrobiłabym z niej znacznie lepszy użytek i rozweseliła trochę to miejsce. Czuć tu zapach śmierci; domiszcze jest równie stare jak ci nieboszczycy na obrazach, zatęchłe jak wypchane głowy jeleni, patrzących z wykładanych dębiną ścian – siedlisko kurzu i prochu. Przypomniła mi się ostatnia wojna, ta wielka, kiedy za wszystkie pieniądze świata nie udało się kupić nikomu ucieczki od śmiertelności. W jej obliczu wszyscy byliśmy równi. Aż dziw, jak szybko sytuacja wróciła do normy – bogacze znów rządzą światem, a my biedni ledwo wiążemy koniec z końcem.

Wyciągnęłam z paczki papierosa i zapaliłam; dym zaczął się skręcać i popłynął leniwie w kierunku zasłon, jakby miał ochotę się tu rozgościć.

Usłyszałam za sobą chrapliwy głos:

– Czy można?

Jakaś ręka chwyciła mnie za łokieć i zanim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, ktoś pociągnął mnie w stronę drzwi w głębi salonu. Odwróciłam się i zobaczyłam brygadiera. Miał na skroniach nabrzmiałe, fioletowe żyły – widać popijał wczoraj do późna. Wepchnął mnie do gabinetu, ewidentnie męskiego, pełnego foteli obitych skórą, stosów dokumentów i teczek. Intensywna woń cygar mieszała się z odorem cuchnącego oddechu.

Kiedy przekręcił za sobą klucz w zamku, wiedziałam, że musi to oznaczać pieniądze.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – powiedziałam, rozglądając się wokół i usiłując nie okazywać lęku. Brygadier to gruba ryba, jest władczy, przytłaczający, grubiański i niesympatyczny, ale przy tym wpływowy i bezwzględny. To jeden z tych ludzi starej daty, przekonanych, że klasa wyższa dalej może dyktować całej reszcie, co ma robić. Tych, co uważają, że mają prawo się szarogęsić i zachowywać tak, jakby kraj należał do nich.

– Wiedziałem, że Paltry przyjdzie – odezwał się z irytacją głosem bełkotliwym od alkoholu. – Dlatego wysłałem Progetta. Mam dla Paltry zadanie. To sprawa niecierpiąca zwłoki.

Rozsiadł się za swoim ogromnym biurkiem, podczas gdy ja stałam po drugiej stronie jak służąca, która czeka na polecenia. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie przysunąć sobie krzesła, ale uznałam, że taki akt samowoli mógłby kosztować mnie parę szylingów, więc tylko postawiłam na podłodze moją czarną torbę i czekałam.

– Zanim zacznę, muszę wiedzieć, że mogę liczyć na całkowitą dyskrecję – rzekł Winthrop, mrużąc oczy tak, jakby chodziło o coś oficjalnego i związanego z wojną, choć ja od razu wiedziałam, że to nie będzie nic z tych rzeczy.

– Naturalnie, jak zawsze – skłamałam i obrzuciłam go wzrokiem pełnym oburzenia, że śmie podawać moją dyskrecję w wątpliwość. Wcale mnie nie przstraszył tą swoją gadką wojskowego z wyższych sfer. – Jestem profesjonalistką, proszę pana. Czy to ma pan na myśli? Nigdy nie bywam zaskoczona tym, o co się mnie prosi. I zawsze trzymam język za zębami.

– Potrzebuję pewnej przysługi – odparł brygadier szorstko. – Słyszałem, że Paltry jest skłonna podjąć się nietypowych zadań?

– To zależy, na czym miałyby polegać ta przysługa – odparłam. – I ile wynosi honorarium.

W jego oczach pojawił się błysk i Winthrop wyprostował się na krześle. Mówiłam językiem, który chciał usłyszeć – zdradzającym większe zainteresowanie pieniędzmi niż charakterem zadania.

– Mogłaby Paltry dużo zarobić.

– Co dokładnie ma pan na myśli?

Domyślałam się już, że chodzi o coś dużego kalibru, coś, co ustawi mnie naprawdę na długo. Typowałam kolejny romans, który wymknął się spod kontroli (może z jakąś kobietą z wyższych sfer, a może z kimś z naszej wsi), więc słowo „szok” jest zbyt słabe, by opisać to, co poczułam, gdy wreszcie to z siebie wyrzucił.

– Nasze dziecko musi być chłopcem.

Na chwilę zapadła cisza, a ja zastanawiałam się, co brygadier ma na myśli.

Wpatrywał się we mnie badawczo, obserwując moją reakcję, oceniając, czy mam w sobie wystarczająco dużo odwagi, podstępny, chciwości.

– Nie tylko my we wsi spodziewamy się tej wiosny dziecka – ciągnął dalej tak, jakby wydawał skomplikowane rozkazy na linii frontu. – A nasze musi być chłopcem. Gdyby istniał sposób, żeby zapewnić taki obrót spraw...

I wtedy do mnie dotarło. Coś podobnego. Chce, żebym podmieniła jego dziecko na chłopczyka z wioski, jeśli to jego okaże się dziewczynką. Zaciśnięta usta, z całej siły powstrzymując się przed roześmianiem od ucha do ucha. Ależ on mi za to zapłaci! Jednak musiałam zachować spokój. Rozegrać to jak należy.

– Myślę, że byłoby to ogromne ryzyko, a zarazem coś, co mogłoby narazić na szwank moją reputację – stwierdziłam.

Nachylił się w moją stronę, na moment zrzucając swoją maskę. Oczy niemal wychodziły mu z orbit, przekrwione i kuliste.

– Ale dałoby się to zrobić?

– Niewykluczone – odparłam wymijająco. Wiedziałam jednak, że ja byłabym w stanie. Mam potężną ziołową miksturę, która błyskawicznie wywołuje poród, a nasza wioska jest mała, więc człowiek może w ciągu kilku minut przedostać się z jednego domu do drugiego.

– Osoba, która by się do tego przyczyniła, zostałaby rzecz jasna sownie wynagrodzona – rzekł brygadier beznamiętnie, podkreślając węża, jakby miał do czynienia z jakąś taktyczną łamigłówką na polu bitwy.

– To znaczy?

Za drzwiami rozległo się szuranie, które musiało go spłoszyć.

– Możemy to omówić w dogodniejszym miejscu i czasie. – Wstał i podszedł do okna. Było przez nie widać siatkę pól i dolin, a dalej kanał La Manche, spieniony i szary jak pomyje. – Spotkamy się w następnym czwartek o dziesiątej w szopie w Peasepotter Wood – powiedział Winthrop ściszone głosem.

– Będę – odparłam szeptem.

– Może Paltry odejść – dodał brygadier. A potem obejrzał się nagle i w jego oczach zobaczyłam wstręt pomieszany z groźbą. – I niech nikomu o tym nie wspomina.

Uradowana, że nie muszę dłużej z nim przebywać, odwróciłam się na pięcie i popędziłam do wyjścia. Drżącymi palcami przekręciłam klucz w zamku i delikatnie zamknęłam za sobą drzwi, po chwili znalazłam się w tłoczonym hallu. Przyspieszyłam kroku, przemykając się pomiędzy ubranymi na czarno żałobnikami, mundurowymi i wścibskimi sąsiadami. Wymaszerowałam przez frontowe drzwi, nie pożegnawszy się z nikim. Obszerny podjazd wciąż roił się od ludzi, więc musiałam powstrzymać się od radosnych podskoków i zamiast tego szybkim krokiem ruszyłam do wsi.

Kiedy wreszcie przekroczyłam próg mojego ponurego szeregowca,

pozwoiliam sobie na długo odkładany okrzyk triumfu, wyrzuciłam ręce w górę i roześmiałam się w euforii. To się musi udać.

Przekonasz się, że możesz mi wybaczyć to, co stało się z Billem, i że w trakcie ucieczki zabraliśmy twoje pieniądze. Skąd miałam wiedzieć, że przy pierwszej nadarzającej się okazji weźmie je i zniknie?

Możemy znów być szczęśliwe, ty i ja, jak za naszych młodych lat. Zabawne, człowiek nigdy się nie zastanawia, jaki z niego szczęściarz, dopóki mu tego wszystkiego nie sprzątną sprzed nosa. Najpierw śmierć mamy, potem mieszkanie u tego wstrętnego wuja Cyrila, kiedy tata trafił do więzienia, i to okropne poddasze, na którym zamykał nas jak niewolnice. Ale dość o tym. Zapomnimy o przeszłości, Claro.

Pora wziąć się do roboty. We wsi są jeszcze dwie kobiety spodziewające się dziecka mniej więcej w tym samym czasie co pani Winthrop. Smężna pani Dawkins, żona rolnika, urodziła już trójkę, więc nie powinno być problemów. Trudniej może być ze świętoszkowatą nauczycielką, Hattie Lovell, której mąż służy w marynarce. Hattie trzyma się z tą pielęgniarzką-męczyduszą, panią Tilling, która zrobiła kurs położnictwa i w związku z tym uważa za stosowne wtykać nos w moje sprawy. Za każdym razem, kiedy zaglądam do Hattie, ona tam jest, zachowuje się jakby była siostrą przełożoną, i mówi, że będzie jej asystować przy porodzie. Nic nie rozumie. W tej wsi jest miejsce tylko dla jednej akuszerki.

Napiszę do Ciebie po spotkaniu z brygadierem. Kto by się spodziewał, że taki dżentelmen z wyższych sfer potrafi zniżyć się do czegoś podobnego? Zamierzam oskubać go za to tak, jak jeszcze nikt w życiu go nie oskubał. Tym razem Cię nie zawiodę, Claro. Dostaniesz pieniądze, które jestem Ci winna, przysięgam.

Edwina

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Sobota, 30 marca 1940 r.

W radio ogłosili, że pisanie pamiętnika w tym trudnym czasie doskonale wpływa na wytrwałość, więc postanowiłam, że będę notować wszystkie swoje myśli i marzenia w starym szkolnym zeszytcie. Nikomu nie wolno go czytać, no chyba że jak już będę stara albo po mojej śmierci. Wtedy powinien zostać wydany jako książka, tak mi się zdaje.

Ważne rzeczy na mój temat

Mam trzynaście lat i jak dorosnę, chcę być śpiewaczką, nosić cudowne suknie i występować przed zachwyconą publicznością w Londynie i Paryżu, i może nawet w Nowym Jorku. Myślę, że rozgłos nie uderzy mi do głowy i że zasłynę jako osoba niezwykle zrównoważona.

Mieszkam w staroświeckiej wsi pełnej wiekowych domów, w których zawsze czuć wilgocia i naftaliną. Mamy tutaj zieleniec ze stawem i kaczkami, sklep, świetlicę wiejską i średniowieczny kościół z zarośniętym cmentarzem. Przy kościele był chór, ale pastor stwierdził, że nie możemy śpiewać, skoro nie ma żadnych mężczyzn. Zamęczam go, żeby zmienił zdanie, ale on mnie w ogóle nie słucha. Tymczasem staram się założyć chór w szkole. Dawniej chodziłam do szkoły z internatem, ale ewakuowali ją do Walii, a mama nie chciała mnie tam puścić. Teraz nasz kamerdyner, Progett, musi codziennie jeździć ze mną pięć mil do szkoły w Litchfield. Nie jest tam źle, tyle że nikt nie chce być w moim chórze.

Mam jedną wredną siostrę, Venetię, ma osiemnaście lat. Wcześniej miałam też brata, ale zbombardowali go na Morzu Północnym. Mieszkamy w największym i najbardziej okazałym domu we wsi, Chilbury Manor, lecz zimą jest tu lodowato. Nie jest aż tak nieskazitelny jak Brampton Hall, w którym mieszkał Henry Brampton-Boyd, dopóki nie wstąpił do RAF-u, żeby walczyć z hitlerowcami w swoim spitfirerze. Kiedy będę już dorosła, weźmiemy ślub i będziemy mieli czwórkę dzieci, trzy koty i dużego psa, Mozarta. Będziemy żyli w luksusie, chociaż musimy poczekać, aż umrze stary pan Brampton-Boyd, żebyśmy mogli odziedziczyć Brampton Hall. Jednak jako że lubi spędzać czas w Indiach, nie wiadomo, kiedy to nastąpi. Venetia śmieje się, że on tam siedzi tylko dlatego, że unika swojej żony, tej przemądrzałej pani B. Gdybym ja była na jego miejscu, to też by mnie kusiło, żeby tak zrobić.

O wojnie

Ta wojna trwa już zdecydowanie za długo – w tej chwili minęło ponad pół roku. Życie jest nie do wytrzymania. Wszyscy są zajęci, brakuje jedzenia, nowych ubrań, służby, świateł po zmroku i mężczyzn w okolicy. Trzeba wszędzie taszczyć ze sobą maski gazowe i wlec się do schronów przeciwlotniczych za każdym razem, kiedy zawyją syreny (choć na razie nie dzieje się to zbyt często). Co wieczór musimy zaciągać grube czarne zasłony na każdym oknie, żeby światło nie wskazało niemieckim samolotom naszego miejsca pobytu. W radiu bez przerwy nadają wiadomości, a wszyscy wokół ciągle mnie uciszają i zakazują grać na pianinie.

Papa jest brygadierem, chociaż nie mam pojęcia czemu, bo nigdy nie walczy, tylko czasem jeździ do Londynu „w sprawach wojennych”, jak to mówi. Myślę, że próbuje się dostać na zebrania w Ministerstwie Wojny, ale tamci ciągle wymyślają jakieś wymówki, żeby go nie wpuścić. Jest wyjątkowo rozdrażniony i stale ma w pogotowiu szpicrutę, żeby przypomnieć którejś z nas, gdzie jej miejsce. Venetia i ja staramy się jak najwięcej czasu spędzać poza domem. Mama umiera ze strachu przed nim, a do tego jest już w tak zaawansowanej ciąży, że nie ma nas kto pilnować poza starą nianią Godwin, która jest na to o wiele za stara. Zresztą nigdy nie potrafiła przed niczym nas powstrzymać.

W niektórych gazetach piszą, że wojna prędko się skończy, bo nie ma żadnych walk i hitlerowcy wyglądają na zadowolonych z tego, że okupują Europę Wschodnią. Papa mówi, że to bzdury, i że wojna dopiero się zaczyna.

– W gazetach piszą durnie. – Lubi brać do ręki nieszczęsne pismo i walić nim w stół albo biurko. – Hitler spokojniutko zajmuje sobie Polskę, a potem skupi się na nas. Zapamiętajcie moje słowa: jak tak dalej pójdzie, Francja padnie przed końcem roku, a my będziemy następni.

– Kiedy tu jest tak spokojnie i zwyczajnie – odzywam się. – Pan w szkole mówi, że to lipna wojna, bo tak naprawdę nic się nie dzieje. Połowa dzieci ewakuowanych z Londynu już pojechała tam z powrotem. Pan mówi, że nasi żołnierze wrócą do domu na święta.

– Twój pan to imbecyl, który nie widzi dalej niż czubek własnego nosa – przerwał mi papa ze złością. – Spójrz na Polskę, Czechosłowację, Finlandię. Popatrz na te wszystkie zatopione statki, łodzie podwodne, na naszego Edmunda.

Musieliśmy skończyć rozmowę, bo mama znów zaczęła płakać.

Śmierć Edmunda, mojego brata

Następną sprawą, o której muszę wam opowiedzieć, jest śmierć Edmunda, mojego brata, który zginął w swojej łodzi podwodnej. Powinniśmy być w żałobie i okropnie się czuję, że to mówię, ale wcale za nim nie tęsknię. Był wstrętny i mnie dręczył, a ja go nie cierpiałam. Nigdy mu nie wybaczyłam, że zamknął mnie w studni i lodowata woda podeszła mi aż za brodę, zanim znalazła mnie niania. Albo tego, jak zrobił sobie ze mnie cel do ćwiczeń w strzelaniu z łuku. Chociaż trzeba przyznać, że obiecał nauczyć mnie prowadzić samochód, jak dorosnę, i to było całkiem miłe.

Mama, tak samo zresztą jak papa, odchodzi od zmysłów i oddałaby wszystko, żeby tylko urodził się chłopczyk. Papa uważa, że dziewczęta są bez sensu, chociaż Venetia nie całkiem, bo ma żółte włosy. Ja jestem tak zupełnie bez sensu, że chyba nawet nie pamięta o moim istnieniu, z wyjątkiem tych momentów, kiedy potrzebuje znaleźć winnego. Niekiedy idę do mamy zobaczyć, czy nie może czegoś zrobić, żeby on nie był taki okropny, ale ona nic nie może. Mówi mi tylko, żebym się upewniła, że wybiorę sobie na męża przyzwoitego, miłego człowieka. Zastanawiam się, czy jest bardzo nieszczęśliwa.

Co wieczór przed kolacją mama każe służącej przygotować nakrycie dla Edmunda, jakby w każdej chwili miał tu wejść, usiąść sobie, nonszalancko wyciągnąć nogi, jak to miał w zwyczaju, i zacząć sobie z kogoś drwić, najczęściej ze mnie albo z Venetii. Potem wybuchał śmiechem i przyglądał sobie włosy z taką miną, jakby uważał, że na świecie nie ma nikogo wspanialszego od niego. Czasem trudno uwierzyć, że po prostu odszedł. W zeszłym tygodniu był jego pogrzeb, bez ciała, które można by pochować. Takie to dziwne. Gdzie on się podział?

W tym tygodniu znów w moich myślach prym wiedzie śmierć, bo David Tilling wyjeżdża do Francji i możliwe, że nigdy nie wróci, zwłaszcza że taki z niego fajtłapa. Wczoraj usłyszałam, jak pani B. mówi, że to taki typ człowieka, którego kulka znajdzie szybciej niż innych. Martwię się, że może mieć rację.

Trudno uwierzyć, że ta gromadka dzieci, z którymi dorastaliśmy tutaj w Chilbury, nagle się rozprasza – Edmund zginął, David jedzie na wojnę, Henry lata na spitfire'ach nad Niemcami, Victor Lovell jest gdzieś na okręcie, Angela Quail w Londynie, zostały tylko Hattie i wredna Venetia. Szczególnie Davida będzie mi brakowało. To on zawsze czekał, aż dogonię pozostałych. Był trochę jak starszy brat, tylko miłszy. Za kilka tygodni, po szkoleniu, wróci do domu. Wszyscy zostali zaproszeni do Tillingów na pożegnalne przyjęcie niespodziankę, zanim David wyruszy na front. Wiem, że teraz trzeba być pogodnym, nawet jeśli się wie, że ktoś może zginąć, ale ciężko jest nie myśleć o tym, że być może zobaczę go ostatni raz.

Lista rzeczy do zapamiętania, zanim ktoś wyruszy na wojnę

Kształt jego ciała – pusty kontur, który zostanie, kiedy ten ktoś zginie.
Sposób poruszania się – to, jak ktoś chodzi, prędkość, z jaką odwraca się, żeby spojrzeć.

Mieszanka zapachów i woni wyczuwalnych tylko przez chwilę.
Jego kolor, blask, który spowija wszystko, co ten ktoś robi, także jego śmierć.

Kolory różnych ludzi

Lubię patrzeć na ludzi poprzez barwy, coś w rodzaju aury czy nimbu, które ich otaczają i nadają ich ciałom posmak tego, co mają wewnątrz.

Ja – fiolet, lśniący i ciemny jak niebo w burzową noc.
Mama – bledziutki róż, jak nowo narodzona myszka.
Papa – czerń sadzy (Edmund też był czarny, ale jak niebo w bezgwiezdną noc).
Pani Tilling – jasna zieleń, jak młody pęd, który próbuje przebić się przez śnieg.
Pani B. – granat (poprawny i tradycyjny).

Henry to głęboki lazurowy błękit, pasujący do jego oczu. Zawsze przypomina mi ten nieskazitelny lipcowy dzień w czasie zeszłorocznych wakacji, kiedy Henry wspomniał o małżeństwie. Niebo było bezmiarem błękitu, strumyk przepływający obok miejsca, w którym urządziliśmy sobie piknik, sączył się z przedwieczorną ospałością. Henry dołączył do mnie, Edmunda i Venetii, i włączyliśmy się razem po okolicy, a mama nie miała pojęcia, gdzie jesteśmy. To wszystko było oczywiście tak niespodziewane, że Henry nie miał pierścionka i nigdy nie ogłosiliśmy oficjalnych zaręczyn. Wiem jednak, że on w głębi serca pamięta.

Moja wredna siostra Venetia

W odróżnieniu od nas wszystkich Venetia najwyraźniej dobrze się bawi podczas tej wojny, i to nie tylko dlatego, że nie ma komu jej pilnować. Wojna wyróciła wszystko do góry nogami i sprawiła, że ludzie są skłonniejsi do uwielbienia. W dodatku przez śmierć Edmunda Venetia jako najstarsza z żyjących

dzieci znalazła się na honorowym miejscu w rodzinie. Jej kolor to wstrętne zielonkawa żółć, jak morze w burzowy dzień, wysysające światło ze wszystkiego, co wokół dobre, morze wciągające młodzieńców w swoją mroczną głębię i wyrzucające nieprzytomnych na odległych plażach.

Ogromnie bawi mnie to, jaki Venetia ma kłopot, by zainteresować sobą nowo przybyłego przystojnego mężczyznę, pana Alastaira Slatera. To artysta, który wyjechał z Londynu w obawie przed potencjalnym bombardowaniem, tak samo jak wszyscy ci pisarze i malarze, którzy myślą tylko o tym, jak się uratować. Papa mówi, że oni uciekają, uchylają się od spełnienia swojego obowiązku. Pan Slater jest podobny do Cary'ego Granta – zadbany i wytworny, nie to co tutejsi chłopcy. Jego kolor to ciemna szarość, pasująca do eleganckich garniturów, które nosi, i formalnej nieprzystępności. Wydaje się kompletnie niezainteresowany Venetią, choć ona paraduje przed nim dzień i noc. Podśluchałam, jak mówi Hattie, że założyła się ze swoją przyjaciółką, Angelą Quail, iż zanim lato dobiegnie połowy, pan Slater będzie jadł jej z ręki, ale na razie wygląda na to, że będzie musiała się bardziej postarać.

Angela Quail to najnikczemniejsza flirciara, jaką znam – aż trudno uwierzyć, że jest córką pastora. Jej kolor to wyzywająca czerwień, jak szminka, obcisłe suknie i brak jakichkolwiek zasad moralnych. Dawniej pracowała razem z Venetią w nowym Wojennym Centrum Dowodzenia w Litchfield Park – przepiękną starą rezydencją na obrzeżach Litchfield, taką z prawdziwymi georgiańskimi filarami i rozciągającym się wokół parkiem. Kilka miesięcy temu rząd zarekwirował ją w związku z wojną i lady Worthing musi mieszkać u siostry w zamku w Cheswick, biedactwo. Teraz Litchfield Park to okropnie ważne miejsce, a ponieważ leży tylko pięć mil od Chilbury, mamy być w pogotowiu, na wypadek gdyby hitlerowcy próbowali je zbombardować. Venetia ma tam jakąś biurową pracę i wyobraża sobie, że odgrywa kluczową rolę, podczas gdy tak naprawdę tylko pisze na maszynie i przekazuje wiadomości telefoniczne do Londynu.

W zeszłym miesiącu Angela została przeniesiona stamtąd do prawdziwego Ministerstwa Wojny w Londynie, gdzie niemal na pewno bawi się każdym dostępnym mężczyzną. To bez wątplenia najwytrawniejsza flirciara po tej stronie kanału La Manche. Venetia jest zrozpaczona, że jej najlepsza przyjaciółka Angela wyjechała do Londynu. Z kim teraz ma się dzielić swoimi podbojami? Miałam nadzieję, że z dala od tej paskudnej dziewczuchy moja siostra zrobi się trochę miłsza, ale wydaje się gorsza niż kiedykolwiek.

Silvie, nasza uciekinierka z Czechosłowacji

Teraz muszę opowiedzieć wam o Silvie, naszej dziesięcioletniej uciekinierce

Żydówce. Hitlerowcy zajęli jej dom w Czechosłowacji, ale rodzicom udało się wysłać ją tutaj przed wybuchem wojny. Rodzina ma do niej dołączyć, kiedy uda im się stamtąd wyrwać. Wujek Nicky, najmłodszy brat mamy i mój ulubiony członek rodziny, organizował ewakuację dzieci i namówił nas, żebyśmy wzięli Silvie ubiegłego lata, zanim zaczęła się wojna.

– Musieliśmy przerwać ewakuację, bo zamknięto granice, a to bardzo smutna wiadomość dla dzieci, które tam zostały – powiedział. – Naziści rządzą teraz połową Europy Wschodniej. Tam jest koszmar. To zbiry, które aresztują ludzi, jeśli nie przestrzegają ich zasad. Oni natomiast mogą robić, co im się żywnie podoba. Wszyscy są przerażeni.

Papa wcale nie był zadowolony, że wzięliśmy Silvie, ale kilka miesięcy później wypowiedziano wojnę i pojawiły się setki niechlujnych uciekinierów z Londynu, szukających dachu nad głową. I nagle papa nie posiadał się z radości, że mamy uroczą, czyściutką i cichutką Silvie, i ani skrawka miejsca dla kogokolwiek innego. Pastor i pani Quail przyjęli okropną kobietę z czwórką wrzeszczących dzieci, które miały wszy, pchły i żadnym manier. Kobieta bez przerwy kłóciła się z panią Quail, a potem nagle zawinęła się i wróciła do Londynu, bo wyglądało na to, że nie ma żadnej wojny. Nawet nie powiedziała „dziękuję”.

Jeszcze nie ustaliłam, jaki jest kolor Silvie. Dziewczynka niewiele mówi i uśmiecha się też rzadko. Staramy się choć trochę umilić jej życie i pomagamy w ćwiczeniu angielskiego. Powiedziała mi, że ma tajemnicę, której nie może nikomu zdradzić.

– Jestem całkowicie godna zaufania – zapewniłam ją. Ale nie chciała powiedzieć ani słówka; mocno zacisnęła wargi, żeby mnie zniechęcić.

Przyjechała do nas nawet bez walizki, która zaginęła po drodze. Przeprowa przez granicę w Holandii okazała się trudna i musieli wszystkich poganiać. Było tam około setki dzieci, niektóre miały zaledwie pięć czy sześć lat – Silvie mówiła, że przez całą drogę płakały za swoimi mamami, trzy dni bez przerwy. Utrata walizek była tym większym wstrząsem, że miały tam swoje ulubione zabawki, zdjęcia z domu, wszystko, co dobrze znane i bezpieczne. Kiedy Silvie się zjawiała, podarowaliśmy jej lalkę, ale dziewczynka posadziła ją na krześle z boku, twarzą do szafy, jakby to były magiczne drzwi do lepszego świata.

Prim, nowa nauczycielka muzyki

Mało brakowało, a byłabym zapomniata. Jest też wspaniała nowina! Do Chilbury sprowadziła się nauczycielka muzyki. Przyjechała z Londynu, żeby uczyć na uniwersytecie w Litchfield. Nazywa się panna Primrose Trent, ale powiedziała

nam, żebyśmy mówili do niej Prim, co jest zabawne, bo wcale nie sprawia wrażenia grzecznej prymuski, tylko raczej zwariowanego czupiradła. Ze swoją siwiejącą kędzierzawą czupryną i długim czarnym płaszczem wygląda trochę jak pomarszczona wiedźma z plikiem nut pod pachą. Jej kolor to ciemna zieleń, jak cienisty las w letnią noc.

Pani Tilling przedstawiła jej mnie wczoraj w sklepie, a ja zebrałam się na odwagę i powiedziałam, że marzę o zostaniu sławną śpiewaczką.

– Ćwicz, moja droga! – wykrzyknęła Prim, aż zadzwoniły puszki z konserwami na półkach. – Musisz mieć wiarę w to, czego pragniesz. – Z gracją rozłożyła ramiona, jakby znajdowała się na wielkiej scenie. – Jeśli będziesz miała czas, mogę dawać ci dodatkowe lekcje.

Co za wspaniała szansa!

– Poproszę mamę, żeby zaraz się z panią umówiła. Widzi pani, zdarzyła się katastrofa. Pastor rozwiązał chór wiejski i teraz tkwimy tutaj jak sieroty, bez żadnego śpiewu.

– Oj, to niedobrze, prawda? Zlikwidować chór. W takim czasie!

Z całej duszy mam nadzieję, że Prim przekona pastora, żeby reaktywował chór, chociaż nie bardzo wierzę, że komukolwiek uda się to zrobić. Na co możemy liczyć, skoro nie ma żadnych mężczyzn? Ale tymczasem mogę cieszyć się na myśl o lekcjach śpiewu, bo mama się zgodziła. A dzięki nim już niebawem znajdę się w blasku jupiterów, widzę to po iskierkach w oczach Prim.

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL

Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Środa, 3 kwietnia 1940 r.

Kochana Angelo!

Zakład nadal stoi! Pan Slater uporczywie opiera się moim zabiegom. Próbowала swoich najlepszych sztuczek, zapukałam nawet do jego drzwi i zapytałam, czy może mi użyczyć farby, bo próbuję sił w „okropnie trudnym pejzażu”, ale on tylko podał mi tę farbę i pomachał uprzejmie. A ja spędziłam cały dzień, szykując się do tego, miałam na sobie zieloną jedwabną suknię i włosy ułożone w idealne loki. To doprawdy kłopotliwe, moja droga. „Kłopotliwe” to

mało powiedziane!

Przestań jednak triumfować, bo i tak niebawem będzie mój. Angie, on jest naprawdę urzekający, i taki z niego romantyczny artysta. Zawsze wyobrażałam sobie, że ci chłopcy z bohemy są smukli i wiotcy, on jednak jest raczej typem sportowca, wygląda na fehmistrza-dżentelmena – *en garde*, i tak dalej. Pod tymi jego odprasowanymi garniturami rysują się muskularne ramiona, a nawet uda. Ale Angie, chodzi nie tylko o to. Jest w nim coś, co sprawia, że czuję, iż jesteśmy sobie przeznaczeni. To, jak na mnie patrzy, jakby spoglądał przeze mnie i widział w środku inną osobę.

Brakuje mi Ciebie tutaj, chociaż sytuacja powoli się poprawia. Wszyscy w końcu zaczęli się uspokajać po śmierci Edmunda, mimo że mama nadal jest płaczliwa, a papa wściekły. Ja też tęsknię za bratem na swój sposób, za naszymi wygłupami. Zabawne, jak szybko można zapomnieć, jaki ktoś bywał wstrętny, kiedy już nie żyje. Chyba chodzi o to, że nie stanowi już zagrożenia.

Staram się odświeżyć moją przyjaźń z Hattie, choć odkąd zaszła w ciążę, jest nudna jak flaki z olejem. Wczoraj zajrzałam do niej na podwieczorek. Odmalowała pokój dziecinny na upiorny odcień zieleni, bo to jedyna farba, jaką udało jej się znaleźć. Jej szeregowy domek na Church Row jest przeraźliwie ciasny. Nie wiem, jak ta dziewczyna to znosi.

– Ale zaraz obok mieszka panna Paltry, akuszerka! – wykrzyknęła Hattie z wyrazem niepojętej radości na tej swojej ładnej buzi. Od kiedy jest w ciąży, jej długie ciemne włosy są jeszcze bardziej niesforne. – Nie widzisz, jakie to praktyczne? Chociaż moją główną położną ma być pani Tilling. Odkąd rodzice zmarli, jest dla mnie jak rodzina.

– A po drugiej stronie mieszka pan Slater. To nieporównanie bardziej podniecające. – Roześmiałam się i zaczęłam zastanawiać, czy przez całą tę paplaninę nie rozmazała mi się szminka. Nie chciałabym wpaść na niego, nie wyglądając idealnie.

– Jak tam wasz zakład? – zapytała Hattie.

– Niedobrze. Przyznaję, że nie wiem, co sądzić o tym człowieku.

– Wiem, co masz na myśli. Zastanawiam się, co on kombinuje. Ciągle go widzę, jak gdzieś się wybiera, albo autem, albo na piechotę, nie mając przy sobie choćby pędzla. Znika na całe godziny.

Ona zawsze pozuje na tę starszą i rozsądniejszą. Wyobraża sobie, że te dwa lata różnicy sprawiają, że jest mądrzejsza ode mnie. A teraz, kiedy spodziewa się dziecka, jest wprost nie do wytrzymania.

– Może on tak naprawdę jest gwiazdą filmową! – zaśmiałam się. – Urodę amanta ma na pewno.

Hattie mi nie zawtórowała.

– Może byłoby lepiej, gdybyś zajęła się kimś innym.

Spojrzałam na nią, siedzącą samotnie w pustym ciasnym mieszkanku, w tej okropnej ciężowej sukience, choć i tak nużąco szczęśliwą. Muszę przyznać, że poczułam ukłucie zazdrości. Nie martw się, szybko się z tego otrząsnęłam. W końcu kto chciałby za męża Victora Lovella? I co to za frajda być w ciąży, kiedy wojna jest taka ekscytująca? Dziewczęta mogą robić tyle nowych rzeczy. Inaczej nigdy nie zostałybyśmy urzędniczkami w Ministerstwie Wojny, a Ciebie nie wysłaliby do Londynu, gdzie mieszkasz sobie całkiem sama. Tyle wolności, tyle potańcówek! Słyszałam, że nawet Constance Worthing dostarcza samolotów w ramach włączania się w wysiłek wojenny.

Hattie chyba rzeczywiście zawsze była tą rozsądniejszą, ale teraz sprawia wrażenie takiej irytująco ustatkowanej. Pamiętam, jak byłyśmy małe i stojąc we trójkę w Czarcim Kole, wołałyśmy: „Jesteśmy silne jak węże, dzikie jak wilki i wolne jak gwiazdy!”.

– Jestem dalej tą samą dziewczyną co kiedyś – odezwała się nagle, jakby czytała mi w myślach. Zabawne, jak ona czasem to robi. Wtedy zrozumiałam, że tak naprawdę wcale się nie zmieniła.

W drodze do domu rozmyślałam o tym, że Hattie będzie miała dziecko. Nie jestem pewna, czy chciałabym być matką, ale może nie jest to aż takie złe.

Kiedy już byłam w domu, do mojego pokoju po cichu weszła Silvie i ostrożnie zbliżyła się do toaletki. Zaczęła myszkować w niej w poszukiwaniu skarbów. Pytała mnie o schowane tam rzeczy. Niekiedy wymyślałam dla niej historie na ich temat: naszyjnik z głębin oceanu, szminka zgubiona przez księżniczkę.

– Podoba ci się pan Slater?

– Skąd o tym wiesz?

– Kitty mi powiedziała – odparła mała po prostu. – Mam nadzieję, że jest miły. Tak jak ty.

Uśmiechnęłam się i ją przytuliłam. Muszę dopilnować, żeby Kitty pożałowała rozgadywania moich tajemnic, i żeby nie usłyszała o niczym więcej.

Napisz prędko, Angie, bo z całej duszy tęsknię za twoimi wybrykami. Bardzo bym chciała, żeby wysłali mnie z Tobą do Londynu, chociaż teraz, kiedy na miejscu mam intrygującego pana Slatera, wołałabym może nie tak od razu.

Ucałowania,

Venetia

LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY

Church Row 3,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Czwartek, 4 kwietnia 1940 r.

Kochana Claro!

Umowa zawarta. Będziemy bogatsze, niż kiedykolwiek nam się śniło, siostrzyczko. Poszłam spotkać się z brygadierem, tak jak ustaliliśmy, w opuszczonej kamiennej szopie w lasku.

Był już na miejscu i ze złością wyciągnął z kieszonki srebrny zegarek.

– Spóźniła się Paltry.

– Doprawdy? – Uśmiechnęłam się uprzejmie. – Tak mi przykro!

Żachnął się, rozpoznając w moim głosie wyraźną nutę ironii.

– No więc? Da się to załatwić?

– Chodzi panu o podmianę niemowląt? – Pilnowałam, żeby się nie uśmiechać, choć myśl, że on właśnie to sugeruje, nadal wydawała mi się komiczna.

– Mam obskoczyć dwa porody i przekonać obie kobiety, że urodziły inne dziecko?

– Tak, do diabła! – krzyknął. – Czy mam poszukać kogoś innego?

– Wątpię, by znalazł pan kogoś równie godnego zaufania – odparłam, a po chwili dodałam z rozbawieniem: – Chociaż pani Tilling ukończyła kurs dla położnych, gdyby chciał pan zwrócić się z tym do niej.

– Absurd! – ryknął brygadier. – Niech Paltry po prostu odpowie. Zrobi to?

– To zależy, o jakiej sumie rozmawiamy.

Parsknął jak rozdrażniony byk.

– Mogę wyłożyć pięć tysięcy.

Na ułamek sekundy przestałam oddychać. Pięć tysięcy to ogromna suma – dziesięć razy tyle, co zarabiam w ciągu roku. Ale nie zamierzałam na tym poprzestać. Ten stary drań jest wart znacznie więcej. Widziałam te kosztowności, kryształowe żyrandole, te cholerne klejnoty koronne.

– Po czymś takim nie mogłabym wrócić do pracy i musiałabym opuścić naszą wieś – odparłam z najsmutniejszą miną, na jaką mogłam się zdobyć. – Potrzebowałabym dwudziestu, żeby w ogóle wziąć to pod uwagę.

Był wściekły.

– W takim razie osiem tysięcy. Takiej kobiecie powinno tyle wystarczyć.
– Takiej kobiecie? – Spojrzałam mu prosto w oczy i uniosłam brew. – Taka kobieta jak ja potrafi narobić niezłego rabanu, wie pan?
– Grozisz mi? – syknął. – Bo jeśli tak, wszystkiemu zaprzeczę. Nigdy nie uwierzą słowu kogoś takiego przeciwko mojemu.
– Niech pan na to nie liczy, brygadierze – odparowałam. – Czasy, kiedy tacy jak pan pociągali za sznurki, dawno minęły.
– Już ja dopilnuję, żeby cię za coś wsadzili, zapamiętaj moje słowa.
– Dziesięć tysięcy i umowa stoi – powiedziałam stanowczo. – Pod warunkiem że dostanę pieniądze niezależnie od tego, czy zabieg się powiedzie.
– Zrobisz dokładnie to, co ci mówię, Paltry, albo nigdy więcej nie znajdziesz tu pracy. Zrozumiano? – Stał tuż przy mnie. – Dostaniesz pieniądze, kiedy ja dostanę swojego chłopca.
– Zapłaci mi pan z góry, bo jeśli nie urodzi się żaden chłopiec, guzik będę w stanie na to poradzić. Za to jeśli się urodzi – uśmiechnęłam się obiecująco – dopilnuję, żeby trafił do pana.

Zacisnął pięści. Tego się nie spodziewał. Odkąd zjawiłam się tutaj pięć lat temu, starannie budowałam sobie reputację osoby skromnej i ugodowej, zwłaszcza po tej pomyłce we wsi w Somerset. (Pamiętasz pewnie, jak mnie z niej wygonili po tym, jak dałam pacjentom z kurzajkami niewłaściwą maść, wskutek czego dolne partie ich ciała nabrały fioletowego zabarwienia. Skończyło się to rozpadem trzech małżeństw, wielką bijatyką, zniknięciem młodej kobiety, no i co najmniej dwóch rozszluszczonych mężczyzn usiłowało dopaść mnie i porachować mi kości). Nie, Claro. W Chilbury postępowałam ostrożnie, trzymałam buzię na kłódkę, grałam na ich zasadach.

Przyszła pora odebrać swoją nagrodę.

– W porządku, niech będzie dziesięć tysięcy. Połowa z góry, a połowa po wszystkim – warknął brygadier. – A jeśli pani Winthrop urodzi chłopca, Paltry zadowolony się połową. – Spojrzył na mnie spode łba. – Jak mam zaufać kobiecie zdolnej do czegoś takiego?

– Kobiety są zdolne do niejednego, panie brygadierze. Po prostu dotychczas pan tego nie zauważał. – Posłałam mu uśmiezek. – Połowę sumy poproszę w gotówce, za dwa tygodnie, licząc od dziś.

Winthrop ze złością odwrócił się w stronę zarośli, a do mnie nagle dotarło, ile ta sprawa dla niego znaczy. Trzeba było zażądać pięćdziesięciu tysięcy. Zgodziłby się. Zrobiłby dosłownie wszystko.

– Dostanie Paltry swoje pieniądze – wycedził w końcu. – Niech tu przyjdzie tego dnia o dziesiątej, będę je miał. – Zbliżył się do mnie, mrużąc oczy niczym Ebenezer Scrooge. – I niech trzyma język za zębami albo nici z umowy. Ani słowa mojej żonie. Ona ma o niczym nie wiedzieć. Zrozumiano?

– Zrozumiano, panie brygadierze – odrzekłam cicho. – Wszystko jasne.

Po tych słowach odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w las, zostawiając za sobą Winthrop, który krążył nerwowo po polanie i klął pod nosem.

Odetchnęłam głęboko świeżym powietrzem i tanecznym krokiem wybiegłam spomiędzy paproci na ścieżkę. To naprawdę się uda, Claro. W ramach przedsięwzięcia środków ostrożności postanowiłam zaprzyjaźnić się z tą męczącą Tilling. Trzeba mieć oczy i uszy szeroko otwarte. W grę wchodzi duże pieniądze, więc nie pozwolę, by choćby najdrobniejszy detal uszedł mojej uwadze. Niebawem napiszę bardziej szczegółowo, tak jak prosiłaś. Wiem, że myślisz, że jak zawsze wszystko spartaczę, ale tym razem cię nie zawiodę. Zanim skończy się wiosna, będziesz bogata, przysięgam.

Edwina

**OGŁOSZENIE PRZYPIĘTE NA TABLICY PRZED ŚWIETLICĄ
WIEJSKĄ W CHILBURY W PONIEDZIAŁEK 15 KWIETNIA 1940 ROKU**

Próby nowego Chilburyjskiego Chóru Żeńskiego rozpoczną się w kościele
we środę wieczorem, punktualnie o godz. 7.

Panna Primrose Trent, profesor muzyki z Uniwersytetu w Litchfield

DZIENNIK PANI TILLING

Środa, 17 kwietnia 1940 r.

Ogłoszenie Prim na temat nowego „żeńskiego” chóru wywołało poruszenie wśród naszej małej społeczności. Wczoraj przed spotkaniem Ochotniczej Służby Kobiet (albo OSK, jak najczęściej mówimy) pani B. powiedziała mi, że poszła prosto do pastora, żeby dowiedzieć się prawdy.

– „Czy pozwolił ksiądz tej kobiecie – obcej osobie, nikomu bliżej nieznaney – przejąć nasz chór i zmienić go nie do poznania, po prostu poniżyć?”, zapytałam go, i wie pani, co on na to? Pastor, który przecież ma być przedstawicielem Boga na Ziemi, odpowiedział: „Cóż, była tak przekonująca, że trudno było mi z nią dyskutować”. Po prostu zabrakło mi słów!

– Ojej – bąknęłam. Byłam raczej podekscytowana całą tą przygodą. Przynajmniej znów będziemy śpiewać. Brakowało mi tego. – Wiem, że to nietypowe, ale może po prostu pójdziemy i zobaczymy, co Prim ma do powiedzenia. W końcu nie ma w tym chyba nic złego.

– Nic złego?! – huknęła pani B. – Nie widzi pani nic złego w zrujnowaniu reputacji naszej wsi? Nie wyobrażam sobie, co powie lady Worthing, jak o tym usłyszy. To taka zwolenniczka robienia wszystkiego tak, jak zawsze się robiło.

Do rozmowy włączyło się kilka innych pań z OSK, Koło Szwaczek kręciło głowami znad swoich wojskowych piżam, panie od kuchni polowej powątpiewały, czy coś takiego może się udać. Nietrudno zatem sobie wyobrazić, z jaką ciekawością zajrzałam dziś wieczorem do kościoła, chroniąc się przed deszczem.

Zjawiłam się jako jedna z pierwszych. Wnętrze kościoła wyglądało jak zaczarowane, świece przy ołtarzu rzucały na całą nawę głębokie cienie. Chórzystki zaczęły się schodzić jedna po drugiej: pani Gibbs ze sklepu, pani B., pani Quail przy organach, nawet Hattie w zaawansowanej ciąży, która stwierdziła, że za nic w świecie nie pozwoliłaby, żeby coś takiego ją ominęło. Pojawiła się panna Paltry – wygląda na to, że postanowiła zmienić coś w swoim życiu; pod koniec spotkania wspomniała mi nawet, że chce wstąpić do OSK. Kitty i pani Winthrop z entuzjazmem wpadły do kościoła razem ze swoją małą uchodźczynią, Silvie, która wyglądała, jakby wreszcie miała się uśmiechnąć. Za nimi wparadowała Venetia, ubrana jak z żurnala, na wypadek gdyby natknęła się gdzieś na pana Slatera. Ostatnio zrobiła się przedziwnie nieprzyjemna, lecz teraz, kiedy Angela Quail wyjechała do Londynu, jest dla niej nadzieja.

O siódmej kościół pomimo ulewy był pełen po brzegi, a w chłodnym powietrzu unosił się gwar podekscytowanych głosów; nawet Matka Boska zdawała

się z przejściem spoglądać na nas z góry. Tymczasem przed ławką altów zebrała się silna reprezentacja oburzonych dam pod wodzą pani B., niczym gromadka nastroszonych kur, gdaczących do siebie z dezaprobatą.

Nagle otwarły się drzwi i Prim, majestatyczna w swoim długim czarnym płaszczu, ruszyła nawą w naszą stronę. Stukot jej kroków odbił się echem od drewnianego sklepienia, płosząc kilka nietoperzy na dzwonnicy. Zrzuciła z siebie płaszcz i strząsnęła z niego deszcz; jej włosy sprawiały wrażenie wyjątkowo rozczochranych. Popatrzyła na nas uroczyście, rzuciła plik nut na krzesło i wstąpiła po schodach na ambonę.

– Proszę wszystkich o uwagę! – zawołała, a jej słowa rozległy się z mocą aż w krużgankach. – Z dumą ogłaszam powstanie Chilburyjskiego Chóru Żeńskiego.

Połowa zgromadzonych wybuchnęła aplauzem. Poczułam, jak gdzieś w środku zapala mi się jasne ciepłe światełko. To może naprawdę stać się rzeczywistością.

Jednak po drugiej stronie, wśród popleczniczek, stała w wyzywającej pozie pani B. z rękoma na biodrach, nieugięcie broniąc swojego terytorium.

Prim ciągnęła dalej, a w jej jasnoszarych oczach błyszczało zdecydowanie.

– Wiem, że wszystkich zmartwiła wiadomość o likwidacji chóru, i dlatego – oznajmiła triumfalnie, machając batutą – zaproponowałam pastelowi, żeby ta droga sercom mieszkańców naszej wsi instytucja stała się chórem żeńskim.

– A to jakim sposobem, jeśli można wiedzieć? – zapytała pani B. charakterystycznym dla siebie protekcyjnym tonem.

– Wyjaśniłam, że wobec toczącej się wojny chór jest nam potrzebny bardziej niż kiedykolwiek. Zbierajmy się i śpiewajmy, twórzmy wspaniałą muzykę i pomagajmy sobie nawzajem w tym ciężkim czasie. – Prim umilkła na chwilę i zwróciła się w stronę stojącej obok wysokiej świecy, której blask odbił się w jej zamyślonych oczach. – Niektóre z nas pamiętają ostatnią wojnę, niezliczone cierpienia i śmierć, jakie spowodowała. Nadszedł czas, abyśmy my, kobiety, w naszym gronie dołożyły starań, by wspierać się i dodawać sobie otuchy. Fakt, że nie ma z nami mężczyzn, wcale nie oznacza, że nie możemy śpiewać w chórze same.

– To jakiś absurd – zachnęła się pani B., ruszając w stronę ambony. Ubrana w zwykłą tweedową spódnicę i myśliwską kurtkę, przeżyła opiętą nią pierś w doskonale znanej przyjaciółom i sąsiadom postawie bojowej. – Co pocniemy bez basów i tenorów?

– Będziemy śpiewać dostępne opracowania na głosy żeńskie, albo ja je przygotuję. Niepotrzebni nam mężczyźni! Same jesteśmy kompletnym chórem!

– Tak czy inaczej – zaśmiała się znad organów pani Quail – jedynym basem, jakim dysponowaliśmy, był stary pan Dawkins. A on co najmniej od dwóch lat fałszował niemiłosiernie.

Wśród młodszych chórzystek rozległy się stłumione chichoty, lecz pani B. nie traciła kontenansu i rozglądała się po swoich stronniczkach, czekając, aż się odezwą.

– Co pomyśli sobie Pan Bóg? – wtrąciła jedna z pań z Koła Szwaczek. – Na pewno nie chciał, żeby kobiety śpiewały same. Weźmy takie „Alleluja” z *Mesjasza* Haendla – co byłoby to warte bez mężczyzn?

– Istnieje mnóstwo chórów męskich, nieprawdaż? – zauważyła Prim. – Pomyślcie o wielkich chórach z Cambridge, nie wspominając już o katedrze Świętego Pawła. Trudno mi wyobrazić sobie, by jakkolwiek Bóg miał coś przeciwko odrobinie wspólnego śpiewu.

– Ale to sprzeczne z naturalnym porządkiem rzeczy – oznajmiła pani B.

Naszła mnie ochota, żeby odchrząknąć i powiedzieć jej, że się myli, i zanim zdążyłam zorientować się, co się dzieje, usłyszałam swój własny głos:

– Może tyle razy powtarzano nam, że kobiety nie potrafią robić tego czy tamtego, że w końcu w to uwierzyłyśmy. W każdym razie naturalny porządek rzeczy został chwilowo zawieszony, bo wokół nie ma żadnych mężczyzn. – Rozejrzałam się po kościele w poszukiwaniu natchnienia. – Pani Gibbs sama rozwozi teraz mleko, a pani Quail objęła funkcję kierowcy autobusu, podobnie jak wiele z nas, zmuszonych odgrywać zupełnie nowe role. Wojna zmieniła wszystko. Dlaczego nie miałyby wpłynąć także na chór?

Z kilku miejsc dały się słyszeć oklaski, a także parę okrzyków: „Słuchajcie, słuchajcie!” i „Dobrze mówi!”. Nadal nie mogłam uwierzyć, że wstałam i zabrałam głos, w dodatku sprzeciwiając się pani B., która spoglądała na mnie z widoczną dezaprobatą.

– Doprawdy? – powiedziała. – Sama nie wiem, która część tej wypowiedzi najbardziej mnie zdumiewa! Pomysł, że ze względu na wojnę mamy obniżyć swoje standardy moralne, czy też fakt, że pani, moja droga, zdecydowała się wdać w tę niedorzeczną sprzeczkę. – Zwróciła się w stronę grupy zgromadzonej na ołtarzu pomiędzy stallami. – Głosowanie powinno rozstrzygnąć to raz na zawsze. Jeśli ktoś zgadza się z tym absurdalnym projektem, niech podniesie rękę.

Pani B. nie należy do osób umiejących przegrywać z godnością. Przeliczyła podniesione ręce raz, potem drugi, i na jej twarzy pojawił się wyraz oburzenia. Spojrzała na nas z potępieniem, jak na przestępczynię.

– Nie wyobrażajcie sobie, że coś takiego pozostanie bez konsekwencji. Będę mieć was na oku. Ostrzegam. – Sapiąc z przejęcia, ruszyła w stronę drzwi, po czym, nie mogąc zdobyć się na to, by wyjść, opadła ciężko na ostatnią ławkę. Najwyraźniej sądziła, że uda jej się wpędzić nas w poczucie winy i w ten sposób skłonić do zmiany zdania. Jednak w miarę jak chórzystki wokół mnie odzywały się coraz śmielej, przekonałam się, że nie może być o tym mowy.

– Co za świetny pomysł – powiedziała Hattie. – Nie mam pojęcia, czemu do

tej pory same na to nie wpadłyśmy.

– Tak, i jaka pyszna nazwa – dodała Venetia. – Chilburyjski Chór Żeński. Posłuchajcie, jak to brzmi!

Nie myślałam o tym wcześniej, ale teraz zaczęłam się zastanawiać, przede wszystkim dlaczego chór został rozwiązany, dlaczego pastor miał tyle do powiedzenia w naszej sprawie. I, co może najważniejsze, dlaczego mu na to pozwoliłyśmy.

Prim rozdała kilka egzemplarzy *Bądź moim światłem*¹.

– Ustawmy się. Stańcie w stallach na tych miejscach co zwykle, albo gdziekolwiek chcecie, i spróbujcie zaśpiewać swoje partie.

Przez chwilę było zamieszanie, a pani B. przepchnęła się wśród altów i stanęła obok mnie.

– Muszę tu być, żeby zobaczyć, jakiego bałaganu narobi ta kobieta.

– Wszystko będzie dobrze – odpowiedziałam, choć tak naprawdę wstrzymywałam oddech, modląc się, żeby nam się powiodło. Tak bardzo nie chciałam, żebyśmy zepsuły wszystko na samym początku, żeby Prim zniechęciła się, kiedy usłyszy, jak okropnie śpiewamy. Musimy jej pokazać, że damy radę.

Z wyrazem spokojnej pewności na twarzy dyrygentka uniosła batutę, dała spojrzeniem znak pani Quail, żeby rozpoczęła przygrywkę, a potem skinęła na nas. Dźwięk naszych głosów znów wypełniających przestrzeń i rozbrzmiewających w kamiennym kościółku wywołał we mnie uniesienie: radosny dreszcz wspólnego śpiewania, łagodne współbrzmienie głosów, czystość melodii. Zaczęłam się zastanawiać, czy staramy się trochę bardziej niż zawsze. Robimy co w naszej mocy, żeby się udało.

– To było wspaniałe! – zawołała Prim, kiedy echo ostatnich nut rozplynęło się w nieruchomym powietrzu. – Mamy tu kilka prawdziwych talentów!

Uśmiechnęłyśmy się, każda z nadzieją, że mówi właśnie o niej. Nawet grupka pani B. zdawała się ulegać czarowi muzyki i zapominać o swoich zastrzeżeniach.

Sama pani B. jednak nie zamierzała dać za wygraną.

– Będę musiała pomówić o tym z pastorem – oznajmiła, po czym zeszła po schodach z ołtarza i wymaszerowała przez podwójne drzwi. Z pewnością wkrótce usłyszę, co z tego wynikło.

Już po wszystkim szłam do domu jak w transie, rozdarta pomiędzy euforią śpiewania a igielkami strachu, przypominającymi o rychłym odjeździe Davida. W zeszłym tygodniu hitlerowcy napadli na Norwegię, więc wysyłamy tam nasze wojska, żeby spróbować ich odeprzeć. Mam nadzieję, że nie skierują tam Davida.

Powoli, cicho zaczęłam śpiewać sobie *Bądź moim światłem*. W tę bezksiężycową noc wszystko było czarne; ciemność sprawiła, że znikła wszelka jasność. Ja jednak uświadomiłam sobie, że nie ma żadnych praw zabraniających

śpiewu, i uśmiechnęłam się delikatnie. Zauważyłam, że mój głos staje się coraz donośniejszy, na przekór tej wojnie.

W obronie mojego prawa, by być słyszaną.

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Czwartek, 18 kwietnia 1940 r.

Cóż za oszałamiający dzień! Moja pierwsza lekcja śpiewu ze znakomitą i mistrzowską Prim odbyła się w jej domu przy Church Row o piątej. Nigdy w życiu nie byłam tak przejęta; dotarłam na miejsce dziesięć minut za wcześnie i czekałam, aż Prim wróci z uniwersytetu.

Przyjechała na rowerze w swoim długim płaszczu, ryzykownie balansując na wąskiej ramie.

– Jesteś przed czasem – zachichotała. – Zawsze powtarzam, że szczerzy zapal to klucz do sukcesu. – Zeszła z roweru i oparła go o fasadę domu. – Wejdz, na początek zaparzę nam herbatę.

Szeregowy domek miał dokładnie ten sam kształt i rozmiar co dom Hattie, za to aż się w nim roiło od niezwykłych przedmiotów i pachniało stęchlizną jak w antykwariacie. W kącie na tylnych nogach stał złoty słoń. Na ścianie nad nim wisiały obrazy przedstawiające odległe górskie szczyty i pustynię płonąca odcieniami czerwieni i oranżu zachodzącego słońca. Mały stoliczek ugiął się od ozdobnych pudełek mających różne kształty i wielkości, wykładanych muszelkami albo kolorowym jedwabiem – zielonkawoniebieskim, szmaragdowym, wiśniowym.

– Zajrzyj do któregoś – powiedziała Prim, gdy zobaczyła, jak pozeram oczami wszystko wokół.

Wybrałam szmaragdowe pudełeczko ze złotym sznurkiem. Było zamknięte na miniaturową zasuwkę, a wewnątrz na czarnym aksamicie leżał srebrny dziecięcy pierścionek z wizerunkiem świętego Krzysztofa.

– Należał do pani? – zapytałam nieśmiało.

– Tak – zaśmiała się Prim. – Dostałam go jako dziecko. Pochodzi z Indii, gdzie się wychowałam. Indie zawsze były moim ulubionym miejscem na Ziemi. Te kolory, hałas, energia, ludzie. – Wskazała na wiszący za jej plecami obraz pięknej białej świątyni. – Mieszkaliśmy nieopodal tego majestatycznego gmachu, Tadž Mahal. To mauzoleum zbudowane przez cesarza dla jego żony, która zmarła w połogu. Podobno przychodził tam codziennie, by ją opłakiwać.

– Wyobraża sobie pani, jak to jest, kochać kogoś tak mocno, żeby kazać wznieść taki wspaniały budynek?

– Cóż – odparła. – To pewnie zależy od tego, jak bardzo ten ktoś jest bogaty i potężny. Większości ludzi nie byłoby na to stać. Co nie znaczy, że kochają mniej. Swoją żal można wyrazić na różne sposoby, także prościej. Czyż piękno i siła pieśni żałobnej nie są równie wielkie jak takiego pałacu?

Skinęłam głową i zjrzałam do salonu, który aż jarzył się od rozmaitych lśniących antyków.

– Wszystkie te rzeczy pochodzą z Indii?

– O, bynajmniej. Zjeździłam całą Azję. To zdumiewający świat, w którym ludzie żyją w najprzeróżniejszy sposób.

Wprowadziła mnie do salonu, żebym mogła się przyjrzeć. W każdym kącie błyszczało złoto: złote urny, złote posążki, złote jedwabne zasłony w oknach, złote miniaturki wielkości mojego kciuka: słonia, starej kobiety i sokoła.

– Inne kultury są dosyć dziwne, nie sądzi pani? – odezwałam się.

– Nie, wprost przeciwnie. Kontakt z innymi kulturami często nasuwa mi myśl, że to my jesteśmy dziwni. – Zachichotała do siebie, po czym ruszyła do kuchni. – Zaparzmy herbatę.

W oczekiwaniu aż woda się zagotuje, rozglądałam się wokół. Na parapecie stały w rzędzie stare ozdobne dzbanki, a na przeciwległej ścianie wisiały pęki suszonych ziół, pachnące rozmarynem, tymiankiem i lawendą. Z kąta przyglądała nam się mewa, sięgająca mi do pasa.

– Ach, to Ernest, zrobiony z papier mâché – wyjaśniła Prim. – Był jednym z rekwizytów w przedstawieniu, które wieki temu wystawialiśmy w Londynie. Rano zawsze zastaję go tutaj z miną głodomora.

Roześmiałam się i poklepałam go po głowie.

Kiedy jednak zobaczyłam stojące dookoła zlewu flaszeczki z różnymi płynami, proszkami i miksturami, stanęłam jak wryta. Czy Prim jest wiedźmą?

Zauważyła moje zdziwienie i się uśmiechnęła.

– To moje lekarstwa – powiedziała. – Swego czasu byłam bardzo chora, a teraz potrzebuję ich, żeby znów się nie rozchorować.

Cofnęłam się, nie spuszczać z niej wzroku. Wyglądała całkiem normalnie – to znaczy normalnie, choć z lekka wiedźmowato.

– To nie jest nic zaraźliwego, prawda?

– Nie, zaraziłam się tym od paskudnego moskita w Indiach, ale tutaj nie mamy moskitów. – Przetawiała buteleczki, po czym naląła nam herbaty. – Ta choroba nazywa się malaria.

– Bardzo było z panią źle?

– Mało brakowało, a byłoby po mnie. Miałam mniej więcej tyle samo lat co twoja siostra teraz, i przed sobą całe życie pełne muzyki, śmiechu i miłości. Planowałam poślubić pewnego chłopca. – Uśmiechnęła się do odległego wspomnienia. – Był przepięknym stworzeniem, zbierał motyle i był nadzwyczaj zdolny.

– Czemu pani za niego nie wyszła?

– Umarł – odpowiedziała po prostu. – Zaraził się malarią w tym samym czasie co ja, ale nie przeżył. Jako dzieci byliśmy sąsiadami, dorastaliśmy razem,

a potem zakochaliśmy się w sobie. I w tym samym czasie zachorowaliśmy. Tylko mi udało się wyzdrowieć. Wysłałam z tego.

– Ale ze złamanym sercem!

– Otóż to, i od tego czasu miałam poczucie, że moim przeznaczeniem jest żyć za dwoje, za siebie i za mojego zbieracza motyli. Sama, lecz naprawdę.

– Sięgnęła po malowaną w kwiaty porcelanową cukiernicę i dzbanuszek z mlekiem. – Nauczyło mnie to, że trzeba żyć własnym życiem. Nie pozwól, by ktokolwiek cię od tego powstrzymał.

– Ja chcę być śpiewaczką, ale papa powtarza, że nie mogę – wyrwało mi się.

– Chce, żebym dobrze wyszła za mąż i była przykładną żoną. Za to mama mówi, żebym porządnie się zastanowiła przed wyborem męża, bo inaczej całe życie będę nieszczęśliwa.

– Musisz znaleźć własną drogę – rzekła Prim, prowadząc mnie do pokoju w głębi. – Zdecyduj, co chcesz robić, a potem dąż do tego, by to osiągnąć.

Pomieszczenie było pełne instrumentów muzycznych. Stały tam wielka harfa, pianino, klawesyn, klarnet na stojaku i stolik, na którym leżało srebrne pikolo, jakby przed chwilą grał na nim jakiś elf i dopiero co wyfrunął z pokoju.

Prim postawiła tacę na okrągłym stoliczku i przysunęła sobie stółek do pianina, a mi wskazała krzesło przy klawesynie.

– Czy to dlatego nigdy nie wyszła pani za mąż? Wciąż pani kocha tego zbieracza motyli?

– Nie wiem. – Uśmiechnęła się, nalewając nam herbatę. – Niekiedy robimy coś, choć do końca tego nie rozumiemy. Nie powinnaś starać się dowiedzieć wszystkiego, Kitty. Wiele spraw wymyka się naszemu pojmowaniu. – Odstawiła imbryk na tacę. – A teraz, zanim zaczniemy, chciałabym, żebyś zaśpiewała mi jedną nutę najczyściej, jak potrafisz.

Zaśpiewałam długie, wysokie „laaaa”.

– Pięknie – powiedziała Prim, podając mi filiżankę i spodeczek. – Czy zanim zaśpiewałaś, długo nad tym myślałaś?

– Nie – odparłam i upiłam łyk gorącej herbaty.

– Niekiedy magia życia przekracza to, co można objąć myślą. Chodzi o iskierkę intuicji, o wniesienie w muzykę osobistej energii.

– Ale czy nie należy przejmować się tym, czy śpiewam właściwe słowa do właściwych nut?

– Najważniejszym elementem śpiewania jest uczucie. – Pochyliła się w moją stronę. – Pamiętaj o tym, Kitty. Wierzę w ciebie.

Tego popołudnia zaśpiewaliśmy *Ave verum corpus* Mozarta, mojego ulubionego kompozytora. Śpiewałam lepiej i mocniej niż kiedykolwiek przedtem.

– Z Mozartem wiąże się pewna tragiczna opowieść – odezwała się Prim. – Skomponował *Requiem*, jeden z najsmutniejszych utworów żałobnych w historii,

kiedy sam umierał. Podobno powiedział żonie: „Boję się, że piszę rekwiem sam dla siebie”. W przeddzień swojego odejścia śpiewał je razem z kilkoma przyjaciółmi, i podczas najbardziej przejmującego fragmentu, *Lacrimosa*, upuścił nuty i zaczął płakać nad własną śmiercią. Zmarł wczesnym rankiem. Wyobrażasz sobie komponować muzykę na własny pogrzeb?

Wzdrygnęłam się.

– To straszne. Myśli pani, że to przez to umarł?

– Być może w głębi duszy wiedział, że umiera, i przelał ten strach w muzykę. – Prim przeniosła wzrok z powrotem na *Ave verum corpus*. – Spróbuj zaśpiewać jeszcze raz, tak jak przedtem, tylko tym razem pomyśl o Mozarcie piszącym o własnej śmierci. Włóż w to serce.

Zaczęła grać wstęp, a ja poczułam, jak mój głos wydobywa się z samego środka mnie, i zorientowałam się, że myślę o strachu, jaki człowiek musi czuć przed śmiercią.

Kiedy skończyłam, ogarnęło mnie dziwne uniesienie, jakbym była piórkiem śnieżnobiałej gołębicy, które lekki wietrzyk porywa wysoko, wysoko. A potem, w drodze do domu, wciągnęłam głęboko w płuca rześkie wiosenne powietrze i nagle wypełniła mnie nieopisana radość z tego, że żyję.

LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY

Church Row 3,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Piątek, 19 kwietnia 1940 r.

Kochana Claro!

Gruby plik szeleszczących banknotów stufuntowych spoczywa teraz w skrytce pod moją podłogą. Zapakowałam je do starej koperty, starannie owinęłam sznurkiem i zawiązałam na dwa supły. Za niecały miesiąc sprawa będzie załatwiona, pieniędzy dwa razy tyle, a ty i ja będziemy mogły rozpocząć nowe życie w Birnham Wood.

Wczoraj spotkałam się z brygadierem, który miał mi je przekazać – z całej siły ścisnął forszę w tych swoich żyłastych palcach, stary krwiopijca. Określenie, że nie miał ochoty mi jej wręczyć, byłoby zdecydowanie zbyt łagodne. W końcu jednak udało mi się wyszarpnąć paczuszkę i uciec, tuląc ją do piersi.

Łatwiejszą część mam za sobą.

Teraz muszę dostarczyć im chłopca.

Widzisz, jak na złość pani Dawkins, żona rolnika, urodziła w zeszły piątek. Miałam ochotę wepchnąć z powrotem tę cherlawą główkę, ale potem zobaczyłam, że to dziewczynka, więc i tak na nic by się to nie zdało.

Teraz cała moja nadzieja w tym wzorze wszelkich cnót, Hattie. Termin ma tydzień po pani Winthrop, więc przynajmniej nie powinno być kłopotu z przedwczesnym porodem. Kłopot w tym, że ta cała Tilling wciąż kręci się przy niej jak jakaś cholerna dobra wróżka. Doszło do tego, że obiecała być położną przy narodzinach jej dziecka, chociaż próbowałam przekonać Hattie, że to nie jest dobry pomysł. No bo kto wolałby wziąć nieszczęsną panią Tilling zamiast profesjonalistki z doświadczeniem i wszelkim niezbędnym sprzętem, takiej jak ja? Ale Hattie się przy tym uparła, jochzała, że teraz nie ma nikogo bliższego niż pani Tilling, aż się niedobrze robiło. Niech ją licho porwie!

Nie miałam wyboru, stwierdziłam, że muszę zaprzyjaźnić się z tą beznadziejną Tilling. Musiałam wybić jej to z głowy albo dowiedzieć się, kiedy nie będzie jej na miejscu. Gdyby wszystko inne zawiodło, mogłabym po prostu coś jej zrobić, zepchnąć z jakichś schodów czy wpaść na nią, jadąc na rowerze. Ale

szczerze mówiąc, nie miałam ochoty na nic w tym guście. W końcu granica między złamaną ręką a pozbawieniem życia jest niebezpiecznie cienka.

Na początek postanowiłam wstąpić do nowego chóru, żeby trochę się jej podlizać. Nie mogłam uwierzyć własnemu szczęściu, kiedy zobaczyłam wolne miejsce obok niej.

– Panna Paltry, co za niespodzianka! – odezwała się tym swoim przemądrzałym tonem. – Nieczęsto widzimy panią w kościele.

– Jestem tu co niedziela. – Uśmiechnęłam się serdecznie, chociaż założyłam się, że ta kobieta za każdym razem patrzy, kto nie przyszedł.

Założenie chóru żeńskiego okazało się wielką aferą – koń by się uśmieiał! To oczywiste, że kobiety potrafią śpiewać bez mężczyzn. Ja robię to co tydzień podczas kąpeli.

Potem odśpiewaliśmy jakieś ponure pieśni, a kiedy próba się skończyła, uznałam, że moment jest właściwy.

– Uważam za swój obowiązek zdjęcie z pani barków ciężaru opieki nad Hattie podczas porodu – zaczęłam. – W końcu mieszkam tuż obok niej, a pani jest ostatnio taka szalenie zajęta. W domu mam wszelki niezbędny sprzęt i leki, gdyby nie daj Boże coś się stało. Mam nawet respirator – skłamałam.

– Co takiego? We własnym domu? – pani Tilling spojrzała na mnie z niedowierzaniem. – Wypożyczyła go pani ze szpitala?

– Otóż to – odparłam błyskawicznie z nadzieją, że nie będzie tego sprawdzać. – Zdziwiłaby się pani, jak często muszę pomagać noworodkom w oddychaniu. Pierwsze ciążę potrafią być problematyczne, wie pani.

– Ale pani także jest zajęta, a Hattie już zdecydowała, że chce, żebym to ja towarzyszyła jej przy porodzie.

– Zajęta czy nie, obowiązek przede wszystkim! – wypaliłam. – W głębi duszy czuję, że spoczywa na mnie odpowiedzialność. – Przyłożyłam rękę do serca z patriotyczną miną. – Gdyby cokolwiek się stało, sumienie nie dałoby mi spokoju do końca moich dni. – W tym momencie usiłowałam uronić kilka łez, ale bez powodzenia, co zrobić.

– Ach tak – bąknęła pani Tilling, odsuwając się ode mnie z wyrazem niesmaku na twarzy. Wyczułam, że coś jej nie pasuje. Chyba przesadziłam z grą aktorską. Toteż szybko zmieniłam taktykę.

– Ale pani tyle robi dla naszej małej społeczności, przecież OSK zawsze wszystkim pomaga – nie wspominając już o tym, ile ma pani obowiązków jako pielęgniarka.

– Owszem, OSK to wspierała organizacja. Powinna się pani do nas przyłączyć. Za dwa tygodnie w Litchfield jest spotkanie, będziemy się zajmować dystrybucją paczek z Ameryki. Może się pani wybierze i zobaczy na własne oczy, jak to działa.

Uśmiechnęłam się radośnie, bo właśnie na coś takiego liczyłam! Data, kiedy tej nieznośnej Tilling nie będzie we wsi. W dodatku trudno byłoby o lepszy moment – dzień przed terminem porodu pani Winthrop i tydzień przed terminem Hattie.

– Czy zajmie to cały dzień?

– Tak, cały piątek trzeciego maja.

Sprawiła wrażenie lekko skonsternowanej moim entuzjazmem. Przestałam się więc uśmiechać i odpowiedziałam z powątpiewaniem:

– Będę musiała zerknąć do kalendarza, ale postaram się wybrać.

Na szczęście Kitty dopadła panią Tilling i zasypała ją niedorzecznymi zachwykami nad nowym chórem, więc chwyciłam swoją torbę i pognałam do domu, żeby nie wybuchnąć radością przy wszystkich.

Co za łut szczęścia! Teraz wystarczy, że się upewnię, czy tamta wybrała się na spotkanie OSK, i dopracuję swój plan porodów.

Widzisz, Claro, zrobiła się ze mnie prawdziwa profesjonalistka. Mój wywar z ziół sprowadza dzieci na świat w imponującym tempie. Otóż napojenie nim pani Winthrop, bojaźliwej, uległej kobiecinki, nie będzie problemem. To jej czwarte dziecko, więc spodziewam się, że szast-prast i będzie po wszystkim. Oznajmię, że to chłopiec, a potem okłamię ją, że noworodek ma kłopoty z oddychaniem i że muszę natychmiast zabrać go do siebie do domu, gdzie trzymam respirator. (Skąd mieliby wiedzieć, że go tam nie ma?).

Z Hattie natomiast sprawa może być trudniejsza. Nie tylko namówienie jej do wypicia mieszanki będzie drogą przez mękę, bo ona zawsze chce mieć pewność, że robi wszystko, jak należy, ale też, zanim dziecko przyjdzie na świat, minie ze cztery czy pięć godzin, bo to pierworódka. W międzyczasie będę potrzebowała kogoś, kto popilnuje dziecka Winthropów.

Dlatego postanowiłam wciągnąć do współpracy pokojówkę Winthropów, Elsie. Wszystko będzie wyglądać przyzwoicie, jeśli dziewczyna pójdzie ze mną, kiedy zabiorę noworodka, a w dodatku rzuci na niego okiem, kiedy będę zajęta Hattie. Wczoraj spotkałam ją w sklepie i zaprosiłam do siebie na herbatę. Wspomniałam, że mogę potrzebować jej pomocy podczas odbierania porodu.

– Znaczą się chce pani, żeby mi pomogła przy porodzie pani Winthrop, a potem poszła z panią do domu, gdyby stało się coś niedobrego i trzeba było zabrać tam malucha?

Zmrużyła oczy z wyrazem niesmaku, podejrzewając, że to jakaś brudna sprawa. Ale nie zadawała żadnych pytań. W końcu tak ją wychowali – buzia na kłódkę, bierz pieniądze i w nogi.

– Otóż to, kochanie – odparłam, częstując ją kolejnym ciasteczkiem. – Po prostu potrzebowałabym kogoś, kto przez chwilę przypilnowałby dziecka.

Wzięła dwa ciastka, a ja widziałam, jak jej główka pracuje; śliczną twarz

miała czujną jak u sarenki, która nasłuchuje niebezpieczeństwa.

– Mogłabym to zrobić – odezwała się w końcu. – Tylko ile dostanę?

– Dałabym ci za fatygę dziesięć szylingów, pod warunkiem że się nie wygadasz.

– Dziesięć szylingów? – powtórzyła. – Chyba raczej dziesięć funciaków.

– W takim razie pięć funtów – ucięłam. Co za dziewczysko!

– No dobrze – odparła, wstając od stołu. – Z chęcią odegram się na tym wstrętnym dziwkarzu, a przynajmniej na jego rodzinie.

– Elsie, jesteś warta tysiąca takich jak on – powiedziałam, odprowadzając ją do drzwi. – Musisz sobie znaleźć prawdziwego dżentelmena.

– Może i tak zrobię. – Wyrzała na zewnątrz i podniosła wzrok na gęste szare chmury. – Niech pani tylko poczeka, znajdę sobie takiego, któremu tamten drań mógłby co najwyżej buty czyścić.

I wybiegła z domu; jej smukła sylwetka mignęła mi wdzięcznie wśród kropelek deszczu, a ja ochoczo wróciłam do układania mojego planu.

Siostrzyczko, to naprawdę się uda! Mogłabyś już przestać zadrećzać mnie swoimi wątpliwościami. Nie mam czasu na zastanawianie się, czy robię dobrze, czy źle, a zresztą kogo to obchodzi? Jak mogę przejmować się, czy to aby moralne, skoro mamy szansę znaleźć się znów tam, gdzie nasze miejsce, bezpieczne i wolne? Dam ci znać, kiedy będzie już po wszystkim. I pamiętaj, nikomu ani słowa.

Edwina

PAMIĘTNIK SILVIE

Sobota, 20 kwietnia 1940 r.

Kitty powiedziała, żebym pisała pamiętnik. To poprawi mój angielski. Mam pisać o naszym domu. Jest duży i wspaniały. Pani Winthrop jest cicha. Niania Godwin jest stara. Kitty jest miła, ale lubi się rządzić. Venetia jest moją przyjaciółką. Brygadier Winthrop jest zawsze zły. Mamy niemiłą pokojówkę i dziwnego kamerdynera, który ma garb. Niedługo urodzi się dziecko. Mam nadzieję, że dalej będą mnie tu chcieli.

Mamy nowy chór, a ja jestem sopranem. Dobrze jest śpiewać. Kitty pomaga mi ze słowami. Konie też lubię. Najbardziej Amadeusza. W zeszłym tygodniu spadłam z niego nad potokiem. Pan Slater pomógł mi dojść do domu. To pan, który podoba się Venetii. Mówił trochę po czesku. To było okropne. Mój angielski jest znacznie lepszy.

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Wtorek, 23 kwietnia 1940 r.

Pożegnalne przyjęcie Davida Tillinga

Dziś pani Tilling wyprawiała dla swojego syna przyjęcie. David wrócił ze szkolenia i jutro rusza na front do Francji.

Jednak ja byłam znacznie bardziej zaabsorbowana Henrym, który przyjechał na czterdziestoosmiogodzinną przepustkę ze swojego aerodromu. Należy korzystać z takich krótkich chwil, kiedy ma się w perspektywie wieczne szczęście. Popołudnie spędziłam, pracując nad udoskonaleniem swojej aparycji. Sunąc na paluszkach w liliowej szyfonowej sukience Venetii, nie miałam wątpliwości, że będę w centrum uwagi. Ludzie będą mówić: „Czy to Kitty? Kto by się spodziewał, że jest taką pięknoscią” i „Doprawdy uroda Venetii przy niej blednie”. A Henry będzie spoglądał na mnie z oddali, nie mogąc oderwać ode mnie wzroku. Potem, kiedy zabrzmi muzyka, weźmie mnie w ramiona i wyrazi bezgraniczną głębię swej miłości.

Może nie potoczy się to dokładnie w ten sposób. Niewykluczone, że wcale nie będzie tańców. Ja jednak miałam mocne postanowienie, że ten wieczór przypieczętuje naszą wspólną przyszłość.

– Ta sukienka jest za duża – mruknęła Silvie, kiedy zapytałam ją, jak wyglądam.

Już wcześniej zdążyłam dyskretnie uzupełnić niedostatki w staniku, ale teraz uznałam, że po jednej pończosze więcej na pewno nie zaszkodzi.

– Tak lepiej – stwierdziłam, obciągając przed lustrem sukienkę. – Chyba nie będzie w stanie mi się oprzeć, jak sądzisz?

Silvie westchnęła.

– Myślę, że podoba mu się Venetia.

Roześmiałam się. Silvie zdecydowanie zaczyna wychodzić ze swojej skorupy, ale pojęcia nie mam, skąd biorą się niektóre jej pomysły. Znacznie bardziej interesuje mnie jej sekret. Cały czas ją męczę, żeby mi o nim powiedziała, ale ona wtedy milknie i zmyka.

Venetii zależało, żeby mieć wielkie wejście, więc nie wyruszyła razem z nami, tylko została dłużej w domu razem z papą, który miał mnóstwo pracy. W Norwegii idzie fatalnie, mówi papa. Hitlerowcy robią z nami, co chcą, i wygląda

na to, że będziemy musieli szybko się stamtąd wycofać. Wszyscy się boją, że w następnej kolejności zaatakują Belgię i Francję, chociaż podobno tam mamy wszystko pod kontrolą, więc powinno być dobrze.

Zanurzyliśmy się więc w chłodne wieczorne powietrze tylko we trójkę, mama, Silvie i ja. Świeciłyśmy wkoło latarkami, bo trochę strasznie jest iść drogą obok lasu. Właśnie mówiłyśmy, że nie wiadomo, kto może się tam czaić, kiedy paprocie zaszeleściły i wyłonił się nikt inny, tylko Progett. Otrząsnął się, życzył nam dobrego wieczoru i ruszył w stronę domu. Bardzo dziwne.

Brnęłyśmy dalej. Ponieważ mama lada dzień ma rodzić, pomagałyśmy jej iść, trzymając ją pod ramię, Silvie z jednej, a ja z drugiej strony. Było to całkiem zabawne.

Niebo pokrywały zmarszczki zapadającego zmroku, poza rozlegającym się od czasu do czasu hukaniem sowy płomykówki panowała całkowita cisza, jakbyśmy wkraczały do zaczarowanej krainy. W powietrzu unosiły się drobinki pyłku, a słodki zapach czeremchy przynosił mnie do wspomnień zeszłego lata, zanim wybuchła ta koszmarna wojna i wszystko było dobrze.

Dom Tillingów, Ivy House, to jedno z moich ulubionych miejsc we wsi. Nie jest tak imponujący jak Chilbury Manor ani tak ozdobny jak Brampton Hall, ale ma w sobie jakiś błogi spokój. Tak jakby jego bajkowy ogród, malutkie pączki róży pnącej się po pagodach, karmnik i miseczkę z wodą dla ptaków znaczył ślad troskliwości gospodyni (bo pani Tilling kocha wszystko, co żyje). Ma teraz sześć kur znoszących jajka i zagonek z warzywami, dzięki którym łatwiej przetrwać wojnę. Kiedyś w Ivy House mieścił się gabinet weterynaryjny, zanim dziesięć lat temu zmarł doktor Tilling. Do tej pory dom spowija atmosfera pewnej celowości, jakby nadal w głębi duszy pozostawał przystanią dla zbłąkanych albo skrzywdzonych stworzeń.

Kiedy otwarłyśmy drzwi frontowe, do ogrodu wysypała się wesoła cizba, a my pospiesznie wśliznęłyśmy się do środka, żeby uniknąć kary za naruszenie zaciemnienia. (Pani B. daje je niczym surowa nauczycielka – jeśli odrobina światła jest widoczna, choćby przez mgnienie oka, nasza gorliwa funkcjonariuszka wciska człowiekowi do ręki mandat i woła: „Chyba nie chcemy, żeby zobaczyły nas szkopy, mam rację?”).

Wewnątrz domu panowała atmosfera beztroski, świece migotały, a muzyka grała żwawo, co jakoś nie pasowało do tej okropnej obawy, że David może już nie wrócić. Ściany zdobiły czerwone, białe i niebieskie chorągiewki, pożyczone pewnie od pani B. po hucznej fecie, jaką urządziła na cześć Henry’ego. Salon był pełen gawędzących z ożywieniem mieszkańców wsi; każdy ścisnął w ręce kieliszek z racjonowanym sherry.

Wielkie wejście Venetii odbyło się niedługo po tym, jak dotarłyśmy na miejsce. Moja siostra skupiła na sobie uwagę wszystkich obecnych, wołając

głośno: „Mam nadzieję, że się nie spóźniłam!”. Wyróżniała się spośród całej reszty; miała na sobie mieniącą się złoto-zieloną suknię, w której obracała się w taki sposób, żeby światło odbijało się w cekinach. Ruszyła przez salon, kuszaco kołysząc biodrami. W jednej chwili otoczył ją tłum mężczyzn, głównie przyjaciół Davida, wybierających się na front. Każdemu z nich poświęciła odrobinę uwagi. Kokietowała, wydymając usteczka i szepcząc im do uszu jakieś sekrety. Zastanawiałam się, czy byłabym w stanie zręcznie podstawić jej nogę.

Niebawem pani Tilling poprosiła o ciszę – wszyscy w salonie zaczęli uciszać się nawzajem – i poszła po syna do pokoju. Na jego widok rozległy się wiwaty: David był w pełnym rynsztunku, miał na sobie starannie odprasowany mundur i wyglądał okropnie dorośle. Jednak patrząc na niego, uświadomiłam sobie z mieszaniną ulgi i niepokoju, że on wciąż jest tym samym Davidem. Ulga wynikała ze świadomości, że mundur nie zmienia człowieka, a niepokój z faktu, że przecież ten łamaga jedzie na front. Był cały czas tym samym postrzelonym dziewięciolatkiem, który nie potrafił zejść z czereśni na środku zieleńca, tym samym dwunastoletnim chudzielcem, któremu dałam fangę w nos, bo ciągnął mnie za warkocze, tym samym czternastoletnim idiotą, który wjechał traktorem Dawkinsów w Bogu ducha winny żywoplot. Jego kolor to żółty, ale nie oznacza to tchórzostwa, tylko rodzaj ślepoty na rzeczywistość. Nie mogłam nic poradzić na to, że się o niego martwię. Nawet w tym momencie jego spojrzenie, pełne zapału i oszołomienia, obrazowało sposób, w jaki David odnosi się do każdego wyzwania z niewyczerpaną naiwnością, jak lisek, który w podskokach wybiega przed sforę psów, nie myśląc o tym, jak to się może dla niego skończyć.

– O rety! – wykrzyknął, wchodząc do rozjarzonego salonu. – Mamo, naprawdę nie trzeba było. – Objął panią Tilling ramieniem w ten swój niezgrabnie serdeczny sposób. – Dziękuję wszystkim za przybycie! – Podszedł do nas. – Pani B., jak miło panią widzieć; obawiałem się, że będzie pani zbyt zajęta nacieraniem komuś uszu. Przekonała już pani pana Churchilla, żeby przyjechał wygłosić mowę do chilburyjskiej OSK? Na pewno nie wie, że właśnie tu ma swój najgorliwszy fanklub!

Wszyscy się roześmiali, a ktoś zawołał:

– Bez obaw, wkrótce się dowie!

Następnie David zwrócił się do Venetii i pocałował ją w rękę.

– A oto i piękna Venetia. To ostatnie spojrzenie na ciebie rozjaśni moją podróż. – Nie odrywając od niej oczu, uśmiechnął się poządliwie.

Venetia zgrywała skromnisię; podniosła na niego wzrok, trzepocząc rzęsami i wydymając umalowane wargi.

– Davidzie, wrócisz jako mój bohater – powiedziała łamiącym się głosem.

Miałam ochotę się roześmiać, ale potem zobaczyłam chmurną minę pani Tilling, która stała po drugiej stronie salonu. Wszyscy wiemy, że Venetia wcale nie

dba o Davida. Nie mam pojęcia, dlaczego wciąż bawi się z nim w te głupie gierki.

Pani Tilling poprosiła mnie, żebym poczęstowała zgromadzonych dosyć twardymi paluszkami serowymi (przez to, że wszystko jest teraz na kartki, nigdy tak naprawdę nie wiadomo, co ludzie dodają do jedzenia). Krążyłam więc po sali, zerkając na Henry'ego, który rozmawiał z ciężarną Hattie. Wyglądał powalająco przystojnie z krótko przystrzyżonymi rudoblond włosami i w swoim nieskazitelnym mundurze RAF-u. Niedawno zapuścił wąsy, które są szalenie sztywne, jak u wszystkich najlepszych pilotów myśliwców. Myślę, że dzięki temu jego nos mniej przypomina dziób. Henry także dziś wygląda na starszego, ma zresztą już dziewiętnaście lat – prawdziwy mężczyzna, który będzie umiał się o mnie zatroszczyć. Sprawiał wrażenie, jakby nie zauważył, że się mu przyglądam, dopóki Hattie nie dała mi znaku, żebym się do nich przyłączyła.

– Kitty, co za przesłiczna sukienka – odezwała się, biorąc w palce materiał.
– Nie uważasz, Henry?

– W rzeczy samej. Wyglądasz uroczo, Kitty – powiedział z szerokim uśmiechem, a ja zatonęłam w jego oczach. Po chwili dodał: – Niebawem pójdziesz w ślady siostry i staniesz się prawdziwą pięknoscią.

Jego spojrzenie pomknęło ku Venetii, która rozprawiała o czymś przy pianinie, otoczona wianuszkami panów. Dlaczego ona musi skupiać na sobie uwagę każdego mężczyzny w pomieszczeniu, skoro żaden z nich jej tak naprawdę nie interesuje, nawet Henry'ego?

– Nie chcę być do niej podobna – rzuciłam ze złością tak, że znów spojrzął na mnie. – Chcę być pięknoscią jedyną w swoim rodzaju.

Usłyszałam, jak Hattie cichutko wzdycha, nie mam pojęcia czemu.

– Oczywiście, że jesteś jedyna w swoim rodzaju, Kitty! – zawołał wesoło Henry, kładąc mi rękę na ramieniu i posyłając szczególny uśmiech. Poczułam falę gorąca w miejscu, gdzie mnie dotknął, jakby moje ciało nagle objął płomień. Czekałam, aż weźmie mnie w ramiona...

Lecz nagle spostrzegłam, że jego uwaga przenosi się gdzie indziej – zbliżała się do nas Venetia. Jej sukienka trzepotała, podczas gdy ona zwracała się raz ku jednemu mężczyźnie, raz ku innemu, niczym olśniewająca ważka, fruwająca w poszukiwaniu ofiary. Jej blond włosy zwisały nisko nad alabastrowymi ramionami, a z miękkiej białej szyi emanowała przenikliwa woń perfum. Dłoń Henry'ego oderwała się od mojego ramienia, a mnie ogarnął chłód i poczucie zagubienia. Kiedy podniosłam na niego wzrok, jego twarz była już zwrócona w jej stronę.

– Henry kochanie, usiądź przy mnie i opowiedz mi o swoich nalotach – zawołała melodyjnie, ujmując jego podbródek w czubki palców i łagodnie kierując jego usta w stronę swoich starannie umalowanych warg. – Słyszałam, że walczysz nad Norwegią.

– Sądziłem, że jesteś zajęta innymi panami – odpowiedział cicho.

– Oni nic dla mnie nie znaczą – rzuciła, wydymając usta. A potem przechyliła głowę na bok tak, że jej gęste blond włosy utworzyły zasłonę, oddzielając ją od reszty pokoju, i szepnęła mu coś do ucha, podczas gdy jej długie czerwone paznokcie muskały drugą stronę jego szyi.

W odpowiedzi wyszeptał coś do niej; jego dłoń odgarnęła jej włosy, a jego wargi znalazły się tuż przy jej uchu.

Jakiś mężczyzna zawołał Venetię z drugiego końca salonu i moja siostra odsunęła się od Henry'ego.

– Będę musiała to przemyśleć – powiedziała z niebezpiecznym błyskiem w oku, obróciła się na pięcie i zniknęła w tłumie. Henry ruszył za nią, wołając:

– Venetio!

A ja? Ja zostałam opuszczona, sama pośrodku sali, w milczeniu trzymając w dłoni talerz z paluszkami serowymi. Jak ona mogła mi to zrobić? I czemu on za nią poszedł? Czy nie widzi, że ona go wykorzystuje, że za plecami nazywa go nudziarzem i mówi, że jego nos wygląda jak gigantyczna brodawka? Czy nie wie, że ona ma za nic wszystkich poza sobą samą, że otacza się mężczyznami tylko po to, żeby pokazać, iż nikt nie może się z nią równać? Najgorsze jednak jest to, że mimo że wie, jak bardzo go kocham, znajduje przyjemność w trzymaniu go z dala ode mnie. Kolejny sposób, by udowodnić, że wszystko się jej należy. Pyszni się przed nami, jakby była jakąś niegodziwą królową. To niesprawiedliwe.

Prześlizgnęła się przez ciżbę do pana Slatera, który wyglądał jak zawsze nieskazitelnie, ciemne włosy miał gładko zaczesane, otaczała go aura nonszalanckiej męskości. David i jego koledzy sprawiali przy nim wrażenie głupkowatych sztubaków. Venetia na wszelkie sposoby próbuje zwrócić na siebie jego uwagę, ale on wydaje się nieczuły na jej wdzięki – coś takiego spotyka ją chyba pierwszy raz w życiu. Musi bardziej się postarać albo przegra zakład z Angellą. A Venetia zawsze musi wygrywać. Mówi o sobie, że jest cesarzową tej miejscowości i jest gotowa na wszystko, żeby nią pozostać.

Podeszłam do papy, który w końcu opuścił swój gabinet i teraz patrzył na Venetię gniewnym wzrokiem. Stał obok pani B., której nie zamykały się usta. Papa chce, żeby Venetia wyszła za Henry'ego i odziedziczyła Brampton Hall, co jest zwyczajnie niedorzeczne. Po prostu nie mogę wyobrazić ich sobie razem, a jeszcze okropniejsza jest myśl, że Henry byłby moim szwagrem. Ilekroć byśmy się spotkali, napięcie byłoby nie do opisania. Nigdy jednak nie uleglibyśmy swoim skrywanym namiętnościom, powstrzymywalibyśmy je, jak przystało na tragicznych kochanków. Być może przypadkiem spotkalibyśmy się pewnego razu na werandzie. „Och, Kitty”, powiedziałałby on, zaskoczony moim widokiem. „Henry, nie przypuszczałam, że tu będziesz...”, odparłabym, spuszczać oczy, a potem przenosząc wzrok na otwarte drzwi balkonowe, w których łagodny letni wiatr

wydymałby białą firankę. „Ani ja. Muszę tylko powiedzieć...”. „Nie, Henry. Nie utrudniaj tego nam obojgu”. „Ale Kitty, najdroższa...”, i tak dalej, póki któreś z nas nie umrze.

Papa znów mruczał coś pod wąsem o panu Slaterze.

– Ten Slater to nikczemny tchórz, zaszył się tutaj tylko po to, żeby przeczekać wojnę.

– Pan Slater został zwolniony z obowiązku wojskowego ze względu na płaskostopie – powiedziała dobitnie pani B. Ma do niego słabość, bo wyobraża sobie, że jest wielkim artystą, który tylko czeka, aż ona go odkryje. Chcąc udowodnić, że jest osobą niesłychanie kulturalną, usiłuje wziąć go pod swoje skrzydła, Boże miej go w swojej opiece. Chociaż ja nie mam pojęcia, jaki z niego malarz. Nie sądzę, żeby pani B. była w stanie odróżnić arcydzieło od pracy na zaliczenie z plastyki.

– Slater to zwykły bumelant, który miga się od obowiązków. – Papa jednym haustem opróżnił kieliszek z sherry. – Tchórzliwa gnuśność, ot co. Nie ma pojęcia, że to w ogniu walki wykuwa się prawdziwa męskość.

Pomyślałam o Edmundzie, rozerwanym na kawałki na Morzu Północnym, i o biednym Davidzie, który lada moment znajdzie się pod ostrzałem we Francji, i nie mogłam powstrzymać się od myśli, że być może ma to mniej wspólnego z odwagą, a więcej ze zdrowym rozsądkiem. Wysyłanie ludzi na śmierć wydaje się kompletnie absurdalne. Zaczęłam wyobrażać sobie, jak to jest, zginąć na łodzi podwodnej; radar zaczyna pikać, ostrzegając o nadciągającej śmierci, wszyscy salutują i śpiewają hymn narodowy *God save our gracious King*. A potem – bum. Nic. Tylko morze wyrzuca na niczego nieświadome plaże obgryzione fragmenty palców i uszu.

Patrząc na pana Slatera, pomyślałam, że nie może być aż taki zły. W zeszłym tygodniu pomógł Silvii wrócić do domu, kiedy spadła z Amadeusza. Nie powinna była próbować przeskoczyć Bullsend Brook. Całe szczęście, że on tam był. Chociaż ciekawa jestem, co robił nad potokiem. To po drugiej stronie lasu – na zupełnym odludziu.

Oczy papy zwężyły się, kiedy spojrzał na Wenetię, która była zajęta panem Slaterem, wymyślaniem ciętych ripost i udawaniem znudzenia. Choć papa na pewno powie jej później do słuchu, to nie ma nad nią żadnej władzy. Ile razy każe jej zostawić Slatera w spokoju, ona po prostu wzrusza ramionami, uśmiecha się i mówi, że przecież jest „tatusiną córeczką”, a potem i tak robi swoje. Niedobrze mi od tego wszystkiego.

Henry stał w opiekuńczej pozycji tuż za Wenetią, starając się wtrącić do rozmowy. Nie musiał nawet przesadnie się wysilać, bo pan Slater sprawiał wrażenie, jakby cieszył się z jego towarzystwa; zwracał się wprost do niego i rzucał żarty, z których obaj się śmiali. Tak jakby unikał uwagi Wenetii. Henry

położył rękę na jej ramieniu, a ja zobaczyłam, jak jego spojrzenie prześlizguje się po jej twarzy, szyi, dekolcie pod mocno wyciętą suknią. Ona strząsnęła jego dłoń, on jednak nie odszedł, a ja zaczęłam się zastanawiać, czemu pozwala jej tak ze sobą pogrywać. Ale potem przypomniałam sobie, jaki jest mądry – na pewno sam prowadzi jakąś własną grę.

W tym momencie dotarło do mnie, że nie tylko ja obserwuję Venetię. David Tilling przyglądał jej się spod okna, bezwiednie oparty o ścianę, zapatrzony bez reszty. Kocha się w mojej siostrze od czasów, gdy nosił jeszcze krótkie spodenki. Nigdy nie przypuszczałam, że to coś poważnego, ale oczy miał wielkie jak spodki i patrzył na nią jak urzeczony. Venetia powinna uważać. Od czasu tego szkolenia wojskowego David zrobił się znacznie bardziej bezpośredni.

– Pora na trochę muzyki – zawołała pani Tilling. – Czy Kitty da się namówić na zaśpiewanie czegoś dla nas?

Pani Quail (jej kolor to wesoły oranż) umieściła swoje rozłożyste siedzenie na stołku przy pianinie, a pani B. chwyciła mnie za łokieć i kazała stanąć obok. Wszyscy wiedzą, że jak dorosnę, chcę być śpiewaczką, więc zawsze zwracają się najpierw do mnie. Prim uśmiechnęła się do mnie z sali, a ja poczułam, że koniecznie muszę zrobić dobre wrażenie.

– Śmiało, Kitty – wołali wszyscy, a ja muszę przyznać, że pochlebiło mi to, więc wzięłam do ręki nuty. Pani Quail podsunęła mi *Greensleeves*, tę piękną piosenkę, którą podobno napisał król Henryk VIII, chociaż idę o zakład, że poprosił kogoś o pomoc, bo nie da się jednocześnie królować i pisać ślicznej muzyki. Zwłaszcza jeśli człowiek jest zajęty ścinaniem głów żonom.

Pani Quail zagrała przygrywkę, a ja weszłam z tą cudowną melodią. Była idealna do tego, żeby olśnić wszystkich tym, jak wysoko potrafię zaśpiewać. Kiedy skończyłam, Prim skinęła mi głową, jakby chciała powiedzieć „dobra robota”, a ja poczułam, jak ogarnia mnie fala szczęścia. Moje umiejętności wreszcie zostały docenione!

Podniosłam wzrok i natrafiłam na spojrzenie Henry’ego, i nagle było tak, jakby cały świat zwolnił na ten moment, kiedy nasze oczy spotkały się ponad zatłoczoną salą. Uśmiechnął się, jego twarz zajaśniała radością i miłością, ale po chwili Venetia trąciła go, żeby szepnąć mu coś do ucha. Doprawdy, na nią zawsze można liczyć.

Podczas następnej piosenki, *I Am the Very Model of a Modern Major General*, pani Quail zaczęła specjalnie grać szybciej, próbując mnie zmylić. Było to wprost prześmieszne!

– Kitty, powinnaś występować na scenie jako komik, a nie jako śpiewaczka – zażartowała Hattie. Jej kolor to liliowy, śliczny i podnoszący na duchu, i nie wiem, jak to możliwe, że ona tak się przyjaźni z wredną Venetią i antypatyczną Angelą Quail. Może próbuje ocalić je od ostatecznej obmierzłości.

Przez tę ciężę łatwo się męczy – widziałam to po jej dużych brązowych oczach, z upływem wieczoru coraz bardziej podkrążonych – a przecież zawsze jest pełna życia, rozwesela nas swoimi żartami i uśmiechem. Musi być jej ciężko z tym, że Victor tkwi gdzieś na statku na Oceanie Atlantyckim. Wciąż nie mogę się przyzwyczać do myśli, że są małżeństwem. Przez całe lata byli przyjaciółmi, a potem, jakby ktoś nagle oświetlił ich jakimś olbrzymim reflektorem, okazało się, że zaraz wybuchnie wojna, a oni zakochali się w sobie i pobrali w ciągu tygodnia. Podobno dzieje się tak wszędzie. Oczywiście najbardziej chodzi tu o śmierć. Jakie to dziwne, że w czasie wojny miłość i śmierć są ze sobą tak ściśle związane.

Dlaczego wszyscy pobierają się w pośpiechu

Skoro jest się zakochanym, po co czekać na jutro, które nigdy nie nadejdzie? Ludzie co chwila muszą się gdzieś przemieszczać, więc jeśli chcesz być przy drugiej osobie, najlepiej ją poślubić.

Chcesz mieć dzieci, zanim będzie za późno?

Chcesz zostać zawiadomiona, kiedy zginie najbliższy człowiek?

Chcesz dostać rentę, jeżeli polegnie w boju?

Chcesz mieć kogoś najbliższego, za kogo będzie można się modlić i żyć dla niego? Bo w końcu kto nam zostanie?

Kiedy wychodziłyśmy, cmoknęłam Davida w policzek.

– Nie przejmuj się Venetią – szepnęłam, czując, że trzeba jakoś dodać mu otuchy. – Musisz o niej zapomnieć, znaleźć sobie kogoś, kto będzie dla ciebie dobry.

Zmarszczył brwi.

– Kitty, o co ci chodzi? – zapytał, patrząc na mnie z krzywym uśmiechem.

– Fakt, że ty walczysz o z góry przegraną sprawę, nie oznacza, że wszyscy inni mają podobnie.

Byłam wstrząśnięta. Dawny David – David sprzed szkolenia – nigdy by czegoś takiego nie powiedział. Nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam, co ma na myśli. Kto niby miałby być tą przegraną sprawą?

Henry wychodził, więc musiałam zapomnieć o tym wszystkim i spieszyć się, by spędzić z nim choć tę ostatnią chwilę. Był w hallu i zdejmował z wieszaka swoją kurtkę – taką specjalną dla pilotów, ze skóry na futrzanej podszewce.

– Kiedy znów cię zobaczę? – zapytałam, stając przed nim na palcach, z oczami na wysokości jego ust, miękkich i kuszących pod tymi przystrzyżonymi wąsami.

– Zobaczysz mnie, młoda damo, kiedy już pokonamy hitlerowców – odparł, ujmując mnie pod brodę. Lekko odchyliłam głowę do tyłu i zamknęłam oczy

w oczekiwaniu, aż nasze usta się spotkają...

Ale wtedy weszła mama i powiedziała, że czas na nas, tak więc zostaliśmy rozdzieleni. Na twarzy Henry'ego błąkał się uśmiech, gdy ja wciskałam ręce w rękawy płaszczyka i ruszałam z mamą i Silvie w zimną ciemność na zewnątrz. Ale kiedy odwróciłam się, żeby spojrzeć na niego po raz ostatni, on do mnie mrugnął, a moje serce eksplodowało radością, rozpoznając tę jedyną prawdę. Henry mnie kocha i wkrótce będziemy razem.

DZIENNIK PANI TILLING

Środa, 24 kwietnia 1940 r.

Dziś mój syn wyruszył na front, a ja ukryłam twarz za lichą maską, wątlým uśmiechem, który pojawia się i znika niczym rwąca się melodia w popsutym radiu. Ciągłe drzę na wspomnienie ostatniej wojny, wszystkich tych żołnierzy, którzy nigdy z niej nie wrócili, chłopca sąsiadów, który poszedł walczyć, a ledwie miesiąc później przyszedł telegram z zawiadomieniem o jego śmierci.

Podobno ta wojna to co innego, ale mnie ogarnia groza, ilekroć odważę się pomyśleć o Davidzie, który jest gdzieś tam i stara się pozostać przy zdrowych zmysłach pośród wszystkich tych okropieństw. Mówią, że mamy czołgi i bombowce, i że tym razem nie będzie żadnych okopów. Lecz kiedy zamykam oczy, słyszę tylko straszliwe krzyki cierpiących mężczyzn, miażdżonych w tym gigantycznym teatrze działań wojennych.

Widziałam ich, kiedy wracali do domu po ostatniej wojnie, kaleki, ludzie bez kończyn, ci, którzy wyszli z niej z tak poważnymi zaburzeniami, że już nigdy nie będą w stanie spać spokojnie, nawiedzani przez duchy poległych przyjaciół, dręczeni poczuciem winy, że akurat im z jakiegoś powodu pozwolono przeżyć. Oni już nigdy nie dojdą do siebie.

Tego ranka pełno było biegania po schodach w górę i w dół, i świeżych zapachów szamponu, brylantyny i czystego prania, unoszących się w powietrzu gęstym od napięcia. Siedziałam w hallu, czekając na furgonetkę, podczas gdy ocieźałe szare chmury przepływały powoli za oknem. Ralph Gibbs ze sklepu także wyjeżdżał, a pani Gibbs miała zawieźć ich obu do Litchfield swoim samochodem dostawczym.

– Tutaj jesteś – powiedział David, kiedy zszedł ze schodów po raz ostatni. Miał na sobie mundur i wyglądał bardzo schludnie i dorośle. Poprawiłam mu kołnierz, który wcale tego nie potrzebował; chciałam tylko dotknąć mojego syna, poczuć pod palcami jego siłę. Spojrzał na mnie z wyżyn swojego wzrostu i uśmiechnął się wesoło, jak to on.

– No, mamó, powinienem zmykać – dodał. – Albo zepsuję sobie opinię, jeszcze zanim zacznę służbę. – Zaśmiał się cicho, a ja zacisnęłam wargi w wymuszonym uśmiechu, żeby się nie rozplakać.

David otworzył drzwi, a zza chmur wyszło słońce i przez moment ujrzałam mokre drzewa i trawę, które lśniły bezgłośnie. Potem zaczął padać drobniutki deszcz, wypełniając powietrze migotliwą mgiełką, za sprawą której wszystko zdawało się nabierać nierzeczywistego charakteru, jakby na tę chwilę czas się

zatrzymał.

Pożegnaliśmy się przy furtce wśród tej nieuchwytniej mżawki. Mój syn obejrzał się na budynek, który przez tyle lat był jego domem, i zamknął mnie w ramionach.

Objęłam go ciasno.

– Wiesz, że nie musisz jechać – wyjąkałam, wbrew rozsądkowi błagając w duchu, żeby zmienił zdanie.

Uśmiechnął się i otarł łzę.

– Głowa do góry, mamó! Ktoś musi pokazać tym szkopom, gdzie raki zimują, dobrze mówię?

Odsunął się i ruszył w stronę furgonetki, podczas gdy ja przyglądałam się jego szerokim plecóm, rażnemu krokowi i chłónełam całą jego obecność, na którą nie będę mogła więcej patrzeć, więcej jej doświadczać. Przed oczami stanął mi obraz Davida jako małego chłopca, spóźnionego do szkoły i biegnącego w podskokach tą samą ścieżką, jak się nagle odwraca i uśmiecha do mnie szeroko, przechylony pod ciężarem tornistra.

I właśnie w tej chwili odwrócił się ku mnie z tym samym spojrzeniem, jakby świat był wspaniałą przygodą, która tylko na niego czeka, a ja poczułam, jak razem z deszczem spływają mi po twarzy łzy za wszystkimi tymi bezcennymi wspólnymi latami.

Wsiadł do furgonetki, otworzył okno, żeby mi pomachać, a potem, kiedy samochód zawarczał i ruszył z miejsca, wargi Davida dotknęły wnętrza jego dłoni i mój syn przesłał mi w powietrzu pocałunek – nie robił tego od czasu, jak był dzieckiem. Czulałam się tak, jakby u progu męskości on także wspomniął wszystkie nasze wspólne chwile, jakby ten młody żołnierz w głębi serca był nadal moim kochanym chłopczykiem, spóźnionym do szkoły.

A potem zniknął.

Weszłam do domu i zaczęłam kręcić się po kuchni. Głowa pękała mi z bólu, tak jak ostatnio często się dzieje. Wyjrzałam przez okno na padający spokojnie deszcz, na trawę, która wciąż rosła, i ptaki, które dalej śpiewały.

Ale teraz byłam sama.

Po kilku strasznych minutach wstałam, nie mogąc opanować pragnienia, by jeszcze raz wśliznąć się do jego pustego pokoiku, wciąż ciepłego od jego obecności. Przesuwając dłonią po miękkiej niebieskiej kapie, przypomniałam sobie, ile to razy wieczorem naciągałam ją na jego drobną figurkę, klękałam przy łóźku i wciągałam w płuca jego esencję, tę woń, nie do pomylenia z niczym innym, którą pachniał od maleńkości. Wszędzie bym rozpoznała ten zapach, sam miód i ciepła sól.

Tego wieczora, kiedy już przestałam płakać, uświadomiłam sobie, że będę się musiała przyzwycząić do tego uczucia. Być stale czymś zajęta, nie pozwalając

sobie na myślenie o najgorszym, nigdy nie mając pewności, gdzie on jest i czy jeszcze żyje.

David jest wszystkim, co mam. Wiem, że musi odejść z domu i spełnić swój obowiązek, chociaż z całej duszy pragnęłabym, by wyznaczono mu pracę biurową albo pozostawiono go na miejscu, żeby uzupełniał zapasy paliwa w samolotach. Mogę tylko modlić się, by Bóg nad nim czuwał. Zapewne jestem tylko jedną spośród miliona matek na całym świecie, stojących w drzwiach i patrzących, jak nasze dzieci odchodzą od nas z tornistrami na plecach, niemających pewności, czy kiedykolwiek wrócą. Naszych modlitw wystarczyłoby, żeby rozświetlić cały wszechświat; są jak tysiące gwiazd, żyjących i oddychających naszymi najskrytszymi lękami.

Musiałam wziąć się w garść, żeby pójść na dzisiejszą próbę chóru. Z jednej strony cieszyłam się, że śpiewając, będę mogła dać upust tłumionym uczuciom, z drugiej bałam, że nie wytrzymam i złamię naszą niepisaną umowę, że nie dam rady dłużej zaciskać zębów i trzymać głowy do góry.

Zjawiłam się w kościele przed czasem i zawędrowałam przed ołtarz, rozmyślając nad nieodwołalnością śmierci. W tym momencie poczułam na swoim ramieniu dotknięcie czyjejs ręki i odwróciłam się, by ujrzeć Prim, która ze zrozumieniem kiwała głową. Jakby wszystko wiedziała, jakby patrzyła prosto w moje wnętrze i widziała pustkę i lęk.

– Wszystko w porządku?

– Mam wrażenie, że samotność stała się moją towarzyszką – odpowiedziałam ze smutnym uśmiechem.

– Nie ma czegoś takiego jak koniec – rzekła Prim łagodnie. – Miłość zawsze jest przy nas. Musimy ją tylko przyjąć.

– Ale... – Nie byłam pewna, co ma na myśli. Gdzie jest ta miłość, skoro zabrakło moich najbliższych?

– Trzeba cieszyć się wspomnieniami o bliskich. Na tę chwilę nie może pani oczekiwać od nich nic więcej.

Drzwi kościoła zaskrzypiały i do środka wpadły Kitty i Silvie, przerywając nam rozmowę swoim trajkotaniem.

– Czy David dzisiaj wyjechał? – zapytała zdyszana Kitty.

– Tak – odparłam. – Dziś rano.

– Niczego nie zapomniał?

– Przypuszczam, że nie – powiedziałam sztywno. Nie chciałam o tym rozmawiać.

Rączka Silvie wsunęła się w moją dłoń, a kiedy spuściłam wzrok, zobaczyłam jej oczy, wielkie i pełne napięcia. Biedne dziecko widziało stanowczo zbyt wiele z tej wojny. Ja mogę się tylko modlić, żeby do nas nie dotarła.

Niebawem stalle pękały w szwach; wszyscy chcieli dowiedzieć się czegoś na

temat wojny od kogokolwiek, kto miał jakieś wieści. Nieliczne z nas zachowywały milczenie, słuchając rozmów jednym uchem i błędząc myślami gdzie indziej. Kobiety, których najbliżsi także byli na froncie, podeszły do mnie, żeby wyrazić współczucie, przelęknionymi spojrzeniami witając mnie w swoim znękanym świecie.

Prim zwróciła się do chóru, żebyśmy przygotowały na niedzielę *Love Divine*. Zebrawszy rękawy swojego powłóczyстого adamaszkowego płaszcza, uniosła w górę batutę, a my zanurzyłyśmy się w śpiew, grzejąc się w blasku tej cudownej pieśni. Kiedy skończyłyśmy, pani Quail podreptała do dyrygentki i zamieniła z nią kilka słów. Prim skinęła głową i dała znać pastorowej, żeby wróciła na swoje miejsce przy organach.

– Na specjalne życzenie zaśpiewamy sobie *Pan jest moim pasterzem*².

Wzięłyśmy nuty i popatrzyłyśmy na nią w oczekiwaniu, aż zacznie. Byłam pewna, że pani Quail zrobiła to dla mnie. Wiedziała, że to jedna z moich ulubionych pieśni. Poszukałam jej oczu, żeby podziękować jej spojrzeniem, a kiedy rozpoczęła się powolna, miarowa przygrywka, poczułam, jak krew szybciej krąży mi w żyłach.

Co za przepiękny dźwięk: chór zaczął śpiewać najpierw cicho i z wahaniem, a potem nasze głosy otworzyły się i popłynęły prosto z serca.

Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego.

Pozwala mi leżeć

Na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie

Nad wody, gdzie mogę odpocząć.

Pieśń wzbierała pasją i powagą, podczas gdy my wypełniałyśmy naszymi uczuciami wszystkie mroczne zakątki kościoła. Każdy zakurzony krużganek i szczelina w murach wibrowała naszymi głosami, osiągając kulminację w finalnym refrenie; unisono trzynastu wieśniaczek, wylewających w tę zimną, cichą noc nasze tęsknoty, niepokoje i najgłębsze lęki.

**LIST OD PORUCZNIKA LOTNICTWA HENRY'EGO
BRAMPTON-BOYDA DO VENETII WINTHROP**

Baza Lotnicza 9463, Daws Hill,

hrabstwo Buckinghamshire

Czwartek, 25 kwietnia 1940 r.

Najdroższa Venetio!

Odkąd rozstaliśmy się w ostatni wtorek, nie czuję prawie nic, poza szaleńczym biciem serca. To, jak wyglądałaś, jak poruszałaś się w tej sukience – chodzę jak obłąkany, jakbyś swoją elegancją i urodą rzuciła na mnie jakiś czar. Kiedy mi powiedziałaś, że zastanowisz się nad moją propozycją małżeństwa, mogłem tylko radować się przekonaniem, że pewnego dnia będziesz moja. Pozostaje mi jedynie nadzieja, że na przekór wojnie uda mi się przeżyć na tyle długo, by poznać Cię naprawdę jako moją żonę.

Do Chilbury będę mógł wrócić dopiero w lipcu, spodziewam się więc, że zanim przyjadę, Ty zdążysz rozważyć moją propozycję. Mam w końcu niejedno do zaoferowania, najdroższa. Brampton Hall będzie Twój, podobnie jak nasze znakomite nazwisko rodowe oraz moja niegasnąca namiętność i oddanie. Ostatnio pośpieszne śluby nie są niczym niezwykłym, a ja gorąco pragnąłbym pojąć Cię za żonę, gdy tylko się zgodzisz. Nowożeńcy dostają dodatkowe kilka dni urlopu. Mam pomysł na idealne miejsce, gdzie moglibyśmy spędzić miesiąc miodowy i poznać się nawzajem w rozkosznie wyczerpujący sposób. Doprawdy nie mogę się doczekać!

Z wyrazami miłości, najdroższa, pozostaję w nadziei, że choć jestem daleko, Ty wciąż jesteś moja, tak jak ja zawsze będę całkowicie i niezaprzeczalnie Twój,

Henry

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL

Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Piątek, 26 kwietnia 1940 r.

Kochana Angelo!

Tyle mam Ci do opowiedzenia! Przede wszystkim ominęło Cię spektakularne przyjęcie pożegnalne Davida Tillinga w ostatni wtorek. Cóż, może nie tyle spektakularne, ile przyjemne, jak należało się spodziewać. Wiesz, jakie bywają imprezy w Chilbury. Byli tam wszyscy, łącznie z Hattie i mamą. Każda z nich znosi swoją ciężę zupełnie inaczej – Hattie jest cała podekscytowana i radosna, mama natomiast płaczliwa i myśli tylko o tym, żeby był chłopiec i żeby papa był zadowolony.

Pan Slater uparcie nie ulega moim powabom. Zręcznie odparowuje wszelkie pytania i prowokacyjnie lekceważy wszelkie próby flirtu. Twój pomysł, by pokazać mu jakieś interesujące krajobrazy, może się okazać przydatny. Obmyślam plan, który nie może zawieść.

Henry znów poprosił mnie o rękę. Naturalnie odpowiedziałam wymijająco. Po prostu nie mam serca co pół roku sprawiać temu biedakowi zawodu. Ciekawa jestem, kiedy to wreszcie do niego dotrze? Kitty natomiast spija każde słowo z jego ust i robi sobie nadzieję, aż żal patrzeć. A on ją uprzejmię zbywa – trochę to okrutne, nie sądzisz?

Tymczasem Hattie przygotowuje dzieci w szkole na swoje odejście, kiedy pojawi się maleństwo. Jak to ona, ma ogromne wyrzuty sumienia i uważa, że urodzenie dziecka to przejaw okropnego samolubstwa.

– Hattie, nie bądź niemądra. Jesteś stworzona na matkę. Nie możesz rezygnować z siebie tylko po to, żeby uczyć kilkoro wiejskich dzieci – powtarzam jej.

Ale ona mówi tylko:

– Nie wiesz, jak bardzo one na mnie polegają, Venetio. Nie rozumiesz tego. Najwyraźniej nie.

Nowa dyrygentka podczas środowej próby oznajmiła nam coś nadzwyczajnego, i znowu połowa chóru jest oburzona. Prim jak zwykle wparowała

do środka, robiąc wokół siebie mnóstwo szumu, ale zamiast rozdać nam nuty, szybko weszła na ambonę, więc domyśliłyśmy się, że szykuje się coś specjalnego.

– Zapisalam Chilburyjski Chór Żeński do konkursu chórów w Litchfield, który odbędzie się w sobotę za trzy tygodnie.

– Na litość boską, co pani sobie myśli? – Pani B. wstała z miejsca i ruszyła w jej stronę niczym czołg. – Mowy nie ma, żebyśmy pchały się z tym nedorzecznym żeńskim chórem na jakiś konkurs. Zrobiłybyśmy z siebie pośmiewisko!

– Konkurs został zorganizowany, by wspomóc produkcję broni, i mówi się o nim jako o wydarzeniu, które ogromnie podniesie morale wśród ludności cywilnej – odrzekła Prim radośnie. – Opiszą go we wszystkich gazetach tak, że doda otuchy znękanym wojną ludziom w całej Anglii. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek mógł o nas źle pomyśleć.

– W całej Anglii? – zagrzmiała pani B. tak, że witraże w oknach zadrżały. – Nasza szacowna wieś z tradycjami trafi do gazet? – Zaczęła groźnie wymachiwać palcem przed nosem Prim. – Mamy zostać wykluczone z towarzystwa?

– Ależ proszę nie psuć nam zabawy – zwróciłam się do niej z czarującym uśmiechem. – Wszyscy uznają, że jesteśmy cudownie nowoczesne.

– Poza tym wspaniale byłoby wystąpić na prawdziwej scenie, czyż nie? – wtrąciła Kitty.

– Cóż za nedorzeczny pomysł – warknęła pani B. – Będziemy wyglądać po prostu śmiesznie. Gromadka kobiet popiskujących coś pod nosem bez wsparcia choćby jednego mężczyzny! Gdzie się podziała wasza duma?

A potem zdarzyło się coś dziwnego. Głos zabrała Hattie.

– Chce pani, żeby nic się nie zmieniało, ale trwa wojna, a my usiłujemy sobie radzić najlepiej, jak potrafimy. Nie ma żadnych zasad dotyczących śpiewania bez mężczyzn. Tak naprawdę nie ma już żadnych zasad. Bądźmy więc w awangardzie, bądźmy heroldami nowych możliwości! W końcu ten konkurs ma służyć pokrzepieniu serc – ciągnęła dalej. – Przez sam udział zrobimy co w naszej mocy, by włączyć się w wysiłek wojenny.

– Ja chętnie wystąpię! – odezwała się znad organów pani Quail.

– I ja – dodała pani Gibbs, a inny głos zawołał: – Pokażmy, na co nas stać!

– Tak, dajmy z siebie wszystko – powiedziała z namysłem pani Tilling. – To, że nie robiłyśmy czegoś nigdy wcześniej, nie oznacza, że nie powinnyśmy spróbować.

Pani B. wyduła wargi jak nadąsane dziecko, ale nie zamierzała dać za wygraną.

– Czy wszyscy w tej sali postradali zmysły?

– Nic podobnego! – Prim z dumą rozpostarła ramiona. – Co prawda zgłaszamy się dosyć późno, ale jestem pewna, że naszemu chórowi niczego nie

brakuje. Mamy kilka wspaniałych głosów – Kitty i Venetia już są pierwszorzędnymi sopranami, a pani Tilling to podpora altów. Każda z was ma dobry głos, lecz żeby móc zmierzyć się z dużymi chórami, musimy użyć naszych największych atutów, tych, które pozwolą nam się wyróżnić i zapisać w pamięci słuchaczy jako coś bez precedensu.

Powiodła wzrokiem po nas wszystkich.

– W muzyce chodzi o pasję. O prawdziwe człowieczeństwo. Musimy pozwolić naszym własnym namiętnościom przemówić poprzez nasze głosy. – W zamyśleniu zakreśliła batutą łuk w powietrzu. – Musimy przepoić każdą nutę, każde słowo swoimi osobistymi historiami. Pomyślcie, ile mogą wnieść nasze chórzystki: entuzjazm Kitty, odwagę Silvie, pogodę ducha pani Quail, łagodność Hattie, staranność pani Tilling. Nawet pani sama, droga pani B., dodaje naszemu śpiewowi werwy i zapału. Każda radość i każdy ból, które odczuwamy w związku z wojną, zostaną wykorzystane w naszej muzyce – urwała na chwilę. – W piątce będziemy miały dodatkowe próby.

– Gdzie ma się odbyć ten konkurs? – spytała z irytacją pani B.

Prim teatralnym gestem nachyliła się w jej stronę i odpowiedziała przenikliwym szeptem:

– W katedrze w Litchfield; trudno wyobrazić sobie budynek o bardziej wzniosłej i inspirującej atmosferze. Akustyka w tym miejscu należy do najlepszych w kraju. A jeżeli wygramy, na finał pojedziemy ni mniej, ni więcej, tylko do katedry świętego Pawła w Londynie.

– To brzmi naprawdę byczo! – wykrzyknęła Kitty. – Spróbujmy wygrać, zgoda? – podeszła do pani B. – Pomoże nam pani, moja kochana, mam rację?

– Chyba mogę was wesprzeć – prychnęła pani B. – Ale zastrzegam, że tylko z uwagi na to, że mamy wojnę.

Wiedziała, że nie będzie w stanie się powstrzymać, niemniej wróciła na swoje miejsce w stallach z taką miną, jakby śmierdziało końskim nawozem, i obrzuciła panią Tilling spojrzeniem pełnym niesmaku.

Dyrygentka przejrzała stertę nut, wybrała coś i rozdała nam kartki.

– Znakomicie. Zacznijmy od nowego utworu na konkurs.

Kiedy zobaczyłyśmy, co to za nuty, wszystkie aż zadrżałyśmy.

– *Ave Maria* – odezwała się Prim – to modlitwa do Dziewicy Maryi, błagająca ją o pomoc w czasie wojny. Przygotowałam aranżację specjalnie dla naszego chóru. Gotowe do próby?

Zaśpiewałyśmy najlepiej, jak potrafiłyśmy, a potem dyrygentka przećwiczyła każdą partię osobno, najpierw sopran, potem alty. Widziałam, że jest zachwycona.

– Widzicie, ten dźwięk był wspaniały. Teraz nie mam żadnych wątpliwości, że kiedy jeszcze trochę poćwiczymy, wyjdzie nam przepięknie. Razem możemy stanąć z podniesionymi głowami, jako siła, z którą należy się liczyć.

Na koniec oznajmiła, że gdyby któraś z nas chciała zaśpiewać solo, może się zgłosić na przesłuchanie.

– W tej aranżacji są dwie zwrotki, potrzebujemy więc dwóch różnych głosów. Czy ktoś ma ochotę?

Kitty nie kazała się długo prosić.

– Ja!

Nie mogłam pozwolić, żeby cały splendor spadł na nią, więc też się zgłosiłam.

– Co mi szkodzi spróbować.

Prim odczekała chwilę, po czym zawołała, przekrzykując gwar:

– A może pani Tilling? Nie sądzi pani, że tym głosem warto podzielić się ze światem?

Matka Davida zaczerwieniła się, wzięła torebkę i podeszła do dyrygentki.

– Naprawdę uważa pani, że bym potrafiła?

– To zależy od pani – odparła Prim. – Głos z pewnością pani ma. Tylko czy starczy pani odwagi?

Zapadnięte policzki pani Tilling oblały się rumieńcem.

Dyrygentka poszła ustalić coś z panią Quail przy organach, po czym wróciła do nas.

– Posłuchamy, jak po kolei śpiewacie pierwszą zwrotkę.

Pani Tilling wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć, za to Kitty wprost nie mogła się doczekać.

– Kitty, może najpierw ty? – zaproponowała Prim i dała znak pani Quail, żeby zaczęła grać.

Kitty zaśpiewała tak, jakby znajdowała się na scenie przed kilkoma tysiącami oczarowanych wielbicieli opery. Wchodząc na ryzykowne wysokie rejestry, wzniosła oczy ku sklepieniu, i nawet wydobyła z siebie ten koszmarny trel. Makabra.

– Brawo! – wykrzyknęła Prim z zachwytem.

Zastanawiałam się, czy po prostu stara się być miłą, dopóki nie przyłączyła się do niej pani Tilling.

– Kitty, jaki ty masz piękny głos!

Moja siostra wyszczerzyła zęby, bardzo z siebie zadowolona.

Przyszło mi do głowy, żeby się wycofać, ale dyrygentka powiedziała, że teraz moja kolej, a pani Quail już grała wstęp.

Zaśpiewałam najlepiej, jak potrafiłam; kilka razy pomyliły mi się słowa i nie umiałam zaśpiewać najwyższych nut aż tak czysto jak Kitty. Jednak mój głos jest wyraźnie ładniejszy niż jej. Brzmi znacznie bardziej naturalnie.

Na koniec Prim i pani Tilling nagrodziły mnie oklaskami i zgodziły się, że mam śliczny aksamitny głos. Kitty patrzyła przed siebie, jak gdyby nigdy nic,

przekonana, że wygrała.

Następnie przyszła kolej na panią Tilling, która jak wiemy, od zawsze śpiewa znakomicie. Nie wyobrażam sobie, co byłoby z naszym chórem bez niej. Zaśpiewała idealnie czysto, wszystkie słowa były na swoim miejscu, a jej urzekający alt nie zadrżał ani razu.

– Wspaniale – powiedziała Prim. – Doskonały głos na jedną z naszych solówek. – Potem, co było do przewidzenia, przeniosła wzrok na mnie. – Venetio, obawiam się, że tym razem wybiorę Kitty. Będziemy musiały dużo ćwiczyć, a ona z pewnością ma więcej czasu niż ty, pracowniczka Ministerstwa Wojny.

– Ma pani całkowitą rację – odparłam. – Właściwie to nie powinnam była się zgłaszać, bo ostatnio jestem okropnie zajęta. Może następnym razem.

Po tych słowach wstałam, kątem oka widząc podskakującą z radości Kitty, i z godnością wymaszerowałam z kościoła.

Od tego czasu Kitty traktuje mnie z taką wyższością, że niedobrze się robi. Musiałyśmy z Silvie uciec przed nią do mojej sypialni. Elegancko upięłam włosy małej, podczas gdy ona malowała się moją szminką. To stworzonko jest naprawdę kochane.

I na tym zakończę, bo muszę być wyspana, jeśli chcę dobrze wyglądać. Dam Ci znać o postępach mojego planu związanego z panem Slaterem. Nie wątpię w zwycięstwo.

Venetia

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Sobota, 27 kwietnia 1940 r.

Kwestia cnoty Venetii

Czemu tak jest, że akurat kiedy człowiekowi się zdaje, że wie, na czym świat stoi, coś wybucha mu przed samym nosem i trzeba przemyśleć wszystko od nowa? Proszę bardzo, ja na przykład radośnie szłam sobie przez życie w przekonaniu, że nikt nie robi nic przed ślubem, no może z wyjątkiem pocałunku czy dwóch, aż tu nagle bum! I cały ten akt rozgrywa się przed moimi zdumionymi oczami.

Co bardzo chciałabym wiedzieć

Czy Venetia była czysta jak łza, tak jak zawsze nam przykazywano?

Czy teraz będzie musiała wyjść za pana Slatera?

Czy to będzie oznaczać, że przestanie bawić się z Henrym w te swoje wstrętne gierki?

Czy ktokolwiek inny robi to przed ślubem?

Czy ja będę musiała?

Przede wszystkim chciałabym oświadczyć, że byłam pewna, zanim to zobaczyłam, iż Venetia wciąż jest dziewicą. Mama powiedziała nam obu, że do ślubu trzeba zachować cnotę, i muszę przyznać, że w życiu nie przyszło mi do głowy kwestionować jej wskazówki. Oczywiście wcześniej wiele razy widziałam akt kopulacji, więc nie myślcie, że jestem naiwna. Widziałam byki pokrywające krowy na łąkach, jak pan Dawkins przyprowadził do nas swoją klacz, żeby Amadeusz ją zapłodnił, no i psy w stajniach, które nic innego nie robią. A ja wiem, co z tego wychodzi – dzieci. Więc czemu Venetia to robiła? Nie jest mężatką ani, z tego co wiem, nie chce mieć dziecka. To było obrzydliwe.

A potem zaczęłam się zastanawiać, czy robiła to wcześniej z kimś innym, i do głowy napłynęła mi chmura wspomnień, niczym album z fotografiami wszystkich chłopaków, którymi kiedykolwiek się bawiła. Kiedy tak o tym myślę, mam wrażenie, że mogła robić to z każdym: z Cecilem Worthingiem, Davidem Tillingiem, nawet z Victorem Lovellem albo, Boże uchroni, z Henrym. Znali się od dziecka, dorastali jako przyjaciele, wiele wieczorów spędzali razem na

przyjęciach, być może wymykali się w nocy wymienić po cichu pocałunki, które mogły prowadzić do czegoś więcej. Może właśnie dlatego miała nad nimi taką dużą władzę.

Czy to możliwe, że Venetia jest ladacznicą?

Angela Quail to z całą pewnością ladacznica. Jestem pewna, że robiła to z Edmundem, bo zawsze się dotykali w niesłychanie krępujący sposób. Myślę, że ona też chciała być z Henrym, bo zawsze wydawała się przy nim jakaś dziwna, taka roztrzępota. Ciekawa jestem, czy ją odrzucił i wybrał mnie, bo lubi porządne dziewczęta, podczas gdy Angela obnosi się ze swoim zepsuciem, jakby było powodem do dumy. Sądzę, że jest taka niesforna przez to, że jest córką pastora.

Ale co do Venetii, to papę szlag by chyba trafił.

Wszystko zaczęło się od mojej popołudniowej lekcji śpiewu, która poszła wyjątkowo dobrze, bo Prim powiedziała, że mam słuch absolutny. Nie mogłam się doczekać, aż powiem o tym Silvie, a ponieważ nie było jej w domu, pobiegłam poszukać jej w stajni. Był taki przepyszny dzień, cały złocisty i maślany, a ja miałam poczucie, że każda rzecz na świecie ma sens. Kwiaty czereśni właśnie zaczynały przekwitać i kiedy biegłam przez sad, płatki sypały się na mnie białoróżową kaskadą – to było cudowne, jakby z nieba padały maleńkie mięciutki poduszeczki.

Kiedy przechodziłam przez zalatujące nawozem podwórze, odniosłam wrażenie, że spod drzwi boksu Amadeusza słychać jakieś głosy. Przez chwilę zastanawiałam się, czy Venetii coś się odmieniło i postanowiła nagle zainteresować się swoim starym konikiem – od kiedy skończyła ujeżdżanie, zupełnie przestała o niego dbać.

Gdzie tam.

Głos rzeczywiście należał do Venetii, ale nie mówiła do Amadeusza. Wspięłam się na palce, żeby zajrzeć przez szparę pomiędzy deskami drzwi, i zobaczyłam pana Slatera jak zwykle nieskazitelny w szarym garniturze i krawacie. Wyglądał absurdalnie nie na miejscu w cuchnącej końskim potem i skórą siodła stajni. Zdziwiłabym się na jego widok, gdybym nie wiedziała o tym śmiesznym zakładzie Venetii z Angelą.

Ale to wcale nie wyglądało na śmieszny zakład.

Ona stała blisko niego, ze wzrokiem utkwionym w niego w idiotyczny sposób, jej blond włosy były przerzucone przez jedno ramię. Nawet będąc za drzwiami stodoły, czułam brzoskwiniową woń jej perfum tłumiącą zapach łajna. Moja siostra miała na sobie sukienkę, której nigdy wcześniej nie widziałam. Żółtą jak słonecznik, o jedwabnym połysku, z długą spódnicą, bardzo wyciętą z przodu i niepokojąco głęboko odsłaniającą dekolt. Na gładkie ramiona Venetia zarzuciła biały sweterek, przez co wyglądała bardzo młodo – w jednej chwili figlarne

kociątko, w następnej przebiegła wydra.

– Co pan dla mnie ma? – zapytała.

– A zasłużyła pani na coś? – odparował z dziwnym półuśmiechem na ustach i uniesioną brwią.

– Może – zachichotała Venetia, kręcąc biodrami tak, że lśniąca spódnica musnęła jego nogi, a potem na powrót oblepiła jej uda.

Pan Slater wsunął dłoń do wewnętrznej kieszeni i wyjął z niej paczuszkę. Moja siostra wzięła ją, odsunęła się i ze śmiechem zaczęła ją otwierać. Chciałam, żeby wreszcie rozdarła ten papier, ale ona ciągle się wahała, rozchyłała go, a potem znów zamykała, w nedorzeczny sposób przesuwając palcem po jego brzegu, raz na wierzchu, raz pod spodem.

W końcu wyciągnęła parę pończoch i podniosła je do góry, oglądając pod światło. Dwa pasma cienkiej brązowej mgielki, falujące lekko w nieruchomym powietrzu, przejrzyste w cętkowanym świetle, padającym z zakurzonego okna.

Venetia ostrożnie ściągnęła jeden pantofelek, po czym rzuciła jedną pończochę swojemu towarzyszowi, a drugą wsunęła sobie na stopę i wyżej, nad kostkę. Natychmiast poczułam się niezręcznie, podobnie jak pan Slater, który odwrócił wzrok i zajął się składaniem pończochy, którą trzymał.

– Co pan o tym sądzi? – Czekala, aż na nią spojrzy. Pończocha była już za kolanem, a moja siostra podkasała sukienkę, żeby podciągnąć ją jeszcze wyżej.

Pan Slater zerknął na dół i zobaczyłam, jak jego wzrok przykuwa długie, gładkie udo Venetii, w tej chwili na w pół zakryte przez pończochę, beżowe na dole i perłowobiałe u góry.

– Powinny się nadać – odpowiedział i odwrócił wzrok. Jednak po chwili spojrzał na moją siostrę, która zrzuciła lewy pantofelek.

– Proszę mi dać tamtą – wyszeptała, a on podał jej drugą pończochę.

Strzepnęła ją tak, że pończocha rozwinęła się przed nią niczym kaskada. Potem uniosła stopę i wsunęła do środka pończochy, potrząsając nogą, żeby ją także okryć beżową mgielką. Znów podkasała sukienkę, tym razem ukazując białą koronkową podwiązkę, do której starannie przypięła górę pończochy. Mignęła mi nawet jej bielizna, gdy bezwstydnie obnażała się przed tym mężczyzną.

– Chyba nie powinna pani tego robić – powiedział. Tym razem nie odwrócił wzroku. Po prostu stał tam i patrzył jak zahipnotyzowany.

– Chciałam, żeby pan zobaczył, jak wyglądają. Żeby jakoś się panu odwdzięczyć.

Stała wyprostowana, ale sukienkę miała uniesioną tak, żeby pan Slater mógł obejrzeć swój podarunek w całej okazałości. Widzicie, o co mi chodzi z tym jej opanowaniem, jakby każdy krok miała wcześniej przeciwiczony? Potem wsunęła stopy w pantofelki i podniosła spódnice jeszcze odrobinę wyżej, stawiając jedną stopę przed drugą, jak jakaś aktorka albo tancerka.

– Mówiłem pani. Lepiej zostawić mnie w spokoju – odrzekł pan Slater głosem, który na chwilę stracił swoje wytworne, żartobliwe brzmienie. Przeczesał ręką włosy. Potem opanował się i dodał z lekkim uśmiechem: – Inaczej mogę nie zachować się jak przystoi dżentelmenowi.

Roześmiała się drwiąco, a w jej oczach zalśniła determinacja. Na tym polega problem z Venetią – ona nie potrafi sobie wyobrazić, że ktoś ją pokona. Chciała Slatera, bez względu na cenę. Zrobiła krok w jego stronę i wzięła go za rękę. Nie zobaczyłam, co stało się dalej, bo teraz stała do mnie plecami, ale chyba musiała położyć sobie jego dłoń na udzie.

– Venetio – wyszeptał. – Czy ty wiesz, co robisz?

– Tak – odparła z przekonaniem. – Dokładnie wiem, co robię.

– Nie wydaje mi się.

Nachylił twarz i pocałował moją siostrę ogromnie gwałtownie. Przywarli do siebie i przez następne kilka minut stali tak, wijąc się w uścisku, a potem, nie mam pojęcia jak, opadli na stertę siana, nie przestając się całować. Nie widziałam ich, bo szpara między deskami była za wąska, ale i tak wiedziałam, co robią. Jak zwierzęta w stajni.

Wybiegłam z podwórka i stwierdziłam, że muszę pójść do domu, by przemyśleć, co przed chwilą zobaczyłam, lecz chyba żadne z moich pytań nie doczekało się odpowiedzi. Jest jednak kilka rzeczy, które wiem na pewno.

Co wiem na pewno

Venetia prawie na pewno robiła to już wcześniej.

Możliwe, że więcej niż raz (choć nie urodziła dziecka).

Mogła robić to z Henrym, i dlatego on wszędzie za nią chodzi.

Angela Quail robiła to z pewnością, nieważne, czyją jest córką.

Kiedy się tak nad tym zastanawiam, to chyba dzieje się to znacznie częściej, niż myślałam.

I tak nie zamierzam tego robić, póki nie wyjdę za mąż.

Venetia myśli o panu Slaterze poważniej, niż przypuszczałam (papa zresztą też).

Papa wpadnie w szal, jeśli kiedykolwiek się o tym dowie.

Ta informacja może okazać się bardzo przydatna.

Uznałam, że na tym poprzestaną, chociaż wciąż mam przed oczami obraz mojej siostry w stajni. Jak mogło przyjść jej do głowy, by robić takie rzeczy, skoro powtarzano nam, że tak nie można?

A potem zrozumiałam. To przez wojnę. Nikomu już nie zależy na zachowywaniu czystości do ślubu. Chodzi tylko o to, co jest tu i teraz.

O porzucenie zbędnych skrupułów i cieszenie się życiem, póki możemy. Cnota jest *passé*, bo jutro możemy już nie żyć albo, co gorsza, znaleźć się pod niemiecką okupacją.

Mimo wszystko nie jestem pewna, czy mam szczególną ochotę na robienie tego, więc myślę, że swoją na razie zachowam. Będę musiała dopracować moje solo, żebym mogła stać się sławna i podziwiana, i żebym już nigdy nie musiała myśleć o Venetii i jej obrzydliwych romansikach.

LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY

Church Row 3,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Piątek, 3 maja 1940 r.

Kochana Claro!

Twoja siostra to absolutna mistrzyni! Mam pełne prawo triumfować, a nie było łatwo – czułam się jak Herkules wykonujący to przekłete dwanaście prac, chociaż w grę wchodziło podmienienie zaledwie dwóch wrzeszczących noworodków. Ale nie zamierzałam pozwolić nagrodzie wymknąć mi się z rąk. Nie tym razem, Claro. Pozwól, że opowiem Ci wszystko po kolei.

Po dobrym śniadaniu spędzonym na obserwacji pani Tilling, wystrojonej w ten upiornie zielony mundurek OSK – zjawiała się u Hattie jak co rano, żeby sprawdzić, czy wszystko dobrze, po czym sobie poszła – wzięłam swoją czarną torbę i zajęłam się realizacją pierwszej części planu: podaniem Hattie mojej mikstury.

– Czy jest ktoś w domu?! – zawołałam najsympatyczniejszym głosem, jaki potrafiłam z siebie wydobyć, zapukałam do drzwi i lekko je uchyliłam. – Hattie? To ja, panna Paltry. Jesteś na górze?

– W kuchni – odpowiedziała melodyjnie.

Weszłam do środka i zobaczyłam, że dziewczyna krząta się po malutkim pomieszczeniu z okazałym porem w dłoni, a wokół niej leżą ubrudzone ziemią jarzyny wykopane z ogrodu.

– Cieszę się, że cię zastałam – zaczęłam z uśmiechem. – Wczoraj byłam w Faversham, widziałam się ze znajomą położną, i proszę, co za zbieg okoliczności. Mówiłam jej o tym, jaka jesteś stale zmęczona i że nie mam nic, co mogłabyś na to brać, a ona opowiedziała mi o nowym leku. Podobno stosuje go od kilku miesięcy i każda pacjentka jest z niego tak zadowolona, że mojej znajomej skończył się już zapas!

– Myśli pani, że udałoby mi się gdzieś go dostać? – Hattie zwróciła się w moją stronę, odkładając pora. – Od kilku dni nie jestem w stanie wyjść z domu, a muszę odwiedzić dzieci w szpitalu w Litchfield. W wolnych chwilach prowadzę dla nich zajęcia i...

– Tak się składa, że akurat przy mnie znajoma dostała nowe opakowanie i ubłagałam ją, żeby odstąpiła mi trochę dla ciebie.

– Naprawdę? To wspaniale! – Z przejęciem zrobiła kilka kroków w moją stronę, poprawiając niesforne pasmo ciemnych włosów, które wymknęło się z jej koczka. – Ile jestem pani winna?

– Lek nie był tani, moja złota, bo taki jest na niego popyt – odparłam, przekrzywiając głowę, żeby wypadło to weselej. – Ale tobie mogę dać specjalny rabat: trzy i pół pensa za jedną dawkę.

Wysypała z portmonetki drobne i wręczyła mi kilka monet. Przeliczyłam (brakowało pół pensa, ale stwierdziłam, że już jej to daruję), a potem wyjęłam z torby brązową flaszkę i łyżeczkę.

– Ile mam wziąć? – Hattie wlepiła wzrok w butelkę, zaciskając ze strachu różowe wargi.

– Wystarczy jedna łyżeczka. Odmierzę ci, ile trzeba. – Przyniosłam dziewczynie szklanekę wody. – W takich sprawach nie ma to jak pomoc doświadczonej akuszerki.

Przed otwarciem flaszki z miksturą odsunęłam się o parę kroków, bo jej zapach może zwalić człowieka z nóg. Oddychając przez usta, nalałam na łyżeczkę szarzielonego płynu, który zaczął musować, a do moich nozdrzy zakradła się woń psiego mięsa zmieszanego z olejem silnikowym. Podałam łyżeczkę Hattie.

– Jest pani pewna? – wyjąkała dziewczyna, z obrzydzeniem spoglądając na miksturę.

– Wiem, że nie wygląda zbyt apetycznie, ale tak to już jest z lekarstwami, nieprawdaż? – Chwyciłam Hattie za łokieć, uniosłam łyżeczkę do jej ust i po chwili porcja wywaru była już w żołądku.

Pacjentka zrobiła się zielona na twarzy, a ja wystraszyłam się, że może wymiotować albo, co gorsza, zemdleć. Leku nie ma na żadnej oficjalnej liście, słyszałam natomiast o skutkach ubocznych – krwotoki wewnętrzne, drgawki, śpiączka – a Hattie przez chwilę nie mogła złapać powietrza i miałam wrażenie, że źrenice uciekają jej w głąb czaszki. Usadziłam ją (żeby nie upadła), poklepałam porządnie po plecach i wreszcie dziewczyna się rozkasłała, i zaczęła wyglądać podobniej do siebie. Flaszkę z miksturą ścisnęła w rękach tak, jakby zależało od tego jej życie. Posiedziałam przy niej przez kilka minut, usiłując odebrać jej butelkę. Mowy nie ma, żebym zostawiła tu jakiegokolwiek śladu dla tej wścibskiej Tilling. Ostatecznie musiałam złapać flaszkę i dać z nią drapaką, bo czas uciekał.

– Ale, panno Paltry, ja czuję, że coś się dzieje – jęknęła Hattie, chwytając mnie za rękę.

– Jeszcze wcześniej, jeszcze wcześniej – odpowiedziałam łagodnie, wyrwijając rękę i pobiegłam w stronę drzwi. Musiałam szybko sprowadzić na świat dziecko Winthropów, zanim ta tutaj urodzi. Wszystko zależało od odpowiedniej

synchronizacji, a ja nie zamierzałam zawracać sobie głowy uprzejmościami.

Wybiegłam za drzwi i ruszyłam do domu Winthropów. Żeby dostać się do Chilbury Manor, wystarczy przejść przez zieleniec, plac i uliczkę prowadzącą na ich podjazd. Normalnie zajmuje to dziesięć minut, pięć, jeśli człowiek się spieszy, a kiedy biegnie, to jeszcze mniej. Miałam nadzieję, że nie będzie takiej konieczności.

Elsie czekała na mnie przy bocznym wejściu; jej strój znajdował się w niepokojącym nieładzie, a włosy wymykały się spod czepka.

– Nie wiem, czy uda mi się popilnować dziecka. To znaczy, w razie gdybym musiała – odezwała się. – Przed południem niania Godwin nie rusza się ze swojego pokoju, a poza nią w domu nie ma nikogo ze służby. Nie wiem, czy dałabym radę się urwać.

– Musisz – syknęłam, łapiąc ją za szczupły nadgarstek i wbijając brudne paznokcie w miękką skórę pod spodem.

Wyrwał jej się okrzyk bólu.

– Zrobię, ile będę mogła.

– Wytlumaczysz im, że chodzi o dziecko, że to twój obowiązek jako służącej.

Spojrzała na mnie oszołomiona, a ja, idąc za nią na górę, pomyślałam z westchnieniem: „Jeśli ta głupia dziewczyna wszystko popsuje, niech Bóg ma ją w swojej opiece!”.

Ta pani Winthrop to taka ofiara losu, że zażyła lek bez żadnych ale, i jeszcze była mi wdzięczna, że o niej pomyślałam. To jej czwarte dziecko, więc zaczęła rodzić niemal natychmiast, a główkę malucha było widać, jeszcze zanim Elsie wróciła do pokoju z wrzaskiem. Przypominam sobie, że był taki moment, gdy zaczęłam się zastanawiać, czy może los mi sprzyja i noworodek okaże się chłopcem. Jednak nie zdążyłam nawet odpukać w niemalowane, kiedy dziecko wyskoczyło na świat. Oto miałam je przed sobą i zrezygnowana wpatrywałam się w miejsce, gdzie ewidentnie brakowało pożądanego organu.

– Chłopiec! – oznajmiłam, ukrywając swoje rozczarowanie, po czym przecięłam pępowinę i prędko zawińłam malucha w kocyk. Starłam się zrobić to szybko, tak żeby Elsie nie zobaczyła, ale kiedy się odwróciłam, dostrzegłam niepokój na jej twarzy.

– Kiedy to dziewczynka – odezwała się niezbyt głośno.

– Nie, Elsie – warknęłam przez zaciśnięte zęby. – To chłopiec.

Spojrzałam na nią groźnie i pokazałam głową na drzwi. W tym momencie zobaczyłam, jak jej oczy się zwężają. Pojęła.

Pani na szczęście nie usłyszała Elsie.

– Chłopiec! – zawołała słabym głosem. – To chłopiec, Bogu niech będą dzięki!

– Niestety maluszek ma problemy z oddychaniem – starałam się, żeby nie zabrzmiało to jak wyuczona kwestia. – W domu mam respirator. Będę musiała prędko pobiec tam z dzieckiem. Ta pokojówka może pójść ze mną. Czy niania będzie potrafiła zająć się łóżyskiem?

Elsie popędziła po nianię, a ja zostałam sama z panią Winthrop, która błagała mnie, żebym pokazała jej noworodka.

– Proszę, bardzo proszę, chcę zobaczyć swoje maleństwo!

– Nie, nie, nie, proszę pani. Muszę zabrać go stąd najszybciej, jak to możliwe.

Ale ona nie dawała za wygraną. Całe szczęście, że była zbyt słaba, żeby podnieść się z łóżka, bo byłby niezły bigos.

Po chwili Elsie wróciła ze starą nianią, która sprawiała wrażenie jednocześnie zmęczonej i przestraszonej. Powiedziałam jej o łóżysku, przycisnęłam dziecko do piersi i pognałam w dół po schodach. Maszerowałam w stronę wsi, a Elsie truchtała obok mnie, zadając bezsensowne pytania i zamartwiając się, że ktoś na pewno się dowie. Żałowałam, że w ogóle zatrudniłam tę głupią dziewczuchę.

W kuchni miałam starannie wymoszczone pudełko dla dziecka i butelkę z mlekiem z proszku. W końcu miało mnie nie być tylko kilka minut, więc pod opieką Elsie przez tak krótki czas nic nie powinno się jej stać. Kiedy kładłam małą w pudełku, popatrzyła na mnie swoimi dużymi błękitnymi oczami, zupełnie takimi samymi jak u jej siostry, Venetii, a ja przez moment zamyśliłam się nad tym, jak by to było być matką, mieć w domu taką kruszynkę. Mogłam być matką, gdyby ta durna Ida nie zaszła w ciążę i nie zmusiła Geoffreya, żeby ożenił się z nią zamiast ze mną. Mógł zwrócić się o pomoc do mnie. Załatwiłabym to z nią, raz na zawsze.

– Wiem, co knujesz, i nie chcę mieć z tym nic wspólnego – oświadczyła nagle Elsie, biorąc malutką na ręce. – Zabieram ją z powrotem do mamy.

– Mowy nie ma – odparłam, wrywając jej dziecko i układając znów w pudełku. – Zostaniesz tutaj i zrobisz, co ci każę, albo nie dostaniesz ode mnie złamanego grosza.

– Niepotrzebne mi twoje pieniądze. Tak nie można robić – przytknęła chusteczkę do nosa i wydmuchała go tak głośno, jakby była małym słoniątkiem, jednocześnie wpatrując się we mnie błagalnym wzrokiem. – Czy tego nie widzisz? Nie możesz jej zwrócić?

– Dzieje się tak ze słusznych i sprawiedliwych powodów, więcej nie potrzebujesz wiedzieć – odpowiedziałam.

– Nie interesuje mnie to – prychnęła pokojówka. – Wracam do państwa.

– Nic podobnego – stanęłam pomiędzy nią a drzwiami. – Nie pozwolę ci zniszczyć mojego planu!

Spróbowała mnie wyminąć. Z mieszkania obok dobiegło mnie stłumione zawodzenie rodzącej Hattie. Poczulałam, że wszystko wymyka mi się z rąk,

i spanikowałam.

– Będiesz mogła sobie pójść, jeśli przysięgniesz, że nikomu nie powiesz.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie powiem ani słowa, jeśli dostanę swoje pięć funciaków.

Zagotowałam się ze złości. To urąga wszelkim standardom, domagać się zapłaty za usługę, której nie wykonała. Jednak niczym Herkules, pokonujący kolejną przeszkodę, sięgnęłam do mojej czarnej torby po pieniądze.

– Buzia na kłódkę albo popamiętasz.

Wyrwała mi pieniądze i przepchnąwszy się obok mnie, wyszła na słońce. Zaczęłam się gryźć, co Elsie powie pani Winthrop, ale potem wyobraziłam sobie, jak zaciskam palce na jej gardziółku, i skupiłam się na bieżącym zadaniu. Chwyciłam torbę i pobiegłam do Hattie, zostawiając leżącą w pudełku malutką samą sobie.

Zapukałam kilkakrotnie i weszłam do środka. Hattie siedziała na podłodze przy drzwiach, jęcząc głośno.

Znalazłam się przy niej jednym susem i ją zbadalam – dzięki Bogu dziecko w środku wciąż się ruszało. Modliłam się, żeby to był chłopiec. Kiedy już pomogłam jej dowlec się do łóżka, Hattie znów zaczęła jęczeć i się wypręzać, za to dziecko ani drgnęło.

W tym momencie przeraziła mnie myśl o dziewczusce w pudełku w mojej kuchni. Powinna teraz dostać mleko, ale ja nie mogłam odejść od Hattie, która trzymała moją rękę w stalowym uścisku. Czy nic jej nie będzie?

Wreszcie krzyki Hattie przybrały na sile tak, że jej głos brzmiał niemal nieludzko, a ja poczułam przyływ paniki – a jeśli ona także nie urodzi chłopca? Czy brygadier pozbędzie się mnie w jakiś makabryczny sposób? Byłam ledwie żywa z przerażenia, kiedy dziecko w końcu ujrzało światło dzienne.

Ale cóż za radość – to był chłopiec!

– Dziewczynka! – zawołałam.

– Chcę ją zobaczyć, proszę mi ją dać! – krzyknęła Hattie, wyciągając ręce i usiłując zabrać mi noworodka.

– Nie, maleństwo ma problemy z oddychaniem. Muszę zanieść je do mnie do domu, mam tam respirator.

Hattie wrzasnęła:

– Moje dziecko!

I złapała za kocyk, ciągnąc z całej siły.

Okropnie się bałam, żeby nic nie stało się noworodkowi, ale zarazem wiedziałam, że muszę zrealizować plan, więc wyrwałam malucha matce i rzuciłam się w stronę drzwi.

– Muszę iść! – zawołałam, popychając ją z powrotem na łóżko.

Jej krzyki „nie, nie” rozlegały się w całym domu, gdy biegłam w dół po

schodach, a potem na zewnątrz, nie wiedząc, co znajdę, kiedy wrócę do siebie. Czy czeka mnie groza zwłok nowo narodzonej dziewczynki, sinej i sztywnej, z wielkimi oczami szklistymi jak u lalki? A może durna Elsie wezwała policję i pod drzwiami zastanę grono wiejskich matron, zgromadzonych, by być świadkami mojego upadku.

W domu jednak panowała złowróżbna cisza. Serce zaczęło walić mi jak młotem. Wiem, że nie jestem aniołem, jednak nie potrafiłabym znieść myśli, że doprowadziłam do śmierci dziecka. Przed oczami stanął mi obraz kruszynki, leżącej w moim pudełku, martwej, i pognałam do kuchni.

Zaglądając do pudełka, ledwie mogłam oddychać. Leżała tam, blada i bezwładna, z zamkniętymi oczami. To niemożliwe! Błyskawicznie przyłożyłam dłoń do jej szyjki, żeby wyczuć puls. Poczułam leciutki trzepot, a dziewczuszka otworzyła bezzębną buzię szeroko jak mały hipcio i wydała z siebie przeszywający pisk.

Wyjęłam ją z pudełka, i wepchnęłam do paszczy smoczek od butelki.

– Nie martw się, maluśka – wymruczałam. – Zanoszą się na to, że będziesz miała najbardziej kochającą matkę po tej stronie Londynu.

Położyłam w pudełku chłopczyka i otuliłam go kocem, bo wyglądał mi na chuchro, takie, co to łatwo się przeziębiam. A potem znów wzięłam na ręce dziewczynkę i ruszyłam do Hattie.

Dziewczyna stała tuż za drzwiami, rozpaczliwie wyczekując mojego powrotu. Wciąż miała na sobie zakrwawioną koszulę nocną, a jej ciemne loki były mokre i splątane.

– Nic jej nie jest? – zawołała spanikowanym głosem. – Nic jej nie będzie?

– Tak – odpowiedziałam z uśmiechem. – Wszystko będzie dobrze.

Włożyłam malutką w jej wyciągnięte ręce, a Hattie wpatrzyła się w jej śliczną twarzyczkę, intensywnie niebieskie oczy, spiczastą bródkę i jasnoblond włoski. To było naprawdę wyjątkowo piękne dziecko – a możesz mi wierzyć, zazwyczaj tak nie jest.

Łóżysko przy mojej niewielkiej pomocy wyszło sprawnie, obiecałam więc Hattie, że wrócę do niej jak najprędzej, i wyrwałam się, żeby zająć się chłopcem. Kiedy tylko otworzyłam drzwi, usłyszałam wrzaski tego małego nicponia i musiałam natychmiast zatkać mu buzię smoczkiem. Wzięłam go na ręce i ruszyłam na zewnątrz, ale kiedy wpadłam na zieleniec, zobaczyłam na placu gromadkę kobiet. Były to panie z OSK, które właśnie wysiadły z autobusu z Litchfield. Pani B. rozprawiała o czymś z panią Quail i tą nieszczęsną Tilling.

– Śliczny dzień! – zagadnęła mnie wesoło, podczas gdy ja usiłowałam schować się z powrotem do środka.

– Owszem, wspaniała pogoda – przytaknęłam z zapalem, ukrywając dziecko pod płaszczem. – Zapomniałam kapelusza! – Zniknęłam za drzwiami, złapałam

kapelusz i uświadomiłam sobie, że nie mam wyjścia, pozostaje mi tylko umieścić malucha w mojej czarnej torbie i mieć nadzieję, że za bardzo go nie wytrzęsę.

Wyrzuciłam wszystko, co w niej było, łącznie z okruciami na dnie, włożyłam chłopczyka do środka, usiłując ustawić butelkę tak, żeby smoczek nie wypadł mu z buzi, i wymknęłam się na zewnątrz. Kobiety były pogrążone w dyskusji, postanowiłam więc pokonać plac sprintem.

– Dzień dobry, panno Paltry! – zawołała pani Tilling, kiedy wbiegałam w uliczkę. – Szkoda, że nie była pani dziś z nami na spotkaniu.

– Właśnie rozmawiałyśmy o tym, jakie to było pokrzepiające – dodała pani Quail, której okrągła twarz aż zarumieniła się z zadowolenia.

– O, to cudownie – odparłam, trzymając się w bezpiecznej odległości od nich. Pod sklepem zgromadziła się grupka kobiet, wszystkie w zielonych mundurach, niczym stadko papużek falistych, a ja przez kilka minut musiałam tam tkwić, słuchając ich paplaniny. Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać. Jak to możliwe, że dorosłe kobiety są szczerze przekonane, iż kiermasz wypieków i jakieś tam szycie mogą doprowadzić kraj do zwycięstwa, doprawdy nie mam pojęcia.

– Była tam lady Worthing – pochwaliła się pani B. – Mamy wielkie szczęście, że wzięła nas pod swoje skrzydła.

Chłopczyk w czarnej torbie zaczął popłakiwać, najpierw cicho, a potem coraz głośniej, a ja zrozumiałam, że pora na mnie. I to już.

– Muszę uciekać – powiedziałam i ruszyłam w stronę Chilbury Manor.

– Co to za dziwny dźwięk? – wzdrygnęła się pani Tilling, rozglądając się po zieleńcu.

– Och, kaczkki o tej porze roku są nie do wytrzymania – odparłam wesoło. – Przez te swoje obrzędy godowe nie dają mi spać po nocach – dorzuciłam chytrze.

– Ach, tak. – Moja rozmówczyni zasznurowała usta. Jestem pewna, że każdą aluzję do reprodukcji uważa za niewypowiedzianie grubiańską.

Dopiero wtedy z mojej torby dał się słyszeć wyraźny płacz dziecka i pani Tilling wlepiła w nią wzrok. Otworzyła usta, żeby się odezwać, ale nie potrafiła zdecydować, co właściwie ma powiedzieć.

Błyskawicznie dałam drapaka, przerażona, że to babsko zacznie się dopytywać. Jednak biegnąc uliczką przy akompaniamencie coraz głośniejszych wrzasków malca, zdałam sobie sprawę, że mogłabym na każde pytanie odpowiedzieć zręczną półprawdą. Powiedziałabym, że dziecko w mojej torbie to syn pani Winthrop, którego zabrałam do siebie, bo mam tam respirator. Wracając z nim do matki, uznałam, że najlepiej będzie go schować, żeby ona mogła zobaczyć go jako pierwsza, zanim zrobią to gapie z całej wsi. Tak, znakomity pomysł.

Nikt nie będzie niczego podejrzewać.

Kiedy dotarłam do Chilbury Manor, wyjęłam dziecko z torby i dopiero

wtedy zapukałam do bocznych drzwi – akuszerka biegająca po wsi z noworodkami w torbie z pewnością nie spotkałaby się z przychylnym przyjęciem.

Po chwili drzwi otworzył nikt inny, jak tylko Kitty, za której plecami stała ta mała uciekiniarka z Czech.

– Gdzie pani była? – zapytała młodsza Winthropówna takim tonem, że zaczęłam się zastanawiać, czy ona czegoś nie wie. Czy to możliwe, że intuicyjnie odgadła cały podstęp? Czy rozumie swojego ojca wystarczająco dobrze, a mnie na tyle, żeby przeniknąć naszą intrygę? Jej duże oczy przeniosły się z malucha na czarną torbę, a potem z powrotem. Patrzyła na mnie z tak nachmurzoną miną, jakbym zniszczyła jej życie.

Potrząsnęłam szybko głową, żeby przypomnieć sobie scenariusz.

– Dziecko żyje!

– Czemu tyle to trwało? – wymamrotała, prowadząc mnie przez paradne wejście i marmurowymi schodami w górę, na długą galerię. – Co mogło zająć pani tyle czasu?

– Zajęło tyle, ile zajęło – odparłam ze złością. Widzisz, Kitty się za bardzo nie obawiałam. W końcu zatrudnił mnie jej ojciec. Gdyby zaszła taka potrzeba, zadbałby o to, żeby dziewczuszyśko trzymało język za zębami. I dlatego być może nie byłam tak ostrożna, jak powinnam. Możliwe, że popełniłam duży błąd. Kitty i ta cała Tilling piją sobie z dzióbków.

Kiedy podawałam jej kwilącego chłopca z ciemnym puszkciem na główce, pani Winthrop leżała w łóżku, popłakując jak to ona. Proszę bardzo, idealna rodzinka.

– Mój najmilszy chłopczyk – powiedziała łagodnie, tuląc go do piersi. – Panno Paltry, jak ja się pani odwdzięczę za uratowanie mu życia?

– Brygadier wszystko ureguluje – odpowiedziałam z najbardziej dziarskim uśmiechem, na jaki potrafiłam się zdobyć. Usłyszałam, jak Kitty obok mnie z niezadowoleniem pociąga nosem; wścibska mała uciekiniarka przyglądała się nam z ciekawością. – Jak go państwo nazwą?

– Będzie się nazywał Lawrence Edmund – uśmiechnęła się pani Winthrop. – Edmund po naszym drogim utraconym synu. – I znów zaczęła szlochać.

Nie chciałam, żeby cokolwiek poszło nie tak teraz, kiedy wydawało się, że wszystko skończy się jak najlepiej. Sprawdziłam więc, co z łożyskiem, po czym czekałam cierpliwie, jakbym była królową we własnej osobie. Kiedy pacjentka się uspokoiła, obiecałam, że odwiedzę ją następnego ranka, i wycofałam się z pokoju.

Zbiegłam po tylnych schodach, przez kuchnię i już miałam wyjść bocznym wyjściem – wreszcie wolna! – gdy nagle zjawia się nikt inny, tylko panna Elsie.

– Wiem, co knujecie – syknęła.

W pobliżu nie było nikogo, toteż złapałam ją za kołnierz fartuszka i przyciągnęłam do siebie.

– Trzymaj gębę na kłódkę, bo inaczej ani się obejrzysz, a znajdą cię w potoku.

Puściłam ją, a ona osunęła się na podłogę. Trzęsa się jak galareta, więc myślę, że dobrze sobie poradziłam. Groźby zawsze były moją mocną stroną.

Przeszłam nad pokojówką, wymierzając jej kopniaka na dokładkę, po czym ruszyłam do drzwi, szarpnęłam za klamkę i wreszcie, wreszcie znalazłam się na wolności. Biegłam w podskokach po podjeździe, w jednej ręce miałam pustą teraz czarną torbę, a drugą wywijalam jak rozradowany kowboj.

Załatwione!

Uciekłam z zasadzki, pokonałam przeszkody, uniknęłam pułapek i oto powracam zwycięsko, dzieci są podmienione, obie matki szczęśliwe, a ja bogata. Prawdziwa bohaterka.

Nikt inny nie potrafiłby tego dokonać, Claro. Słowo daję, nie ma na świecie kobiety, która poradziłaby sobie tak dobrze jak ja, w każdej sytuacji zachowując spokój i przytomność umysłu. Reszta moich ciężko zapracowanych pieniędzy trafi do mnie w przeciągu tygodnia, a wtedy ja wyruszę do Ciebie, Claro, i zaczniemy nasze nowe wspólne życie.

Edwina

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL

Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Piątek, 3 maja 1940 r.

Kochana Angelo!

Stawiasz nam koktajle w Ritzu, moja droga, ponieważ wygrałam nasz zakład! Pan Slater, obecnie zwany przeze mnie najdroższym Alastaiem, dołączył do tłumu wielbicieli, czczących ziemię, po której stąpam. Wiedziałam, że dopnę swego i że to tylko kwestia czasu, trzeba jednak przyznać, że ten osobnik był dość oporny. Musiałam uciec się do bardziej wyrafinowanych sztuczek, żeby skłonić go do współpracy, ale teraz jest mój.

Ach, co to za mężczyzna! Nawet nie przypuszczałam, że będzie tak fascynujący. Zamienił swój salon na pracownię – mieszka w domu obok Hattie na Church Row – w której stoją niezliczone płótna, oleje i sterty obrazów. Co wieczór zapala świece i maluje, i razem słuchamy radia. Jednej nocy zagrali *All of Me*, i tańczyliśmy do tego tylko we dwoje, jakbyśmy byli w naszej własnej maleńkiej sali balowej, wirując pośród drżących płomyków, zupełnie jak w innym świecie.

Ale słuchaj, będzie pikantnie! Jestem okropnie niegrzeczną dziewczynką, nawet w porównaniu z Tobą! Po uwiedzeniu go w stajni w zeszłą sobotę, nieokiełznana i naga na sianie, tak jak to sobie zaplanowałam, wczoraj urwałam się wcześniej z biura i zaskoczyłam go w pracowni. Na szczęście nie był zajęty, usiłował tylko nareperować jakąś maszynę do pisania, więc zaczęłam przeglądać jego obrazy. Nie wiedziałam, czego się spodziewać, ale oczy mało nie wyskoczyły mi z orbit: dziwne kształty zasmarowane gryzącymi się kolorami, czerniami, szarościami i żółciami, przepołowione, obłąkane skrzypce, jakieś potworne postaci, pełne wypaczeń i deformacji.

– Co to ma być? – zapytałam go, zastanawiając się, czy zostawił te obrazy niedokończone.

– To sztuka współczesna, kochanie – odparł ze śmiechem. – Ostatni krzyk mody na kontynencie, podobnie jak w Londynie.

Potem natrafiłam na mniejszy szkic: kobiecy akt, niemal ulotna sylwetka, nakreślona rozmazanym węglem, subtelna i nieuchwytna.

– No proszę – rzuciłam od niechcienia. – A to kto taki?

Zastanawiał się przez chwilę.

– Pewna dziewczyna, którą znałem w Londynie.

Była kształtna i pełna życia, ale miała w sobie jakieś napięcie, stała, oglądając się przez ramię, jakby ktoś ją ścigał. Alastair wpatrywał się w nią w zadumie; chyba coś wspominał. Kim była ta dziewczyna?

Znasz mnie, Angie. Nie mogę znieść, kiedy mężczyzna woli inną kobietę ode mnie. Zatem pospiesznie wsunęłam obrazek między inne i uśmiechnęłam się zmysłowo.

– A może namalujesz mnie w ten sposób?

W pokoju zrobiło się upalnie, przez okienka wpadał do środka blask słońca, drobinki kurzu tańczyły niestrudzenie w powietrzu.

– Chcę, żebyś mnie namalował, żebyś mógł zawsze pamiętać mnie taką, jaką jestem teraz, zanim się zestarzeję. No, dalej – zakreśliłam się przed nim.

Roześmiał się.

– Venetio, doprawdy nie sędzę... Dziewczeta z twojej sfery nie robią takich rzeczy. Ostatecznie jesteś córką brygadiera.

– I co z tego! Skoro ja ci pozwalam, to nie ma o czym mówić. – Podeszłam do lustra nad kominkiem i rozpuściłam włosy. – Ta dziewczyna ci pozowała. Dlaczego ja miałabym tego nie zrobić?

– Ta dziewczyna była... – urwał, szukając odpowiedniego słowa. – Zupełnie niepodobna do ciebie, Venetio.

– Masz na myśli, że nie była przyzwoita? – Spojrzałam na niego przez ramię, potrząsając włosami.

– Mam na myśli, że była inna. Należała do cyganerii, obracała się w innych kręgach. Była starsza od ciebie.

– Zdajesz sobie sprawę, że mam osiemnaście lat?

– Owszem.

– Nie musimy nikomu mówić ani nikomu tego pokazywać – powiedziałam. – To będzie nasza mała tajemnica.

– Masz w oku jakiś niebezpieczny błysk, Venetio. – Alastair podszedł i zaczął bawić się kosmykiem włosów na mojej szyi.

– Zawsze go mam. – Uśmiechnęłam się kpiąco. – Na tym między innymi polega mój nieodparty urok.

Wiesz, jak to ze mną jest, kiedy się przy czymś uprę, a w jego odmowie było coś, co mnie korciło i prowokowało. Musiałam mu pokazać, że jestem tak samo śmiała i wyrafinowana, jak te jego dziewczeta z wielkiego miasta. I zapragnęłam być tak niesłychanie niegrzeczna – pozowanie nago jest znacznie bardziej odważne, niż seks, nie uważasz? Wyobraź sobie, co by na to powiedział mój ojciec!

Zacząłam niespiesznie zdejmować ubrania, obnażyłam najpierw jedno ramię, potem drugie, i niebawem moja suknia leżała na podłodze. Potem zsunęłam haleczkę i powoli ściągnęłam pończochy. Wiedziałam, że robi to na nim wrażenie, bo poskładał swoje obrazy i przyglądał mi się z uśmiechem.

– No dobrze, moja mała kokietko. Będziesz miała swój akt. – Przyczepił do sztalug czyste płótno i zaczął wybierać farby.

Ułożyłam się na grubym karmazynowym dywanie przed kominkiem, na boku, z nogami lekko podwiniętymi, w pozie dość skromnej, a jednocześnie cudownie naga. Czułam taką wolność, leżąc tam zupełnie bez niczego i widząc, jak jego oczy co kilka chwil przenoszą się na mnie, a spojrzenie koncentruje na moim ciele w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie zaznałam. Te części mojego ciała, które normalnie są zakryte, teraz odczuwały miękkość dywanu, świeżość wietrzyka wpadającego przez okno, obnażenie. Było niebiańsko.

Jednak gdy tak malował, poczułam, że jego uwaga odplywa, jakby znajdował się w innym świecie. Z marsową miną słuchał wiadomości w radiu. Jak na artystę i pacyfistę wykazuje doprawdy niezdrowe zainteresowanie wojną. Zdaje się stale słuchać wiadomości, szczególnie teraz, kiedy hitlerowcy wypierają naszych z Norwegii.

Czy ja oszalałam, Angie? Czy to niedorzeczne, że zakochuję się w kompletnie obcym człowieku? Każę mu się malować nago? Śmieję się, gdy pomyślę, co by powiedział papa, gdyby się dowiedział, co rzecz jasna nie nastąpi. Chciałabym, żebyś tu była i mogła się przekonać, jakim nadzwyczajnym mężczyzną jest Alastair. Wiem, że wszystko zaczęło się od naszego zakładu, ale nigdy bym nie przypuszczała, że zmieni się w – cóż, nigdy nie wiadomo, jak coś takiego się skończy, prawda? Wiem tylko, że on coś ze mną zrobił, Angie. Jakby sięgnął w głąb mnie i zawładnął moim sercem.

Napisz znów prędko i poradź mi coś, kochana. Och, mało brakowało, a bym zapomniała! Mamusia urodziła bardzo wątlęgo, za to obdarzonego wyjątkowo silnym głosem chłopczyka. Wszyscy są w siódmym niebie, jak się pewnie domyślasz, zwłaszcza papa, który potrzebował dziedzica, i mama, której zależało, żeby papa był zadowolony. Szczerze mówiąc, malec jest błogosławieństwem także dla mnie – wszyscy są tak nim zajęci, że nikt nie wie, gdzie jestem i co robię. Teraz, Angie, mogę żyć pełnią życia.

Ucałowania,

Venetia

LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY

Church Row 3,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Sobota, 4 maja 1940 r.

Kochana Claro!

Jestem tak wzburzona, że aż brak mi słów. Nie do wiary, że to wszystko doprowadziło do takiej katastrofy! Był późny wieczór, szykowałam się do spania po wyczerpującym dniu, kiedy rozległo się głośne pukanie do drzwi.

– Proszę mi opowiedzieć, jak to się stało. – To była ta namolna Tilling, która wpadła tutaj jak burza prosto z domu Hattie. – Czemu dziecko przestało oddychać?

Nie miałam ochoty zapraszać jej do mnie, bo mogłaby chcieć obejrzeć respirator, którego tam nie było, więc nalegałam, żebyśmy poszły omówić szczegóły do Hattie. Wyglądało na to, że ten babsztyl chce je omawiać na osobności – albo raczej móc swobodnie mnie oskarżać!

– Skoro będziemy mówić o Hattie, to chyba powinna być przy tym obecna – zauważyłam, popychając ją z powrotem na ścieżkę. Wiedziałam, że z tym argumentem nie da się dyskutować.

Zastałyśmy gospodynię w świeżej różowej koszuli nocnej. Dzielila uwagę pomiędzy naszą rozmowę a dziecko, które nazwała Rose, jak się dowiedziałam.

– Jestem dosyć zmęczona – powiedziałam z rozdrażnieniem, stając blisko drzwi małego saloniku Hattie, żeby w razie czego móc się szybko wymknąć. – Dwa porody jednego dnia, same panie rozumieją. Chociaż z małym Winthropów poszło łatwiej, w końcu to jej czwarte dziecko.

Pani Tilling przyglądała mi się z napięciem, chłonąc każdy mój gest, czyhając na najdrobniejsze potknięcie.

– Właśnie, i oba akurat tego dnia, kiedy byłam w Litchfield – wtrąciła. I zaraz zwróciła się do Hattie: – Przykro mi, że nie byłam w stanie cię w tym wesprzeć. – Widziałam, że ma autentyczne wyrzuty sumienia, że wybrała się na to spotkanie OSK. – Nie powinnam była cię zostawiać. – Przeniosła spojrzenie z powrotem na mnie i twarz jej spochmurniała. – Choć zdawało mi się, że Hattie ma przed sobą jeszcze co najmniej tydzień.

Poczułam ukłucie paniki na myśl o tym, że dziewczyna mogła powiedzieć jej

o brązowej flaszce i zamkniętej w niej cuchnącej zielonej miksturze.

– Nie powinna się pani obwiniać. OSK także pani potrzebuje. Tyle pani robi dla nas wszystkich.

– Ale zabrakło mnie w najważniejszym momencie – wyjąkała pani Tilling. – Nie było mnie tu wtedy, kiedy najbardziej mnie potrzebowałaś, Hattie. – Już myślałam, że wybuchnie płaczem, co byłoby istną wisienką na torcie mojego dnia, mniej więcej jak cios zdechłym szcurem prosto w kostkę. – Proszę opowiedzieć, co się wydarzyło, panno Paltry. Niech nam pani opowie, jak udało się doprowadzić do tego, że dziecko zaczęło prawidłowo oddychać.

– Cóż, kiedy dziecko się rodzi, zazwyczaj daję mu lekkiego klapsa i gotowe, maluch uderza w płacz. Ale ta kruszynka... – Nachyliłam się i pogłaskałam miękki policzek, spoczywający w zagłębieniu ramienia Hattie. – Ona ani pisnęła. Prawdziwy cud, że akurat byłam na miejscu i wiedziałam, co robić. I dysponowałam odpowiednim sprzętem. – Złożyłam dłonie wymownym gestem, dając do zrozumienia, że z moim doświadczeniem jestem warta sto razy tyle, co jakaś tam pani Tilling.

Na kilka chwil w powietrzu zawisła cisza, a potem Hattie zaczęła szlochać. Wiem, że podczas ciąży i porodu kobiety są bardziej niż zazwyczaj skłonne do łez, ale ta dziewczyna w ogóle nie myśli o innych. Miałam ochotę uderzyć ją po buzi i kazać wziąć się w garść. Dzieciakowi już nic nie jest. Powinna być zadowolona, że dostał jej się ten ładniejszy.

Pani Tilling domagała się, żebym szczegółowo zrelacjonowała jej ten długi, mozolny poród. Bycie położną to dla niej nowość i ma dużo zapału do nauki, więc uznałam, że chodzi jej raczej o zdobywanie wiedzy niż gromadzenie dowodów przeciwko mnie.

Dopiero pod koniec... Kiedy już kilkakrotnie omówiliśmy przebieg porodu, oznajmiłam po raz kolejny, że miałam długi dzień i naprawdę muszę wracać do domu.

– Odprowadzę panią do drzwi. – Pani Tilling wstała i ruszyła w stronę przedpokoju.

Przytrzymała mi drzwi, a ja wyszłam na dwór i owionęło mnie spokojne nocne powietrze. Przez jedną cudowną chwilę sądziłam, że moja gehenna się skończyła. Było ciemno, kaczki szykowały się do snu, szukając sobie wygodnego miejsca na brzegu stawu. Chłodny powiew pachnącego trawą wietrzyka sprawił, że ciałniej otuliłam się połamami swetra.

– Mam jeszcze tylko jedno pytanie – odezwała się pani Tilling, wychodząc za mną na ścieżkę. – Co to za lekarstwo, które podała pani dziś rano Hattie?

– Ach, to – odrzekłam. – To lek zmniejszający uczucie zmęczenia, chociaż wygląda na to, że koniec końców okazał się niepotrzebny!

– Mogłabym rzucić na niego okiem?

– Nie – warknęłam, ale po chwili opanowałam się i dodałam: – Skończył się, więc wyrzuciłam butelkę.

– Mogę obejrzeć pustą butelkę?

– Nee – wyjąkałam, tłumiąc uczucie paniki, która podchodziła mi do gardła, wijąc się jak jadowity wąż. – Chyba zostawiłam ją w Chilbury Manor.

Babsko spojrzało na mnie w zadumie.

– Nie sądzi pani, że to za sprawą tego leku zaczęła rodzić? Termin miała dopiero za tydzień.

– Nie jestem pewna – odparłam. – Możliwe, że pomyliły jej się daty. Dziecko jest całkiem duże jak na jej drobną posturę, i doskonale ukształtowane. Mała była zdecydowanie gotowa, żeby przyjść na świat dzisiaj, jak nie wcześniej. Dziesiątki razy miałam do czynienia z matkami, które same nie wiedziały, co się kiedy stało. – Popatrzyłam na nią i uśmiechnęłam się wymownie, podkreślając swoją wyższość w tej materii. – Dzieje się tak zwłaszcza w przypadku pierworódek.

Zerknęłam na drzwi do mojego domu.

– Naprawdę muszę już iść. – Poklepałam ją po ramieniu i ruszyłam ścieżką przed siebie.

Kiedy już znalazłam się w środku, oparłam się o drzwi i osunęłam na podłogę. Leżałam tam przez dłuższy czas, zwinięta w kablak, wyczerpana, skołowana i – muszę przyznać – wystraszona. To babsko ewidentnie coś zwęszyło. Mam tylko nadzieję, że nie będzie rozmawiać z panią Winthrop o jej porodzie. Dwa porody jednego dnia, z takimi samymi niewielkimi komplikacjami, niemal na pewno potwierdzą jej podejrzenia.

Dlaczego o tym nie pomyślałam?

Czemu nie pomyślałam o tylu rzeczach? Byłam na tyle głupia, by uznać, że będzie to równie łatwe, jak ukręcenie łba kurczakowi. Powinnam była lepiej to zaplanować, zastanowić się nad tym, jak zatrzeć za sobą ślady. Wiem przynajmniej, że znalezienie konkretnego dowodu będzie praktycznie niemożliwe. Musiałaby skojarzyć znacznie więcej szczegółów, żeby odtworzyć całą historię. Żołądek zaciska mi się w supeł na myśl o tym, że mogłabym znaleźć się na łasce tej koszarnej kobiety.

Albo brygadiera! Wiem, że musiałyby stanąć po mojej stronie, gdyby ta cała Tilling postanowiła wmieszać w to policję – ostatecznie on także mógłby przy tym oberwać. Ale jeśli się dowie, że ona coś podejrzewa, nigdy nie zobaczę drugiej połowy moich pieniędzy, a na dobitkę ten stary drań nie da mi żyć.

Miałam już tego wszystkiego powyżej uszu, więc stwierdziłam, że spróbuję o wszystkim zapomnieć i po prostu się przespać. Tyle że w uszach ciągle dźwięczą mi krzyki Hattie, błagającej, żebym nie zabierała jej dziecka.

Na razie postaram się robić swoje, nie wychylać się i czekać na pieniądze od

brygadiera. Jednak od tego wszystkiego ciarki mi chodzą po grzbiecie, i musisz mi obiecać, że spalisz ten list, gdy tylko skończysz go czytać. Ostatnimi czasy ściany mają uszy.

Dam znać, kiedy coś się wyjaśni,

Edwina

DZIENNIK PANI TILLING

Piątek, 10 maja 1940 r.

Dziś Niemcy dokonały inwazji na Holandię i Belgię. Czuję się niemal odrętwiała z przerażenia na samą myśl o brutalności i okrucieństwie tych ludzi. Teraz, kiedy są znacznie bliżej nas, prawie na pewno będą korzystać z baz lotniczych w Belgii i Holandii, żeby przeprowadzać naloty na Anglię, szczególnie tutaj, na południowym wschodzie. W następnej kolejności zaatakują Francję, a potem?

Nasz premier, pan Chamberlain, ustąpił ze stanowiska, ponieważ nie doceniał niebezpieczeństwa, jakie stanowi Hitler, i starał się go ugłaskać. Mówi się, że nowym premierem zostanie pan Churchill. Wszyscy wiemy, że Churchillowi zależy na doprowadzeniu do otwartej wojny, niezależnie od tego, że tamci są więksi, silniejsi i najprawdopodobniej wygrają. Czy on nie pamięta o milionach mężczyzn, którzy zginęli podczas ostatniej wojny? Co z Davidem? Czy straci życie na polu bitwy z powodu jakiegoś idiotycznego przekonania, że musimy spróbować?

– Winston Churchill znacznie lepiej nada się na czas tej wojny – zachichotała pani B., którą spotkałam w sklepie. – Co za bezwzględny stary buldog! Hitlerowcy boją się go jak ognia. To jedyne człowiek, który potrafi z nimi wygrać.

– Ale nie będzie w stanie ich powstrzymać. Napadną nas, tak samo jak wszystkich wokół. Lepiej chyba teraz wynegocjować warunki zawarcia pokoju?

– To przez takie gadanie wychodzimy na bandę tchórzy – odparła ostro. – Gdzie się podział pani duch bojowy?

Niepewnie pokiwałam głową i przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w stojące na półkach rzędy puszek z groszkiem, po czym wyszłam ze sklepu, nie kupiwszy niczego. Rzecz w tym, że nie mam bojowego ducha. Myśl o otwartej wojnie mnie przytłacza. Mam poczucie, że Anglia jest ptakiem, rannym w ostatniej bitwie, a nieopodal krąży bezwzględny kruk, gotów wypchnąć nas z gniazda i przejąć nad nim władzę.

Trzeba było jednak jakoś żyć dalej. Poza innymi wizytami musiałam zajrzeć do pani Winthrop i małego Lawrence'a. Brygadier stara się trzymać mnie z dala od niej; upiera się, że jego żoną ma się zajmować panna Paltry, co jest niedorzeczne, bo przecież ja mam dokładnie takie same kwalifikacje. Dziś jednak usłyszałam, że pan Winthrop wybiera się do Londynu, co oznaczało, że mam drogę wolną. Koniecznie musiałam usłyszeć, jak przebiegł jej poród, i przekonać się, jak to się

ma do historii Hattie. Dlatego zdecydowanym krokiem ruszyłam w stronę Chilbury Manor.

Pani Winthrop wyglądała na wycieńczoną.

– On bez przerwy płacze, biedactwo – pociągnęła nosem. – Niania mówi, że nigdy czegoś podobnego nie widziała.

– Obawiam się, że niektóre dzieci tak mają. Z czasem to minie. – Wzięłam chłopczyka na ręce, żeby go uspokoić. Ciemne włoski miał zlepione od potu. – Proszę opowiedzieć mi o porodzie. Czy panna Paltry podawała pani jakieś leki?

– Tak, jakieś zielone paskudztwo. Myślałam, że zwymiotuję, ale zaraz zaczęły się skurcze. Właściwie możliwe, że to ten lek je wywołał – wymruczała tak, jakby mówiła do siebie. – Ale najgorsze było, kiedy maleństwo przyszło na świat i panna Paltry musiała pobiec z nim do siebie do domu, bo miało problemy z oddychaniem.

Co takiego?, pomyślałam. Znowu problemy z oddychaniem?

– Widziała pani, że chłopiec nie oddycha?

– Nie, właściwie nie udało mi się zobaczyć go przed tym, jak położna go zabrała.

– Proszę opowiedzieć mi dokładnie, co się wydarzyło.

Pani Winthrop zaczęła rozplływać się nad tym, jak to panna Paltry uratowała życie małemu Lawrence'owi, zabierając go do swojego domu i używając respiratora. Trudno uwierzyć, żeby dwoje dzieci jednego dnia miało takie same kłopoty z oddychaniem. Może było to w jakiś sposób związane z tym lekarstwem? Ale niezależnie od tego, jak bardzo się dopytywałam, nie byłam w stanie dojść, o co mogło tak naprawdę chodzić.

Kiedy już wyszłam od pani Winthrop, okazało się, że pojawił się problem do rozwiązania. Jako że w Chilbury pełnię funkcję oficera do spraw zakwaterowania, jestem odpowiedzialna za wyszukiwanie wolnych pokoi dla osób ewakuowanych oraz wykonujących w naszej okolicy pracę związaną z wojną. Ponieważ nasza wieś jest oddalona o pięć mil od Centrum Dowodzenia w Litchfield Park, ciągle dostaję wezwania, żeby znaleźć kolejne łóżka dla ich pracowników. Teraz potrzebują jeszcze dwóch pokoi dla kadry kierowniczej. Dałam za wygraną dopiero po obejściu połowy domów w naszej wsi.

– A co z pokojem Davida? – wykrzyknęła pani B., kiedy zebrałyśmy się na próbę chóru. – Chłopak jest teraz we Francji. Nie widzę powodu, żeby jego pokój stał pusty, skoro zapotrzebowanie jest tak duże.

– Właśnie – dodała pani Quail. – Wszystkim wokół wciska pani Bóg wie kogo, a sama nie ma zamiaru kogokolwiek przyjąć.

– David dopiero co wyjechał. Chyba nie oczekują panie ode mnie, że oddam komuś jego pokój, ot tak? – Już myślałam, że wybuchnę płaczem, ale udało mi się szybko opanować. – W każdym razie jakoś nie widzę, żeby pani rozstawała się

z pokojem Henry'ego – odcięłam się pani B.

– Henry jest pilotem RAF-u i przyjeżdża do domu na przepustki – odparła wyniośle.

Nie mogę znieść jej gadaniny o tym, że piloci RAF-u to istna śmietanka wojskowości, tak jakby David był jakimś zerem, które spokojnie może zarobić kulkę czy dwie.

– Nie w tym rzecz – przyszła mi z odsieczą pani Quail, lecz za chwilę znów zwróciła się przeciwko mnie. – Ale pani Tilling nie może występować jako oficer do spraw zakwaterowania i uchylać się od użyczenia własnej kwatery. To nieuczciwe.

– Otóż to. Mówiła pani, że potrzebują pokoiów dla grubych ryb z Litchfield Park – wtrąciła pani B. – Ivy House to idealne miejsce dla kogoś, kto ciężko pracuje nad tym, żebyśmy wygrali tę wojnę. W dodatku dysponuje pani telefonem, a we wsi nie ma wielu domów, które mogą się tym pochwalić. Przyjęcie kogoś to pani obowiązek, moja droga.

– A czy pani B. przypadkiem nie ma telefonu? – zagadnęła pani Quail. – Z pewnością udałoby się pani znaleźć miejsce na grubą rybę.

Nagle na środku nawy jak spod ziemi wyrosła Prim.

– Miłe panie, czas na próbę.

Wszyscy umilkli i zajęli swoje miejsca, z wyjątkiem pani B., która nadal przeżywała po cichu uwagę pani Quail.

– Dziś musimy skupić się na przeciwczeniu przed konkursem *Ave Maria*. Zacznijmy od początku i zaśpiewajmy do końca refrenu.

Pani Quail zagrała przygrywkę, a potem coś się nam poplątało z początkiem, który wypadł fałszywie i zdecydowanie zbyt głośno.

– Co za bałagan! – stwierdziła Prim, kiedy dobrnęliśmy do końca. – Brakuje między wami równowagi. Spróbujmy zaśpiewać kilka arpeggiów.

Przećwiczyliśmy arpeggia, potem gamy, i zaczęłyśmy brzmieć trochę bardziej jak całość, choć wcześniejsza kłótnia wyraźnie wybiła nas z rytmu. W trakcie śpiewania jednej z gam pani B. rzuciła swoje nuty i wymaszerowała z kościoła.

– Dobrze, spróbujmy jeszcze raz z *Ave Maria* – zaproponowała Prim, nie zwracając uwagi na jej demonstrację.

Było lepiej, ale nadal nie dobrze.

– To zwyczajnie za trudne – jęknęła Kitty.

– Może powinnyśmy się wycofać – powiedziałam cicho.

– Nic z tych rzeczy – odparła wesoło Prim. – Damy z siebie wszystko, i to z przyjemnością, która niewątpliwie udzieli się także naszym słuchaczom. Być może nie wygramy, ale liczy się samo wzięcie udziału. To, że tam będziemy, że zostaniemy usłyszane. To, że żyjemy pełną piersią.

Uśmiechnęła się, a ja się zorientowałam, że też się uśmiecham. Kiedy się rozejrzałam, zauważyłam, że wszyscy wokół poweseleli. Prim miała rację. Nie chodzi o wygraną. Chodzi o znalezienie człowieczeństwa w obliczu wojny. O znalezienie nadziei, kiedy wszystko wokół nas się rozpada.

Nie wyłączając mojego ukochanego domku.

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL

Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Wtorek, 14 maja 1940 r.

Najdroższa Angelo!

Wiem, mówiłaś mi, żebym się w nim nie zakochiwała, ale ja po prostu nie potrafię nic na to poradzić. Minęło dopiero kilka tygodni, a jesteśmy praktycznie nierozłączni. Nabrałam zwyczaju wymykania się co wieczór po kolacji, żeby Alastair mógł dalej pracować nad moim aktem. Dużo rozmawiamy, jednak on jest wciąż okropnie tajemniczy, nigdy nie mówi nic na serio i zmienia temat za każdym razem, kiedy rozmowa schodzi na niego.

– Jak to się stało, że postanowiłaś zostać artystką? – spytałam go parę dni temu.

– To długa i nieciekawa historia, a ja nie chcę cię zanudzać, moja słodka Venetio.

Tak mnie nazywa. Słodką Venetią. Chyba do tej pory nikt tak na mnie nie mówił. To dość urocze, nie uważasz? Tak czy inaczej martwię się, że on ma mnie za naprawdę słodką, młodziutką i naiwną. Ciągle mu powtarzam, że słynę ze swojej nieobliczalności, ale on zwyczajnie nie sprawia wrażenia zaskoczonego tym, jaka jestem, zupełnie inaczej niż reszta. Słyszał wszystkie moje dowcipne uwagi i wydaje się, że grał już w tę grę tysiące razy. Mam takie uczucie, jakby widział prawdziwą Venetię, ukrytą wewnątrz mnie. I wiesz co, Angie? Ja nie chcę więcej udawać. Chcę być tą prawdziwą Venetią, nie tylko modną i zuchwałą, ale taką, która jest skomplikowana i autentyczna. I to właśnie Alastair otwiera mi na to oczy.

Wczoraj rozmawialiśmy o poezji i on ułożył wiersz o swojej miłości do mnie, tak piękny jak letni wiatr. Nie będę zanudzać Cię szczegółami, ale naprawdę, Angie, nic na świecie nie może równać się z tym, gdy mężczyzna, którego kochasz, wyraża Ci swoje uwielbienie w sposób tak żarliwy i wymowny.

Ma zainteresowania prawdziwego intelektualisty, rozprawia o greckiej filozofii i średniowiecznej polityce. Ciągle gra u niego radio, wypluwając z siebie najnowsze wiadomości z frontu. Raz Alastair zaszokował mnie, bo rozgniewał się

na coś, co powiedzieli. Chodziło o niemiecką inwazję na Belgię, która zaskoczyła naszych głównodowodzących. Hitlerowcy wykorzystali okrężną trasę, podczas gdy my byliśmy zajęci strzeżeniem tej bezpośredniej, którą posłużyli się poprzednim razem.

– Cóż za katastrofa! – mruknął pod nosem Alastair.

– Myślałam, że jesteś pacyfistą – rzuciłam od niechcienia.

Znów wziął do ręki pędzel, jakby właśnie sobie przypomniał, że tam jestem.

– Oczywiście, że tak. Tylko co z nas za banda idiotów, żeby tak nie doceniać hitlerowców, doprawdy.

– To może sam się zaciągniesz? Przekonasz się, czy potrafisz lepiej?

– Kochanie, czyżbyś próbowała się mnie pozbyć? – odparł żartobliwie melodyjnym głosem. – Na zawsze usunąć mnie ze swego życia? – Urwał i znów spojrzał na mnie, leżącą przed kominkiem. – Och, Venetio! – powiedział z łagodnym rozbawieniem. – Czy ty wiesz, jaka jesteś piękna?

Musiałam spojrzeć na niego w szczególny sposób, bo nagle coś go naszło, odłożył pędzel, obszedł sztalugi i położył się na dywanie obok mnie, przyciągając moje nagie ciało do swojego, ubranego od stóp do głów.

– Venetio, potrzebuję cię – wyszeptał mi do ucha, tak otwarcie i wprost, że odebrało mi mowę. – Ja potrzebuję ciebie, a ty mnie. Musimy być razem.

Odsunęłam się i spojrzałam w jego ciemne, przepastne oczy. Dostrzegłam w nich powagę, która była jednocześnie rozbijająca i nieodparcie pociągająca.

Angie, to wszystko było radosne, a zarazem w dziwny sposób troszeczkę przerażające. Kiedy odwzajemniłam jego spojrzenie, poczułam się tak, jakby nagle otwarło się we mnie coś zupełnie nowego, jak rozkwitające w jednej chwili pąki wiśni, i wszystko inne zdawało się znikać, wszystkie miłości, intrygi i chłopcy, wszystkie gierki i romansiki. Nagle zrozumiałam, że to o to chodzi. Wreszcie znalazłam swoją drugą połowę.

Teraz muszę tylko poznać jego tajemnice.

Tymczasem mam dla Ciebie trochę wiejskich ploteczek. Hattie dała córeczce na imię Rose, po swojej biednej mamie. Zaprosiła do siebie Chilburyjski Chór Żeński, żeby uczcić narodziny maleństwa odrobiną sherry i kilkoma piosenkami. Okropnie się przejmujemy tym sobotnim konkursem, więc na spotkaniu panowała raczej atmosfera cichej nadziei niż typowych dla nas sprzeczek, chociaż pani B. nadal twierdzi z przekonaniem, że to jedna wielka żenująca pomyłka. Kitty jest dla odmiany wyjątkowo miła, ale to pewnie dlatego, że wciąż napawa się swoim solowym zwycięstwem.

Hattie wyjęła prześliczne maleństwo z łóżeczka i usiadła na kanapie obok mnie.

– Jest cudowna – powiedziałam. I bodaj pierwszy raz w życiu naprawdę tak uważałam. Rose to najpiękniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek widziałam. Nawet

Ty uznałabyś ją za ósmy cud świata, z tymi jej wielkimi niebieskimi oczami i rozkosznym bezzębnym uśmiechem.

– Jak dziwnie patrzeć na ciebie taką dorosłą, z dzieckiem na ręku – odezwałam się do Hattie. – Mam wrażenie, jakbyśmy dopiero wczoraj zawierały we trzy tamten pakt w Czarcim Kole, że będziemy trzymać się razem, choćby nie wiem co. Jakie śmieszne się to teraz wydaje.

– To rzeczywiście było dawno temu – uśmiechnęła się Hattie, a ja nagle poczułam, że znów jest mi bardzo bliska. – Venetio, chciałabym, żebyś została matką chrzestną Rose. Victor i ja przez ostatnie parę miesięcy omawialiśmy to w listach, i oboje uważamy, że to najlepszy wybór – oznajmiła. – Jestem pewna, że gdy Rose podrośnie, pokocha cię tak samo, jak ja ciebie kocham.

– A ja ciebie – odrzekłam prędko, ogromnie wzruszona i oszołomiona. – Dziękuję, Hattie. Tak się cieszę, że będę jej matką chrzestną. Jaki cudowny pomysł. Dopilnuję, żeby nigdy nie spotkała jej żadna krzywda.

Spojrzałam na to piękne maleństwo i muszę przyznać, Angie, że na widok mojej najdawniejszej przyjaciółki, która urodziła takiego aniołka jak Rose, zaczęłam myśleć, czy sama nie chciałabym mieć dziecka. Jestem przekonana, że nadzwyczajny pan Slater byłby najlepszym z ojców, a Ty?

Hattie jest niesłychanie dzielna, ale wiem, że okropnie się boi o Victora. Aż do przyszłego roku ma pływać po Atlantyku, a ona dostaje od niego wiadomości nie częściej niż raz na miesiąc. Co tydzień słyszy się, że jakiś statek został storpedowany. Jestem pewna, że Hattie zastanawia się, czy on w ogóle wróci, czy mała Rose będzie się wychowywać bez ojca.

Och, jak cudownie byłoby urodzić się za pięćdziesiąt lat, kiedy to wszystko już się skończy i znów będzie normalnie. Wyobraź sobie, jak świat by wtedy wyglądał! Czy będziemy szczęśliwymi mężatkami z dorosłymi dziećmi, które będą już miały własne dzieci? A może okaże się, że zdobyłyśmy sławę, dokonałyśmy jakiegoś śmiałego czynu albo nadzwyczajnego wynalazku? Oczywiście przy założeniu, że jeszcze tu będziemy, że nasz kochany kraj jakoś to wszystko przetrwa.

Wiem, uważasz, że jestem głupia, skoro się w nim zakochałam, ale Angie, może ja po prostu nie jestem taka jak Ty, uwodząca pracowicie każdego mężczyznę w Londynie. Może ja potrzebuję czegoś innego, czegoś własnego. Niebawem napiszę znowu.

Venetia

DZIENNIK PANI TILLING

Czwartek, 16 maja 1940 r.

Gruba ryba z Litchfield Park zakwaterowana w moim domu zjawiała się dziś po południu, wywołując niemałe zamieszanie. Nowy lokator miał przyjechać w przyszłym tygodniu, toteż słysząc dzwonek, pomyślałam, że to listonosz, i bardzo się zdenerwowałam (biedny listonosz jest ostatnimi czasy heroldem złych wieści). Kiedy jednak otworzyłam drzwi, ujrzałam stojącego w strugach deszczu niezwykle wysokiego człowieka w średnim wieku. Jego płaszcz przeciwdeszczowy był przemoczony i oblepiał zwalistą sylwetkę mężczyzny. Kiedy zdjął ociekający wodą kapelusz, odsłonił posklejane brązowe włosy i dużą, gąbczastą twarz z nosem, który wyglądał, jakby złamano go co najmniej raz.

– O – wyjąkałam, patrząc na niego oskarżycielskim wzrokiem. – Nie jest pan listonoszem.

– Nie. Czy mogę wejść? – zapytał z irytacją, po czym przepchnął się do hallu, usiłując otrzepać się z deszczu. Sfatygowaną walizkę postawił u podnóża schodów.

– Czy mogę spytać, kim pan jest? – odezwałam się rozzłoszczona.

– Pułkownik Mallard – wymamrotał.

– Tak jak ta kaczka³? – upewniłam się. Nie wyglądał na pułkownika. Miał na sobie cywilne ubranie i szczerze mówiąc, był bardziej niż nieco zaniedbany.

Skinał głową, prześlizgując się spojrzeniem po zniszczonym hallu. Kłopoty ze znalezieniem kogoś do służby odbijają się na stanie mojego nieszczęsnego domu, choć wiadomość o odejściu pani Peck przyjęłam w gruncie rzeczy z ulgą, bo doprawdy nie byłam już w stanie dojść, kto tu komu wydaje polecenia.

– Obawiam się, że trochę mi się spieszy – odezwał się pułkownik, zwracając się w stronę schodów.

Spiorunowałam go wzrokiem, zastanawiając się, co ten człowiek wyprawia.

– Cóż, nie wiem, dokąd się panu tak spieszy ani co to ma wspólnego ze mną, byłabym jednak wdzięczna, gdyby zechciał mi pan powiedzieć, co tutaj robi.

– Zostałem tu zakwaterowany. – Przetrzęsnąwszy nerwowo kieszenie, wyciągnął z jednej z nich mokry, wygnieciony list i mi go wręczył.

– Ach tak! – Rzuciłam na niego okiem. – Powiedziano mi, że mogę się pana spodziewać w przyszłym tygodniu. Pański pokój nie jest jeszcze gotowy.

– No cóż, wobec tego będę musiał się zadowolić tym, co jest, nieprawdaż?
– odparł, zerkając ze zniecierpliwieniem w stronę schodów.

Ruszyłam na górę, słysząc za sobą ciężkie kroki mężczyzny. Myśl o tym, że

ten człowiek zajmie pokój mojego syna, była dla mnie nie do zniesienia. Uchyliłam drzwi, po raz ostatni zajrzałam do środka i zaczerpnęłam ostatni haust powietrza w sypialni Davida, zanim zaczniesz należeć do kogoś innego.

Pułkownik mierzył dobrze powyżej sześciu stóp i kiedy wszedł do pokoju, ten nagle wydał się bardzo mały. Szybko ruszyłam w stronę drzwi, czując coś na kształt lekkiej klaustrofobii.

– Gdyby pan czegoś potrzebował, będę na dole – powiedziałam i zniknęłam, żeby nie zauważył, że zbiera mi się na płacz.

Co za okropny człowiek! Choć przypuszczam, że mogło być znacznie gorzej; gdyby na przykład było go czuć obornikiem albo gdyby gwizdał, albo, co gorsza, zapragnął zamieszkać w moim salonie. Dziwnie będzie dzielić dom z obcym mężczyzną, zupełnie inaczej niż z Davidem i towarzyszącą mu atmosferą łagodnego ciepła. Zaczęłam się zastanawiać, co pułkownik Mallard robi w Litchfield; boję się, że możemy przegrać tę wojnę, jeśli tak przedstawia się ogólny stan naszej kadry kierowniczej. Doprawdy nie wygląda na jedną z tych „grubych ryb” pani B. Jest zdecydowanie zbyt zaniedbany i chaotyczny, jak wielkie stare kartonowe pudło.

Kiedy zaczęłam obierać ziemniaki na obiad, myśląc o tym, żeby zajrzeć do Hattie, usłyszałam, jak otwierają się drzwi na górze, i przez ułamek sekundy byłam przekonana, że to David, i że za chwilę w hallu rozlegnie się jego wesoły głos:

– Mamo, to ja będę zmykał!

Odgłos ciężkich kroków na schodach przywrócił mnie do rzeczywistości.

– Proszę pani – odezwał się mój nowy lokator.

– Panie pułkowniku – odrzekłam, wybiegając z kuchni i wycierając ręce w fartuch. – Będzie pan chciał jadać tu kolacje? Jeśli tak, poproszę o pana książeczkę z kartkami żywnościowymi.

– Nie, zjem w stołówce – powiedział, po czym dodał oficjalnym tonem: – Dziękuję pani.

Wyciągnął w moją stronę postrzępiony tornister. Natychmiast go rozpoznałam: należał do Davida, musiałam go przeoczyć, kiedy zaczęłam sprzątać pokój na przyjazd lokatora. Z rozdrażnieniem wyrwałam mu tornister. Dlaczego ten człowiek nie może po prostu zostawić wszystkiego w spokoju?

– Coś jeszcze? – zapytałam, pragnąc rozpaczliwie, by sobie poszedł. On jednak stał jeszcze przez chwilę, patrząc na mnie nieobecny wzrokiem, jakby usiłował sobie przypomnieć, czy wszystko ma, po czym odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia, mamrocząc pod nosem „do widzenia”.

Zamknęłam za nim drzwi i w odrętwieniu powlokłam się do kuchni. Przez okno nad zlewem widać zrujnowaną wieżę kościoła; jeśli wdrapać się na nią w pogodny dzień, można zobaczyć żółto-brązowe blanki i wieżyczki Uniwersytetu Litchfieldzkiego. Stałam i myślałam o tym, jak przez lata moje marzenia się

kurczyły: od czasów kiedy byłam młoda i marzyłam o studiach, poprzez poznanie Harolda i tęsknotę do posiadania własnej rodziny, aż po śmierć Harolda, po której mój świat zaczął się obracać wokół Davida, jedyne światła w moim smutnym życiu.

Teraz zaś moim jedynym marzeniem jest, by mój syn nie zginął. Wszystko inne, nie wyłączając tego intruza, nie ma znaczenia.

Postanowiłam pójść na szybki spacer, żeby uspokoić wzburzone nerwy, i znalazłam się w kościele. Usiadłam w tylnej ławce po lewej stronie. Starłam się jakoś poskładać i zrozumieć ten nowy świat, który mnie otaczał.

– Wszystko w porządku? – za mną odezwał się głos, który natychmiast rozpoznałam jako należący do Prim.

– Tak, usiłuję tylko pogodzić się z myślą o tym, że w moim domu mieszka pewien dziwny pułkownik. Dostał taki przydział.

– Zanim znalazłam domek na Church Row, mieszkałam u uroczego starszego pana. Do tej pory zagląda do mnie niekiedy na herbatę. Może z czasem poznać się lepiej i okaże się, że pułkownik nie jest taki zły.

– To taki gburowaty mruk, że nie mogę sobie wyobrazić, żebyśmy się polubili. Będę starała się znaleźć mu pokój gdzie indziej.

– Jestem pewna, że jeśli poświęci pani trochę czasu i z nim porozmawia, wyjdzie na jaw, że jest taki sam jak pani, pani syn, czy każdy inny człowiek. Mamy wojnę. Czemu nie spróbować dać mu szansy?

W jej oczach zamigotał uśmiech, a ja nie potrafiłam go nie odwzajemnić.

– To rozumiem – powiedziała dyrygentka i dalej uwijała się po kościele, wnosząc nuty i pulpity.

– Prim – odezwał się, kiedy przemykała obok mnie. – To, że pani się tu zjawiała i wskrzesiła nasz chór, było dla nas ogromnie pokrzepiające. Naprawdę wierzy pani, że wspólne śpiewanie pomoże nam przetrwać tę makabryczną wojnę?

– Muzyka daje nam szansę przekroczenia siebie, oddalenia się od naszych zmartwień i tragedii, pozwala zajrzeć do innego świata, zobaczyć wszystko z innej perspektywy. Kadencje i piękne zmiany akordów, każda z nich to szansa na poczucie nowego rodzaju cudowności.

– Chciałabym mieć do czegoś tyle zapału co pani – mruknęłam.

– Ależ ma go pani. Zdecydowanie. Może nie do muzyki, ale do innych rzeczy. Powinna pani tylko postarać się to dostrzec.

– Nie mam pojęcia, jak to uczynić – odparłam posępnie.

– No cóż, zacznijmy od rozweselenia pani odrobiną śpiewu.

Wzięła mnie pod rękę i poprowadziła do przodu. Ustawiła mnie pośrodku prezbiterium, cofnęła się i opadła na jedno z miejsc w pierwszym rzędzie.

– Niech pani coś zaśpiewa. Proszę otworzyć serce i zaśpiewać. Niech pani wybierze swoją ulubioną pieśń.

– To *Ślubuję Ci, Ojczyzno*⁴ – powiedziałam, nabierając animuszu na myśl o tej potężnej pieśni. – Ale nie mogę tak po prostu zaśpiewać tego tutaj, całkiem sama.

– Nie ma tu nikogo poza mną. Nic się nie stanie, jeśli coś pani nie wyjdzie.

Wyobraziłam sobie przygrywkę na organach i zaczęłam nucić ją cicho, a potem otworzyłam usta i zaśpiewałam pierwsze, wzruszające słowa, które rozległy się dźwięcznym echem w apsydzie.

*Ślubuję Ci, Ojczyzno, nad wszystko w świecie droższa mi,
Żarliwy hold i służbę miłości wiernej aż do krwi.*

Tę pieśń śpiewano na pogrzebie mojego ojca, podobnie jak na pogrzebach tylu innych mężczyzn, którzy polegli w Wielkiej Wojnie. Później wykonywaliśmy ją znów na pogrzebie mojej matki, a potem Harolda. I kiedy śpiewałam ją sama w kościele, nagle poczułam jej grozę. Zdałam sobie sprawę, że te wszystkie śmierci mnie osaczyły, że pozwoliłam im przejąć nad sobą władzę.

A teraz widzę, że przyszedł czas, by pozwolić im odejść.

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Sobota, 18 maja 1940 r.

Konkurs

Cóż za niezwykły wieczór! Kochany pamiętniczku, jestem całkowicie wyczerpana, ale po prostu nie mogę się położyć, zanim nie opiszę Ci wszystkiego od samego początku.

Nasza grupka zgromadziła się na placu i całe w nerwach czekałyśmy na autobus, który się spóźniał. Ledwie zauważyłyśmy spadające wokół nas pierwsze krople deszczu, tak byłyśmy przejęte tym, czy dotrzemy na czas, nie mówiąc już o tym, jak zaśpiewamy.

– Zostaniemy upokorzone przed całym hrabstwem – powtarzała pani B., która wciąż nie potrafi pogodzić się z faktem, że teraz jesteśmy chórem żeńskim.

– Przecież i tak byłybyśmy chórem żeńskim, czy się nam to podoba, czy nie – warknęła pani Quail. – We wsi nie ma mężczyzn. A może wolałaby pani w ogóle nie mieć chóru?

– Jesteśmy grupą uczciwych kobiet, droga pani. Nie jakimś frywolnym widowiskiem – odcięła się pani B., po czym przepchnęła się, żeby być na początku kolejki, bo autobus zahamował gwałtownie na placu. – Lady Worthing z pewnością będzie miała na ten temat niejedno do powiedzenia, nie wspominając o arcybiskupie.

– To po co pani w ogóle jedzie? – Pastorowa weszła do autobusu tuż za nią.

Pani B. odwróciła się gwałtownie.

– Ktoś musi być świadkiem tej katastrofy.

Pani Tilling miała taką minę, jakby ktoś miał jej zaraz powyrywać paznokcie.

– Po prostu za mało ćwiczyłyśmy. Nie wiem, co „Litchfield Times” napisze o chórze żeńskim, ale gdybyśmy były wyjątkowo dobre, pochlebny artykuł na pewno by pomógł.

– W każdym razie warto spróbować – odezwałam się, by dodać wszystkim otuchy. Odpowiedziały mi tylko przerażone miny i drwiące spojrzenia. Silvie siedziała przyklejona do mnie i szeptała: „Wszystko będzie dobrze” wyjątkowo nieprzekonującym głosem. Kocha ten chór tak samo jak ja i bardzo mi pomagała w ćwiczeniu mojej solówki, stanowiąc pełną uznania i tylko z rzadka krytyczną

publiczność. Jedynie Venetia sprawiała wrażenie nieporuszonej. Odkąd w jej życiu pojawił się pan Slater, moja siostra żyje we własnym świecie. Bierze udział w tym konkursie tylko dlatego, że zdjęcia chórów znajdują się w gazetach.

W końcu dojechaliśmy. Katedra w Litchfield wygląda jak czarodziejski zamek z krainy baśni, z tymi swoimi spiczastymi iglicami i ozdobnymi przyporami. Otaczają ją róże w najbledszych odcieniach różu i żółci, niewiarygodnie wspaniałe i szalenie romantyczne. Architekt musiał być zakochany. Postanowiłam, że to tutaj weźmiemy z Henrym ślub.

Dziś jednak róże miały zwieszane główki, deszcz lał jak z cebra, a my dołączyliśmy do tłumu ludzi cisnących się do wejścia. Pani B. utorowała sobie drogę przez zatłoczony przedsionek, żeby obejrzeć listę przypiętą na tablicy ogłoszeniowej.

– Będziemy ostatnie – oznajmiła zdyszczanym głosem, kiedy do nas dołączyła.

– To dobrze – skomentowała radośnie pani Quail. – Będziemy mogły obejrzeć konkurencję i zobaczyć, kogo mamy pokonać.

– Nic podobnego – odcięła się pani B. – O tej porze będziemy miały praktycznie zrujnowane głosy. Z każdą chwilą wyraźniej widzę, że ten występ to jedna wielka katastrofa.

W odpowiedzi zabrzmiał teatralny głos Prim:

– Zakończymy ten wieczór wysokim C.

Zajęliśmy miejsca w ogromnym kamiennym wnętrzu. Śliczne okna witrażowe zostały zakryte, czułyśmy się więc jak w jakiejś gigantycznej podziemnej norze.

Kiedy katedra się zapełniła, podobny do gнома biskup Litchfield wyszedł na środek i poprosił o ciszę głosem o tak nosowym brzmieniu, że zaczęłam się zastanawiać, czy jego druciane okulary nie są przypadkiem za ciasne. Szybko przedstawił nadętego burmistrza, spowitego w czerwoną togę, który zaczął długą, pompatyczną mowę o pociesze, jaką niesie śpiew w obliczu grozy wojny. Użył w niej wyrażen „pokrzepienie serc”, „niepoddawanie się” oraz „jutrenka lepszego jutra”. Od kiedy pan Churchill zaczął wygłaszać w radiu te wspaniałe przemówienia, wszyscy próbują go naśladować.

W konkursie brały udział cztery chóry; pozostałe trzy były chórami mieszanymi. Mieliśmy śpiewać po kolei, potem miała nastąpić krótka przerwa na poczęstunek, a po niej ogłoszenie wyników.

Drżąc w swoich pantofelkach, zerknęłam na Prim. Wyglądała na bardzo zadowoloną z siebie, dłonie miała złożone na krągłym brzuchu, oczy jej błyszczały, a uśmiechnięte usta układały się w literkę „V”. Choć uważam, że to najlepsza dyrygentka w całym kraju, nie mogłam opanować dręczącego podejrzenia, że może jednak nie jesteśmy na to gotowe. Może Litchfield nie jest gotowe na chór żeński. Wtedy ona złapała mnie na tym, że się jej przyglądam, i mrugnęła do mnie

ukradkiem. W tym momencie zrozumiałam, że wszystko będzie dobrze. Z nią u steru na pewno sobie poradzimy.

Zaczęła się ulewa, która bębniła o dach i ogarniała nas, jakbyśmy wszystkie chroniły się pod jednym parasolem. Nagle pod wysokim sklepieniem katedry rozległ się łoskot gromu, a my zbiłyśmy się w gromadkę, wystraszone, podczas gdy pozostałe chóry maszerowały w stronę apsydy, gotowe do występów.

Nasi przeciwnicy

Mały Chór Riseholmski – zaśpiewali bardzo ładnie *Jesu, Joy of Man's Desiring*.

Ogromny Chór Litchfieldzki – niewiarygodnie dobry; byliśmy zgodne co do tego, że wygrają (pojawiły się kolejne sugestie, że powinniśmy się wycofać).

Chór Beltoński – niezbyt dobry, co dodało nam otuchy, bo stwierdziłyśmy, że może nie będziemy najgorsze.

Potem przyszła kolej na nas. Kiedy biskup nas zapowiadał, serce tłukło mi się w piersi jak kastaniety. Po kościele przeszedł pomruk – ludzie bez wątpienia chcieli się upewnić, czy dobrze usłyszeli.

– Czy on powiedział „Chilburyjski Chór Żeński”? – odezwał się ktoś za nami ze zdumieniem w głosie. Skierowałyśmy na Prim udręczony wzrok, ale ona już stała zwarta i gotowa do wymarszu, pokazując nam, żebyśmy ruszały za nią.

Siedziałyśmy przerażone, kuląc się na krzesłach niczym stadko królików podczas polowania.

Wtedy niespodziewanie rozległ się ogłuszający grzmot. Wszyscy jak jeden mąż zamilkli i spojrzeli w stronę sklepienia, gdzie światła zamrugały raz i drugi, po czym zgasły. Otoczyła nas nieprzenikniona ciemność, taka, przy której człowiek czuje się, jakby miał zamknięte oczy, chociaż wie, że są otwarte.

Ludzie zaczęli szeptać do siebie gorączkowo.

– Teraz możemy przynajmniej iść do domu – prychnęła pani B. – I uniknąć tego koszmarnego upokorzenia.

W tym momencie dał się słyszeć nosowy głos biskupa.

– Proszę się nie martwić. Niech wszyscy zostaną na swoich miejscach, za chwilę przyniesiemy świece.

Szepty przybierały na sile. Po chwili za naszymi plecami rozblęskło światełko – ktoś niósł na ołtarz pojedynczą świecę. Trzymała ją mniej więcej dziesięcioletnia dziewczynka, która szła powoli naprzód, osłaniając płomyk ręką, żeby jakiś powiew go nie zdmuchnął. Za nią pojawiła się inna dziewczynka, kilka lat starsza, potem kobieta, następnie kolejne osoby; wszyscy nieśli zapalone świece, szli wzdłuż nawy i rozdzielali się na wysokości ołtarza, żeby umieścić po światełku

w każdym ciemnym kącie. Po kilku minutach świece najróżniejszych kształtów i wielkości paliły się w całym ogromnym starodawnym wnętrzu. Niektóre były osadzone w srebrnych i złotych świecznikach, inne wyglądały jak wysokie śnieżnobiałe kolumny. Wkrótce po katedrze rozniosła się woń setek płonących knotów, a stare posągi ożyły za sprawą niezliczonych ruchliwych cieni.

– Uda nam się zaśpiewać? – wyszeptalam. – Co z organami? Bez prądu nie da się na nich grać.

– Poradzimy sobie bez nich – odrzekła Prim beztrąsko, jakby to wszystko była niezła heca, a nie totalna katastrofa.

– Skąd będziemy wiedziały, z jakiego dźwięku mamy zacząć? – zapytałam z przerażeniem w głosie. Nie byłyśmy nawet porządnie przygotowane do występu, a tu jeszcze to!

– Podam dźwięk altom, bo one wchodzi jako pierwsze, a potem obawiam się, że soprany będą musiały oprzeć się na nim, żeby trafić w swój. Kitty, trzeba będzie zdać się na twój nadzwyczajny słuch. – Uśmiechnęła się do mnie szeroko, a ja poczułam naraz uniesienie i panikę.

Wstałyśmy cicho; bębnienie deszczu zagłuszało odgłos odsuwanych krzeseł i naszych kroków, gdy szłyśmy w stronę ołtarza i zajmowałyśmy miejsca na stopniu. Nuty zaszeleściły w naszych drżących ze zdenerwowania dłoniach. Prim uniosła pałeczkę w górę i obrzuciła każdą z nas jasnym spojrzeniem swoich wielkich oczu. Sprawdziała, czy jesteśmy gotowe. We wszechogarniającej ciszy usłyszałyśmy, jak nuci pojedynczy dźwięk, który popłynął poprzez światło świec niczym mała srebrna strzałka. Zobaczyłam, jak wzrok dyrygentki spotyka się z oczami pani Tilling. Prim skinęła głową – skoro pani Tilling uchwyciła właściwy dźwięk, to wiadomo, że alty sobie poradzą. Dyrygentka uniosła pałeczkę, zamknęła oczy niczym w modlitwie, a kiedy opuściła ręce, w całym kościele zabrzmiał czysty, pewny głos pani Tilling i otoczył zgromadzonych ciepłym blaskiem. Pozostałe alty dołączyły do niej, budując pełny, harmonijny dźwięk.

Skamieniałam z przerażenia. Soprany będą liczyć na mnie, że je wprowadzę. Wydawało mi się, że mam tę nutę – wiedziałam, że ją mam – ale czy znajdę w sobie dość odwagi, żeby ją zaśpiewać? A jeśli tylko otworzę usta, i nic z nich nie wypłynie?

Wtedy jednak nadszedł ten moment. Prim zmrużyła oczy, spoglądając na mnie. Uniosła ręce, po czym je opuściła. Wskazała na mnie zarówno pałeczką, jak i palcem drugiej ręki, a ja usłyszałam, jak nasz pierwszy dźwięk niesie się poprzez migotliwą poświatę. Czysty niczym kryształ. Ktoś inny musiał go zaśpiewać, pomyślałam, aż nagle uświadomiłam sobie, że słyszę własny głos. Spojrzałam na Prim, modląc się w duchu, żeby to była właściwa nuta, ale dyrygentka miała zamknięte oczy, a na jej twarzy gościł błogi uśmiech. Dźwięk rósł i potężniał – do mojego głosu dołączyły pozostałe soprany. Zrobiłam to! Ja, Kitty Winthrop.

Uratowałam chór. Zalała mnie fala szczęścia; zrozumiałam, że Prim dostrzegła mój talent, że słusznie we mnie wierzyła. Stałam na wysokości zadania i sprawiłam, że chór jest ze mnie dumny.

Nasz śpiew, samotny i piękny bez towarzyszenia organów, wzbił się pod sklepienie posepnego, mrocznego kościoła, przeplatając głosy, wspinając się coraz wyżej i namiętniej, aż do zapierającego dech w piersiach punktu kulminacyjnego. To było wspaniałe, anielskie, nawet ja to słyszałam.

Moje solo było pierwsze. Poczułam, jak momentalnie zasycha mi w gardle, kiedy refren dobiegł końca, wyznaczając miejsce, w którym powinnam wejść. Oczy Prim spoczęły na mnie, pałeczkę miała uniesioną, i w tym momencie otworzyłam usta, żeby zabrzmiał pierwszy dźwięk. *Ave Maria*. Weszłam odrobinę za wolno – trema robiła swoje – ale najwyższe nuty były czyste, pewne i niezachwiane. Zawisły w powietrzu, oczy wszystkich były utkwione we mnie. Śpiewałam dalej, dźwięki popłynęły w dół, a ja nagle poczułam zachwyt, jakby ten utwór do mnie należał, i zaśpiewałam tak, jakby był częścią mnie, płynął z jakiegoś tajemniczego źródła, ukrytego głęboko wewnątrz mnie.

Skończyłam, pozwalając ostatnim dźwiękom powoli przycichnąć, i zobaczyłam oczy Prim, która skinęła głową. Zrozumiałam, że nie mogłam lepiej tego zaśpiewać. W życiu nie śpiewałam lepiej.

Wokół mnie przepięknie zabrzmiał refren, a potem zaczęłyśmy spoglądać na panią Tilling, której solo było następne. Przed występem była okropnie zdenerwowana; powtarzała, że nie chce nas zawieść.

– Ależ nie zawiedzie nas pani – odparła Prim. – Musi pani zaufać swojemu głosowi.

Refren dobiegł końca. Patrzyłam, jak dyrygentka spogląda na panią Tilling, unosi pałeczkę i ją opuszcza. Głos pani Tilling był nadzwyczajny, głęboki, dojrzały i łagodny jak późna letnia noc. Zatrzymała się na chwilę przed najwyższym dźwiękiem, sprawiając, że zabrzmiał jeszcze bardziej przejmująco i pięknie, a kolejne nuty zdawały się płynąć niczym złoto, prosto z jej serca.

Reszta chóru dołączyła, by zaśpiewać ostatni refren; znów otoczyła nas cudowna pełnia dźwięku. A potem ogarnął nas spokój falujących powoli końcowych nut, które rozpląnęły się w niesamowitej ciemności.

W katedrze zapadła cisza, słychać było tylko bębnienie deszczu rozlegające się echem w apsydzie.

I nagle zaczęły się oklaski, które stopniowo potężniały i były coraz gorętsze. Spostrzegłam, że po twarzy spływa mi łza. Udało nam się! Mnie się udało!

Kiedy wracałyśmy na swoje miejsca, Prim posłała mi spojrzenie pełne wdzięczności, a ja poczułam, że rozpiera mnie radość. Nie dbałam o to, czy wygrałyśmy, czy przegrałyśmy. Uratowałam sytuację, tak samo jak pani Tilling.

Nosowy biskup znów pojawił się na środku.

– Obawiam się, że będziemy musieli zrezygnować z poczęstunku ze względu na kurczące się zapasy świec. Uprasza się więc o pozostanie na miejscach jeszcze przez kilka minut, a wkrótce zostaną ogłoszone wyniki.

Wszyscy zaczęli szeptać między sobą, z wyjątkiem pani B., która oznajmiła głośno, że pani Gibbs przez cały występ fałszowała i że jeżeli przegramy, to przynajmniej będzie wiadomo, komu możemy za to podziękować.

– Chyba że zostaniemy wyeliminowane za brak mężczyzn – prychnęła na koniec.

– Nie mamy się czym martwić. – Uśmiechnęła się Prim, a ja nagle zwątpiłam, czy ona wie, jak to jest na prowincji, jak bardzo wszyscy są tutaj przywiązani do tradycji. Istnieje takie przekonanie, że należy robić wszystko tak, jak zawsze się robiło, nawet jeśli nie ma to sensu. To naczelna zasada życia na prowincji. Zwłaszcza w Litchfield.

Chwilę później nosowy biskup wrócił na środek, tym razem z burmistrzem u boku, żeby ogłosić wyniki. Burmistrz zabrał się do wygłaszania kolejnej przemowy, ale potem na szczęście biskup nachylił się i szepnął mu coś do ucha – przypuszczalnie: „Niech pan się streszcza” – i burmistrz przeszedł do rzeczy.

– Miejsce drugie zajął Chór Litchfieldzki – oznajmił, a ich dyrygent podszedł chwiejnym krokiem i odebrał dyplom. Uznałyśmy, że w takim razie pierwsze miejsce zajmie Riseholme, bo na pewno nikt nie głosowałby na Belton.

– A zwycięzcą, który będzie reprezentować nas podczas finałów w katedrze Świętego Pawła – tu burmistrz zaczął szeleścić jakimiś papierami, co za irytujący człowiek! – został Chilburyjski Chór Żeński.

Zerwałyśmy się na równe nogi.

– Co on powiedział? – zapytała pani Quail bez tchu.

– Nie zostałyśmy wyeliminowane? – wyjąkała pani Tilling.

– Naprawdę chodzi o nas? – nie mogła uwierzyć pani Gibbs.

I wtedy pani B. przepchnęła się w stronę środka nawy.

– Weźcie się w garść, drogie panie. Naturalnie, że wygrałyśmy. A coście myślały?

Ruszyłyśmy za nią w stronę apsydy, gdzie energiczna chórzystka była już zajęta ściskaniem dłoni biskupa, tak jakby to właśnie ona była odpowiedzialna za całe przedsięwzięcie. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Prim, która z błogim wyrazem twarzy płynęła za nami środkiem nawy, a długi płaszcz powiewał za nią niczym wielka opiekuńcza sowa.

Po złożeniu ukłonu stanęłyśmy blisko siebie, żeby dać się sfotografować. Venetia znalazła się rzecz jasna na samym środku. Miała nienaganną fryzurę, co wypadło dosyć zabawnie, bo stanęła obok pani Gibbs, która z kolei wyglądała jak szurnięta kura, z rozpiętym płaszczem, przekrzywionym szalikiem i włosami jak strach na wróble.

Było kilku fotografów z „The Kent Times”, a nawet z jednej ogólnokrajowej gazety. Ostatnio dziennikarze rzucają się na każdy temat, o ile jest choć trochę wesoły.

Następnie pomaszzerowałyśmy, żeby uścisnąć dłonie jurorom, zgromadzonym wokół składanego stołu z przodu kościoła. Pierwszy z lewej siedział burmistrz, a obok niego pani Mandelson, dosyć surowa przewodnicząca OSK w Litchfield, dalej lady Worthing, która wstała i wyciągnęła do nas rękę odzianą w białą rękawiczkę, jakbyśmy były na coś chore. Pani B. wybuchnęła tym swoim okropnym sztucznym śmiechem w odpowiedzi na coś, co tamta powiedziała, a my popatrzyłyśmy po sobie zażenowane.

Ostatnim sędzią był szef Litchfield Park, zwalisty mężczyzna, wyglądający nieporządnie pomimo tego, że miał na sobie mundur. Pani Tilling szepnęła do pani Quail, że to człowiek, którego zakwaterowali u niej w domu.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jest szefem Litchfield Park – mruknęła z rozdrażnieniem. – Osobliwy wybór!

Zastanawiałam się, co się jej stało, że tak szuka dziury w całym, ale w tym momencie zauważyłam, że on także zeszywniał, kiedy pani Tilling podała mu rękę.

– Brawo – powiedział bez przekonania.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że jest pan w gronie jurorów. Doprawdy nie wiem... – bąknęła zdenerwowana.

– Dziękujemy, że pan na nas zagłosował! – wtrąciłam szybko, bo to niezbyt miło kwestionować czyjeś kwalifikacje zaraz po tym, jak się wygrało.

Uśmiechnął się do mnie życzliwie.

– Nie była to trudna decyzja, zwłaszcza po usłyszeniu dwóch znakomitych wystąpień solowych.

Może ostatecznie nie jest taki zły.

Pani Tilling usiłowała nie zwracać na niego uwagi; sapnęła cicho, po czym zwróciła się do mnie i powiedziała z przymusem w głosie:

– Chodź, Kitty. I ty także, Silvie. Musimy odszukać Prim. – I popędziła do przedsonka.

Reszta wieczoru upłynęła nam na przyjmowaniu niezliczonych gratulacji, wiwatów i poklepywań po plecach, podczas gdy pozostałe chóry udawały, że cieszą się z naszej wygranej. Jakiś dziennikarz zapytał, jakie to uczucie należeć do chóru żeńskiego.

– To początek nowej mody, nie słyszał pan o tym? – wypaliła Venetia, mizdrząc się do niego. – Niedługo wszyscy będą chcieli nas naśladować.

Dziennikarz stał, wpatrując się w nią z otwartymi ustami, dopóki nie wtrąciła się pani B.:

– Od początku wierzyłyśmy, że wygramy. Z mężczyznami czy bez.

A my wszystkie pokiwałyśmy z uśmiechem głowami.

Po pewnym czasie tłum zaczął się przeredzać, a biskup musiał nas wygonić, więc radosnym krokiem udałyśmy się na przystanek, skąd wyruszyłyśmy do Chilbury i przez całą drogę śpiewałyśmy. Ale nie *Ave Maria*. Śpiewałyśmy stare piosenki wodewilowe, w tym moją ostatnią faworytkę *Nie dam rady się wyrwać i dziś cię poślubić, żona mnie nie puści!*⁵.

LIST OD PUŁKOWNIKA MALLARDA DO JEGO SIOSTRY, PANI MAUD GREEN, ZAMIESZKAŁEJ W OKSFORDZIE

Ivy House,

Litchfield Road,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Poniedziałek, 20 maja 1940 r.

Kochana Maud!

Przepraszam za brak kontaktu, ale byłem zaprzątnięty ostatnimi wydarzeniami w Belgii i północnej Francji. Ten list wysyłam do Ciebie z mojej nowej kwatery w Chilbury – czy byłaś tu kiedy? Przekaż dziewczynkom, żeby pisały do mnie na ten adres, bo korespondencja do Ministerstwa Obrony idzie zawsze przez Londyn. Proszę, zachęć je do pisania; szczerze mówiąc, listy od nich to jedyne, co trzyma mnie przy życiu podczas tej strasznej wojny. Jeszcze raz ogromnie Ci dziękuję za opiekę nad całą trójką – mam nadzieję, że zachowują się, jak należy. Wiem, że Vera cieszyłaby się, gdyby wiedziała, że są z Tobą. Trudno uwierzyć, że we środę minie pięć lat od jej śmierci. Nadal nie potrafię pogodzić się z myślą, że jej nie ma.

Zostanę w Chilbury przez całe lato, a być może dłużej. Właścicielka domu, niejaka pani Tilling, to pielęgniarka, która zdaje się patrzeć z dezaprobatą na wszystko i wszystkich, ze szczególnym uwzględnieniem mojej osoby. To chuda jak patyk kobieta, posiadająca niezliczoną ilość borych podomek. Ledwo się do mnie odzywa, poza wydawaniem uprzejmych poleceń, a odkąd spytałem, czy mógłbym jadać kolacje w domu, wydaje się w jeszcze gorszym humorze. Rozdrażnionym głosem zażądała ode mnie książeczki żywnościowej i zaczęła tłuc się po kuchni i trzaskać garnkami.

– Byłabym zobowiązana, panie pułkowniku – powiedziała do mnie wczoraj surowo – gdyby zechciał pan dawać mi znać, o której godzinie zjawi się pan na kolacji.

Poprzedniego wieczora spóźniłem się zaledwie o godzinę.

Innego wieczora postanowiłem przesunąć komódkę, bo w pokoju robi się znacznie więcej miejsca, jeśli postawić ją w kącie obok szafy. Następnego dnia

komódka wróciła na dawne miejsce, a ja stwierdziłem, że nie będę ryzykował dalszych prób przemeblowania.

Potem jednak, w sobotę, zostałem zmuszony do zostania jurorem w konkursie chórów i, nie do wiary, ta kobieta śpiewała solo, które brzmiało cudownie ekspresyjnie. Zupełnie jakby była inną osobą. Sam już nie wiem, co mam o niej myśleć.

Zazwyczaj kiedy wracam do domu, ona przepada jak kamień w wodę. Wchodząc, słyszę, jak na górze trzaskają drzwi, albo widzę, jak ktoś zasuwą firankę w salonie. Przyjemnie byłoby mieć towarzystwo, ale zazwyczaj kończy się na tym, że drepczę na górę i siedzę sam w swoim pokoju. Jej syn dopiero co pojechał do Francji, a ona wyraźnie ma mi za złe, że zajmuję jego pokój. Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem, o co tu mieć te pretensje: wąskie nierówne łóżko i obrazek z układem słonecznym na ścianie. Jesteśmy maleńką autodestrukcyjną kropeczką w czarnym morzu ciemności.

No dobrze, dość tych narzekań. Do dziewczynek napiszę we środę, po wizycie w kościele i zmówieniu modlitwy za Verę. Mam nadzieję, że patrzy na nas z góry i czuwa nad nami.

Ucałowania,

Anthony

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Sobota, 25 maja 1940 r.

Niezapomniany piknik

Ranek był wprost niebiański, więc uznałam, że Silvie i mnie należy się coś miłego po naszym zwycięstwie w konkursie. Czułam nieprzeparte pragnienie, żeby poudawać – choć przez jeden dzień – że nie ma żadnej wojny. Otworzyłam więc szeroko okno w moim pokoju, żeby poczuć ciepłe, żółte światło słońca na twarzy i świeży sosnowy zapach wspaniałego wiosennego poranka. Był tak absolutnie doskonały, że postanowiłam poświęcić dzień poszukiwaniu straconego czasu i odtworzyć chociaż część mojego dzieciństwa.

Przed wojną w takie dni stroiliśmy się i urządzaliśmy piknik z Tillingami albo Brampton-Boydami, dziewczęta w letnich sukienkach, chłopcy w eleganckich garniturach. Progett polecał kucharce, która odeszła i teraz robi czołgi w Tonbridge, żeby przygotowała nam lunch, złożony z placków, czereśni i magdalenek. Mmm, ten pyszny maślany zapach zawsze przenosi mnie w czasie do chwil, kiedy czekałam niecierpliwie w kuchni, żeby spróbować pierwszego kęsa ciasta, które dopiero co wyszło z pieca. Dziś musiałyśmy się zadowolić pomocą Elsie, która od niechcienia naszykowała nam trochę kanapek z dżemem, zadając przy tym masę pytań o Henry'ego.

Co Elsie chciała wiedzieć na temat Henry'ego

Co najbardziej lubi jeść? Pieczonego bązanta, rzecz jasna, i pudding z bakaliami.

Ulubiony sport? Strzelanie, polowanie na lisa i krykiet.

Czy podoba mu się Wenecja? Oczywiście, że nie.

Czy ma jakąś dziewczynę w swojej bazie w Hampshire? Oczywiście, że nie.

Ulubiony kolor? Lazurowy błękit.

Jakie lubi rozrywki? Pikniki, przyjęcia i dosyć dobrze gra w krokieta.

Myślę, że chciała mi pomóc zdobyć jego serce, choć szczerze mówiąc, nie było to jakoś szczególnie przydatne. Silvie szturchała mnie i szeptała, że nie powinnam jej nic mówić, chociaż nie mam pojęcia dlaczego. Niekiedy mam

wrażenie, że Silvie zupełnie nie rozumie, co się wokół niej dzieje.

Kiedy już załatwiłyśmy sprawę kanapek, stanęliśmy przed ważnym zadaniem wyboru sukien. Poszłyśmy z Silvie do mojego pokoju, gdzie wyszukałam dla niej jedną z moich starych sukienek, białą w turkusowe kwiatuszki. Tę, którą miałam na sobie, kiedy Henry mi się oświadczył. Zalała mnie fala wspomnień – pływanie łódką po jeziorze, rozgniewana Venetia wybiegająca na brzeg i Henry, który niezgrabnie pobiegł za nią, wpychając mnie przypadkiem w paprocie. Zabłocona sukienka, jego obietnica, że będzie mnie kochał na wieki, jeśli mu wybaczę, a potem wspólne błędzenie po okolicy i nawoływanie Venetii. W końcu znaleźliśmy ją na wzgórzu, gdzie siedziała obrażona pod rozłożystym dębem. Nie chciała rozmawiać z Henrym, wróciła na piknik tylko ze względu na mnie. Wlokła się ponuro z tyłu, podczas gdy ja skakałam z radości, zachwycona, że moja przyszłość rysuje się w najpiękniejszych barwach.

Na fali nostalgii postanowiłam, że włożę błękitną sukienkę Venetii, tę, którą miała na sobie tamtego dnia. Zakradłam się do jej pokoju, żeby ją pożyczyć. Była ciut za duża, ale mimo to idealna.

Razem z Silvie wśliznęłyśmy się do garderoby mamy, żeby przejrzeć się w wielkim lustrze oprawionym w mahoń. Prezentowałyśmy się nienagannie. Błękitna sukienka była doskonała na piknik, Silvie także wyglądała ślicznie w białej. Jest ładną dziewczynką, ma niesforne ciemne włosy zawsze założone za uszy, ale prawie w ogóle się nie odzywa. Dawniej myśleliśmy, że jest taka milcząca, bo słabo zna angielski. Teraz wiemy, że to nie z tego powodu, gdyż z językiem radzi sobie bardzo dobrze – poza momentami, kiedy rozumie coś na opak, tak jak sytuację z Henrym. Nie odzywa się, ponieważ po prostu nie ma ochoty. Czasami pytam ją o jej sekret, ale ona wtedy robi złęczoną minę i natychmiast milknie.

Często się zastanawiam, jak wyglądało jej życie w Czechosłowacji. Na pewno jedzenie było inne. Przez kilka tygodni po przyjeździe nie brała do ust prawie niczego, i do tej pory żywi się głównie bułkami z dżemem. Mama próbuje skusić ją bekonem albo rostbefem, ale ona ich nie tyka.

Różnice między Czechosłowacją a Chilbury, z tego, co udało mi się wynioskować

W Czechosłowacji jest więcej czekolady (Silvie uwielbia czekoladę, a tutaj nie ma jej zbyt wiele z powodu wojny).

W Chilbury są wzgórza, pola i zagajniki, w Czechosłowacji natomiast więcej lasów.

W obu miejscach są konie (Silvie je kocha).

W Czechosłowacji na Boże Narodzenie zawsze jest śnieg i bajeczne świąteczne jarmarki.

W Czechosłowacji nie było wojny, hitlerowcy po prostu zajęli ją w ciągu jednego dnia.

Cały dobytek Silvie jest w Czechosłowacji, w jej dużym domu z werandą.

Cała rodzina Silvie jest w Czechosłowacji; czekają na nią przy drzwiach, matka w białej wiosennej sukni, tej samej, którą miała na sobie, kiedy machała Silvie na peronie na pożegnanie, a ojciec w garniturze i kapeluszu. Uśmiecha się szeroko, by dodać jej otuchy. Jej malutki braciszek, Mila, chichocze zawinięty w niebieski kocyk, kiedy Silvie bierze go od mamy, żeby pocałować go na pożegnanie.

Spojrzałyśmy ostatni raz na swoje odbicia w lustrze i stwierdziłyśmy, że jesteśmy gotowe. Potem zbiegłyśmy po schodach, w pędzie zgarniając koszyk piknikowy, i wypadłyśmy przez boczne drzwi prosto w błady, pogodny poranek.

Wysoka trawa na łące była jeszcze mokra po wczorajszym deszczu, niezliczone kropelki błyszcząły wśród jasnej zieleni niczym tysiąc gwiazd. Poczuliśmy zapach powietrza po burzy, tak świeży, jakby deszcz zmył cały kurz, brud i wszystkie te okropne rzeczy, które ludzie do siebie wykrzykują, a potem te słowa unoszą się w powietrzu, czekając, aż grom wszystko zagłuszy.

Postanowiłam, że pójdziemy do drewnianej kładki nad potokiem nieopodal pasieki Dawkinsów. Jest tam masa polnych kwiatów, a w potoku można przeskakiwać z kamienia na kamień. Urządziliśmy tam piknik kilka lat temu, kiedy auto było zepsute.

Wtedy nikogo nie użądliła pszczoła.

Spacer trwał dość długo. Kiedy wreszcie dotarliśmy nad potok, zmęczone i wygłodniałe, z rozdrażnieniem przekonaliśmy się, że miejsce jest zajęte. Jakiś chłopak budował tamę.

– Hop-hop! – zawołał. Stał chwiejnie na gałęzi sięgającej do połowy szerokości potoku. Złapał równowagę i podbiegł do brzegu, żeby się z nami przywitać. Był starszy, niż sądziłam, wysoki i patykowaty, jak to wyrośnięci chłopcy, zanim staną się mężczyznami. Jego obszarpane spodenki i niedbały wygląd sprawiały, że z daleka wydawał się młodszy. Miał ciekawą twarz, jakby w kształcie łyżki; jego broda i czoło były wysunięte do przodu bardziej niż reszta twarzy. Był przystojny. Nie tak jak Henry, ale mimo wszystko wyglądał nieźle. Najwyraźniej świetnie się bawił. Wyszczrzył zęby i brudną ręką osłonił oczy przed słońcem, krzycząc do nas:

– Zejdźcie tu do mnie!

Głos miał gruby, mówił z silnym londyńskim akcentem.

Jako że Silvie znajdowała się już w połowie skarpy, uznałam, że muszę ją chronić, i po chwili stałyśmy przy nim.

– Jestem Tom – przedstawił się, nie przestając się uśmiechać. Był zdyszany od wysiłku. Oparł ręce na biodrach i krytycznym spojrzeniem zlustrował tamę.

– Jak się masz? – zapytałam, nie wiedząc, czy podać mu rękę. – Ja jestem Kitty, a to Silvie.

Silvie się uśmiechnęła! Czyżby jej się podobał?

– Co tu robicie, dzieciaki? – zapytał Tom.

– Nie jesteśmy dzieciakami! – sprostowałam.

– Ona tak. – Wskazał głową na Silvie i się roześmiał.

– Owszem – przyznałam, rozwścieczona jego grubiaństwem. – Można tak powiedzieć. Ale ja nie.

– Ile masz lat? Dwanaście?

– Czternaście – obruszyłam się i szturchnęłam Silvie, żeby czasem nie wygadała się, że kłamię. Tak naprawdę mam prawie czternaście lat. No, niemalże prawie. – Ale co ty właściwie tutaj robisz? – spytałam ze złością. Ta ziemia należy do gospodarstwa. Tak samo jak pszczoły.

– Przyjechaliśmy zbierać chmiel. – Skinął głową w kierunku rzędu szop obok stodoły. Pan Dawkins co roku sprowadza tu około pięćdziesięciu londyńczyków do pomocy przy zbieraniu dojrzałego chmielu. Mieszkają w szopach. Jak dla mnie mają tu wyjątkowo nędzne warunki, ale podobno w Londynie żyją w jeszcze gorszych.

– Od kiedy tu jesteś? – zagadnęłam, patrząc na niego nieufnie. Wciąż byłam obrażona, że nazwał mnie dzieciakiem.

– Dojechaliśmy z ciocią dopiero w zeszłym tygodniu. Mama musiała iść pomagać w fabryce i nikt nie wiedział, co ze mną zrobić. Mówiłem, że chcę walczyć – wykonał kilka zgrabnych ciosów w powietrzu. – Ale mi powiedzieli, że jestem za młody.

– Ile masz lat?

– Prawie czternaście, ale jestem silny jak mężczyzna.

Pokazał nam bicepsy, które prezentowały się raczej mizernie, lecz tego nie skomentowałyśmy. Zrobiło mi się go żal. Twarz miał tak przyjazną i zabawną, że nie sposób było go posądzać o złe zamiary.

– Chodźcie, pomożecie mi zbudować tamę – zarządził. – Weźcie tamtą gałąź.

Na szczęście tama okazała się wystarczająco stabilna, żebyśmy mogli przejść po niej do połowy potoku.

Niestety zupełnie zapomnieliśmy o pszczołach, które nagle otoczyły Silvie, bzycząc z furją.

– Tom przybywa na ratunek! – zawołał chłopak, wymachując ramionami jak stuknięty orangutan.

– Nie rób tak! – wykrzyknęłam. Ten miejski głupek najwyraźniej nie miał

pojęcia, jak należy postępować z pszczołami. – Stój spokojnie. Nie ruszaj się, to zostawią nas w spokoju.

Potruchtalam na brzeg najszybciej, jak mogłam (raz o mało nie spadłam), wzięłam stamtąd długą wąską gałąź i wyciągnęłam ją do Silvie, by mogła wrócić bezpiecznie, zanim wpadnie w panikę. Muszę jednak przyznać, że była najspokojniejsza z naszej trójki; na jej ustach błąkał się uśmieшек rozbawienia jak u Mony Lisy.

Potem otworzyłam nasz koszyk, wyjęłam z niego kanapkę z dżemem i rzuciłam ją jak najdalej w stronę uli, kiedy pszczoły ruszyły w jej stronę. Zdziałało, udało mi się je odpędzić. Niestety jedna z nich, przelatując obok, niepostrzeżenie użądliła mnie w łokieć.

Krzyknęłam, a Tom przybiegł natychmiast i złapał mnie za ramię, absolutnie nie po dżentelmeńsku. Wszyscy spojrzeliśmy na rosnącą różową wypukłość.

– Będziesz musiała potraktować to octem – odezwał się Tom.

– Nie bądź śmieszny – odparłam ostro. Czy ten chłopak naprawdę na niczym się nie zna? – Potrzebujemy miodu.

– Jak chcesz miodu, to ja wiem, skąd go wziąć.

– Serio? – zapytałam nieufnie. Ostatnimi czasy niełatwo o miód.

Tom otrzepał swoje obszarpane spodenki i wyciągnął rękę.

– Proszę tędy, młode damy.

Zabrałyśmy swoje rzeczy i ruszyłyśmy za nim w górę skarpy. Poprosiłyśmy, by poniósł koszyk, bo mnie bolała ręka, a Silvie jest za mała. Poprowadził nas wzdłuż sadu do Peasepotter Wood i na skraju lasku stanął, rozejrzał się ukradkiem, po czym wszedł do niego. Pobiegłyśmy za chłopakiem.

Chwilę później wcisnął się w rozłożyste krzaki, z rodzaju tych, które w środku są puste, a wokoło mają mnóstwo drobnych listków. Po jakiejś minucie myszgowania w nich wyłonił się z powrotem.

W ręce trzymał słoik miodu. Musiał być domowej produkcji, bo na wieczku miał niebieską lnianą przykrywkę i białą nalepkę z napisem „Gospodarstwo Allicot”. Nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie wcześniej słyszałam tę nazwę. Tom odkręcił wieczko i wetknął do środka brudny palec, po czym włożył go sobie do ust. Chciałam go powstrzymać. Zapaskudził cały miód. Obrzydliwość!

– Miód jak się patrzy – wymlaskał z uznaniem. – Same spróbujcie.

Silvie włożyła palec do słoika i ostrożnie wsunęła go do buzi, a jej zachwycona mina sprawiła, że w końcu i ja postanowiłam spróbować.

To był najwspanialszy miód, jaki w życiu jadłam. Smakował różanymi płatkami i cudowną lepką słodyczą. Wszyscy jeszcze raz umoczyliśmy w nim palce, a ja posmarowałam sobie miejsce, w którym użądliła mnie pszczoła.

– Co miód robi w tych krzakach? – zapytałam.

– Widziałem, jak Stary George go tutaj chowa – odparł Tom. – To taki

bandzior, który mieszka w jednej z szop. Nie wchodzimy mu w drogę. – Chłopak z zakłopotaniem przygryzł wargę. – On ma nóż, i w ogóle. Groził naszemu Charliemu, więc staramy się trzymać od niego z daleka.

– Myślisz, że powinniśmy częstować się jego jedzeniem?

– Chyba nie. – Tom wzruszył chudymi ramionami. – Biorę zawsze po troszeczkę. Facet nic nie zauważy.

Wystraszył nas jakiś hałas w paprociach. Rozejrzeliśmy się, ale nic nie zobaczyliśmy. Mógł to być lis, ale przez gęstwinę drzew niewiele było widać.

– Chodźmy stąd – szepnęłam.

Szelest przybrał na sile – to musiał być jakiś człowiek – więc schowaliśmy się za potężnym drzewem. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, jak na polankę zakrada się gruby, łysy mężczyzna, miał nastroszone siwe wąsy, zielonkawą plamę na koszuli i rozzłoszczoną minę. Towarzyszył mu pan Slater we własnej osobie. Zawsze podejrzewałam, że on coś knuje. Ciekawa jestem, czy Venetia o tym wie.

– To Stary George. Chodźmy stąd. – Tom próbował mnie odciągnąć.

Odwróciliśmy się i zobaczyłam, że pan Slater spogląda w naszą stronę. Czy nas widział?

Uciekaliśmy, aż się za nami kurzyło; paprocie i zeschnięte liście trzeszczały nam pod stopami, biegliśmy coraz głębiej w las, wymijając ciężkie pnie i nurkując między gęste krzewy, aż wreszcie słyszeliśmy już tylko odgłos naszych własnych kroków wśród panującej dookoła ciszy.

Wtem, jakby ktoś nagle odsłonił ciężką kotarę, wypadliśmy z lasu i rozpostarł się przed nami rozległy angielski pejzaż, ogromna różnobarwna łąca, skąpana w złocistym świetle słońca.

Zziajani upadliśmy na ziemię, śmiejąc się i rozglądając, czy cień Starego George'a nie depcze nam po piętach. Na szczęście jedynie liście poruszane łagodnym wietrzykiem szeptały cicho, a z zielonozłotego pola pszenicy przed nami dobiegał śpiew uwijających się nad nim ptaków.

– Powinniśmy wracać do domu – odezwałam się.

– Wiecie, gdzie mnie znaleźć – powiedział Tom, pomagając nam wstać.

– W szopach ludzi od chmielu.

Z tymi słowami odwrócił się i rozkołysanym krokiem ruszył w dół wzgórza, w stronę rzeki.

– Cześć – rzekła cicho Silvie, co oznaczało, że go polubiła. Musiałam przyznać, kiedy zbierałyśmy nasze rzeczy i wędrowałyśmy do domu, że całkiem przyjemnie było przeżyć taką przygodę.

Idąc skrajem lasku, zapytałam Silvie, czy widziała, żeby ktoś tam się kręcił.

– Progett – odparła.

– Progett? Gdzie?

– W Peasepotter, za drzewami, w Czarcim Kole, niedaleko potoku –

powiedziała cicho swoim napiętym głosikiem. Wiem, że często znika gdzieś całkiem sama, ale nie miałam pojęcia, że tak się włóczy po okolicy. – Spotyka się z jakimiś ludźmi – dodała.

– Jakimi?

– Po prostu ludźmi. – Odwróciła wzrok. – Nudnymi.

– Bałaś się?

Otrząsnęła się i śmiało pobiegła przodem.

– Nie.

Goniąc ją, przypomniałam sobie, gdzie słyszałam nazwę „Gospodarstwo Allicot”. To takie miejsce po drugiej stronie Litchfield. W zeszłym miesiącu pani Gibbs zaczęła sprzedawać w sklepie ich miód. Ciekawa jestem, jak Stary George wszedł w posiadanie tych smakołyków, jak trafiły do pani Gibbs i co wspólnego ma z tym pan Slater. Stwierdziłam, że na razie nie będę nic mówić Venetii. Niech sama przyjdzie błagać mnie o informacje. Albo, jeszcze lepiej, poczekam z nimi do momentu, aż okażą się przydatne.

TELEGRAM OD GEN. WINCHESTERA DO PŁK. MALLARDA PONIEDZIAŁEK, 27 MAJA 1940

Trwa operacja Dynamo. Cywilne jednostki pływające wysłano do Dunkierki po 300 000 żołnierzy brytyjskich i francuskich uwięzionych na plaży. Postawić miejscową służbę medyczną, wojsko i sprzęt w stan gotowości.

DZIENNIK PANI TILLING

Środa, 29 maja 1940 r.

Kto by pomyślał, że może dojść do takiej katastrofy! I że również będę brała w tym udział! Dziś jestem w Dover i pracuję ile sił nad udzielaniem pomocy żołnierzom przywiezionym na statkach z Dunkierki. Setki tysięcy ludzi, otoczonych i uwięzionych na plaży we Francji, pod ostrzałem Luftwaffe, a my mogliśmy jedynie posłać im na ratunek wszystkie dostępne łodzie, od kutrów rybackich po promy, a nawet jachty. Jakbyśmy cofnęli się w czasie do średniowiecza!

W Dover nieustanny ruch. Gromady mężczyzn wylewają się z łodzi wszelkiego kształtu i wielkości, i maszerują przez miasto na stację kolejową. Dzięki Bogu większość z nich zdaje się w dobrym humorze; nie posiadają się z radości, że wracają do domów. Niestety po wielu widać, że przeżyli koszmar. Pozostali leżą na noszach. Broczą krwią i mającą albo umierają po cichu.

Na nasz oddział chirurgii, urządzony na terenie dawnego przytułku, bezustannie przybywają nowe ofiary. Cuchnie tu śmiercią i kwaśnym odorem środków odkażających. Personelu jest za mało jak na tylu brutalnie okaleczonych. Robimy jednak, co w naszej mocy, obsługujemy jednego pacjenta po drugim w sposób makabrycznie rzeczowy.

Zabrali mnie o świcie autobusem, w którym tłoczyli się wszyscy dostępni w okolicy lekarze i pielęgniarki; mamy tu zostać przynajmniej kilka dni. Teraz jest dobrze po północy, a ja siedzę w zakurzonej sypialni na zapleczu i mam godzinę wolnego na odpoczynek. Ustawili tu kilka łóżek. Staram się zasnąć, ale ilekroć zamykam oczy, widzę tylko krew i cierpienie, a w uszach wciąż rozbrzmiewają mi krzyki mężczyzn, którzy nie mogą już znieść bólu albo, co gorsza, nagła i niepokojąca cisza śmierci.

Staram się nie zastanawiać nad losem Davida, ale strach o niego jest niczym pulsujący sygnał gdzieś z tyłu głowy. Wiem, że był we Francji – tak jak prawie wszyscy nasi żołnierze – więc musi być gdzieś w tym chaosie. Żyję nadzieją.

Mamy tu kilka beznadziejnych przypadków. Wezwano mnie dziś do młodego oficera o nazwisku Berkeley, którego ogromna rana od szrapnela w boku wyglądała przerażająco. Szybko zdałam sobie sprawę, że jest za późno na operację, za późno na jakikolwiek ratunek. Krwawił bez końca, pulsujące strugi tryskały na okład, który rozpaczliwie wpychałam mu pod żebra.

– Wszystko będzie dobrze. Nic panu nie będzie – powiedziałam łagodnie.

– Ja umrę, prawda? – wymamrotał; jego głos o wytwornym akcencie brzmiał

niezwykle młodo. Musiał dopiero co skończyć szkołę, tak samo jak David.

– Nie, wszystko będzie dobrze – skłamałam w panice. Co mam robić? Poinformować go, że umrze, na wypadek gdyby przed śmiercią chciał coś powiedzieć? Czulałam się zupełnie nieprzygotowana: co ja tu robię? Kogo gram?

– Jeśli... – zająknął się. – Jeśli umrę, czy odda pani komuś pierścionek?

Spróbował podnieść rękę, a ja zobaczyłam na jego palcu luźny pierścień.

– Oczywiście – odparłam. Zsunęłam pierścionek i położyłam na otwartej dłoni. Był to męski sygnet, ciężki, stary i cenny. – Komu go przekazać?

– Carrington – rzekł łamiącym się głosem. – W Parnham, niedaleko Litchfield.

– To blisko, pojedę tam – powiedziałam cicho. – Mam przekazać jakąś wiadomość?

– Proszę powiedzieć: „Kocham cię”. – Młody oficer zakaszlał gwałtownie.

– Oczywiście, zrobię to.

– To męczyzna – szepnął Berkeley, wpatrując się we mnie z ogromnym strachem, że poprosił o zbyt wiele, że za dużo powiedział. Mógłby za to zawisnąć. Gdyby nie to, że było już po nim.

Oblał mnie rumieniec. Nigdy dotąd nie spotkałam homoseksualisty. Naturalnie, słyszałam o nich, ale zawsze myślałam, że są inni, żyją w półświatku, jakby tak naprawdę wcale nie istnieli. Teraz jednak miałam przed sobą łagodnego, przystojnego, umierającego młodzieńca, który prosił mnie o przekazanie ostatniej wiadomości ukochanemu przyjacielowi. Na chwilę zabrakło mi słów; usiłowałam rozplątać gęstą siatkę, oddzielającą moralność od rzeczywistości.

– Powiem mu – szepnęłam.

Wtedy Berkeley otworzył gwałtownie oczy, jakby coś nagle przyszło mu do głowy, i wydyszał:

– Ale nie... nie wyda go pani, prawda?

– Nie – odrzekłam, nie opuszczając wzroku. – Może mi pan zaufać.

– Ja, ja nie pomyślałem. Zapomniałem, że mogę wpakować go w kłopoty. Nie zniósłbym tego, gdyby coś mu się stało. – Jego szczupłe ciało zaczęło dygotać od powstrzymanego szlochu.

Chciałam go objąć, ale musiałam przytrzymać bandaż, zalany ciemną krwią. Mogłam tylko odszukać jego dłoń i ucisnąć ją mocno.

– To pan jest dzielny – powiedziałam. – Jest pan bohaterem. Carringtonowi nic się nie stanie. Proszę się o niego nie martwić. Proszę leżeć i spokojnie oddychać.

Jego oddech stawał się coraz spokojniejszy, aż wreszcie ustał. Rozejrzałam się wokół, szukając pomocy, kogoś, komu mogłabym powiedzieć, kto dostrzegłby jego śmierć.

Ale nie było nikogo. Wszyscy byli zbyt zajęci.

Kolejne życie, które dopiero co się zaczęło, a już dobiegło końca. Odległa gwiazda rozbłysła jaśniejszym światłem, a potem znikła w próżni.
Jakaż z nas nic nieznacząca, nieprzygotowana armia dusz.

**LIST OD PORUCZNIKA LOTNICTWA HENRY'EGO
BRAMPTON-BOYDA DO VENETII WINTHROP**

Baza Lotnicza 9463, Daws Hill,

hrabstwo Buckinghamshire

Wtorek, 4 czerwca 1940 r.

Droga Venetio!

Kochanie, nie potrafię Ci opisać, jak niewiarygodnie ciężko walczyliśmy przez te ostatnie kilka tygodni, by powstrzymać Luftwaffe przed bombardowaniem żołnierzy ewakuowanych spod Dunkierki. Ostatnie łodzie odpłynęły dziś, a my wróciliśmy znużeni do bazy świętować sukces. Moje nazwisko powtarzają tu sobie, jakbym był jakimś bohaterem, dasz wiarę?

Walka powietrzna miała miejsce głównie w głębi lądu; chcieliśmy odstraszyć Luftwaffe i nie pozwolić im znaleźć się nad Dunkierką. Ja dopiero czwartego dnia rzuciłem się w pogoń za trzema messerschmittami prosto w ogień walki i wszystkie zestrzeliłem. Tutaj w bazie chłopaki robią z tego wielką sprawę, chociaż im powtarzam, że to nie było nic takiego.

Za jakiś miesiąc będę w domu na urlopie. Poprosiłem mamę, żeby zorganizowała nam coś na kształt przyjęcia zaręczynowego. Nie mogę się doczekać miesiąca miodowego, najdroższa, kiedy wreszcie będziesz naprawdę moja.

Z wyrazami miłości,

Henry

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Środa, 12 czerwca 1940 r.

Tyle czasu nic, aż nagle znaleźliśmy się w centrum wojny!

Dunkierka była nadzwyczajna! Uratowaliśmy niemal wszystkich żołnierzy brytyjskich, a do tego większość francuskich. Znacznie więcej, niż ktokolwiek przypuszczał. Wszyscy twierdzą, że to dzięki „stateczkom”; i niezliczonym zwykłym ludziom, którzy rzucili wszystko, żeby popłynąć tam swoimi łódkami i zabrać żołnierzy z brzegu morza. Papa wyprawił się jachtem, mówi, że uratował ponad trzysta osób.

– Bombardowali nas przez całą drogę! – powtarza.

Jest strasznie z siebie zadowolony, a mieszkańcy naszej wsi ustawiają się na placu w kolejce, żeby uścisnąć mu dłoń.

– Nasze łódki były kluczowe dla całej operacji – oznajmił któregoś razu zgromadzonym. – Mogliśmy podpłynąć do samej plaży i przewieźć żołnierzy na okręty czekające na głębszych wodach, gotowe do obrania kursu na Anglię. To była przerażająca scena. Tłumy mężczyzn rojących się na brzegu jak mrówki, brodzących w wodzie, która niekiedy sięgała im aż do ramion. Niemieckie samoloty przez cały czas nas ostrzeliwały. Nigdy nie zapomnę tego uczucia, kiedy wyciągaliśmy ludzi z mętnej wody; niektórzy byli ciężko ranni, wszyscy wyczerpani, a wokół nas kule dziurawiły wzburzone morze.

Szczęśliwie David Tilling wrócił do domu cały i zdrowy, chociaż wyczerpany i okropnie głodny. Dla pani Tilling była to nieopisana ulga; przez dwa dni nie wypuszczała go z łóżka, żeby doszedł do siebie. Na szczęście pułkownik na ten czas wynajął sobie pokój w hotelu w Litchfield, bo inaczej myślę, że w Chilbury wybuchłaby wojna.

Ralph, syn pani Gibbs ze sklepu, wrócił w kiepskim stanie, ze zwichniętym ramieniem i kilkoma złamanymi żebrami. Lubi wdawać się w bójki i wszyscy zachodzą w głowę, czy odniósł te obrażenia w bitwie, czy raczej podczas jakiejś burdy między żołnierzami. Na razie będzie mógł zostać w domu, podczas gdy David Tilling za parę tygodni musi wracać na front; prawdopodobnie wyślą go do Afryki Północnej. Jest okropnie nieszczęśliwy, snuje się po wsi, próbując zdobyć względy Venetii, która jest zbyt zajęta panem Slaterem, żeby w ogóle go zauważyć.

Henry w końcu został bohaterem i na pewno dostanie medal, tak mówi pani

B. Zestrzelił nad Dunkierką trzy niemieckie samoloty! Miałam nadzieję, że dadzą mu urlop, ale lotnicy mają zbyt dużo pracy przy pomaganiu biednej Francji, napadniętej przez hitlerowców.

Niestety syn pani Poullice, tej z Koła Szwaczek, nie przeżył. Łódka, na której się znajdował, została zbombardowana. Ludzie z innej łodzi wyciągnęli go z wody, ale miał ciężkie obrażenia i zmarł, zanim dopłynęli do Dover. Od tego czasu jego matka nie wypowiedziała ani słowa, tylko nieustannie szyje. Udało nam się przekonać ją, żeby wstąpiła do chóru; miejmy nadzieję, że choć trochę jej to pomoże.

Pan Churchill mówi, że się nie poddamy!

Papa się cieszy, że pan Churchill został premierem, chociaż wiele osób uważa, że to zły wybór. Wolą iść z Hitlerem na ugodę, niż z nim walczyć, bo szczerze mówiąc, raczej nie mamy widoków na zwycięstwo.

– Tchórze! – ryknął papa. – Człowiek honoru woli polec w walce, niż się poddać. Nie możemy pozwolić sobą pomiatać.

Pan Churchill mówi, że ta wojna rozegra się w powietrzu, a nas poproszono, abyśmy oddali rządowi swoje garnki i patelnie, tak żeby można je było przetopić i zrobić z nich bombowce. W naszej kuchni znalazłam jedenaście; na pewno wystarczy co najmniej na skrzydło.

Inwazja

Jeśli się nie poddamy, po atakach na Francję przyjdzie kolej na podbój Anglii. Jako że Chilbury leży zaledwie siedem mil od wybrzeża, możemy znaleźć się pod niemiecką okupacją, zanim zdążymy się zorientować. W środku nocy obudzi nas dźwięk czołgów rozjeżdżających nasze domy.

Co się stanie, jeśli hitlerowcy przejmą władzę

Umrzemy z głodu, bo będziemy musieli oddawać jedzenie niemieckim żołnierzom.

Zabiorą wszystkich, którzy są zdolni do walki, i wyślą ich na front albo rozstrzelają.

Resztę zmuszą do pracy w fabrykach, nawet dzieci takie jak ja.

Hitlerowcy będą mieszkać w naszych domach albo wyrzucą nas na ulicę

i zajmą nasze miejsce.

Będziemy mogli poruszać się tylko na piechotę albo rowerami, bo zabiorą nam auta i nie pozwolą wsiadać do pociągów.

Będą wsadzać do więzienia albo rozstrzeliwać każdego, kto będzie się im przeciwstawiał.

Będą wsadzać do więzienia albo rozstrzeliwać każdego, kto im się nie spodoba.

Ludzie zaczęli wyjeżdżać. Dunnowie pojechali do Walii, bo Lizzie jest głucha, a Hitler nie lubi takich dzieci. Synagoga, do której chodzimy z Silvie, jest prawie pusta, ponieważ wielu Żydów przeprowadza się jak najdalej od wybrzeża. Nie zostanie jednak zamknięta ze względu na to, że uczęszczają do niej niektórzy żołnierze. Okropnie boimy się o Silvie. Mama chciała, żebyśmy wyjechali do kuzynki w Szkocji, ale papa się nie zgodził.

– Nie mam wątpliwości, że pozostaniemy w brytyjskich rękach, nawet jeśli hitlerowcy spróbują czegoś głupiego – oznajmił dumnie papa, wymierzając cios szpicrutą Bogu ducha winnej nodze od fotela. Poczulałam jednocześnie radość, że należę do takiej nieustraszonej patriotycznej rodziny, i przerażenie, że nic mi to nie da, jeśli otoczy mnie pół tuzina hitlerowców z gotowymi do strzału karabinami.

Ludzie tracą głowy i oskarżają wszystkich wokół o szpiegostwo. Wysłali Niemców i Włochów do obozów na Wyspie Man, nawet przesympatyczną partnerkę mamy od brydża, panią Barone. Zupełnie nie mogę wyobrazić jej sobie w obozie – gdzie będzie przechowywać swoje futra i frymuśne kapelusze? Kazali nam mieć oczy szeroko otwarte, wypatrywać szpiegów, uważać na sąsiadów i donosić, jeśli zauważymy, że ktoś robi coś podejrzanego. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć komuś o Progetcie, bo ciągle gdzieś węszy. W zeszłym tygodniu zastałam go nawet w gabinecie papy, jak przerzucał jakieś dokumenty (twierdził, że szuka zawieruszonej spinki do mankietu). Papa by mnie zbił, gdyby go aresztowali. To chyba ostatni kamerdyner dostępny po tej stronie Londynu.

Powiedziano nam, że najprawdopodobniej niemieckie samoloty nadlecą niebawem, żeby nas zbombardować, więc pastor przyjął funkcję dowódcy cywilnej obrony przeciwlotniczej. Większość ludzi wykopała w ogrodach wielkie dziury, żeby umieścić w nich schrony Andersona, czyli metalowe pudła. Sprawiają one jednak wrażenie stanowczo zbyt wątych, by wytrzymały uderzenie bomby. Cieszę się, że mamy piwnicę na tyle dużą, żeby w niej spać, chociaż jest tam pełno kurzu i zamieszkuje ją liczna kolonia pajaków.

Pojawiły się ulotki rządowe, w których jest napisane, co robić w razie niemieckiej inwazji (zachować spokój), a czego nie robić (wpadać w panikę i uciekać). Są tam ilustracje przedstawiające hitlerowskich żołnierzy i lista rzeczy, które trzeba zrobić, kiedy się takiego spotka (iść na policję) oraz czego unikać (próbować przemówić im do rozsądku i w efekcie zostać zastrzelonym).

Pracownicy usuwamy wszystkie tablice i drogowskazy, żeby nie wiedzieli, gdzie są, kiedy się tu zjawia.

Podobno reszta Europy została bez trudu podbita, ponieważ ludzie nie byli przygotowani i po prostu wpadli w panikę. Nie jestem do końca pewna, jak zdaniem rządu mamy powstrzymać najazd dobrze uzbrojonych Hunów, ale oto, co każą nam zrobić:

Przygotowanie do inwazji

Zachować spokój – nie uciekać.

Nie wierzyć pogłoskom i nie ufać rozkazom – upewnić się, że pochodzą od rządu.

Schować wszystkie mapy, żywność, paliwo, narzędzia i inne zapasy – spadochroniarz będzie chciał je zagarnąć.

Umieszczać bunkry, miny i zasieki z drutu kolczastego na plażach, polach i drogach.

Kopać rowy przeciwczołgowe na drogach i szosach – linia rowów biegnąca przez cały kraj powstrzyma marsz hitlerowców na północ.

Tarasować drogi samochodami i innymi dużymi przeszkodami, na przykład zwalać w poprzek nich drzewa.

W razie konieczności użyć drutu lub łańcuchów, żeby zablokować drogę za pomocą atrapy bomby (pudełko z kablem).

Używać dzwonów kościelnych tylko w celu ostrzeżenia o inwazji.

Stworzyć Ochotniczą Grupę Obrony Cywilnej z mężczyzn, którzy zostali we wsi – papa zajął się jej organizacją.

Stworzyć Wiejski Komitet ds. Inwazji, który opracuje plan obrony wsi.

Chilburyjski Komitet ds. Inwazji (CKI)

Pani B. wzięła na siebie koordynację działań CKI (od jakiegoś czasu wszyscy używają skrótów, gdzie tylko się da, bo brzmi to bardziej oficjalnie). Jest wyjątkowo apodyktyczna, ponieważ jej ostatni służący odeszli i teraz musi radzić sobie sama. Prosi więc panią Tilling o przepisy (choć podejrzewamy, że hotel Claridge's przysyła jej kosze z prowiantem). Dziś po południu ściągnęła panie z OSK na specjalne zebranie CKI w świetlicy.

– Jako wasza przełożona uważam za swój obowiązek przygotowanie nas, kobiet, na nadchodzącą inwazję. Chciałabym usłyszeć propozycje, co możemy zrobić, jeśli jutro rano oddział odrażających hitlerowskich bandziorów znajdzie się

na naszym placu.

– Ale nie wiemy na pewno, że tak się stanie, prawda? – wyjąkała pani Gibbs. Odkąd wrócił Ralph, stale robi wrażenie znękaney. Nie wiem, czy bardziej boi się syna, czy hitlerowców.

Pani B. podeszła do niej energicznym krokiem i przysunęła twarz do jej twarzy, niczym sierżant sztabowy.

– Musimy być gotowe! – ryknęła. Po czym odwróciła się do nas i ciągnęła dalej: – Poproszę o poważne propozycje.

– Wzięłabym starą wiatrówkę mojego męża – odezwała się pani Tilling. – Nie potrafię jej obsługiwać, ale wyglądałabym z nią groźnie, prawda?

– W takim razie musi się pani nauczyć obsługiwać wiatrówkę! – krzyknęła pani B. – Każdy, kto ma dostęp do broni, ma ją wyczyścić, dowiedzieć się, jak się z niej strzela, a potem ją naładować. – Powiodła dokoła groźnym spojrzeniem. – Pani Quail?

– Ja całkiem chwacko radzę sobie z nożem kuchennym – odparła z przekonaniem zagadnięta.

Wymieniłam uśmieszek z Hattie kołyszącą Rose w wózku. Wyobraźcie sobie panią Quail, która przy podwieczorku wpada w złość na pastora i wyciąga nóż do krojenia mięsa!

Pani B., najwyraźniej rozczarowana naszym brakiem męstwa, zademonstrowała, jak przeprowadzić atak z użyciem artykułów gospodarstwa domowego, takich jak pogrzebacz, lampka oraz trzypoziomowa patera do ciasta. Wszystkim ogromnie się to podobało i wyszliśmy z poczuciem, że jesteśmy szalenie odważne.

Rzecz jasna, następne spotkanie nie było aż takie przyjemne, bo pojawiła się na nim Chilburyjska Obrona Cywilna.

Chilburyjska Obrona Cywilna (COC) kontra Chilburyjski Komitet ds. Inwazji (CKI)

Papa wziął na siebie zorganizowanie Chilburyjskiej Obrony Cywilnej (COC). Sądzymy, że zrobił tak dlatego, iż pani B. sprzątnęła mu sprzed nosa CKI, więc potrzebował własnego oddziału.

Chilburyjska Obrona Cywilna to zbieranina mężczyzn, którzy zostali we wsi i szykują się do obrony miejscowej ludności przed hitlerowcami. Znakomity pomysł, bez dwóch zdań, tyle że jej skład stanowili papa, Progett, stary pan Dawkins, jego dwóch parobków, kilku innych starszków, pastor, Ralph Gibbs (choć on się jeszcze nie pokazał) oraz – kto by pomyślał? – pan Slater, który podobno uważa całą tę sytuację za „dosyć zabawną”, tak mówi Venetia.

Spotykają się dwa razy w tygodniu i papa strasznie na nich krzyczy. Udają, że są prawdziwym wojskiem; maszerują i starają zadźgać się nawzajem widłami, bo jeszcze nie mają prawdziwej broni.

Problem polega na tym, że Chilburyjski Komitet ds. Inwazji pod egidą pani B. także spotyka się w salce przy kościele dwa razy w tygodniu, więc wczoraj mężczyźni z widłami zaczęli się schodzić akurat w momencie, gdy pani B. doskonalila wymyślony przez siebie atak trypoziomową paterą, otoczona przez grupę kobiet ćwiczących ten sam manewr.

– Cel, atak, pchnięcie.

– Teraz nasza kolej na ćwiczenia w salce – oznajmił papa pompatycznym tonem. – Zechce pani w tej chwili wyprowadzić stąd swoje kobiety.

– Nie zrobię nic podobnego – odparowała pani B., wymachując paterą w jego stronę.

– Przed nami ważne przygotowania do inwazji. – Papa zaczynał podnosić głos. – Niech pani zabierze stąd te nieszczęsne kobiety.

– Brygadierze, pozwoli pan, że przypomnę, że mój Komitet ds. Inwazji to najważniejszy organ prewencyjny w naszej wsi. Jak pan widzi, ćwiczymy właśnie kluczowe techniki walki.

– Ale my zarezerwowaliśmy salę, prawda, pastorze? – Odwrócił się w poszukiwaniu pastora, który chował się za panem Slaterem, i wyciągnął go za kołnierz. – Zgadza się, proszę księdza?

– No cóż, owszem, ale powinniśmy wszyscy dzielić się dostępem...

– Mniejsza o to – wypaliła pani B., szorstko odpychając pastora na bok.

– My byliśmy tu pierwsze i musicie poczekać, aż skończymy.

– W takim razie będziemy zmuszeni przejąć salę – papa zwrócił się do grupy mężczyzn, którzy zaczęli powolutku wycofywać się w stronę drzwi, i ryknął:

– Kompania, w szeregu zbiórka!

Jego podkomendni ustawili się pomiędzy kobietami na baczność, prezentując widły.

Członkinie komitetu stały i patrzyły na nich z konsternacją, póki pani B. nie krzyknęła:

– Cel, atak, pchnięcie.

Kobiety posłusznie ruszyły do ataku na mężczyzn stojących im na drodze.

Wywiązało się zamieszanie. Wielu starszych mężczyzn i wiele kobiet uciekło do drzwi, niektórzy doznali obrażeń. Reszta przez następne kilka minut walczyła dalej, aż nagle trzasnęły drzwi i rozległ się ostry głos nauczycielki:

– Co to wszystko ma znaczyć?

Wszyscy się obejrżeli. To była Hattie. Stojąca w drzwiach ze swoim niebieskim wózkiem.

– Co się tutaj odbywa?

– To brygadier zaczął – oznajmiła pani B. – Była nasza kolej na korzystanie z salki, a oni wtargnęli do środka i usiłowali nas zastraszyć. – Spojrzała z dumą na otaczające ją kobiety. – Ale pokazałyśmy im, gdzie raki zimują, dobrze mówię?

– To była nasza kolej, a one nie chciały wyjść – mruknął papa, zadzierając głowę, jakby samo rozmawianie o tym uwłaczało jego godności.

– Cóż, proponuję, żeby wszyscy rzucili broń i podali sobie ręce – powiedziała Hattie. – A potem włączmy radio i posłuchajmy wiadomości o prawdziwej wojnie.

Wszyscy zaczęli cicho odkładać swoje sprzęty, chociaż pani B. dorzuciła:

– To samo mówię im od samego początku.

Złe wieści dla chóru – oraz mojej kariery śpiewaczki

Finały konkursu zostały odłożone na czas nieokreślony. Prim ogłosiła to podczas próby, ale potem szybko dodała, że w przyszłym tygodniu będziemy miały próbę specjalną, na którą są zaproszeni wszyscy mieszkańcy wsi. Przynajmniej ja wciąż biorę lekcje śpiewu. Prim pożyczyła mi stertę nowoczesnych płyt, żebym próbowała w domu śpiewać do nagrań. Na części z nich jest jazz, ależ to ekscytujące! Będziemy ćwiczyć śpiew jazzowy na moich lekcjach.

Dziś podczas próby chóru dość agresywnie odśpiewaliśmy hymn *Jerusalem*, w sposób odzwierciedlający nasze emocje. Byłyśmy wkurzone na tych wstrętnych hitlerowców, przez których nie możemy zaśpiewać w katedrze Świętego Pawła. Ktoś mógłby pomyśleć, że za chwilę porwiemy swoje torebki i rzucimy się na wroga. Czy Hitler ma pojęcie, ile siły i determinacji drzemie w trzynastu rozjuszonych kobietach? W każdym razie nie sądzę, żeby kiedykolwiek zastanawiał się nad zabójczym potencjałem trzypoziomowej patery do ciasta.

**LIŚCIK OD PANNY EDWINY PALTRY DO BRYGADIERA
WINTHROPA**

Church Row 3,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Poniedziałek, 17 czerwca 1940 r.

Panie Brygadierze!

Jako że od ponad miesiąca czekam na pieniądze, które słusznie mi się należą, postanowiłam wziąć na siebie ciężar przypomnienia Panu o naszej umowie, zgodnie z którą jest mi Pan winien drugą połowę ustalonej sumy. Wywiązałam się ze swojej części umowy, teraz pora na Pana.

Będę czekać w szopie w sobotę o 10 rano.

Panna E.M. Paltry

**OGŁOSZENIE PRZYPIĘTE NA TABLICY PRZED ŚWIETLICĄ
WIEJSKĄ W CHILBURY W PONIEDZIAŁEK 17 CZERWCA 1940 ROKU**

W środę wieczorem odbędzie się specjalna próba chóru, podczas której uczymy pamięć poległych pod Dunkierką. Próba będzie otwarta dla wszystkich mieszkańców wsi, zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

Prim

DZIENNIK PANI TILLING

Środa, 19 czerwca 1940 r.

Przyszliśmy wcześniej na specjalną próbę chóru; niektóre z nas gawędziły o tym, co Prim dla nas przygotowuje, inne były zatopione w myślach o Dunkierce. Przekonałam do przyjścia panią Poultrice z Koła Szwaczek. Straciła pod Dunkierką jedyne go syna. Od tego czasu nie wymówiła ani słowa, wciąż szyje, pogrążona we własnym świecie.

Byłam zaskoczona, że w kościele jest aż tyle osób. Cały Chilburyjski Chór Żeński, Koło Szwaczek i kilka innych kobiet spoza chóru. Poza tym byli także mężczyźni, w tym pastor i pan Slater, a nawet pułkownik Mallard. Staralam się udawać, że go nie widzę, ale on się uparł, żeby do mnie podejść. Na szczęście, kiedy był już blisko, ciężkie drzwi do kościoła się otwarły i weszła przez nie Prim, tym samym ratując mnie przed koniecznością prowadzenia z nim rozmowy.

Zamiast odezwać się swoim zwykłym teatralnym głosem, dyrygentka uciszyła nas gestem.

– To dla nas szczególny wieczór. Pragniemy pogodzić się z tym, co się wydarzyło, z rzeczywistością, w jakiej się znaleźliśmy. Proszę, niech każdy weźmie sobie krzesło i ustawi je pod ołtarzem. Utwórzmy krąg.

Tak też zrobiliśmy. Obok mnie siedziała biedna pani Poultrice, taka blada i smutna, jakby coś w niej umarło.

– W młodości – zaczęła Prim – podróżowałam po Włoszech i to tam nauczyłam się szczególnego rodzaju pieśni. Pieśni, która przynosi pokój i akceptację naturalnego cyklu życia i śmierci. Chorału. – Rozłożyła dłonie. – Chwyćmy się za ręce.

Ostrożnie wzięliśmy się za ręce. To taki prosty, dziecięcy gest, a tak rzadko się na niego zdobywamy. Poczulałam w swojej dłoni pomarszczoną, żylastą dłoń pani Poultrice, drżącą delikatnie z powodu dziwnej poufałości tego gestu. Czułam się tak, jakbyśmy zdarli z siebie codzienne maski, by odsłonić kryjące się wewnątrz nas przełknięte dzieci.

– Teraz zamknijmy oczy i zaczniemy od nucenia pojedynczego dźwięku.

Z ust Prim wydobyło się murmurando, środkowa nuta, ani wysoka, ani niska, początkowo cicha, potem coraz pewniejsza.

Po chwili dołączył do niej łagodny głos Kitty, następnie pani Quail, i niebawem rozbrzmiewała donośnie pojedyncza nuta, wypełniając luki między nami wibrującym połączeniem. Dźwiękiem, który zagłuszał wszelki chaos.

Murmurando przygasło, stopniowo cichnąc w powietrzu, aż stało się

szeptem, a potem echem szeptu.

Kiedy dźwięk ucichł, Prim rozdała wszystkim nuty.

– To prosty chorał gregoriański – powiedziała. – Pieśń żałobna za zmarłych.

Zanuciła pierwszą nutę, a potem wszyscy do niej dołączyliśmy; Kitty przewodziła swoim wysokim głosem. To było piękne. Na koniec, kiedy echo przestało brzmieć i nastąpiła cisza, przez kilka minut siedzieliśmy w jej ciepłe, trzymając się za ręce.

Prim wstała pierwsza, odszukała swoją torbę z nutami i zaniósła krzesło na miejsce.

– Niech pokój towarzyszy wam przez resztę nocy – odezwała się łagodnie i wypłynęła z kościoła, jakby niesiona spokojną falą.

Powoli zaczęliśmy wstawać, rozmawiając cicho między sobą. Nawet pani B. sprawiała wrażenie uspokojonej.

– Co za niezwykły wieczór – zauważyła. – Z początku sama nie wiedziałam, co o tym myśleć, ale czułam się trochę tak, jakbyśmy były zakonnice. – Zachichotała.

Przedziwne, jak chwila wspólnego śpiewu zbliża do siebie ludzi. Każdy z nas był pogrążony w swoim świecie, zaprzątnięty własnymi problemami, a potem nagle stało się tak, jakby się one rozplynęły, a my zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy tu i teraz, żyjemy i wspieramy się nawzajem.

I to się liczy.

PAMIĘTNIK SILVIE

Środa, 19 czerwca 1940 r.

Wszystkim jest smutno po Dunkierce. Prim zrobiła specjalną próbę chóru, gdzie śpiewaliśmy chorał. Siedziałam obok Kitty i pani Poullice. Jej syn zginął pod Dunkierką. Ręka jej się trzęsła, więc mocno ją uścisnęłam.

Potem zaśpiewaliśmy chorał gregoriański.

Był piękny. Rozpłakałam się. Przypomniało mi się, jak odprawialiśmy sziwę po śmierci dziadka i śpiewaliśmy co wieczór. Pani Poullice też płakała.

Hitlerowcy niedługo tu będą. Pani Winthrop schowa mnie na strychu. Kiedy przyszli do Czechosłowacji, znaleźli wszystkich, którzy się ukrywali. Bili ludzi na ulicy. Zabrali do jakiegoś domu tamtą kobietę, co krzyczała. Potem była cała we krwi i pokaleczona, ledwie żywa.

Staram się nie myśleć. Ale to wszystko jest w mojej głowie.

Zaśpiewałam Kitty naszą pieśń żałobną, kadisz. Zapisała ją. Może zaśpiewamy ją pani Poullice.

LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY

Church Row 3,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Sobota, 22 czerwca 1940 r.

Kochana Claro!

Jeszcze nie wszystko stracone, choć muszę przyznać, że było trochę komplikacji, pierwsza związana z brygadierem i resztą pieniędzy. Spotkałam się z nim dziś w szopie, był wściekły i powiedział, że mi nie zapłaci.

– Jak to nie? – zachnęłam się i ścisnęłam swoją czarną torbę, gotowa zdzielić go nią przez łeb.

– Ponieważ, moja droga kobieto, nie byłaś zbyt dobra w zacieraniu śladów, nieprawdaż? – Powstrzymywał złość, ale w każdej chwili mógł rzucić się na mnie niczym wilk. Czułam, jak uginają się pode mną kolana, ale nic nie dałam po sobie poznać.

– Nikt o niczym nie wie. Sprawa jest czysta. Jak zawsze.

– A plotki? – Zrobił krok w moją stronę i stanął niebezpiecznie blisko, więc cofnęłam się i weszłam w pokrzywy. Czułam, jak parzą mnie przez pończochy.

– Pani Tilling pytała moją żonę o poród. Nie mogłaś wymyślić czegoś lepszego od respiratora? Różnych dolegliwości dla każdego dziecka?

– Myślę, że nie rozumie pan trudności związanych z tym zadaniem, panie brygadierze – powiedziałam dumnie. – Zawarliśmy umowę, czy nie? A ja wywiązałam się z mojej części. Więc chcę moich pieniędzy.

– Powiedziałem, że nie będzie żadnych pieniędzy, jeśli wzbudzisz podejrzenia. Jeśli ta kobieta połączy fakty z powodu twojej nieostrożności, to ty mi zapłacisz – warknął mi prosto w twarz jak bezwzględny generał. – Swoją krwią.

Woń jego oddechu z tak bliska zwała mnie z nóg prosto w paprocie. Z zadowoleniem przyglądał się, jak wstaję i strzepuję liście. Ten człowiek nienawidzi kobiet. Rozpoznam takiego zawsze. W mojej profesji słyszy się od kobiet różne historie, niekiedy też od samych mężczyzn, którzy uważają, że wykorzystanie słabej kobiety to dowód własnego sprytu. Jestem pewna, że zdaniem brygadiera kobiety istnieją wyłącznie po to, by służyć mężczyznom i rodzić dzieci. I dla seksu, oczywiście. Nie przychodzi mu do głowy, że też jesteśmy ludźmi. I że też mamy głowy, serca i kieszenie, które potrzebują napełnienia.

– Nigdy się nie domyśli – powiedziałam. – Sprawa ucichnie jak każda inna. Jest mi pan winien te pieniądze i narobię zamieszania, jeśli mi ich pan nie da.

– Wiesz tak samo dobrze jak ja, że po czymś takim mogłabyś trafić do więzienia – zauważył przebiegle, podkreślając węża. – Zawrzyjmy jednak umowę. Jeśli nie usłyszę więcej plotek do końca lata, dostaniesz swoje pieniądze. Do tego czasu żadnych wpadek, żadnego gadania i żadnych wiadomości. Spodziewałem się, że znajdziesz lepszy sposób niż wymiana listów. Mogliby nas aresztować w ciągu godziny, gdyby wiadomość wpadła w niewłaściwe ręce.

Wcisnął mi w rękę zmięty list i odszedł wściekły. Oskubywałam kawałki paproci ze spódnicy i czułam ulgę w związku z dwiema sprawami: po pierwsze Tilling na pewno o niczym nie wie, po drugie wystarczy, że będę siedzieć cicho, a reszta pieniędzy wkrótce do mnie trafi.

Nie poszło idealnie, ale lepsze to, niż dostać tylko połowę sumy.

Moim kolejnym zmartwieniem była ta głupia dziewczyna, Elsie. Przyszła do mnie do domu, bo myślała, że jest sprytniejsza ode mnie.

– Wiem o twoich interesach – powiedziała, wchodząc. Rozsiadła się na kanapie jak kot o lśniącym futerku. – I chcę swoją część.

– O czym ty mówisz? – spytałam, uśmiechając się ze zdumieniem.

– O twoich interesach z podmienianiem niemowląt. Wszystko wiem.

– Moja droga, o czym ty, na Boga, mówisz?

– Nie lekceważ mnie. Widziałam, jak je zamieniasz. Wiem, że to zrobiłaś, i że dostałaś pieniądze.

– Kto niby miałby prosić mnie o zrobienie czegoś takiego? – zapytałam.

– Brygadier. Zastanowiłam się i połączyłam fakty. Wyobraź sobie, że nie jestem taka głupia, na jaką wyglądam.

– Wierz mi, Elsie, wyglądasz na dużo mądrzejszą, niż faktycznie jesteś.

Zignorowała mój komentarz lub w ogóle go nie zrozumiała.

– Dał ci pieniądze, żeby mieć syna, zgadza się? Chcę swój udział.

– Ale nic nie zrobiłaś – powiedziałam, decydując się przejść do rzeczy.

– Pomogłam ci wymknąć się z jednym z niemowląt. W każdym razie wiem o wszystkim i mogę powiedzieć o tym ludziom. Czy to ci nie wystarczy? Poproszę moje dwieście funtów. – Wyciągnęła w moją stronę otwartą dłoń, białą i chudą jak

u trupa.

– Skąd wiesz, ile mi dał?

– Taka kobieta jak ty nie zrobiłaby tego za mniej niż dwadzieścia tysięcy.

Skrzywiłam się. Wiedziałam, że powinnam była zażądać od niego więcej.

– Dam ci pięćdziesiąt i na tym koniec. Jeśli usłyszę, że komuś powiedziałaś, będziesz musiała za to zapłacić – dodałam i wbiłam w nią groźnie wzrok, naśladując brygadiera. – Własną krwią.

Wysłałam z pokoju i wyciągnęłam banknoty. Wstrętne dziewczysko, wiedziałam, że nigdy nie powinnam jej ufać. Ktoś, kto romansuje z Edmundem Winthropem, musi być pozbawiony zasad.

Cisnęłam jej pieniądze, a Elsie aż podskoczyła.

– Nie będziesz mieć przeze mnie żadnych problemów. Odejdę z tego parszywego miejsca, gdy tylko załatwię swoje sprawy. Brygadier może się wypchać ze swoją głupią pracą. Nikt nie chce być służącą w dzisiejszych czasach. Tyrałam dla nich za grosze, a teraz mam swoją szansę – spojrzała na pieniądze wypychające kieszeń jej starego płaszcza. – Teraz mam pieniądze i zaczynam nowe życie. Poderwałam Edmunda, to teraz zdobędę innego bogacza. Gdy tylko któryś posmakuje Elsie, będzie mi jadł z ręki. Zobaczysz, gdy spotkamy się następnym razem, ledwie mnie poznasz.

Po tych słowach wybiegła, a ja myślałam o tym, jaka jest głupia. Udało jej się poderwać takiego idiotę jak Edmund Winthrop, bo nie miałyby szans u kogoś choć odrobinę rozgarniętego. Mimo to zastanawia mnie, kogo ma na oku.

Zatem, Claro, na razie utknęłam w tej wiosce jak mucha w smole. Nie mogę się stąd ruszyć, póki nie dostanę reszty zapłaty. Próbuję dopilnować, żeby nikt nie odkrył tego brudnego sekretu. Spal ten list po przeczytaniu. Wkrótce się z tobą skontaktuję.

Edwina

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL

Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Środa, 3 lipca 1940 r.

Kochana Angelo!

Nigdy nie zgadniesz, co stało się tu wczoraj. Mam nadzieję, że nie wywoła to większego zamieszania, ale uważam, że to okropnie śmieszne. Wszystko zaczęło się wieczorem u Alastaira w domu. Było około północy, właśnie zamykali bar Pod Lisem i Fretką. Słyszałam głosy mężczyzn na placu; zrobili się znacznie bardziej hałaśliwi, odkąd żołnierze wrócili z Dunkierki. Podobno Ralph Gibbs znów się awanturuje, w zeszłym tygodniu rozbił komuś nos, a komuś innemu groził nożem. Mówią, że para się handlem na czarnym rynku.

Kiedy przyszedłam wczoraj wieczorem do Alastaira, okazało się, że przygotował dla mnie kolację, wyobrażasz sobie? Pieczonego dorsza. Nakrył stolik, zdobył skądś różową różę – jedną z tych wiotkich i pachnących – i włożył ją do słoika po dżemie.

– Gdzie nauczyłeś się gotować? – zapytałam.

– Trochę tu, trochę tam. – Uśmiechnął się zagadkowo, jak zwykle. – Cieszę się, że jesteś zadowolona.

Postawił na stole świecę i przyjrzał mi się w jej migotliwym świetle.

– Czy nie byłoby wspaniale, gdybyśmy mogli robić tak co wieczór?

– Owszem – odparłam. – Jednak niestety najczęściej jestem zmuszona jadać w towarzystwie rodziny.

Alastair wyszczerzył zęby.

– Tak naprawdę poza tym potrafię gotować jeszcze tylko dwa dania, więc pod koniec tygodnia bylibyśmy w kropce.

Roześmialiśmy się, a on założył mi za ucho niesforny kosmyk i pogłaskał mnie po szyi i policzku.

– Bardzo bym chciał mieć cię tu przez cały czas – powiedział łagodnie. – Mogłabyś rozpuścić włosy i pozwolić mi zobaczyć prawdziwą siebie, prawdziwą Venetię, nie tę kokietkę, która udaje złośliwą i pewną siebie.

Uśmiechnął się, ale znów miał w spojrzeniu jakąś rozbijającą powagę.

Zakłopotana odsunęłam się od niego.

– Przecież taka właśnie jestem – odrzekłam pogodnie, choć wcale nie jestem pewna, czy to prawda.

Po kolacji przeszliśmy do salonu. Alastair zapalił wcześniej kilka świec, które rozjaśniły małą pracownię niczym gwiazdki; w powietrzu unosił się ich woskowy zapach, a aksamitne poduszki i gruby dywan stwarzały nastrój ciepła i przytulności. Jak zwykle rozebrałam się do naga i ułożyłam przed kominkiem, by pozować do portretu. Zadziwiające, jak szybko można przywyknąć do nagości, do obnażania się na potrzeby sztuki. Praca nad moim aktem idzie bardzo dobrze, choć Alastair co jakiś czas przerywa malowanie, podchodzi do mnie i szepcze mi do ucha czule słówka. Dziś jednak, kiedy наносił ostatnie poprawki, rozległo się gwałtowne pukanie do drzwi, a właściwie walenie, jakby ktoś uderzał w nie

pięścią.

– Slater, wiem, że tam jesteś – wykrzyknął ochryply głos. Rozpoznałam go natychmiast, podobnie jak Alastair; spojrzeliśmy po sobie, a ja uśmiechnęłam się drwiąco.

– Otwieraj, Slater – wybełkotał głos.

Należał do Davida Tillinga. Chłopak ewidentnie miał ochotę się na kimś odegrać po wypiciu w pubie kilku piw. Odkąd wrócił z Dunkierki, ciągle przechwala się, jaki to z niego bohater, co oczywiście nie ma wiele wspólnego z prawdą, zwłaszcza w porównaniu z Henrym, który jednego dnia zestrzelił trzy hitlerowskie samoloty. Davidowi udało się wyhodować pod nosem komiczny załazek wąsa lotnika, a do tego zaczął palić. Koń by się uśmieł.

Chodził za mną tak długo, aż dowiedział się o moim romansie z Alastairem; spędzamy razem cały wolny czas, taka właśnie jest nasza młoda miłość! Od tego czasu wygłasza złośliwe uwagi w stylu: „Slater nie jest ciebie wart, Venetio. Co taka dziewczyna jak ty robi u boku tchórza?”. Albo wręcz potępiające: „Ponizasz się, Venetio”. Jedyne wnioski, jakie się nasuwa, to to, że w wojsku nauczył się nie tylko walczyć; wcześniej nigdy nie przyszłoby mu do głowy powiedzieć coś takiego.

Ale wróćmy do wczorajszego wieczoru. Kiedy David walił w drzwi, Alastair odłożył pędzel i bez pośpiechu ruszył do przedpokoju i zamknął za sobą drzwi do salonu. Ja tymczasem narzuciłam na siebie sukienkę, nie włożywszy wcześniej bielizny – dość pikantne, nie sądzisz?

Usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi frontowych i głos Alastaira:

– Dobry wieczór, Davidzie. Co cię tu sprowadza?

– Pozzwól na słówko, Slater – wybełkotał głośno David. Przy chłodnym opanowaniu Alastaira jego głos brzmiał bardzo młodo i niemądrze.

Potem nastąpiło kilka głośniejszych huków, jakby ktoś oberwał, i brzęk czegoś uderzającego o ziemię. Zdenerwowałam się, bo David jest wysoki i dopiero co wrócił ze szkolenia wojskowego. Musiał zaaplikować Alastairowi parę ciosów.

Zajrzałam do przedpokoju.

Zobaczyłam tam jednak Alastaira – fryzurę miał wciąż nienaganną – który trzymał przeciwnika w żelaznym uścisku, a na ziemi leżała rozbita butelka, przypuszczalnie należąca do Davida.

Spojrzałam na mojego ukochanego z nowym zachwytem. Gdzie on się nauczył tak walczyć?

– Nie jestem pewien, czego właściwie chcesz, Davidzie – powiedział łagodnie. – Ale próba rozbicia mi głowy butelką to nie najlepsza forma komunikacji.

– Wiem, że ona tu jest. – Młody Tilling mówił coraz głośniejsze. – Zejdź mi z drogi.

Zanim się obejrzałam, już wyrwał się Alastairowi i wpadł do salonu, gdzie siedziałam teraz grzecznie na sofie w odrobinę pomiętej zielonej sukni w łączkę, z rączkami w małdrzyk i uśmieżkiem na ustach.

– Witaj, Davidzie.

– Venetia. – Spojrzał na mnie z konsternacją i rozdziawił usta. Mogę się tylko domyślać, jaki byłby oszołomiony, gdyby zobaczył mnie nagą.

Podszedł do mnie i usiadł obok, po czym chwycił mnie za rękę.

– Venetio, musiałem cię zobaczyć. Jutro wyjeżdżam – był bardziej pijany, niż sądziłam, dłonie miał lepkie i wilgotne, a oddech cuchnący. – Chciałem na do widzenia dostać od ciebie całusa, skoro oddajesz się każdemu, kto się nawinie.

Spoliczkowałam go, ale niezbyt mocno. Wiedziałam, że po prostu recytuje swój kolejny cyniczny tekst.

– Davidzie, mogę być, z kim zechcę. Zrozum, nie jestem niczyją własnością, zwłaszcza teraz, kiedy trwa wojna. Wszyscy musimy być sobą, musimy być wolni.

Śmiałam się, wypowiadając te słowa; wcale nie jestem bardziej wolna niż on. Nie widzę świata poza Alastairem.

Nagle David rzucił się na mnie, usiłując skraść mi całusa i obśliniając tymi swoimi sflaczałymi wargami, zimnymi jak u ryby.

– Proszę cię, przestań! – wykrzyknęłam.

Alastair oderwał go ode mnie. David wstał i zamachnął się, żeby go uderzyć, ale mój najdroższy się uchylił, a Tilling stracił równowagę i poleciał w kąt pokoju, gdzie zwałił się na podłogę.

I wtedy się odwrócił i zobaczył portret.

– Mój Boże, Venetio – wyjąkał osłupiały.

Siedziałam dalej na sofie z miną niewiniątka, Alastair zaś podbiegł i zakrył sztalugę czarną płachtą.

– Jak się zapewne domyślasz, namalowałem to z wyobraźni – rzucił lekko, powstrzymując się od śmiechu.

– Venetio, pozowałaś nago temu lajdakowi?

David wstał, zerwał płachtę i pozerzał wzrokiem każdy szczegół, wszystkie krągłości i – cóż, Angie, resztę pozostawię twoim domysłem. Wystarczy powiedzieć, że zobaczył wszystko.

– To sztuka, Davidzie – stwierdziłam po prostu, niedbałym ruchem odrzucając włosy do tyłu. – Tym się zajmują artyści.

– Rozebrałaś się przed tym sukinsynem – warknął, a jego wykrzywiona twarz poczerwieśniała. – Pozwoliłaś mu się namalować. Pozwoliłaś mu się dotknąć, mam rację?

– Davidzie, jestem dorosłą kobietą.

– A ja dorosłym mężczyzną.

Stał, przenosząc wzrok ze mnie na portret w gniewnym milczeniu.

– Wiem, że jutro wyjeżdżasz, ale musisz już iść. To mieszkanie pana Slatera. Nie można tak po prostu wdzierać się ludziom do domów...

– Powiem twojemu ojcu – przerwał mi David stanowczo. – Zrobi ze Slatera marmoladę. – Dziwnie zabrzmiał jego zduszony śmiech. – Wreszcie ktoś mu pokaże, gdzie jego miejsce.

– Nie mów mu, Davidzie. – Sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli. Papa zabiłby Alastaira, i mnie pewnie też. – Wiem, że ty byś mnie tak nie zdradził.

Spojrzał mi w oczy, a potem jego wzrok przesunął się po moim ciele; poczułam, że obmacuje mnie w myślach, zadziera sukienkę i kładzie na mnie te swoje wstrętne łapska.

A potem w okamgnieniu chwycił portret i pognął na zewnątrz w zimne nocne powietrze, zatraskując mi drzwi przed nosem. Szarpnęłam za nie i wybiegłam w ciemność, ale w jednej chwili straciłam go z oczu.

Alastair ruszył za mną i popędziliśmy w stronę zieleńca, nasłuchując kroków Davida, on jednak jakby zapadł się pod ziemię. Nigdy bym nie przypuszczała, że będzie tak niesłychanie zuchwały. Ani taki szybki.

Nasze poszukiwania zakończyły się w momencie, kiedy potknęłam się o kamień i sturlałam w stronę stawu, gdzie wystraszyłam drzemiące kaczki.

– Nic ci się nie stało? – wyszeptał Alastair, podbiegając do mnie.

Zanim jednak zdążył cokolwiek dodać, przyciągnęłam go do siebie i zaczęliśmy całować się na środku wiejskiego zieleńca.

Jak myślisz, co by na to powiedziała pani B.?

Tak więc nie znaleźliśmy Davida. Dziś rano wyjechał znów na front. Zastanawiałam się, czy miał czas pokazać obraz papie, ale najwyraźniej nie, bo papa nikogo nie zamordował. Tak czy inaczej David naraziłby własne życie; papa potrafi czasem zachowywać się jak obłąkany, zwłaszcza kiedy ma pod ręką śrutówkę. Pamiętasz, co się stało w zeszłym roku z tym kłusownikiem?

Nie mam pojęcia, co David mógł zrobić z moim portretem – jest za duży, żeby mógł zabrać go ze sobą, a na pewno nie zostawił go w domu, żeby natknęła się na niego pani Tilling. Może dał go komuś na przechowanie; mam tylko nadzieję, że nie był to ktoś, kto mnie zna, na przykład Ralph Gibbs.

Tymczasem błagam Alastaira, żeby mi powiedział, gdzie się nauczył tych wszystkich technik samoobrony, ale on za każdym razem zmienia temat. Im lepiej go poznaję, Angie, tym bardziej mi się wydaje, że on coś knuje.

W niedzielę po nabożeństwie zdarzyło się coś niezwykłego na tej ścieżce, na której zawsze wszyscy się zbierają. Był tam Alastair – mówi, że uwielbia słuchać, jak śpiewa nasz chór – i po chwili podbiegła do niego pani B.

– Musi pan pozwolić się przedstawić w towarzystwie – upierała się, ciągnąc go w stronę swojej grupki.

Rzecz w tym, że kiedy podeszli do pułkownika Mallarda, zobaczyłam, że

Alastair jakoś dziwnie się ociąga.

– Niestety naprawdę muszę już iść – powiedział uprzejmie do pani B. i zaczął się wycofywać.

– Niech pan nie będzie śmieszny! – wykrzyknęła. – Musi pan poznać wszystkich mieszkańców, jeśli chce pan zarobić parę groszy, mam rację? – Szturchnęła go i zachichotała.

Najdziwniejsze było to, że pułkownik Mallard też sprawiał wrażenie zakłopotanego. Nie miał ochoty zapoznawać się z Alastairem, więc kiedy pani B. w końcu ściągnęła ich w jedno miejsce, scena, która wówczas nastąpiła, była, delikatnie mówiąc, nieco niezręczna.

– Bardzo mi przyjemnie – powiedzieli obaj jednocześnie, a potem na dłuższą chwilę zapadła cisza.

– Ładna pogoda, nieprawdaż? – zaczął Alastair, ale – czy to możliwe? – coś go chyba śmieszyło. Uśmiechał się uprzejmie jak zwykle i stał jak zawsze wyprostowany, z tą samą niewymuszoną swobodą, jednak w jego głosie usłyszałam nutkę rozbawienia.

Miałam wrażenie, że spotkali się już wcześniej. W innych okolicznościach.

– Pewnie długo się nie utrzyma – odrzekł pułkownik jakby drwiąco, po czym szybko się odwrócił i znalazł sobie jakieś ważne sprawy do omówienia z pastorem, jak dziwnie by to brzmiało.

Czy Alastair zna pułkownika Mallarda? A jeśli tak, to w jakim charakterze? Wszystko to było tak zagadkowe, że postanowiłam po kościele wstąpić do Hattie na herbatę i zapytać ją, co o tym myśli.

– Co wiesz o tym pułkowniku, który mieszka u pani Tilling?

– Według niej jest strasznym gburem i prawie w ogóle się do niej nie odzywa – odparła Hattie. – Ale ona sama traktuje go ledwie poprawnie, zwłaszcza odkąd miał czelność zaproponować, że podwiezie ją z Litchfield do domu. Łało jak z cebra, pani Tilling jechała na rowerze, a on zatrzymał się i praktycznie zmusił ją do tego, żeby wsiadła do auta. – Zachichotała. – Wyobrażasz sobie napięcie wiszące w powietrzu, kiedy jechali do domu? Ale oddał pokój Davidowi, kiedy chłopak wrócił z frontu, a sam przeniósł się do hotelu w Litchfield. Chociaż pani Tilling mówi, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego, każdy by tak zrobił. – Hattie wzruszyła ramionami. – Moim zdaniem zwyczajnie wchodzi jedno drugiemu w drogę, i żadne nie jest gotowe ogłosić rozejmu. A czemu pytasz?

– Usłyszałam dziwną wymianę zdań między nim a panem Slaterem, jakby się już wcześniej poznali, i to niekoniecznie w przyjemnych okolicznościach. Zaczynam się zastanawiać, czy on nie jest zamieszany w coś nielegalnego, na przykład czarny rynek.

– Ojej – zaczęła Hattie, spuszczać wzrok. – Miałam powiedzieć ci wcześniej, ale nie wiedziałam, jak to ująć. Kilka nocy temu wstałam do Rose

i zobaczyłam, jak on wychodzi z domu o drugiej nad ranem. Ruszył dokądś przez plac. Bóg jeden wie, co robił.

– Jesteś pewna? – Nie mogłam w to uwierzyć. – O której wrócił?

– Nie widziałam, żeby wracał, chociaż byłam na nogach do trzeciej. – Inaczej ułożyła sobie dziecko w ramionach. – Venetio, wygląda na to, że on co chwila gdzieś się wymyka, a teraz pułkownik Mallard dziwnie się przy nim zachowuje. To by wskazywało, że pan Slater nie ma dobrych zamiarów.

– Ale poza tym cała wieś go uwielbia. Rozstawił stoły na kiermasz w zeszłym tygodniu; zanim przyszedł, pani Quail była bliska rozpacz. I pomógł Kołu Szwaczek przewieźć swoim samochodem do Litchfield transport kominiarek. Pamiętasz, jak odprowadził Silvie do domu po tym, jak spadła z konia nad potokiem? Ona uważa, że jest cudowny.

– Tylko co on robił w środku dnia nad potokiem? To się po prostu nie trzyma kupy – zauważyła Hattie.

– Może po prostu od czasu do czasu dorabia sobie parę groszy na czarnym rynku?

– To może i nie byłoby takie złe, ale on sprawia wrażenie, jakby spał na pieniądzech. Ma auto, wytworne ubrania i obsypuje cię prezentami.

– A może sprzedaje obrazy? – podsunęłam. – Pani B. tylko marzy, żeby dostać w swoje ręce któreś z jego dzieł.

– A czy któreś z nich zniknęło?

– Nie – wzruszyłam ramionami i poczułam, że tracę energię do walki. – Nie sprzedał jej nawet jednego szkicu, unika jej, jak tylko może. Wszystkie obrazy trzyma w tece. – Z wyjątkiem tego, który ukradł David Tilling, pomyślałam, i Bóg raczy wiedzieć, gdzie jest. – Nie wróży to dobrze, prawda?

– Przykro mi, Venetio, ale nie – odparła Hattie.

Przez dłuższą chwilę siedziałam zmartwiona, a potem wzięłam się w garść.

– Cóż, chyba nie mam wyboru. Będę musiała go śledzić.

– Venetio! To może być niebezpieczne. Sprawdź najpierw, czy nie uda ci się dowiedzieć czegoś w inny sposób.

Dyskutowałyśmy o tym długo i Hattie przekonała mnie, że powinnam zadać mu więcej pytań, spróbować ostatni raz. Obiecałam, że tak zrobię, choć mam wrażenie, że nic nie wskóram. Kiedy z nim jestem, wydaje się, że wszystko jest idealnie. Czuję się wtedy jak idiotka, że zaczęłam w niego wątpić, ale kiedy się rozdzielamy, od razu przypominam sobie te wszystkie dziwne rzeczy i nie potrafię się powstrzymać od zadawania sobie pytań. Kim on jest?

Pewnie zanudzam Cię na śmierć, kochana Angie. Napiszę znów, kiedy czegoś się dowiem. Pewnie uważasz, że powinnam znaleźć sobie następną ofiarę, ale Alastair to naprawdę mężczyzna dla mnie. Chociaż nie jestem do końca pewna, co to za człowiek. Napiszę, jak tylko coś ustalę.

Ucałowania,

Venetia

DZIENNIK PANI TILLING

Sobota, 13 lipca 1940 r.

Dziś wybrałam się autobusem do Parnham, żeby przekazać pierścień Berkeleya Carringtonowi. Zwlekałam z tym od kilku tygodni i naprawdę żałuję, że nie zastanowiłam się, zanim złożyłam mu obietnicę. Nie wiedziałam, kim jest ten Carrington ani nawet, o którego chodzi, gdyby się okazało, że jest ich tam więcej niż jeden. Ale wiedziałam, że muszę jechać, bo hitlerowcy zaczęli bombardować porty. W zeszłym tygodniu zaatakowali Dover – wiele budynków jest zrównanych z ziemią, zginęli ludzie. Tylko patrzeć, jak nas napadną; staniemy się więźniami we własnym kraju, zabronią nam podróżować i będziemy musieli pracować całymi dniami. Staram się o tym nie myśleć, bo robi mi się słabo ze strachu.

Nigdy nie znałam żadnego homoseksualisty, to znaczy z wyjątkiem Berkeleya, naturalnie. Zawsze mi się zdawało, że to taki etap, nastoletnie zadurzenie, które trwa dłużej, niż powinno. Harold mawiał, że z homoseksualistami jest coś nie tak. Zastanawiałam się więc, jakiego człowieka spotkam. Jak zareaguje. Miałam nadzieję, że nie jest niebezpieczny; nigdy nie wiadomo, zwłaszcza jeśli naprawdę w jego psychice coś nie działa tak, jak trzeba. W jakich absurdalnych sytuacjach stawia nas ta nieszczęsna wojna! Dlaczego się na to zgodziłam?

Przesiadłam się w Litchfield, ruszyłam do Parnham i szybko przekonałam się, że siedzę obok niezwykle gadatliwej damy, najwyraźniej wioskowej plotkarki. Był to niezwykle szczęśliwy zbieg okoliczności (nawet jeśli pani odrobinę działała mi na nerwy), zapytałam więc, czy wie, gdzie znajdzie Carringtona.

– Jak to, nie wie pani? Mieszka w Parnham House. Wicehrabia Carrington, do usług – dorzuciła z komicznym akcentem z wyższych sfer.

– Och, nie wiedziałam – odrzekłam, zupełnie nierozbawiona. Akurat tego mi było trzeba. Wicehrabia! – Czy to młody człowiek?

– Nie, ale ma dwóch synów. Starszy jest w RAF-ie, trochę z niego snob. No i młodszy, ranili go w nogę we Francji, teraz kuruje się w domu. Miły chłopak. Chociaż z wicehrabią to sobie z dzióbków nie piją, oj nie.

– Wicehrabia to jego ojciec, tak?

– Tak – prychnęła kobieta. – Dumny jak paw, okropny konserwatysta. Nie podoba mu się, że chłopak przesiaduje w domu. Szczerze mówiąc, w ogóle nie ma do niego serca. – Pogardliwie zacisnęła usta. – Niejedno słyszy się od służących, wie pani.

Niebawem kierowca wysadził mnie na środku wioski i została mi tylko krótka przechadzka do posesji. Miałam czas, żeby zebrać myśli. Do tej pory moje

spotkania z arystokracją były nieliczne i zdarzyły się dawno temu. Choć jej przedstawiciele nie mają już tyle władzy co kiedyś, kontakt z nimi nadal wywołuje we mnie panikę. Gdyby tylko na moim miejscu była pani B., z jej tak zwanymi koneksjami z rodziną królewską i niewyczerpanym zapasem pewności siebie... Choć z drugiej strony wątpię, czy zgodziłaby się na takie przedsięwzięcie, szczególnie że wiąże się ono z czymś podejrzanym i zakazanym. Niech Bóg ma nieszczęsnego Carringtona w swojej opiece; ani by się obejrzał, a już znalazłby się w komisariacie w Parnham.

Byłam ogromnie zdenerwowana także dlatego, że moje zadanie nie należało ani do łatwych, ani do przyjemnych. Któremu synowi mam przekazać wiadomość? A jeśli zastanę tylko wicehrabiego, a on będzie nalegał, żebym wyjaśniła, co mnie sprowadza? Co mam powiedzieć?

Kiedy przeszłam przez otaczający rezydencję park, moim oczom ukazał się dom: rozległa fasada w stylu regencji, podwójne schody, rozdzielające się, a potem łączące przed masywnymi drzwiami frontowymi. Wzdrygnęłam się, podchodząc do nich, ponieważ zauważyłam, że jestem obserwowana. Za firanką w oknie na parterze przesunął się jakiś cień; ktoś spodziewał się, że pociągnę za dzwonek, i pewnie zastanawiał się już nad celem mojej wizyty.

Leciwy kamerdyner uchylił drzwi, wyraźnie dając w ten sposób do zrozumienia, żebym sobie poszła, i poinformował mnie nadętym tonem, iż wicehrabiego nie ma w domu.

– Przyszłam do jego syna – odparłam szybko i wślizgnęłam się do hallu. Nie jechałam taki szmat drogi tylko po to, żeby dać się zbyć.

– Dowiem się, czy przyjmuje – rzekł kamerdyner, spoglądając na mnie z wyższością, po czym zaprowadził mnie do chłodnej bawialni.

Wnętrze było imponujące i surowe, ale pustawe i dość ponure. Spłowiałe barwy – szarozielony, gołębi – wyraźnie przyszarzałe; słowo daję, że gdybym tylko zobaczyła gdzieś miotełkę do kurzu, nie byłabym w stanie się powstrzymać. Zapach wosku do drewna i naftaliny pogłębiał wrażenie sztywnej posępności. Czułam się całkowicie obco i stanowczo niekomfortowo.

Po chwili otwarły się drzwi i wszedł przez nie młody człowiek. Dzięki Bogu natychmiast poznałam, że to ten, o którego mi chodzi. Wciąż chłopięco szczupły, średniego wzrostu, o ciemnych włosach, poruszał się z pełną skrupowania ostrożnością, powoli, ciężko i niezgrabnie. Był ewidentnie ranny w nogę, nogawka od spodni opinała się na bandażach, kiedy kulejąc, posuwał się naprzód. Gdy podniósł na mnie wzrok, zauważyłam, że unika patrzenia mi w oczy – spojrzął przez okno na taras, a potem w stronę kominka. Sprawiał wrażenie bezbronny. Miał w sobie jakiś głęboki niepokój, wydawał się oddzielony od wszystkiego, co go otaczało.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęłam się życzliwie, nagle zdając sobie sprawę, że

za sprawą mojej misji zbliżę się do tego młodzieńca prawdopodobnie bardziej niż większość znanych mu osób. – Nazywam się Margaret Tilling, przyjechałam z Chilbury.

– Zechce pani usiąść? – zapytał głosem człowieka z wyższych sfer. Nie odwzajemnił mojego uśmiechu, co było boleśnie zrozumiałe i zarazem niesłychanie grubiańskie. Choć z drugiej strony, skąd miał wiedzieć o moim strasznym zadaniu? Przycupnęłam na brzeżku obitej beżowym brokatem otomany.

Carrington dokuśtykał do sofy naprzeciwko, ostrożnie podniósł z niej poduszkę i dopiero wtedy usiadł, odmierzając każdy ruch tak, żeby nie urazić chorej nogi. Westchnął i znów wyjrzał przez okno, przez które widać było falujące wzgórze, a za nimi słodko-gorzki błękit morza. Okupowana przez hitlerowców Francja znajdowała się zaledwie dwadzieścia mil dalej, czaiła się na horyzoncie niczym cień nieuniknionego.

– Co panią tu sprowadza? – Młody człowiek znów odezwał się tak, jakby czytał z podręcznika do savoir-vivre’u, rozdrażniony koniecznością obcowania ze mną.

– Mam wiadomość od Berkeleya.

Wbił we mnie wzrok i siedział, nie spuszczać ze mnie oczu. Jego usta uchylły się lekko; potrzebował chwili, żeby oswoić się z tym, co usłyszał. Przez głowę musiało przebiegać mu tysiąc myśli jednocześnie.

– Jaką wiadomość? – spytał bez tchu.

– Jestem pielęgniarką, zajmowałam się nim w Dover. Kazał mi obiecać, że przekażę panu to. – Otworzyłam dłoń, na której leżał pierścień, i wyciągnęłam ją w stronę Carringtona.

Młodzieniec zaniósł się kaszlem, choć myślę, że próbował pokryć nim szloch. Nie podszedł, żeby popatrzeć na pierścień; musiał go dobrze znać: widzieć już, dotykać, mieć w ręce. Siedział jeszcze przez chwilę, a potem pokuśtykał do mnie, wziął przedmiot do ręki i schował do wewnętrznej kieszeni. Następnie oddalił się i stanął przed oknem wychodzącym na taras. Patrzył na wypielęgowany ogród i wzgórze, równoległe rzędy klasycystycznych posągów i symetrycznie przycięte ozdobne krzewy.

– On należy do mnie, wie pani – odezwał się cicho. – Ten pierścień. – Zwrócił się w moją stronę. – Dałem go Berkeleyyowi cztery lata temu. Byliśmy razem w szkole z internatem. – Z nagłym skrępowaniem przeniósł wzrok na swoje dłonie. – Co mówił?

– Żebym panu powiedziała, że pana kocha. – Przeszedł mnie lekki dreszcz. – Był bardzo słaby.

Moje słowa rozplynęły się w powietrzu, a do mnie wróciło brutalne wspomnienie Berkeleya, ogromnego strachu w jego oczach, jego młodzieńczej sylwetki, która w jednej chwili stała się bezwładna i martwa.

Spojrzałam na Carringtona. W oczach miał rozpacz, widać było, że walczy, by odzyskać panowanie nad sobą. Popatrzył znów za okno, na daleki horyzont, nie potrafił powstrzymać wzbierających łez. Minęło kilka strasznych minut. Nagle zaczęłam się zastanawiać, czy czasem nie zaszła pomyłka. Może on wcale nie wiedział, że jego przyjaciel nie żyje. Czyżbym nieświadomie przekazała mu najgorszą wiadomość, jaką można usłyszeć?

– Przykro mi – wyjąkałam. – Sądziłam, że pan wie. Myślałam, no cóż, właściwie nie wiedziałam, co mam myśleć.

– Wiedziałem – wymamrotał Carrington i odkaszlnął. – Zatelefonowała do mnie jego matka. Wiedziała, że się przyjaźniliśmy, chociaż nie... – urwał, pochmurniejac. – Jak dla mnie może pani na mnie donieść – dodał wyniośle, hamując łzy. – Może pani zrobić, co tylko zechce. Nie dbam o to. Nie mam już nic do ukrycia. – Spojrzał w zamyśleniu na przepływające po niebie chmury i dorzucił jakby nieobecny tonem: – Nic mi już nie zostało.

– Nie zamierzam na pana donieść – odpowiedziałam najłagodniej, jak potrafiłam. – Przyrzekłam mu to. – Umilkłam, myśląc, że to wszystko jest znacznie dziwniejsze, niż sobie wyobrażałam.

Carrington wrócił i znów usiadł na sofie naprzeciwko mnie.

– Proszę mi opowiedzieć, jak to było.

– Wciąż o panu mówił – że bez siebie bylibyście zgubieni, że ma szczęście, bo umiera pierwszy. Potem odwrócił się, jego oddech był coraz słabszy, aż wreszcie – słowa mnie zawodziły – ustał.

Wiem, że nie przebiegło to dokładnie w ten sposób, lecz Berkeley z pewnością chciałby, żebym powiedziała coś takiego. Pamiętam, jak umierał Harold, jak rozpaczliwie pragnęłam, żeby wypowiedział moje imię, żeby się do mnie zwrócił. Ale tak się nie stało, więc najlepsze, co mogę zrobić, to znaleźć jakąś pociechę, ofiarowując ten upragniony dar komuś innemu.

Carrington opuścił głowę i ukrył twarz w swoich wielkich dłoniach. Szlochał. Przez chwilę siedziałam i patrzyłam na niego z poczuciem, że jestem intruzem. Zastanawiałam się, czy powinnam sobie pójść. A potem zdałam sobie sprawę, że utrata bliskiej osoby dla każdego jest dokładnie taka sama: przytłaczająca, nieubłagana, ogluszająca. Jak wiele potrafimy znieść my, ludzie; powoli uczymy się żyć dalej, choć zostaliśmy całkiem sami. Zapełniamy próżnię najlepiej, jak potrafimy.

Albo pozwalamy się jej pochłonać.

Podniosłam się i usiadłam na sofie obok niego, a po paru minutach objęłam go, on zaś odwrócił się do mnie i bezgłośnie zaszlochał mi w ramię. Zaczęłam się zastanawiać, czy jestem jedyną osobą, która wie, jedynym ramieniem, na którym może się wypłakać.

Dźwięk otwierających się gdzieś w oddali drzwi i ciężkie kroki w hallu

zasygnalizowały powrót wicehrabiego. Carrington wstał szybko i pokuśtykał do okna, błyskawicznie odzyskując panowanie nad sobą. Wytarł twarz chustką.

– To mój ojciec – odezwał się. – On by nie zrozumiał.

– Przypuszczam, że nie.

– Dziękuję, że pani przyszła – dodał powoli, a ja uznałam to za znak, że czas się pożegnać. Najwyraźniej Carrington nie chciał, żeby ojciec zaczął wypytywać o cel mojej wizyty.

Kiedy wstałam i wygładziłam spódnicę, młody mężczyzna zwrócił się w moją stronę i powiedział:

– Naprawdę bardzo pani dziękuję, pani...

– Tilling.

Uśmiechnął się, a ja przez chwilę zobaczyłam przed sobą innego człowieka, przystojnego młodzieńca, który mógł cieszyć się życiem, gdyby nie wrzucono go w sam środek krwawego konfliktu.

– Pani Tilling – powtórzył. – Czy mogę kiedyś panią odwiedzić? To znaczy, jeśli przetrwam tę koszmarną wojnę.

Wzruszyłam ramionami.

– Naturalnie, że pan może. Mieszkam w Chilbury, w Ivy House. – Młody Carrington uśmiechnął się jeszcze raz i spojrzał na mnie w taki sposób, że nie miałam wątpliwości, iż jeszcze go zobaczę, być może w lepszym momencie, w szczęśliwszych okolicznościach. – Z czasem wszystko przestanie być aż takie trudne, wie pan.

Otworzył przede mną drzwi i weszliśmy do imponującego hallu. Po obu jego stronach wznosiły się podwójne schody, łączące się u góry w coś na kształt królewskiego balkonu, z którego rozciągał się widok na rozległy parkiet. Jakiś zegar tykał bezustannie, a ja chciałam już tylko wydostać się stamtąd, wyrwać się z tego przytłaczającego miejsca i znaleźć na świeżym powietrzu, wśród zieleni i dzikiej przyrody.

Czekał na nas kamerdyner, który popatrzył mi w oczy. Następnie zwrócił się do młodego Carringtona.

– Powiadomiłem wicehrabiego, że przyjmuje pan jakąś damę, a on wyraził chęć jej poznania – oznajmił pompatycznie. – Gdyby zechciała pani łaskawie tu poczekać, zaraz go poproszę – skłonił się jeszcze raz i odmaszerował korytarzem.

Poczułam się tak, jakby ktoś uderzył mnie w brzuch. Poznam wicehrabiego czy tego chcę, czy nie. Carrington pobladł.

– Przypuszczam, że chce po prostu sprawdzić, czy przypadkiem nie odwiedziła mnie jakaś młoda dama. Nie traci nadziei na romantyczne zaangażowanie, jeśli wie pani, co mam na myśli – powiedział z wymuszonym uśmiechem.

– Tak – odparłam ze znużeniem; chciałam, żeby miał rację, ale raczej się

tego nie spodziewałam.

Niestety nie miał. Wicehrabia wpadł do hallu jak burza, wołając:

– Co się tutaj dzieje?

Był potężnym mężczyzną, miał gęste, szpakowate, kędzierzawe włosy. Nosił krawat w kolorze czerwonego wina. Prezentował się nieskazitelnie, ale był wyraźnie wściekły. Stał przede mną i zapytał ostro:

– Kim pani jest, jeśli wolno spytać? I czego chce pani od mojego syna?

– Nazywam się Margaret Tilling – odpowiedziałam najspokojniej, jak potrafiłam, modląc się w duchu, żeby przyszło mi do głowy coś mądrego. – Pracowałam jako pielęgniarka w Dover i zostałam poproszona o przekazanie pańskiemu synowi wiadomości od przyjaciela. – Umilkłam, lecz on dalej nie spuszczał ze mnie wzroku, jakby oczekiwał czegoś jeszcze. – To były jego ostatnie słowa.

– Jeśli to ta świnia Berkeley, to lepiej dla wszystkich, że nie żyje – warknął w stronę młodego Carringtona, który patrzył na niego z wyćwiczoną obojętnością. – Zatrwał duszę mojego syna tymi swoimi...

– Istotnie, nie żyje. – Usłyszałam własny głos, rozbrzmiewający pewnie i donośnie w wielkim hallu. – Zmarł tamtej nocy w Dover, ranny w walce z hitlerowcami pod Dunkierką. Był dzielnym żołnierzem i zasłużył na to, by takim go zapamiętano.

– Zasłużył na to, by zapamiętać go jako degenerata. Powinien był zawisnąć.

– A jednak mógł oddać swoje życie – własne życie! – za ten kraj. Czemu nie może pan zdjąć z oczu kłapek i zobaczyć tego, co rozgrywa się tuż przed panem? Był tylko chłopcem, który walczył i chciał przeżyć. Usiłował pomóc panu i pańskiemu krajowi przetrwać jeszcze jeden dzień.

Widok przerażenia na twarzy jego syna podziałał na mnie jak kubeł zimnej wody. W życiu nie przekonam tego tyrana. Muszę po prostu stąd wyjść i przestać pogarszać sprawę. Było oczywiste, że gdy tylko drzwi się za mną zamkną, ten nieszczęsny młody człowiek zostanie ukarany i poniżony tak, że sam straci wszelką ochotę do życia.

– Chyba czas już na panią – rzekł lekceważąco wicehrabia. – Nie wiem, kim pani jest, dobra kobieto, ale mam szczerą nadzieję, że ktoś jeszcze zdoła nauczyć panią dobrych manier.

Posłałam Carringtonowi przelotne spojrzenie – zamyślane, krótkie, milczące – i ruszyłam do drzwi.

Kamerdyner otworzył je przede mną, a ja wymaszerowałam na zewnątrz i zesłam po majestatycznych schodach na podjazd. Po obu jego stronach rozciągały się schludne trawniki, a za nimi dzikie, falujące wzgórza i lasy pełne własnych tajemniczych hierarchii, posłuszne własnym nieodgadnionym rozkazom.

Idąc swobodnym krokiem po podjeździe, odetchnęłam głęboko. Wciągnęłam

w płuca słodycz lata, pełnego pszczoł i ptaków, i pomyślałam o tym, jaki piękny jest ten świat. Ile mamy szczęścia, że tu jesteśmy, że stanowimy jego część, nieważne jak długo.

Wróciłam do Chilbury autobusem, zdenerwowana tym, jak rozstaliśmy się z wicehrabią. Wrogość i pycha tych ludzi jest bezwzględna, kurczowo trzymają się swoich przywilejów w obliczu naszego całkowitego unicestwienia. Natura ludzka niekiedy mnie zdumiewa: jak zachłanność i pogarda mogą czaić się tuż obok największego poświęcenia i odwagi.

Przytłoczyło mnie poczucie odpowiedzialności, a może raczej winy? Poczucie, że w jakimś sensie odpowiadam za ten stan rzeczy, bo przez tyle lat kuliłam się ze strachu przed tymi wszystkimi pompatycznymi mężczyznami, choć powinnam zebrać się na odwagę i mówić to, co myślę. Że gdybyśmy my, kobiety, zrobiły to wiele lat temu, przed poprzednią wojną albo przed tą, to żylibyśmy w zupełnie innym świecie.

I co będzie z Carringtonem? Z tym nieszczęsnym, zdruzgotanym młodym człowiekiem! Fakt, że poznałam jego i Berkeleya, choćby przelotnie, każe mi zastanowić się nad tym, dlaczego wszyscy robią tyle zamieszania wokół homoseksualizmu. Chyba nie ma w tym nic bardzo złego? Czyż miłość między dwojgiem ludzi nie jest lepsza od nienawiści, na tym świecie pełnym przemocy i żaloby? Miałam wrażenie, że bezbronne ciepło ich uczucia przetrwało mimo tej trującej wojny. Mimo tego, że jeden z nich jej nie przeżył. Kiedy dotarłam do Chilbury, słońce rzucało na plac długie cienie, a ja czułam się rozbita. Postanowiłam wstąpić do kościoła z nadzieją, że przyniesie mi to spokój. Ostatnio coraz częściej tam zaglądam. Czekam, aż cisza przeniknie do mojego wnętrza. Wśliznęłam się na zarośnięty cmentarz, gdzie łagodne wieczorne powietrze przesycone było wonią lawendy i głogu, i bezwiednie przystanąłam przed ozdobnym starym grobem młodego bohatera. Na wierzchu znajdowała się zniszczona rzeźba śpiącego lwa, którego potężne łapy przykrywały cenne ciało złożone wewnątrz.

Ale cenne dla kogo? Kto dwieście lat później pamiętał tego człowieka, tak starannie złożonego na wieczny odpoczynek, tak bardzo kiedyś kochanego? Teraz została z niego pewnie tylko garść prochu, marna i nietrwała wobec spoczywającego nad nią niewzruszonego kamiennego lwa.

Łzy gwałtownie napłynęły mi do oczu. Ta wojna to dla mnie zbyt wiele. Nie należę do kobiet, które potrafią stawić czoła wicehrabiemu. Nie potrafię radzić sobie z tym, że mój syn walczy na froncie, że być może cierpi tak samo jak Berkeley, że jego kruche ciało zostanie wystawione na pastwę rozkładu, tak jak każde ludzkie ciało. Ta wojna mnie wykończy.

Osunęłam się na trawę obok grobu, chowając twarz w dłoniach i marząc, by zostawić to wszystko daleko za sobą, cofnąć się do czasów, zanim zaczęła się

wojna, albo zwinąć w kłębek i spać przez tysiąc lat.

Pierwsze krople deszczu sprawiły, że się otrząsnęłam; ściekały mi po plecach. Podniosłam się powoli. Deszcz przybierał na sile, więc skierowałam się do kościoła.

Ostrożnie uchylłam podwójne łukowate drzwi, wśliznęłam się do ostatniej ławki i usiadłam w ciszy. Tutaj, w tylnym rzędzie mogłam zatopić się we własnych myślach bez obawy, że opanują mój umysł i stanę się ich zakładniczką.

Dziś kilka rzędów przede mną zamajaczyła jakaś postać, wciśnięta w lewy róg, podobnie jak ja. Wpadające przez witrażowe okna nad ołtarzem światło spowiło błękitno-liliową mgiełką człowieka, który pochylił się i oparł głowę na rękach.

Był to pułkownik Mallard.

A więc teraz ten intruz wdarł się do mojego kościoła? Rozwścieczona jego obecnością zapomniałam o swoich smutkach. Poczułam złość i frustrację z powodu wojny i tych mężczyzn, którzy wszędzie się szarogęszą. Przyszło mi do głowy, żeby wyjść, ale postanowiłam zostać jeszcze chwilę i, jak dobrze pójdzie, opuścić kościół przed nim. Po kilku minutach mój plan jednak wziął w łeb, bo pułkownik wstał i zaczął kierować się nawą w stronę wyjścia. Zobaczyłam, że zatrzymuje się na mój widok, potem jednak ruszył dalej, niezobowiązująco skinąwszy mi głową. Udawałam, że go nie widzę, i usiłowałam zapanować nad moimi myślami.

Kiedy już zamknęły się za nim drzwi, przez chwilę siedziałam w ciszy, a potem nagle poczułam tęsknotę za normalnością, wstałam i energicznym krokiem wyszłam na zewnątrz. Pomaszerowałam przez cmentarz, w dół wzgórza prosto do domu, do mojego kochanego ciepłego domku.

W drodze złapałam się na rozmyślaniu nad tym, jak bardzo zmienił się mój pogląd na świat. Kto by pomyślał, że potrafię powiedzieć wicehrabiemu kilka słów do słuchu! Albo postąpić wbrew prawu i pomóc temu rannemu młodemu człowiekowi. Być może z tej wojny rzeczywiście wynikło coś dobrego: wszystko się pozmieniało, a wszelka niesprawiedliwość ukazała się w całej swojej ponurej brzydocie. My, zwykłe kobiety, otrzymałyśmy głos – wojna ośmieliła nas, żebyśmy nie tylko broniły samych siebie, ale także stawały w obronie innych.

W końcu na tym świecie pełnym zamętu i śmierci mamy mniej do stracenia.

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Środa, 24 lipca 1940 r.

Wiadomości o rodzicach Silvie

Dziś odwiedził nas wujek Nicky. Byłam strasznie podekscytowana, bo uwielbiam te nasze pogawędki; jeśli jest ciepły wieczór, najczęściej siadamy na tarasie i rozmawiamy o tym, co dzieje się na świecie, zupełnie jak dorośli. Ale dzisiaj wujek nie miał czasu na takie rzeczy. Przyjechał z wiadomościami dla Silvie i zamiast na tarasie, zasiedliśmy uroczyście w bawialni.

– Silvie, obawiam się, że twoi rodzice i brat zniknęli. Chodzą słuchy, że ukrywają się przed hitlerowcami, może w czyjejs piwnicy, albo usiłują uciec z kraju i przedostać się tutaj, żeby do ciebie dołączyć. Mamy oczywiście nadzieję na to drugie. Ufamy, że w jakiś sposób uda im się tu dotrzeć, choć teraz może to być trudniejsze. Niemcy kontrolują wszystkie porty i granice.

Silvie wpatrywała się przed siebie wielkimi ciemnymi oczami, bez słowa, bez choćby jednej łzy.

– Musimy być dzielni – powiedział wujek Nicky, ujmując jej dłonie i ściskając je mocno. – I wierzyć, że wszystko dobrze się skończy.

Dygnęła lekko, jakby nie była w stanie otworzyć ust, żeby mu podziękować. Ostrożnie wyszła z pokoju i zamknęła za sobą drzwi. Po chwili usłyszeliśmy, jak biegnie przez hall i po schodach na górę, a potem zatrząskuje drzwi do swojej sypialni.

Mama poprosiła, żebym poszła do niej i sprawdziła, czy z nią w porządku. Wszyscy wiedzą, że najlepiej się do tego nadaję. Cicho wspiełam się po schodach i zapukałam, ale Silvie nic nie odpowiedziała, więc w końcu weszłam do środka. Ostatecznie nie powinna być sama.

Leżała na łóżku, odwrócona twarzą ode mnie, milcząca.

– Silvie, rozchmurz się, proszę – powiedziałam, siadając na łóżku. – Oni pewnie są w drodze do nas.

Jednak najgorsze jest to, że ta podróż będzie okropnie niebezpieczna, bo prawie cała Europa kontynentalna jest zajęta przez hitlerowców. Nawet tutaj czujemy się zagrożeni. Nad miasteczka i porty na wybrzeżu zaczęły nadlatywać samoloty; bombardują Dover niemal co tydzień. Wiem, że Silvie myśli, że zaraz wpadnie w ich łapy; widzę strach w jej oczach, ilekroć słyszymy ten straszny

warkot.

– Są coraz bliżej – mówi do mnie ledwie słyszalnym szeptem.

Czasem zastanawiam się, czy nie widziała czegoś w Czechosłowacji, bestialstwa hitlerowców w pełni jego grozy. Może przed oczami cały czas ma jakąś makabryczną scenę, w której ofiarą jest ona sama albo jej rodzina.

Zanim wujek Nicky sobie pojechał, zapytałam go, co się stało, kiedy hitlerowcy przejęli władzę w Czechosłowacji.

Co spotkało Silvie, z tego, co rozumiem

Hitler zajął zachodnią część Czechosłowacji w 1938 roku, a w zeszłym roku czołgi i wojska zalały resztę kraju. Najeźdźcy rozkradli jedzenie i wszystko inne, bili tych, którzy próbowali stawiać im opór, wtrącili ludzi do więzienia.

Zniszczyli wiele domów i sklepów. Paradujący w czarnych mundurach żołnierze SS wszędzie porozwieszali swastyki.

Wielu ludzi zostało rozstrzelanych w więzieniach, a ich rodziny zmuszono do zapłacenia za egzekucje.

Dokumenty Żydów zostały oznaczone w specjalny sposób, więc Silvie musiała szybko wyjechać, żeby nic jej się nie stało.

Od kiedy dowiedziałam się tego, jestem dla Silvie przemiła. Ona nadal się nie odzywa, ale ja pewnie też bym się tak zachowywała, gdybym przeżyła coś takiego.

Tego wieczora zapytałam mamę, co się stanie z Silvie, jeśli jej rodzice nie dotrą tu przed zakończeniem wojny.

– Niestety nie może mieszkać u nas zbyt długo, bo papa nie byłby zadowolony. Ale przez jakiś czas tak, dopóki nie zostanie ustalone, gdzie byłoby jej dobrze.

Mama otarła z oka łzę. Chce, żeby Silvie została z nami, ale musi robić to, co mówi papa.

Kiedy zobaczyłam go jakiś czas później, ostrożnie poruszyłam ten temat, ale papa był uparty jak zwykle.

– Nie możemy pozwolić sobie na to, żeby uciekiniarki Bóg wie skąd mieszkały u nas, stawały się częścią rodziny i tak dalej – oświadczył. – Doprawdy, Kitty, jakie ty miewasz niedorzeczne pomysły, tak samo jak twoja matka. – Krążył po pokoju jak chmura gradowa, brał do ręki papiery i książki i rzucał je z hukiem. – Zdajesz sobie sprawę, że mamy wojnę?! – krzyknął. – Po naszym niebie latają niemieckie samoloty – jeden spadł w zeszłym tygodniu w okolicach Dover, a ochotnicy z obrony cywilnej do tej pory nie znaleźli tego przekłętego pilota. Kraj znajduje się w poważnym niebezpieczeństwie, a wy potraficie myśleć tylko

o jakiejś nieszczęsnej uciekinierce!

I na tym się skończyło. Wygląda na to, że będę musiała obmyślić jakiś genialny plan, który skłoni papę do kapitulacji.

Kolejna kłótnia z Venetią

Venetia zachowuje się absolutnie nieznośnie. Dziś rano wpadła do mojego pokoju w samej halce, z rękami na biodrach i zaczęła rozglądać się wokół z wściekłą miną.

– Gdzie moja błękitna sukienka, ty złodziejko?

– Nie mieścisz się już w nią, więc ją zarekwirowałam. – Uśmiechnęłam się do niej wyniośle. – Dobrze wiesz, że mama kazałaby mi zrobić to samo.

– Dalej się w nią mieszczę, kretynko. Wszystkie sukienki mi poznikały, wiedziałam, że to twoja sprawka – syknęła. – Tak czy inaczej grzeczność wymaga, żeby zapytać, zanim się coś weźmie.

Stała tuż przede mną i przysunęła swoją wściekłą twarz do mojej. Cofnąłam się.

– Pożyczyłam tylko tę – powiedziałam. – Nie mam pojęcia, co się stało z resztą. Może pokojówka ci je podbiera. A ta niebieska była mi potrzebna na piknik.

– Na piknik? Z kim?

– Silvie i ja urządziłyśmy sobie piknik we dwie. Chciałam jej pokazać, jak to było za dawnych dobrych czasów. Wiesz, przed wojną.

– Pamiętasz, jak pojechaliśmy z Henrym na Box Hill? – Venetia się wyprostowała i wyglądało na to, że na chwilę zapomniała o kłótni, wracając myślą do tamtego lipcowego dnia. – Wtedy oświadczył mi się po raz pierwszy. – Zaśmiała się. – Ależ to był zabawny dzień! Pamiętasz, jak...

Przerwałam jej, czując, że gorąca krew napływa mi do twarzy.

– Ale on się tamtego dnia oświadczył mnie! – Nie mogłam uwierzyć w to, co ona mówi. – Mnie się oświadczył!

– Kitty, nie bądź śmieszna – odparła moja siostra z drwiącym uśmiechem. – Przecież mógł się oświadczyć tylko jednej z nas.

Odsunęła się ode mnie. Stała ze skrzyżowanymi rękami i uśmiechała z lekka.

– I byłam to ja – stwierdziłam stanowczo. Niewykluczone, że dłonie miałam zacisnięte w pięści, bo najchętniej walnęłabym ją w tę idiotyczną gębę.

– Ach, no tak, przypominam sobie, odrzuciłam jego oświadczyzny, więc może jednak masz rację – zakpiła, spoglądając na mnie z góry. – Może był zrozpaczony po tym, jak dałam mu kosza, a potem zobaczył małą Kitty i zrobiło mu się ciebie żal. Wszyscy wiemy, że durzysz się w nim od lat.

Gdybym w tym momencie miała pod ręką śrutówkę papy, wzięłabym ją i strzeliła prosto w podłe, nikczemne serce Venetii.

– Ale mnie poprosił, a ja się zgodziłam! – wykrzyknęłam z wściekłością.

– Kitty, on sobie tylko żartował. – Zaśmiała się. – Co go interesuje taki głupi dzieciak jak ty. On chce mnie, prawdziwej kobiety. – Wydęła wargi w ten swój idiotyczny sposób, jak wielki mokry łoś, a ja odsunęłam się z obrzydzeniem.

– Cokolwiek ty masz, mnie na tym nie zależy, tak samo jak Henry’emu.

– Ależ owszem, kochanie. – Patrzyła na mnie z całkowitą, bezwzględną wyższością. – On za mną szaleje.

– To dlaczego go nie przyjęłaś, skoro ci się oświadczył? – zapytałam ostro.

– Bo czekam na kogoś lepszego.

– W rodzaju tego cwaniaczka Slatera?

– On nie jest żadnym cwaniaczkiem. – Venetia odwróciła wzrok, a przez jej twarz przemknął wyraz niepewności. – Jest wart miliona takich jak Henry.

– Czyżby, Venetio? – Wyciągnęłam swojego asa z rękawa.

– Czarnorynkowy spekulant jest lepszy od Henry’ego?

Rozplotła ręce, a jej sylwetka jakby się przygarbiła.

– Ty wiesz? – Nie wydawała się wstrząśnięta, tylko czujna, jakby starała się zrozumieć, co się dzieje, i nie zrobić fałszywego kroku.

Teraz to ja miałam powody do zadowolenia z siebie.

– Widziałam go w lasku, jak robił interesy z jednym kanciarzem, Starym George’em.

– Kiedy?

– Nie wiem, dlaczego niby miałabym ci powiedzieć. – Podeszłam do toaletki i zaczęłam układać na niej spinki do włosów. – Musiałabyś mnie o to błagać, a w ogóle to najpierw przeprosić, że mówiłaś, że Henry mi się nie oświadczył.

Przez chwilę stała bez ruchu, a potem zwróciła się w stronę drzwi.

– Ani mi się śni, ty jędzo. Po prostu pójdę i sama się dowiem.

I wybiegła do swojego pokoju, zapominając o sukni, pikniku i oświadczeniach. Odszukałam błękitną sukienkę i jeszcze raz ją przymierzyłam. Będę musiała ją włożyć na następne spotkanie z Henrym, żeby przypomnieć mu o naszych zaręczynach. Na pewno odświeży mu to pamięć.

LIST OD PORUCZNIKA CARRINGTONA DO PANI TILLING

Parnham House,

hrabstwo Kent

Telefon: Parnham 47

Piątek, 26 lipca 1940 r.

Szanowna Pani!

Chcę podziękować Pani za to, że przyjechała Pani do Parnham, by przekazać mi pierścień. Przypuszczam, że nie było to przyjemne zadanie, zdaję sobie też sprawę, że nie miała Pani obowiązku przyjeżdżać, dlatego jestem tym bardziej wdzięczny za Jej wizytę.

Od tamtego czasu znalazłem zatrudnienie, co spełnia podwójną funkcję: pozwala mi wyrwać się z domu i zajmuje myśli innymi sprawami niż wojna i utrata przyjaciół. Zjawił się u nas chirurg i uznał mnie za chwilowo niezdolnego do walki, toteż przydzielono mi pracę w Litchfield Park. Polega ona na przekładaniu papierów oraz telefonowaniu do różnych osób, żeby powiedzieć im, co jest w tych papierach. Jest dość nudna, ale mówią, że dadzą mi ciekawsze zajęcia, gdy tylko będą mogli. Liczę na to, że zostanę wysłany do Londynu, bo to oznaczałoby samodzielne mieszkanie.

Jeśli kiedyś będzie Pani w okolicy, proszę koniecznie do mnie wstąpić, mam bowiem poczucie, że nie przyjąłem Pani tak uprzejmie, jak mogłem. Chciałbym podziękować Pani, jak należy, za to, że zadała sobie Pani dla mnie tyle trudu. Gdybym mógł coś dla Pani zrobić, proszę się nie wahać i śmiało dać mi znać. Będę uszczęśliwiony, mogąc jakoś się Pani odwdzięczyć.

Łączę wyrazy wdzięczności i najlepsze życzenia,

Por. Rupert Carrington

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL

Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Sobota, 27 lipca 1940 r.

Najdroższa Angie!

Z każdą chwilą wszystko coraz bardziej się komplikuje. Wczoraj wysłano mnie do Dover, żebym oszacowała szkody wyrządzone przez bomby; miejscowość jest na wpół zdemolowana i zaraz przyłgnęło do niej określenie „Zakątek Ognia Piekielnego”. Nawet wtedy, kiedy tam byłam, na niebie pojawiały się krążące hałaśliwie samoloty nieprzyjaciela z nazistowskimi swastykami widocznymi na bokach. Myślałam, że się pochoruję. Nadleciało kilku naszych chłopców w spitfire'ach i hurricane'ach, żeby ich przepędzić, i wywiązała się walka, dokładnie nad nami. Część miejscowych wyszła ze sklepów i stanęła na głównej ulicy, wiwatując na cześć naszych, ale ja nie potrafiłam tego znieść. Jedynym skutkiem tej walki będzie to, że zginą kolejni ludzie, a życie innych zostanie zrujnowane. Na co nam przyszło?

Od mojego ostatniego listu wiele się wydarzyło. Najważniejsza wiadomość jest taka, że chyba jestem w ciąży. Nie wiem, co o tym myśleć, i raczej mam nadzieję, że jednak nie jestem. Wydawało mi się, że jestem ostrożna, ale z tymi sprawami nigdy nic nie wiadomo. Oczywiście nie pisałam nic na ten temat ani Alastairowi, ani nikomu innemu. Angie, tak bym chciała, żebyś tu była. Wiem, myślisz, że to wszystko bardzo proste, będziemy musieli się pobrać. Ale widzisz, zaczęłam podejrzewać, że Alastair handluje na czarnym rynku. Zamiast być żoną romantycznego artysty i żyć w zrujnowanym zamku na jakiejś wyspie, byłabym związana ze złoczyńcą, który wiecznie przed czymś ucieka i żyje w ciągłym strachu. Szczerze mówiąc, Angie, to zupełnie nie jest życie, o jakim marzyłam.

Wyobraź sobie, że dowiedziałam się tego od Kitty podczas jednej z naszych głupich kłótni. Oznajmiła mi, że widziała Alastaira w lesku, jak robił interesy ze zwykłym kanciarzem. Wciąż nie mogę dojść do siebie. To się wydaje takie do niego niepodobne, tak sprzeczne z jego łagodną, artystyczną naturą. Wiem, że miałam pewne podejrzenia. Ale coś takiego!

Wybiegłam z pokoju Kitty, ale szybko musiałam wziąć się w garść przed

chrztem Rose, który odbył się dziś po południu.

Miałyśmy kilka dodatkowych prób, żeby Chilburyjski Chór Żeński mógł wystąpić z czymś wyjątkowym: wyszliśmy ze stali w szyku procesyjnym i otoczyłyśmy Hattie i Rose, śpiewając *All Things Bright and Beautiful* w przepięknej aranżacji. Kiedy doszliśmy do fragmentu „każdy kwiatek, który się rozwija, każdy śpiewający ptaszek”, wszystkie stałyśmy wokół nich, a Hattie wyglądała, jakby miała rozplakać się ze szczęścia.

Po nabożeństwie wszyscy poszliśmy do domu Hattie przy Church Row na poczęstunek i herbatę, a ja zostałam dłużej, żeby pomóc jej posprzątać, chociaż, szczerze mówiąc, liczyłam na to, że poradzi mi coś w sprawie Alastaira.

– Kitty widziała go w Peasepotter Wood z jednym spekulantem. Hattie, on robił z nim interesy!

Coraz bardziej się denerwowałam, przemierzałam salon w tę i z powrotem, zbierając naczynia i wrzucając je do zlewu.

– Mój Boże – powiedziała Hattie i ostrożnie odsunęła na bok wózek Rose (straszna się z niej ostatnio zrobiła kwoka). – No cóż, Venetio, może przyszła pora, żeby dać sobie z nim spokój. Nie chcę być nieczuła, ale martwię się o ciebie i nie sądzę, żeby związek z takim człowiekiem mógł przynieść ci szczęście.

– Sama nie wiem. – Opadłam na krzesło. – A właściwie wiem jedno: nie mogę rozstać się z nim, nie łamiąc sobie przy tym serca. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to niedorzecznie, ale nie mogę go zostawić, póki się nie dowiem, co się za tym kryje. On po prostu zbyt wiele dla mnie znaczy.

– A co o tym wszystkim myśli twoja matka?

– Mama jest całkowicie pochłonięta małym Lawrence’em, który wiecznie wymiotuje. Poza tym musi uważać na papę; ostatnimi czasy jest okropnie wybuchowy. Kitty dostaje małego rozumu, a Silvie znajduje się pod opieką jej i niani, z tego, co mi wiadomo. Wygląda na to, że nikogo nie obchodzi, co my robimy, ani w ogóle co się dzieje.

– No to na razie się nimi nie przejmuj. Skup się na tym, co ty powinnaś zrobić. – Łagodnie poklepała mnie po ręce. – Czy nie ma żadnego sposobu, żebyś dowiedziała się czegoś więcej, zanim podejmiesz decyzję?

– Postanowiłam, że pójdę go śledzić – oznajmiłam z nagłym przekonaniem.

Hattie westchnęła głęboko, a ja uświadomiłam sobie, że w gruncie rzeczy tylko ona kiedykolwiek tak naprawdę się o mnie troszczyła.

– Po prostu na siebie uważaj – powiedziała. – I proszę cię, Venetio, zrezygnuj z tego, jeśli robi się zbyt niebezpiecznie. Nie musisz zawsze być tą najodważniejszą.

Ruszyłam do drzwi i obejrzałam się, czując płynącą od niej falę ciepła i troski.

– Dam ci znać, jak mi pójdzie.

– Wiesz, że zawsze będę się o ciebie niepokoić – dodała Hattie, a mnie nagle zachciało się płakać. Odwróciłam się więc szybko i zdecydowanym krokiem ruszyłam przez zieleniec, płosząc kaczki, które w pośpiechu uciekały mi spod nóg. Wciągnęłam w płuca ciepłe letnie powietrze, Modliłam się w duchu, żebym wyszła z tego żywa.

Napiszę, gdy tylko będę mogła Ci powiedzieć, co z tego wszystkiego wynikło. Trzymaj za mnie kciuki.

Venetia

DZIENNIK PANI TILLING

Poniedziałek, 29 lipca 1940 r.

Dziś przyszła mi do głowy przedziwna myśl. Do tej pory próbuję jakoś sobie to wszystko uporządkować. Ranek przebiegł jak zwykle; zajrzałam na chirurgię, żeby udzielić pomocy pacjentom w ich cierpieniu. Odkąd zaczęła się wojna, wiele osób przychodzi do mnie, kiedy po prostu jest im źle, chociaż w zasadzie nic im nie dolega. Pani Turner, której mąż zginął w jednym z nalotów na Dover, cierpi na uporczywy kaszel niemający wyraźnej przyczyny. Zjawia się u mnie prawie codziennie. Staram się ją pocieszać, jak umiem, ale ona wycofuje się powolutku, jakby nie mogła tego znieść; twarz ma szarą jak u ducha. Jedyne, co możemy dla niej zrobić, to zaparzyć herbatę i podać jej aspirynę. Pani Quail namówiła ją, żeby dołączyła do naszego chóru. Przez pierwsze pół godziny na próbie pani Turner milczała, ale w końcu udało jej się zaśpiewać kilka linijek *Praise My Soul*. To był niezwykle wzruszający moment dla nas wszystkich. Czuliśmy się, jakbyśmy jedynie przy pomocy piosenki próbowały przywrócić do życia rannego ptaka.

Po lunchu wstąpiłam do Hattie. Starła się mnie przekonać, że Rose jest podobna do Victora jak dwie krople wody, ale moim zdaniem dziewczynka nie przypomina żadnego z rodziców. Prawdę mówiąc, mały Lawrence ze swoimi ciemnymi włoskami wygląda podobnie do Hattie, Ponadto przypomniałam sobie, jak w czasie chrztu zauważyłam, że Rose ma ten sam kolor oczu i włosów co jej matka chrzestna, Venetia. Znow zaczęłam myśleć o podejrzanym lekarstwie, o tym, że oba porody zdarzyły się tego samego dnia – akurat wtedy, kiedy byłam w Litchfield – i że oba noworodki miały kłopoty z oddychaniem i wymagały zastosowania respiratora w domu panny Paltry.

A kiedy tamtego dnia spotkałam ją na placu, miałam wrażenie – wtedy wydawało mi się to niedorzeczne – że z jej torby wydobywa się jakiś dźwięk. Czy to mogło być dziecko? Czy to możliwe, że podmieniła noworodki? Wzdrygnęłam się na samą myśl. Chyba wyglądałam na oszołomioną, bo Hattie dotknęła mojego łokcia i spytała:

– Proszę pani, czy wszystko w porządku?

Szybko się opanowałam. Nie mogę pozwolić, żeby ktokolwiek coś podejrzewał, póki porządnie tego wszystkiego nie sprawdzę. Dopóki nie zdobędę jakiegoś dowodu.

– W jak najlepszym, kochanie – odparłam z uśmiechem. – Tylko właśnie sobie przypomniałam, że dziś trochę mi się śpieszy, bo muszę jeszcze zajrzeć do malucha pani Winthrop. – Po krótkim zastanowieniu zapytałam: – Pamiętasz, jak

biedna Rose miała po urodzeniu kłopoty z oddychaniem?

– Jak mogłabym o tym zapomnieć? To była najstraszniejsza chwila w moim życiu.

– A widziałaś malutką, zanim panna Paltry ją wyniosła?

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem, jakby moje pytanie wzbudziło w niej nieufność, więc musiałam szybko ją uspokoić.

– Chodzi mi o to, że powinna pozwolić ci ją chociaż przytulić, zanim ją zabrała, nie sądzisz?

Szczupła twarz młodej matki skurczyła się, a do oczu napłynęły jej łzy.

– Nie, nawet nie zobaczyłam jej buźki, zanim panna Paltry z nią wybiegła.

– Wzrok Hattie spoczął na niemowlęciu, które trzymała na rękach, i zobaczyłam, że jej ramiona w jednej chwili się odprężają. – Nie było jej przez całe pięć minut. Mało nie oszalałam. Udało mi się wygramolić z łóżka i dopełnić do drzwi frontowych, a wtedy panna Paltry wróciła z moim najdroższym maleństwem.

Ucałowała Rose; ich twarze znalazły się tuż przy sobie, buzia Hattie szczupła i delikatna, dziewczynki jasna, w kształcie serca. Zwątpiłam nagle, czy warto w ogóle wspominać komukolwiek o moich podejrzeniach. Przecież pani Winthrop jest także zachwycona swoim chłopczykiem, czyż nie? Czy nie potrzebowali właśnie dziedzica?

I w tym momencie do mnie dotarło. Może nie był to po prostu kaprys nieuczciwej akuszerki. Może kryło się za tym coś więcej.

Pożegnałam się z Hattie i szybkim krokiem ruszyłam do Chilbury Manor, gdzie zastałam panią Winthrop. Usiadłyśmy w bawialni, gospodyni poprosiła Elsie o przyniesienie herbaty, a ja poczułam się niemal tak, jakby nie było żadnej wojny. Pani Winthrop wyglądała na przemęczoną i znękaną, co oznaczało, że brygadier znów jest nie do zniesienia.

– Prowadzę badania nad problemami z oddychaniem u noworodków i zastanawiałam się, czy nie zechciałaby pani odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących Lawrence'a – zaczęłam ostrożnie. Nie mogłam wzbudzić w niej żadnych podejrzeń.

– Wydawało mi się, że wszystko już z panią omówiłam – westchnęła. – To było takie bolesne. Nie jestem pewna, czy mam ochotę do tego wracać.

– Tylko kilka pytań. Czy panna Paltry zabrała dziecko od razu, czy pozwoliła pani najpierw je przytulić?

– Nie, musiała natychmiast wyjść. Mały bardzo cierpiał.

Jej opowieść pasowała do mojej teorii. Szybko zadałam następne pytanie.

– Czy kiedy tu wróciła, niosła małego Lawrence'a w swojej czarnej torbie?

– Ależ skąd! – wykrzyknęła pani Winthrop, a ja zdałam sobie sprawę, że przeholowałam. Cokolwiek by mówić, panna Paltry miałyby dość oleju w głowie, żeby przed wejściem wyjąć małego z torby.

Elsie weszła do pokoju, niosąc herbatę, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy czasem czegoś nie usłyszała. Uśmiechała się nieznacznie.

– Cukru?

Musiałam zostać i przez dłuższą chwilę rozmawiać o normalnych sprawach, aż wreszcie udało mi się wyjść. Pobiełam do domu, żeby przemyśleć to wszystko w spokoju. Ten koncept z zamianą dzieci wydaje się absurdalny, to byłoby naprawdę dramatyczne posunięcie.

Chyba że pannie Paltry ktoś za to zapłacił.

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Środa, 31 lipca 1940 r.

Prim wymyśliła coś wspaniałego. Urządzimy Uroczystość Żałobną, na którą będą mogli przyjść wszyscy, żeby wesprzeć tych, którzy opłakują swoich bliskich. Pomysł podsunęła jej chyba pani Tilling, kiedy wspomniała o pani Turner, której mąż zginął podczas nalotu na Dover, i o biednej pani Poultrice.

– To ważne, żeby pokazać im, że wspieramy je w żałobie – powiedziała mi Prim w trakcie dzisiejszej lekcji śpiewu, która ze względu na akustykę odbywała się w kościele. Śpiewałam Modlitwę Pańską, a głębia dźwięku sprawiała, że mój głos brzmiał niezwykle profesjonalnie. Prim powiedziała, że mogę zaśpiewać tę pieśń solo podczas Uroczystości Żałobnej, która ma się odbyć za kilka tygodni.

Na próby chóru zawsze przychodzę trochę przed czasem. Lubię ten miły moment, kiedy wszyscy są podekscytowani tym, że zaraz będziemy śpiewać, i zadowoleni, że mogli się spotkać. Dziś było podobnie, a nawet jeszcze milej, ponieważ teraz czujemy na plecach oddech hitlerowców, którzy w każdej chwili mogą nas zaatakować. Cieszymy się więc tym wszystkim, póki możemy.

– Przez cały dzień harowałam, żeby przygotować spotkanie OSK – narzekała pani B. – Czy ktoś mi za to dziękuje? Ależ skąd. Nie mam ani chwili dla siebie, ani żadnej wdzięczności.

– Musi pani dać nam znać, w czym możemy pomóc – odparła pani Tilling.

– Niestety żadna kobieta stąd prócz mnie nie wykazuje zdolności przywódczych.

Pani Tilling otworzyła usta:

– Ja mogłabym...

– Nie ma na to rady. – Głos pani B. zagłuszył jej słowa: tornado kontra zefirek.

– I pani Quail wspominała... – Pani Tilling nie dawała za wygraną.

– Jeśli człowiek chce, żeby coś było zrobione – zaczęła pani B., a ponieważ wszystkie wiedziałyśmy, co po tych słowach nastąpi, dopowiedziałyśmy razem z nią: – musi zrobić to sam.

Prim zjawiła się w samą porę, żeby usłyszeć końcówkę dyskusji, zobaczyć rozjuszoną panią B. i chichoczące ukradkiem chórzystki.

– Do dzieła, drogie panie – odezwała się dyrygentka, powściągając uśmiech i rozdając nam jakieś nowe nuty. – Mamy urządzić dla mieszkańców Chilbury Uroczystość Żałobną, żeby wspierać się wzajemnie w smutku.

Wszystkie milcząco przyznałyśmy jej rację i otworzyłyśmy nuty.

– Wybrałam fragment z *Requiem* Mozarta zatytułowany *Lacrimosa*, czyli „pełna łez”, co pięknie opisuje ten poruszający utwór. Jest trudniejszy niż pieśni i hymny, które zazwyczaj śpiewamy, myślę jednak, że możemy spróbować. To jedno z moich ulubionych dzieł muzycznych, jest jak bezbrzeżny ocean smutku.

Spojrzałyśmy w nuty, żeby oswoić się z ich skomplikowanym zapisem.

– Spróbujemy? Wstańcie, proszę. Po prostu zaśpiewajcie tak, jak potraficie. Poczujcie, jak muzyka bierze was w swoje władanie, i nie przejmujcie się, jeśli coś zabrzmi nie do końca dobrze.

Kiedy zaczął się wstęp, w jednej chwili zrozumiałam, co Prim ma na myśli. Ten utwór jest jak fale, które zalewają człowieka jedna po drugiej, coraz większe i potężniejsze, aż do niewiarygodnego, przenikliwego *Amen* na końcu, jakbyśmy to wszystko przetrwali, silniejsi niż kiedykolwiek.

– Cudownie – powiedziała Prim, kiedy wybrzmiał finał. Była tak wzruszona, że cicho pociągała nosem. – Spróbujmy znowu, dobrze? Tym razem poczujmy ten smutek. Pozwólcie sobie płynąć z muzyką. Niech mówi o waszym żalu.

Znów zabrzmiała przygrywka, tym razem wolniej i bardziej melancholijnie, a potem włączyłyśmy się my z pierwszymi ostrożnymi nutami.

Kiedy śpiewałyśmy, pani Turner skuliła się w stali altów i zakryła twarz dłońmi. Dygotała od powstrzymanego łkania. Pani Poullice usiadła obok niej, objęła jej ramiona i sama także zaczęła płakać. W nasz śpiew wkradła się nowa groza, jakbyśmy śpiewały za nie, za każdego, kto kogoś stracił albo mógł stracić.

Kiedy pod koniec pieśni dotarliśmy do potężnych akordów, wszystkie niemal szlochałyśmy. Śpiewałyśmy głośniejsze i bardziej chrapliwie niż przedtem, aż do finalnego *Amen*, gdy poczułyśmy, że stoimy ramię przy ramieniu, silne mocą naszego chóru, gotowe razem stawić czoło tej wojnie.

– Skończmy na tym na dziś – odezwała się cicho Prim.

W milczeniu złożyłyśmy nuty i podeszłyśmy do pani Turner i pani Poullice. Otoczyłyśmy je ramionami, trzymałyśmy za ręce i szeptałyśmy wyrazy współczucia. Objęłyśmy także mamę, która wciąż nosi żałobę po Edmundzie, Silvie, rozłączoną z rodziną, panią Tilling i inne matki i żony, drżące o los najbliższych na tej strasznej wojnie.

– Zawsze ma pani nas – zwróciła się pani Quail do pani Turner. – Wiem, że nie możemy zastąpić pani męża, ale proszę pamiętać, że jesteśmy przy pani, wszystkie. Cały Chilburyjski Chór Żeński.

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL

Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Czwartek, 1 sierpnia 1940 r.

Najdroższa Angie!

O świcie nie spałam, niemal sparaliżowana ze strachu, bo postanowiłam, że właśnie dziś pójdę śledzić Alastaira. Wiedziałam, że tego ranka jest zajęty swoimi tak zwanymi spotkaniami, bo wcześniej próbowałam się z nim umówić, a on stanowczo odmówił.

Oczywiście całą noc nie zmrużyłam oka. Byłam tak pewna, iż wyprawiając się za nim, ryzykuję własne życie, że omal nie zrezygnowałam w ostatniej chwili i nie naciągnęłam na głowę kapy, żeby się schować. Zdecydowałam się w końcu opuścić łóżko tylko z powodu myśli o ciąży, która z każdym dniem wydaje się czymś bardziej realnym, a nie tylko przypuszczeniem. Muszę wiedzieć, co mam robić.

Wstałam około czwartej, ubrałam się po cichu i po raz ostatni rozejrzałam się wokół – czy jeszcze kiedyś zobaczę mój kochany pokoik? Bezszelestnie przekradłam się tylnymi schodami do spiżarni i wyszłam na zewnątrz, w ciszę i ciemność.

Ostrożnie dotarłam na drogę z takim poczuciem, jakby poza mną nigdzie nie było żywej duszy – choć jestem pewna, że część robotników z gospodarstwa Dawkinsów na pewno o tej porze pracuje już w polu. W powietrzu unosiła się delikatna mgiełka, spowijająca wioskę miękkim kokonem ciszy.

Kiedy znalazłam się na placu, srebrnoszarym w tej mgle, omal nie wpadłam na zaparkowaną pod sklepem czarną furgonetkę; musiała to być jedna z czarnorynkowych dostaw Ralpa Gibbisa. Mogłam mieć tylko nadzieję, że Alastair nie jest w to zamieszany. Czy zauważyłam, żeby kiedyś rozmawiał z Ralphem? Nie przypominam sobie. Ale czy to o czymkolwiek świadczy? Czy moje wspomnienia mają jakieś znaczenie, czy może żyję w nieprawdziwym świecie, może to wszystko jest jak sen we śnie?

Poszłam na upatrzone miejsce na końcu Church Row, gdzie zza żywopłotu mogłam obserwować zarówno front, jak i tył domu Alastaira. I zaczęło się

oczekiwanie. Siedzenie w ciemności i wypatrywanie, aż ktoś się pojawi, jest niesłychanie nużące, zwłaszcza że wciąż nie miałam przekonania, czy to dobry plan. Było około szóstej, właśnie sprawdzałam, czy mój zegarek dobrze działa, kiedy Alastair wreszcie pojawił się na ścieżce za domem i wyszedł przez furtkę na pastwisko. Wyglądał jak zwykle nieskazitelnie w beżowym płaszczu przeciwdeszczowym włożonym na garnitur. Energicznym krokiem oddalał się ode mnie. Przystanął tylko na moment, żeby wciągnąć w płuca poranne powietrze – o świcie mgiełka się podniosła i ranek był cudowny, bladożółty i rześki od rosy. Jak ja marzyłam, żeby mieć już za sobą tę całą wstrętą intrygę!

Zwinnie wyskoczyłam z za żywopłotu i przyczaiłam się obok niego, podczas gdy Alastair szybkim krokiem szedł wzdłuż pola. Następnie skierował się w stronę Manor, co wydało mi się dziwne. Pomknęłam za nim. Widziałam, jak nagle skręca w krzaki i przebiega przez drogę, po czym skręciwszy jeszcze kilka razy, rusza w stronę Peasepotter Wood. Trudno było go śledzić i pozostać niezauważoną. Podejrzywałam, że szedł określną trasą, by uniknąć przypadkowych spotkań i zmylić kogoś, kto mógłby deptać mu po piętach.

Mnie w każdym razie nie zmylił.

Zanim dotarł do lasku, przeszedł przez gołe pole, które nie miało po bokach żadnych krzewów ani żywopłotów. Musiałam zaczekać, aż Alastair znajdzie się wśród drzew. Chowałam się w dość kłujących krzakach, gdy nagle on odwrócił się i czujnie rozejrzał wokół; miałam wrażenie, że jego oczy zatrzymały się na mnie przez ułamek sekundy, zanim zniknął za drzewami. Chyba jednak mnie nie widział. Przecież gdyby tak było, toby do mnie podszedł, czyż nie? Ale przez chwilę miałam duszę na ramieniu. Muszę być ostrożniejsza.

Popędziłam wąską ścieżką i zanurkowałam w las. Nie byłam tam od lat, ale wciąż pamiętam wszystkie dróżki, łącznie z tą, która prowadzi do Czarciego Koła. Alastair kierował się w stronę Kasztanowej Polany, gdzie bawiliśmy się z Kitty jako dzieci, otoczonej grubymi, beczułkowatymi pniami, wiekowymi i krzepkimi jak cała Anglia. Pomyślałam o mojej siostrze i o tym, jakimi dobrymi byłyśmy przyjaciółkami, dawno temu.

Alastair nagle się zatrzymał, więc błyskawicznie ukryłam się za jednym z bardziej rozłożystych kasztanów i obserwowałam go przez krzaki.

Wtedy zauważyłam, że w jego stronę idzie jakiś mężczyzna. Był krępy i muskularny, zbudowany jak gladiator. Miał na sobie stary garnitur, najwyraźniej nie swój, bo rękawy i nogawki były za krótkie.

Przez dłuższą chwilę rozmawiali po cichu, a ja wpatrywałam się w nieznanego. Musiał być ukrywającym się przestępcą, który mieszka gdzie popadnie, może wręcz w lesie.

Jedno nie pozostawiało wątpliwości: z jakiegoś powodu był wściekły, a ja nagle poczułam lęk o Alastaira, o naszą wioskę i panikę na myśl o tym, co by się

stało, gdyby ten człowiek mnie tu znalazł.

Alastair rozmawiał z nim spokojnie. Gestykulował tak, jakby chciał go udobruchać. Z wewnętrznej kieszeni wyjął małą paczuszkę i podał ją mężczyźnie. Ten wziął ją ostrożnie i już miał schować za pazuchę, kiedy nagle zmienił zdanie i rozerwał ją, by zlustrować jej zawartość. Spodziewałam się, że będzie to plik banknotów, ale się pomyliłam. W środku znajdowały się dwie czarne książeczki. Gdy nieznajomy obracał je w rękach, rozpoznałam najpierw książeczkę żywnościową, a potem paszport. Alastair pomagał temu człowiekowi uciec z kraju.

Mężczyzna był coraz bardziej zdenerwowany, wcisnął książeczki do kieszeni, a jego gniewny głos brzmiał coraz donośniej, niósł się poprzez paprocie. Nagle z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że on nie mówi po angielsku. Językiem, którym się posługiwał, był bez wątpienia niemiecki.

Co on tu robi? Czy to szpieg? Jak się tu dostał? Czy zrzucano go na spadochronie? Dlaczego ma na sobie takie dziwne ubrania? Czy on nas pozabija? Mówiono nam, że musimy mieć oczy szeroko otwarte i wypatrywać nieprzyjaciela, ale nigdy nie podejrzewałam, że naprawdę kogoś takiego zobaczę.

I że będzie w towarzystwie Alastaira.

Nadstawiłam uszu, żeby usłyszeć jego odpowiedź, i zrobiło mi się niedobrze na dźwięk wychodzących z jego ust niemieckich słów. Brzmiały tak obco, tak niepodobnie do jego zwykłego głosu, kiedy mówi po angielsku. Dotarła do mnie cała groza sytuacji. Jak mało w gruncie rzeczy wiem o moim kochanku.

Po wypowiedzeniu ostatnich gniewnych słów nieznajomy ruszył w las, na szczęście w stronę przeciwną do tej, gdzie się ukrywałam. Alastair patrzył za nim przez dłuższą chwilę, po czym odwrócił się i ku mojemu przerażeniu skierował prosto do mojej kryjówki.

Błyskawicznie schowałam się za drzewem i wstrzymałam oddech. Przyłgnęłam do potężnego pnia i nasłuchiwałam zbliżających się kroków Alastaira. Nie miałam pojęcia, czy mnie widział, czy chce po prostu wyjść z lasu, czy raczej mnie stąd wypłoszyć. Co on ze mną zrobi? Przełknęłam ślinę i walczyłam z narastającą paniką.

W momencie gdy zatrzymał się tuż przy drzewie, za którym się ukrywałam, po przeciwnej stronie niż ja, nabrałam pewności, że wie o mnie. Usłyszałam, jak po cichu obchodzi drzewo, i po chwili moim oczom ukazała się jego postać. Unosił palec do ust. Podkraść się do mnie, stanął tuż obok i oparł się plecami o gruby pień. Potem jego palce odnalazły moje i splotły się z nimi łagodnie. Poczułam, jak zalewa mnie fala gorąca, płynie z mojej dłoni poprzez ramię w górę, aż do głowy. Angie, co się ze mną dzieje? Umierałam ze strachu, że poderżnie mi gardło, i jednocześnie pragnęłam go tak rozpaczliwie, że ledwie mogłam oddychać.

Nie zrobił jednak nic takiego. Po prostu odwrócił głowę i spojrzał na mnie, a ja zobaczyłam w jego oczach zupełnie inny wyraz, melancholię, jakiej nie

widziałam nigdy wcześniej.

Po kilku minutach spuścił wzrok, odsunął się ode mnie i wyrzwał zza drzewa, a potem nagle ruszył przed siebie. Chwycił mnie za rękę i pociągnął za sobą, biegliśmy przez las najszybciej, jak się dało. Kilka razy omal się nie przewróciłam, ale on nie wypuszczał mojej dłoni z uścisku i nie pozwalał się zatrzymać. Byłam przerażona i wyczerpana. Co zamierza ze mną zrobić?

Wtem wypadliśmy na polankę; złote promienie porannego słońca spływały na nas z góry, a ja nagle poczułam, że świat jednak jakoś to wszystko przetrwał, piękny i olśniewający w bladym świetle poranka.

– Którędy? – wyszeptał Alastair, gwałtownie chwytając ciepłe powietrze.

– Tędy – odparłam cicho, wzięłam go za rękę i poprowadziłam pomiędzy drzewami. – Tam dalej las się kończy, a potem możemy okrążyć sad i dojść do potoku. Doprowadzi nas do gospodarstwa Dawkinsów, i wtedy ty będziesz mógł wrócić do wsi z drugiej strony. – Staralam się wymyślić najkrótszą drogę, żeby znaleźć się wśród pól, na których na pewno będą pracować ludzie i w razie czego ktoś usłyszy mój krzyk.

Kiedy wyszliśmy z sadu i dotarliśmy do zagajnika przy strumieniu, zaczęliśmy zwalniać kroku. Alastair dalej trzymał mnie za rękę; jego kciuk muskał wierzch moich palców. Było to dziwne, bo do tej pory zawsze uważaliśmy, żeby nikt nie zobaczył nas razem. Ja nie chciałam, żeby papa się dowiedział, a on, no cóż, jest po prostu ostrożny, co teraz wcale mnie nie dziwi. A teraz szliśmy za rękę jak zakochani, woda spływała po gładkich szarych kamieniach pod nami, liście na drzewach trzepotały, a na nas padały na przemian światło i cień rzucany przez gałęzie, niczym dobro i zło, przeplatające się dziwnie ze sobą.

– Czegoś takiego się nie spodziewałem, Venetio – odezwał się cicho Alastair.

– Ani ja! – wykrzyknęłam, nie wiedząc, od czego zacząć.

– Dlaczego mnie śledziłaś? – zapytał.

– Nie mogłam uwierzyć, że masz coś wspólnego z czarnym rynkiem – odparłam. – Ale wygląda na to, że to najniewinniejsze z twoich przedsięwzięć.

Przez chwilę sprawiał wrażenie zdezorientowanego, ale potem powiedział:

– A, pewnie Kitty ci powiedziała. – Jakby to wszystko wyjaśniało.

– Śledziłam cię, bo musiałam dowiedzieć się czegoś więcej o tym, czym handlujesz. Nie przypuszczałam, rzecz jasna, że przy okazji odkryję, iż jesteś niemieckim szpiegiem. Czy jest coś nielegalnego, czym się nie parasz, Alastairze?

Uśmiechnął się. Tak jest, uśmiechnął, jakby był z siebie dumny.

– Cóż, tak naprawdę nie ma tego wiele, z wyjątkiem włamań. Raz spróbowałem fałszerstwa, co okazało się całkiem interesujące. Właściwie to miałem poczucie, że dzięki temu rozwinąłem się jako artysta.

Byłam oszołomiona i przystanąłam na chwilę, żeby oswoić się z tym, co

usłyszałam. Co prawda wiedziałam, że jest spekulantem, ale z tego, co powiedział, wynikało, że był całkowicie zdemoralizowanym przestępcą, zupełnie pozbawionym sumienia.

– A teraz jesteś w dodatku zdrajcą – wyjąkałam. Spojrzałam w jego przejrzyste brązowe oczy i poczułam, jak to słowo pali mnie w usta. Było takie brzydkie, takie odrażające. – Jak mogłeś pomagać nieprzyjacielowi, i to na własnej ziemi? – Byłam na niego zła, że mnie zawiódł, że tak postępuje. – Nie miałam pojęcia, że mówisz po niemiecku! Ile masz jeszcze twarzy, Alastairze?

– Wiele – odparł po prostu. – Mówię też po francusku, jeśli cię to pocieszy.

– Dlaczego miałoby mnie pocieszyć? – powiedziałam i znów zaczęłam iść.

– Venetio, to znacznie bardziej skomplikowane. Nie mogę ci teraz wszystkiego wyjaśnić, ale musisz mi zaufać. – Ruszył za mną i usiłował wziąć mnie za rękę.

– Bardziej skomplikowane? – Wyrwałam mu dłoń. – Jesteś kryminalistą i zdrajcą. Większość ludzi poprzestałoby na jednej z tych rzeczy: byciu kryminalistą albo zdrajcą, ale nie, Alastair Slater musi być jednym i drugim. – A po chwili dodałam: – I bardzo kiepskim artystą, na wypadek gdyby to nie wystarczyło.

Roześmiał się.

– Och, Venetio, chyba nie jestem aż takim złym malarzem, co?

– Owszem – odparłam z urazą. – Mój portret był do niczego. W ogóle mnie nie znasz. Przez cały ten czas mnie nie rozumiałeś.

– Teraz to widzę. – Uśmiechnął się kpiąco, a ja zdałam sobie sprawę, że go dotknęłam. – Zmienię go, Venetio. Znajdę ten obraz i namaluję go od nowa. Zrobię z ciebie łagodną anielicę, którą tak naprawdę jesteś.

– Szkoda zachodu! – krzyknęłam. – Przypuszczam, że jakaś flirciara będzie dokładnie w twoim stylu! – Stałam z nim twarzą w twarz. – Masz czelność żądać ode mnie zaufania, a sam nic, tylko kłamiesz i udajesz.

Wziął mnie za rękę.

– Można mi wiele zarzucić, ale z tobą byłem zawsze szczery. – Głos miał gładki jak aksamit, spokojny i poważny. – Kocham cię, Venetio. Myślałem, że ty mnie także kochasz, czułem to. Jesteśmy dla siebie stworzeni.

– Nie wiem, czy mogę być ze zdrajcą – powiedziałam łamiącym się głosem i poczułam, jak do oczu napływają mi łzy, a potem zaśmiałam się niewesoło. – Spekulant był jeszcze do przyjęcia – dodałam. – Ale nie zdrajca.

Przestałam nad sobą panować i wybuchnęłam płaczem pośrodku zagajnika. Drzewa wokół nas stały w milczeniu, stoickie i niewzruszone.

– Venetio, nie jest aż tak źle. – Otoczył mnie ramionami i przyciągnął do siebie, usiłując przywrócić ciepły, zaciszny nastrój naszych wspólnych nocy. – Musisz mi zaufać. To znacznie bardziej skomplikowane.

Wtuliłam się w jego ciało i chłonęłam złudzenie bezpieczeństwa, jakbym

piła upajający napój, który trzyma mnie przy życiu. W głębi duszy wiedziałam jednak, że wydarzenia dzisiejszego ranka rzucają zupełnie inne światło na Alastaira, na nas.

– W takim razie wytłumacz mi! – Odsunęłam się, wściekła na niego, że wszystko zniszczył. – Wyjaśnij, co w tym takiego skomplikowanego.

– Nie mogę – odpowiedział po prostu, patrząc na mnie z nieopisanym żalem.
– Mogę powiedzieć ci tylko tyle, że cię kocham, i że musisz mi uwierzyć.

Alastair wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął z niej małą srebrną wisiorę z zatartym grawerunkiem. Nie było przy nim żadnego łańcuszka ani naszyjnika.

– Weź go – rzekł.

Nie wiedziałam, czy powinnam to robić, ale ciekawość wzięła nade mną górę i przyjąłm wisiorę. Był to medalik ze świętym Krzysztofem, na szczęście.

– Dostałem go od dziadka – powiedział cicho, uśmiechając się do swoich wspomnień. – Należał do Johna MacIntyre, człowieka, który wydawał mi się najmądrzejszy na świecie. – Zaciśnął moją dłoń na medaliku. – Weź go, proszę.

– Nie – odpowiedziałam. – Tobie przyda się bardziej. – Zaśmiałam się niepewnie. – Na pewno szukają cię dziesiątki przestępców i szpiegów, nie wspominając o policji i wywiadzie wojskowym.

– Utrata ciebie przeraża mnie bardziej niż ktokolwiek z nich.

W spojrzeniu miał coś zagadkowego, czego nie potrafiłam odczytać; smutek czy rodzaj prośby, błagania?

Nie wiedziałam, co myśleć.

– Nigdy mi nie wspominałeś o swoim dziadku – rzekłam. To był przedziwny moment. Miałam wrażenie, że Ziemia przestała się obracać, powietrze nagle znieruchomiło i że zapadła absolutna cisza.

– Nie lubię mówić o sobie – szepnął Alastair, chwytając moją dłoń. – Ale wiesz, co do ciebie czuję. Kiedy to wszystko się skończy, będziemy mogli się pobrać.

Wiatr poruszył gałęziami, a mnie zrobiło się chłodno w twarz i szyję. Czulałam się uwikłana w ogrom tego, co mogło mnie czekać: wstyd, nienawiść, ubóstwo, strata. Dziecko rosnące wewnątrz mnie. Cofnęłam się chwiejnie.

– Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć – powiedziałam z wahaniem. Usłyszałam, jaki mój głos jest słaby i przestraszony, więc dodałam śmieiej: – A ty z pewnością potrzebujesz czasu, żeby pozbyć się tamtego hitlerowca. – Pokręciłam z niedowierzaniem głową, usiłując wymazać z pamięci ten obraz. – Nie boisz się, że na ciebie doniosę? – zapytałam po chwili, zaintrygowana. Czemu Alastair do tej pory nie poruszył tego tematu?

– Nie – odpowiedział cicho.

– Rety, ależ ty jesteś pewny siebie! – wybuchnęłam. – Wydaje ci się, że kompletnie straciłam dla ciebie głowę?

– Nie, Venetio. Po prostu nie boję się donosu – odparł łagodnie. Wyciągnął rękę i zdjął mi z włosów szmaragdowy liść, który wylądował na moim ramieniu. – Znacznie bardziej przeraża mnie myśl, że mógłbym cię stracić. – Spojrzał na mnie z niewysłowioną tęsknotą w oczach. Wiedziałam, że gdybym dłużej w nie patrzyła, na pewno bym uległa.

– Nie wiem, kim jesteś, Alastairze Slater! – krzyknęłam wściekła, że odpowiada mi tak wymijająco. – I nie wiem, w co ze mną pogrywasz, ale od tej pory powinieneś poszukać sobie nowej muzy.

Z tymi słowami odwróciłam się na pięcie i ruszyłam z zagajnika do sadu. Łagodny wietrzyk poruszał gałęziami, spowijając mnie na przemian cieniem i światłem. W górze krążył duży drapieżny ptak, rozpościerając swoje potężne skrzydła na bladym porannym niebie.

Kiedy znalazłam się już na skraju lasu, nie mogłam się powstrzymać od spojrzenia na Alastaira po raz ostatni. Wciąż stał wśród szumiących drzew, przyglądając mi się w milczeniu. Oburzona odwróciłam się i przemaszerowałam przez sad, a resztę drogi do domu pokonałam biegiem.

Teraz siedzę tutaj, zdezorientowana, wściekła i nie mam pojęcia, co robić dalej. Tęsknię za nim z całej duszy, ale jak mogę kochać zdrajcę? Być może noszę jego dziecko, lecz jak zaufać człowiekowi, który jest w stanie zdradzić nasz kraj, nasz świat, naszą kochaną wioskę? Nasz chór, Koło Szwaczek, pani B., Hattie i jej malutka Rose, Silvie, nawet Kitty na swój sposób, wszystko to jest mi tak nieopisanie drogie. Jak on może nas narażać? Jak może pomagać tym, którzy chcą nas zniszczyć w taki bezwzględny i ostateczny sposób?

Akurat kiedy myślałam o najgorszym, moje palce trafiły na coś w kieszeni. Był to medalik ze świętym Krzysztofem. Musiałam wsunąć go tam bezwiednie, kiedy się rozzłościłam. Wyciągnęłam go i zaczęłam obracać w palcach, przypominając sobie tę chwilę, kiedy czas się zatrzymał, a on powiedział mi, że to wszystko jest bardziej skomplikowane. Powiedział, żebym mu zaufała. Chcę tego, Angie. Ale jak mogę to zrobić?

Ktoś cicho zapukał do moich drzwi. To była Kitty.

– Usłyszałam, że płaczesz – szepnęła, wślizgując się do pokoju. – Chciałam sprawdzić, czy u ciebie wszystko w porządku.

– Cóż, jeśli chcesz znać prawdę, to nie. – Nagle poczułam, że wraca dawna bliskość między nami, i skinęłam na Kitty, żeby usiadła na łóżku obok mnie. Przytuliłyśmy się jak wtedy, kiedy byłyśmy dziećmi, a papa na nas wrzeszczał. Uciekałyśmy razem do lasu, trzymając się za ręce, jakby od tego zależało nasze życie.

– Mogę ci jakoś pomóc? – spytała Kitty.

– Raczej nie. Po prostu nie czuję się dobrze. Jakoś tak ściska mnie w dołku.

– Powinnaś pójść do pani Tilling. Mnie zawsze robi się przy niej lepiej.

I w tym momencie siostrzanego porozumienia stwierdziłam, że być może rzeczywiście złożenie wizyty pani Tilling nie byłoby wcale złym pomysłem.

Napiszę wkrótce, obiecuję,

Venetia

DZIENNIK PANI TILLING

Czwartek, 1 sierpnia 1940 r.

Kiedy dziś po południu wróciłam ze szpitala, zorientowałam się, że mam niespodziewanego gościa. Niebieski rower oparty o białą ścianę przy drzwiach należał do Venetii, choć jej samej nigdzie nie było widać.

Co tym razem?, pomyślałam i ruszyłam na poszukiwania. W końcu poszłam za dom i zastałam ją na wiklinowym fotelu na tarasie, gdzie siedziała w różowawym cieniu magnolii. Była odchyłona do tyłu, oczy miała zamknięte, a jej włosy lśniły w słońcu. Malowniczy obrazek; Venetia to taka piękna dziewczyna, zwłaszcza w tej uroczej zielonej sukience w kwiaty, z tymi swoimi złotymi włosami i delikatną, bladą skórą. Co za szkoda, że jest taka zuchwała, chociaż to na pewno po części wpływ Angeli Quail. Jestem przekonana, że wcale nie jest taka zła pod całym tym makijażem i maską zalotnicy.

– Venetio – odezwałam się, łagodnie kładąc jej rękę na ramieniu.

Zamrugła powiekami, a ja zobaczyłam, że jest zmęczona. Pracuje w Litchfield Park na pełen etat i mam powody, by przypuszczać, że prócz tego spędza długie godziny gdzie indziej.

– Chyba przysnęłam – powiedziała, prostując się i przecierając oczy. Wyglądała, jakbym przywołała ją z innego świata.

– Czy masz do mnie jakąś sprawę? – zapytałam. Musiałam jeszcze przygotować kolację i zaplanowałam na to popołudnie sporo zajęć, więc miałam nadzieję, że nie będzie marnować mojego czasu.

– Owszem. – Przez chwilę patrzyła na mnie zdenerwowana, a potem wsparła się swoimi alabastrowymi dłońmi o podłokietniki fotela i podniosła się z niego. – Mogłybyśmy wejść do środka?

Otworzyłam tylne drzwi i ruszyłam przodem przez kuchnię i hall do salonu. Rano zostawiłam otwarte okno i cudowny zapach rosnącej w ogrodzie lawendy wypełniał teraz pokój świeżością, niczym uprana pościel. Biała firanka powiewała w oknie, jakby tego upalnego lata wcale nie było wojny.

Usiadłam na beżowym fotelu, a Venetia przycupnęła na sofie naprzeciwko. Postanowiłam nie proponować jej herbaty, w końcu byłam bardzo zajęta.

– No więc... – zaczęłam. Niechże w końcu powie, z czym przyszła.

I wtedy to wyrzekła.

– Chyba jestem w ciąży.

Zapadła cisza. Venetia spojrzała na swoje dłonie, które na przemian spletała i rozplatała na swoim podołku. Nie chciałam myśleć o rzeczach, które natychmiast

przyszły mi do głowy, więc uznałam, że lepiej będzie po prostu zadawać pytania.

– Wiesz, od jak dawna?

– Niezupełnie...

– Pamiętasz, kiedy miałaś ostatnią miesiączkę?

– Jakieś pięć, sześć tygodni temu.

Podniosła wzrok i zauważyła moją minę. Najwyraźniej miałam wypisaną na twarzy dezaprobatę.

– To był błąd – powiedziała Venetia cicho. – To wszystko jest jedną wielką pomyłką. Ja... – urwała i zaczęła płakać. Dziwnie było patrzeć na łzy tej hardej, upartej młodej kobiety. Przypomniały mi się czasy, gdy była małą dziewczynką, jak uciekała przelękniona przed ojcem czy bratem. Podeszłam do niej i ją objęłam. Za sprawą jej niepokoju dystans między nami nagle zniknął niczym barwy zachodzącego słońca, które ustępują przed nocą.

– Ojcem jest pan Slater, czy tak?

– Tak – wyszlochała Venetia. – Co ja mam zrobić?

– Powiedziałaś mu?

– Nie. – Odsunęła się ode mnie. Pomimo roztrzęsienia w oczach miała determinację. – Chcę mieć pewność. Chcę najpierw się zorientować, co sama o tym sądzę. – Nagle spojrzała na mnie z przestachem. – Nie powie pani nikomu, prawda?

– Nie, oczywiście, że nie. – Wzięłam ją za rękę. – Ale ludzie prędzej czy później się dowiedzą.

Znów zaczęła szlochać, teraz gwałtowniej i bardziej rozpaczliwie.

– Chcę znaleźć kogoś, żeby się tego pozbyć. Słyszałam, że są takie kobiety...

– Venetio, nawet o tym nie myśl – przerwałam jej. Nie pozwolę jej pójść do kogoś takiego jak pani Nees z jakiegoś ciemnego zaułku w Litchfield. – To niebezpieczne i niezgodne z prawem.

– Ale ja nie mogę urodzić dziecka! – Z wściekłością zerwała się z kanapy i zaczęła krążyć po pokoju. – Nie mogę uwierzyć, że mnie to spotkało! Przecież musi być ktoś, kto mógłby mi pomóc.

– Venetio – odezwałam się łagodnie, próbując ją uspokoić. – Po pierwsze obie wiemy, jak do tego doszło, prawda? Nie ma co udawać, że jest inaczej.

Jej piękna twarz poczerwieniała i dziewczyna spojrzała w ziemię, zdruzgotana.

– Po drugie kobiety w rodzaju pani Nees nie wiedzą, co robią. Owszem, może pomóc ci pozbyć się dziecka – tylko za jaką cenę? Chcesz, żeby wdało się zakażenie, po którym już nigdy nie będziesz mogła mieć dzieci albo które może skończyć się twoją śmiercią?

– Ale to się chyba rzadko zdarza?

– Ona używa starych nożyc, tępych i zardzewiałych. – Poczułam, że do oczu napływają mi łzy. – W zeszłym roku była w szpitalu młodziutka dziewczyna, piętnastolatka, wykorzystana przez wujka, który wpadł z wizytą i zastał ją samą w domu. Mówiła o bólu, jakiego doświadczyła u pani Nees, o jej trwających całą godzinę zmaganiach z przeróżnymi narzędziami, z których żadne nie zostało zdezynfekowane, o brudnej podłodze w salonie tej kobiety. Po wszystkim dziewczyna upadła na ulicy i policjant zaprowadził ją do szpitala.

Venetia znów usiadła i teraz wpatrywała się w deseń na dywanie.

– Ona umarła. – Przełknęłam ślinę i zacisnęłam wargi na to straszne wspomnienie. – Na posocznicę. Nie przeżyła tego.

Pokój spowiła cisza, ale ja niemal czułam chaos myśli kłębiących się w głowie Venetii. Jej wzrok przesuwiał się gorączkowo po dywanie.

– Jak to możliwe, że uchodzi jej to na sucho? Skoro doprowadza kobiety do śmierci? – zapytała w końcu cicho.

– To nielegalne, Venetio, więc wszystko może jej ujść na sucho.

– Ale przecież musi być ktoś, kto robi to, jak należy, używając odpowiedniego sprzętu?

– Nie. Owszem, są ludzie gotowi to zrobić, ale niefachowo, niewysterylizowanymi narzędziami, z pominięciem odpowiednich procedur, niemający niezbędnego doświadczenia klinicznego. To ogromne ryzyko, Venetio, a ja zrobię co w mojej mocy, żeby cię przed nim powstrzymać.

– A pani? Czy pani nie mogłaby pomóc mi pozbyć się tego dziecka?

Przez chwilę milczałam oszołomiona.

– Nie, Venetio. Nie mam kwalifikacji do przeprowadzania aborcji i nie potrafiłabym tego zrobić. To niezgodne z prawem. Obie byłybyśmy przestępczyniami.

– Ale nikt by się nie dowiedział. Nikt poza panią nie wie, że jestem w ciąży.

– Nieważne. Nie umiem tego zrobić i nie zamierzam ryzykować twojej śmierci.

Umilkła. A potem znów zalała się łzami.

– Nie wiem, co teraz zrobić.

– Możesz zrobić to, co większość dziewcząt w twojej sytuacji. Powiedzieć Slaterowi, że ma się z tobą ożenić.

W tym momencie pojawiła się nowa fala łez.

– Kiedy ja już sama nie wiem, czy chcę za niego wyjść.

– Dziewczyno, co ty mówisz? – Zaczynało mnie to złościć. – Od kilku miesięcy jesteście nierozłączni, zaszłaś z nim w ciążę. Dlaczego miałabyś nie chcieć za niego wyjść? Wydawało mi się, że nie masz nic przeciwko niemu.

– Bo tak jest. To znaczy, kocham go z całej duszy, ale on nie jest tym, za kogo się podaje, a ja, proszę pani, zaczęłam się bać. – Objęłam ją, a ona wtuliła

twarz w moje ramię. – Okropnie się boję.

– Czego się boisz, dziecko?

– Nie mogę pani powiedzieć. – Podniosła na mnie oczy pełne łez, które wyglądały teraz jak dwa wielkie jeziora.

– Chcesz mieć to maleństwo?

– Oczywiście, że tak, ale nie mogę sobie wyobrazić, jak potoczy się moje życie. Nie mogę za niego wyjść, a papa wyrzuci mnie z domu i wszystko będzie straszne. – Spojrzała na mnie. – Proszę, niech mi pani pomoże się pozbyć dziecka.

Oparła głowę na moim ramieniu, a ja siedziałam zdrętwiała i rozważałam moralne i praktyczne konsekwencje nielegalnej aborcji. Sytuacja z Carringtonem sprawiła, że zaczęłam się zastanawiać nad swoim stanowiskiem wobec homoseksualizmu, a potem nad własnymi wartościami w ogóle. Zadawałam sobie pytania, na które zawsze wydawało mi się, że znam odpowiedź. O stosunek między byciem członkiem społeczeństwa a byciem człowiekiem, na czym właściwie polega człowieczeństwo w jego najróżniejszych odsłonach.

– Nie, Venetio – powiedziałam w końcu. – Nie mogę ci pomóc. I zabraniam ci iść do pani Nees czy kogokolwiek innego, kto mógłby doprowadzić cię do śmierci.

Wyprostowała się i wydmuchała nos, jakby wiedziała, że nie ma sensu na mnie naciskać.

– Co mam zrobić?

– Powinnaś porozmawiać z panem Slaterem.

Wstała, wcisnęła chustkę do torebki i odpowiedziała ostro:

– Nie mogę się do niego zwrócić. – Potem spojrzała na mnie z wściekłością i dodała: – W takim razie będę musiała pójść do panny Paltry. Ona na pewno potrafiła mi pomóc.

– Venetio, błagam cię. Cokolwiek zdecydujesz, trzymaj się z daleka od pani Nees i jej podobnych.

– Ale panna Paltry zna...

– Panna Paltry nie zawsze ma na uwadze dobro swoich pacjentek, a jeśli skieruje cię do jakiejś oprawczyni pokroju pani Nees, to bądź pewna, że nie robi tego bezinteresownie. – Podeszłam do niej i wzięłam ją za rękę, jakby była małą dziewczynką. – Jeśli nie będziesz mogła powiedzieć panu Slaterowi, przyjdź do mnie, a ja zaopiekuję się tobą podczas ciąży i w trakcie porodu. Nikt nie musi się dowiedzieć.

W jej oczach zobaczyłam powątpiewanie, nadzieję i silny strach, które zdawały się na przemian opanowywać jej umysł, miotany przerażeniem i cierpieniem. A potem nagle wyrwała swoją dłoń z mojej ręki i wypadła przez drzwi frontowe, nawet się nie zegnając.

Kiedy wsiadła na rower i odjechała, westchnęłam głęboko. Zdałam sobie

sprawę, że teraz jestem w to zamieszana, i że to do mnie Venetia się zwróci, gdy sytuacja ją przerośnie. Pograżona w myślach wróciłam do środka i zabrałam się do sprzątanía komórki w głębi domu. Pod pudłami i skrzyniami stoi tam nieduża kanapa – nigdy nie wiadomo, dziewczyna może potrzebować miejsca do spania, jeśli brygadier się dowie.

Pułkownik Mallard wrócił do domu w chwili, gdy uwijałam się na górze z pościelą i kocami, i popatrzył na mnie z namysłem.

– Mogę w czymś pomóc?

– Nie, dziękuję – odparłam oschle, po czym poszłam do pokoiku i zaczęłam przesuwać pudła.

– Czy spodziewamy się gości? – zapytał pułkownik, który przyszedł za mną i teraz próbował pomóc mi ze skrzynią.

– O tam – wymamrotałam, niechętnie przyjmując jego pomoc. W końcu to potężny, silny mężczyzna, może się na coś przydać.

Poprzesuwał jeszcze kilka dużych przedmiotów i ustawił na skrzyni pudła, spod których wyłoniła się kanapa, a w pokoiku zrobiło się znacznie więcej miejsca.

– Dziękuję – powiedziałam niechętnie. – I nie, nie spodziewamy się gości.

– Spojrzałam przez okno na korony drzew rosnących w ogrodzie za domem. Spomiędzy gałęzi zerkała na mnie samotna sroka. – Przynajmniej na razie.

LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY

Church Row 3,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Czwartek, 1 sierpnia 1940 r.

Kochana Claro!

Dziś przypadkiem zdobyłam niezwykle przydatną informację, mam teraz prawdziwego asa w rękawie, nie do przebicia. Tym kąskiem jest wiadomość, że niezamężna córka brygadiera jest w ciąży. Nigdy nie zgadniesz, jak trafiłam na ten brudny sekret – otóż dzięki niej samej, durnej dziewczynie.

Ktoś cicho zapukał do moich drzwi tego popołudnia, około czwartej, a gdy otworzyłam, stała przede mną ona, pięknie ubrana, ale wyraźnie zdenerwowana. Niemal wepchnęła mnie do salonu, oglądając się za siebie, czy nikt jej nie widział. Jej grubiaństwo było okropne, ale ja przebiegle uśmiechnęłam się zachęcająco i obserwowałam, co się wydarzy.

– Potrzebuję pani pomocy, panno Paltry – powiedziała drżącym głosem.

Usiadłam cała rozpromieniona.

– Oczywiście, że mogę pomóc, moja droga. Czego ci trzeba?

– Potrzebuję aborcji – powiedziała przez zaciśnięte zęby, a euforia wezbrała we mnie jak śpiew niewidocznego chóru, wyśpiewującego chwałę nowej, nienapotkanej dotąd możliwości.

Znasz mnie dobrze, Claro. Nie zamierzałam stracić takiej okazji.

– Ile osób wie, że jesteś w ciąży? – spytałam szybko.

– Ale czy pani może mi pomóc? – warknęła. Była roztrzęsiona, krzywiła twarz jak jej wstrętny nieżyjący brat.

– Naturalnie, że mogę ci pomóc, moja droga – powtórzyłam i poklepałam ją po kolanie. – Znam specjalistę w Litchfield, który załatwi to szast-prast, jakby ukrecał łeb kurczakowi. – Venetia odsunęła się z grymasem na twarzy, a ja uśmiechnęłam się do niej promiennie. – Czy to musi się odbyć w tajemnicy, tak by nikt się nie dowiedział? Twoi rodzice?

– Oczywiście, oni nie wiedzą – odpowiedziała nerwowo, wstając i wygładzając spódnicę. Jej nozdrza zadrgały, jakby poczuła w pomieszczeniu zapach kota. – To nie pani Nees, prawda?

– Nie pani Nees? – powtórzyłam szybko, marszcząc brwi. Z kim rozmawiała, skoro знаła to nazwisko? Oczywiście Nees jest jedyna w okolicy, ale musiałam udawać, że znam kogoś innego. – Nigdy nie słyszałam o pani Nees – powiedziałam niewinnie. – Ale nigdy nie wysłałabym cię do kogoś, kto nie ma wprawy, jeśli o to pytasz. Taką wytworną panienkę jak ty. Mam na myśli dużo lepszego specjalistę, mężczyznę, który był lekarzem.

Nie usiadła z powrotem, ale spojrzała przez okno na brzeg stawu, jakby sobie coś przypomiwała.

– Dlaczego nie jest już lekarzem?

– Nie możesz zadawać zbyt wielu pytań, dziewczyno. Powiem wprost. Do tej pory wszystko szło dobrze. Żadnych zgonów jak na razie. – Odchrząknęłam lekko. – Z tego, co wiem.

Nagle wybuchnęła płaczem i ruszyła do drzwi.

– Czy mam spytać go o wolny termin?! – zawołałam za nią, gdy biegła przez trawnik; obcasy jej butów zapadały się w trawę, a biały szal powiewał za nią. Wyglądała jak jedna z tych greckich rzeźb, jak córka idealna.

Ale ja wiedziałam, co czai się w tym jej rozpustnym łonie.

Weszłam do domu i zamknęłam drzwi. I tak nie miałam ochoty załatwić jej aborcji. Nie, mnie interesuje znacznie większa nagroda błyszcząca w ręku brygadiera. Jak osłabi go wiadomość, że człowiek z gminy zrobił dziecko jego córuchnie. Od razu poproszę go o resztę pieniędzy, a gdyby się opierał, zagram moim asem.

Musiałam działać szybko, ponieważ mógłby dowiedzieć się od kogoś innego, a pamiętałam, jak Kitty wspomniała na chórze, że brygadier był dziś w Londynie. Sama widzisz, jak przydatne okazało się dołączenie do tego idiotycznego chóru. Według niej rzekomo był na spotkaniu wojennym, ale ja sędzę, że spotkał się ze swoją kochanką. Szybko obliczyłam, że powinien wracać wieczornym pociągiem o dziewiątej dwadzieścia jeden. Zatem po obiedzie wybrałam się na stację, żeby na niego zaczekać.

Przyszłam wcześniej i stałam na zewnątrz stacji, czytając rozkład jazdy pociągów, na wypadek gdyby ktoś mnie zauważył. Nie chciałam towarzystwa podczas pogawędki z brygadierem. Jednak jedyną osobą, która wysiadła z pociągu, był pastor wracający z Litchfield.

Biegałam w kółko przez kilka minut i już miałam wracać, gdy usłyszałam głosy na peronie. Wychyliłam się zza rogu i zobaczyłam brygadiera strofującego strażnika za opóźnienie, nieporządek czy za to, że pociąg szarpał. Najważniejsze, że brygadier przyjechał, tak jak się spodziewałam.

Był zdecydowanie w kiepskim nastroju.

Cofnęłam się i wzięłam głęboki oddech. Prawie już zapadła ciemność, granatowe niebo usiały gwiazdy, a odgłos pociągu odpływał w nieznaną jak para

z lokomotywy. Drżałam ze zdenerwowania, ale trzeba to było załatwić. Trzymałam się myśli, że mam asa w rękawie.

– Panie brygadierze! – zawołałam go półgłosem, gdy jego cień pojawił się w wejściu. – Miałam nadzieję, że pana tutaj spotkam.

– Co? Kto tam? – spytał szorstko, prostując się i rozglądając groźnie na boki. Cofnęłam się.

– Pańska współpracowniczka. – Uśmiechnęłam się.

Zaniepokoił się i rozejrzał wokół w obawie o ewentualnych świadków.

– Co Paltry tu robi?

– Przyszłam pogawędzić – powiedziałam. – Pomyślałam, że odprowadzę pana do domu. Widzi pan, chcę reszty moich pieniędzy, teraz.

Natychmiast się zatrzymał.

– Nie bądź śmieszna, kobieto. Zaczekasz do końca lata, o ile w ogóle je dostaniesz. – Splunął. – Są plotki wśród służby, więc bądź ostrożna albo cię zamknę.

Przeklęta Elsie. Widziałam ją w wiosce, uśmiechała się złośliwie, kiedy mijala mnie w sklepie. Wiedziałam, że nie będzie umiała trzymać gęby na kłódkę.

– Panie brygadierze, powinien mnie pan wysłuchać, bo mam pewną informację, która może pogrzyźć imię pańskiej rodziny.

– O co chodzi? – zapytał, nie przestając iść. – Czy ty próbujesz mnie zastraszyć? Nie doceniasz mojego charakteru.

– A jeśli to coś głęboko upokarzającego, rujnującego? – powiedziałam cicho. Zatrzymał się.

– Wiem o wszystkim, żalosna kobieto. A teraz daj mi spokój.

– Nie, nie wie pan wszystkiego – sprzeciwiłam się. – Nie wie pan, że jego córka spodziewa się dziecka Slatera.

Myślałam, że zwyczajnie kipnie na moich oczach. Spurpurowiał i złapał się za serce. Zachwiał się, a potem przeciągle zawył z bólu.

– Jak śmiesz sugerować coś takiego?

– To prawda – wymamrotałam, wycofując się rakiem. Myślałam, że się na mnie rzuci. Że wyładuje swój gniew na mnie.

– To nie może być prawda! – wrzasnął. – Niemożliwe, żeby to była prawda!

– I ruszył biegiem na wzgórze. – Przekonamy się.

– Co z moimi pieniędzmi za ukrywanie pańskich brudnych sekrecików? – spytałam i pobiegłam za nim.

Zatrzymał się gwałtownie, kościstą ręką chwycił mnie za ramię, wbijając mi palce w ciało.

– Trzymaj się od tego z daleka, Paltry – warknął. – Albo będzie po tobie.

Białka oczu połyskiwały morderczo w świetle księżyca. Oszalał z wściekłości. Nie przemyślałam tego, jak należy. Mógł mnie zaciukać choćby za

sugerowanie czegoś podobnego.

– Jeśli piśniesz słówko o jednym z twoich wstrętnych kłamstw, skrócę twoje żalosne życie, kobieto. Lepiej więc zniknij.

Pchnął mnie na drogę, aż upadłam, boleśnie uderzając się w biodro. Sparaliżował mnie ból. Gdy się podniosłam, brygadier zniknął już w ciemnościach.

Z trudem stanęłam na nogach i powlekłam się do domu, użalając się nad sobą. Mój plan się nie powiódł. Taktyka nie była dobra. Nie przypuszczałam, że może mi nie uwierzyć, że będzie prędzej gotów mnie zamordować, niż dać mi wiarę.

Kiedy tak siedzę w moim małym salonie i liczę połowę pieniędzy, wiem, droga siostró, że pora się wycofać i wyjechać jutro o świcie. Brygadier zabije mnie tak czy owak, tym bardziej jeśli Elsie gada na lewo i prawo. Przypieczętowałam swój los.

Będę u ciebie za kilka dni i razem obmyślimy dobry plan.

Edwina

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Czwartek, 1 sierpnia 1940 r.

Mój osobisty wkład w wysiłek wojenny

Dziś nadeszły kolejne złe wiadomości. Hitlerowcy zajęli Wyspy

Normandzkie. Młodszych mężczyzn wcielili do wojska, a całą resztę zaczęli głodzić. Wiemy, że teraz kolej na nas. Dlatego stwierdziłam, że moim obowiązkiem jest powiedzieć komuś o tym, że widziałam w lasku Starego George'a i pana Slatera, i o moich podejrzeniach na temat Progetta, który z pewnością nie jest jedynie kamerdynerem. Być może dadzą mi medal i cała wieś uzna mnie za bohaterkę.

Najpierw planowałam pojechać rowerem do komisariatu w Litchfield, ale to kawałek drogi, a ja jestem w tej chwili zajęta próbami i ćwiczeniami. Potem przyszło mi do głowy, że mogłabym zapytać panią Tilling, co mam robić, bo to nadzwyczaj pomocna osoba, i wtedy wpadłam na najlepszy pomysł. Przecież u pani Tilling mieszka ważny pułkownik z Litchfield Park, któremu podobało się, jak śpiewałam na konkursie. On z pewnością odniesie się do moich informacji z należytą uwagą.

Toteż dziś po kolacji powiedziałam mamie, że idę do Prim na dodatkową lekcję śpiewu, wzięłam latarkę i ruszyłam do wsi w fioletowo-złotym świetle zachodzącego słońca. Wszędzie panowała śmiertelna cisza, nie przeleciał nawet jeden nietoperz, żaden lis nie przebiegł ukradkiem przez ścieżkę do lasku – czułam się tak, jakby tego wieczora miało zdarzyć się coś strasznego, jakby jakieś potworne zło skradało się bezgłośnie, żeby opanować nasz świat.

Puściłam się biegiem i dotarłam do Ivy House bez tchu, drżąc ze strachu przed ściągającymi mnie niewidzialnymi złoczyńcami. Pociągnęłam za dzwonek i po chwili drzwi się uchyliły, a pani Tilling szybko wpuściła mnie do środka.

– Kitty, co ty tu robisz o tej porze?

Stałam w hallu z nieopisanym uczuciem ulgi na widok znajomej tapety w kwiatki i otwartych drzwi do kuchni na końcu korytarza, wdychając woń zapiekanki.

– Przyszłam do pułkownika – oznajmiłam śmiało. – Zastałam go?

Pani Tilling przez chwilę patrzyła na mnie zaskoczona, a potem wzruszyła ramionami.

– Wejdz do salonu – powiedziała. – Pułkownik w tej chwili je kolację. Zaparzę herbatę, a on przyjdzie, kiedy skończy.

Pułkownik okazał się ogromny. Widziałam go we wsi i na konkursie, ale kiedy znalazłam się tak blisko niego w salonie pani Tilling, zaraz cofnęłam się ze strachu przed uduszeniem. Był na pewno najwyższym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkałam, mocno zbudowanym, z szerokimi ramionami i klatką piersiową jak u niedźwiedzia.

– Rany, ale pan jest wielki – wyrwało mi się.

Uśmiechnął się.

– Tak, i to już od czasu, gdy byłem niewiele starszy od ciebie. Pani Tilling wspomniała, że masz do mnie jakąś sprawę.

– Tak – wyjąkałam. – Jestem Kitty Winthrop z Chilbury Manor i wydaje mi się, że znalazłam – rozejrzałam się wokół i ściszyłam głos – szpiega w naszych szeregach.

Pułkownik uśmiechnął się, ale zaraz odkaszlnął i przybrał poważniejszy wyraz twarzy, po czym usiadł na kwiecistej sofie i wskazał mi fotel naprzeciwko.

– Opowiedz mi, jak to było.

– No więc, kiedy byliśmy w Peasepotter Wood, zobaczyłyśmy z Silvie, naszą uciekinierką, spekulanta, nazywa się Stary George, i on ma taki krzak, gdzie chowa wszystkie zapasy z czarnego rynku, i był tam z panem Slaterem, tym malarzem, co się wprowadził do domu przy Church Row, obok Hattie, i na pewno robili ze sobą interesy, a potem Silvie mi powiedziała, że co chwila widzi w lasku Proggetta, naszego kamerdynera, i ja też go tam raz widziałam, i zastanawiam się, czy on jest szpiegiem i ma coś wspólnego z panem Slaterem i czarnym rynkiem. – Umilkłam i spojrzałam na swoje ręce splecione na spódnicy.

– Mój Boże – powiedział wolno pułkownik, pokaślując w swoją wielką, zwiniętą dłoń. – Nasz kraj potrzebuje właśnie takich czujnych cywilów jak ty! – Przyglądał mi się przez chwilę, by ocenić mój wzrost i wiek. – Pani Tilling mówi, że masz głowę na karku, a to znaczy, że poważnie potraktujesz to, co zaraz ci powiem, prawda?

Energicznie skinęłam głową, całkiem zadowolona, że pani Tilling powiedziała, iż mam głowę na karku, bo niewątpliwie tak jest.

– Chcę, żebyś w dalszym ciągu zachowała czujność, ale nie próbowała badać niczego na własną rękę. Zapewniam cię, że mamy zespół specjalnie przeszkolonych ludzi, którzy trzymają rękę na pulsie, więc musisz mi zaufać i nie wystawiać się na niebezpieczeństwo. W porządku?

Przytaknęłam rozczarowana.

– Rozmawiamy tutaj o bardzo niebezpiecznym półświatku, dlatego muszę zobowiązać cię słowem honoru, że nikomu o tym nie powiesz.

– No chyba – odparłam z irytacją. – Oczywiście, że może pan na mnie polegać.

– Nie wątpię. – Uśmiechnął się i cała jego twarz się rozjaśniła. Wyglądał teraz normalnie, a nawet całkiem miło. – Wiesz, mam córkę w twoim wieku. Ile masz lat, dwanaście?

– Nie – warknęłam. – Prawie czternaście.

– Naturalnie! Moja córka ma dwanaście. Jest najmłodsza, mieszka w Oksfordzie z ciotką i dwiema starszymi siostrami. Sądzę, że ona także potrafiłaby dochować tajemnicy, chociaż na pewno byłoby to dla niej wielkim wyzwaniem.

Parsknął krótkim śmiechem, a ja nie mogłam powstrzymać się od uśmiechu, bo nagle wydał mi się zabawny i przyjazny, jak wielki rozczochrany bernardyn

albo sfatygowany pluszowy misiek.

– Będzie mogła kiedyś przyjechać tu w odwiedziny? – zapytałam.

– Mam nadzieję – odparł cicho pułkownik. – Chciałbym, żeby wszystkie kiedyś tu przyjechały i zobaczyły, gdzie mieszkam, tę piękną miejscowość i wzgórze dookoła.

– Nigdy nie myślałam, że nasza wieś jest piękna. Mieszkam tu od urodzenia, więc dla mnie to po prostu dom. Naprawdę się panu podoba?

Przez chwilę nic nie mówił i zaczęłam się zastanawiać, czy dobrze mnie usłyszał, ale w końcu odpowiedział.

– Tutejszy sposób życia jest czymś, czego nie zniszczy żadna wojna, co będzie trwało długo po tym, jak my odejdziemy. – Otrząsnął się z zamyślenia i wstał. – Dam jej znać, że chciałabyś, żeby przyjechała. Na imię ma Alexandra – dodał i wyciągnął swoją ogromną dłoń, by ucisnąć moją, szczupłą. – Jeśli jeszcze na coś natrafisz, zawiadom mnie, Kitty. I nie chodź do Peasepotter Wood. To niebezpieczne. Wiem, że jesteś bystrą, dojrzałą osobą i potrafisz zachować pewne rzeczy dla siebie, ale nie pozwól, żeby zwłaszcza Progett zorientował się, że coś zauważyłaś, dobrze?

– Tak – odpowiedziałam zadowolona, że w końcu ktoś dostrzegł moją dojrzałość.

Pani Tilling weszła do salonu i poprosiła mnie na słówko do kuchni. Pułkownik życzył mi dobrej nocy, po czym zapytał gospodynię, czy może skorzystać z telefonu. Zastanawiałam się, czy dzwoni do centrali, żeby im powiedzieć o moim zgłoszeniu. Że w końcu jestem bohaterką.

Pani Tilling zaczęła sprzątać ze stołu.

– Czy twoja mama wie, że tu jesteś?

– Nie.

Westchnęła i podniosła na mnie wzrok.

– Nie wiem, z jaką sprawą przyszłaś dziś do pułkownika i nie oczekuję, że mi powiesz, ale proszę cię, Kitty, nie mieszaj się w tę wojnę.

– Ale wszyscy jesteśmy w nią zamieszani, czy nam się to podoba, czy nie.

– Niektórzy z nas, Kitty. Niektórzy tak. – Spojrzała na mnie z nagłym smutkiem, a w jej oczach zobaczyłam, jak bardzo martwi się o Davida. Położyła mi rękę na ramieniu i ucisnęła je. – No dobrze, to zmykaj, tylko proszę, postaraj się nie pakować w kłopoty.

Kiedy wchodziłam do hallu, usłyszałam głos pułkownika rozmawiającego przez telefon.

– Tak, rura wydechowa się zepsuła, potrzebuję nowej – mówił. – Natychmiast.

Tyle rewelacji ode mnie usłyszał, a w głowie mu tylko awaria auta.

Pani Tilling otworzyła mi drzwi i do naszych uszu doleciał odległy warkot

silników samolotu, gdzieś z południa. Wyszłam na ścieżkę, żeby lepiej widzieć, zaraz za mną pani Tilling, która stanęła nieruchomo jak wiewiórka nasłuchująca odgłosów niebezpieczeństwa, a po chwili dołączył do nas pułkownik. Hałas był coraz głośniejszy i bardziej bezładny, jakby w naszą stronę leciało mnóstwo samolotów z różnymi silnikami, buczącymi na różnej wysokości. Spoglądaliśmy w niebo za wieżą kościoła, gdzie zza gęstych chmur nagle wyłonił się księżyc – wążutki jasny rogalik, którego srebrny blask padł na ścianę kościoła, oblewając ją niebiańską poświatą.

I wtedy je zobaczyliśmy. Punkciki stawały się coraz większe, najpierw jeden niemiecki bombowiec, a za nim dwa kolejne. Precyzyjna, mknąca naprzód mechaniczna strzała zagłady.

Patrzyliśmy przełęknięci, podczas gdy one się do nas zbliżały; fala hitlerowskiego zniszczenia nad naszymi głowami. Czy ich celem było Dover, ale niechcący zapędziły się za daleko? A może leciały w stronę Tamizy? Pułkownik wyszedł na drogę, żeby móc łatwiej określić ich kurs.

Zawyła syrena – po raz pierwszy ostrzegła przed prawdziwym nalotem – przenikliwa i straszna, jakby jakiś duch wzywał nas, żebyśmy wracali do środka.

– Chodźmy do piwnicy – powiedziała szybko pani Tilling i zagoniła nas do domu. – Myślę, że przelecą nad nami, ale lepiej dmuchać na zimne, zwłaszcza że jest z nami Kitty.

Poprowadziła nas przez ciasne kuchenne drzwi i w dół wąskimi drewnianymi schodami. Kiedy zapaliła światło, zobaczyłam z ulgą, że pomieszczenie jest przytulnie urządzone, a nie takie ponure i pełne robactwa jak nasza piwnica. Na podłodze leżał wytarty dywan, a naprzeciwko niego stały stara kanapka i fotel, nie brakowało nawet ręcznie haftowanych poduszek. Na niedużej szafce znajdowały się zegar, tuzin książek i czarna metalowa puszka, miałam nadzieję, że pełna zapasów. Pod ścianą leżały poduszki i złożone koce, a ja pomyślałam, jak zacisznie byłoby zwinąć się na podłodze w takim przyjemnym gniazdku.

Pułkownik wcisnął się w fotel i spytał panią Tilling, czy ma pióro i papier, bo mógłby nadrobić zaległości w korespondencji. Odszukała je na szafce i podała mu bez słowa. Zastanawiam się, czemu go nie lubi. Mnie się wydaje całkiem miły.

– No dobrze, Kitty – odezwała się do mnie. – Co my tutaj mamy? – Schyliła się i spojrzała na grzbiety książek. – *Wielkie nadzieje*? Czytałaś? Albo *Anna Karenina* Tolstoja, chociaż to może trochę dla ciebie za dorosłe.

Nic nie jest dla mnie za dorosłe, więc wzięłam od niej *Annę Kareninę* i otworzyłam na pierwszej stronie. „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”. Jakie to wszystko dziwne. Chilbury jako ośrodek brudnych interesów, Progett jako szpieg, pan Slater Venetii jako spekulant. To oczywiście dobrze, że ludzie pułkownika

mają ich wszystkich na oku, ale muszę przyznać, że byłam trochę niezadowolona, iż moja odważna próba włączenia się w wysiłek wojenny sprowadziła się do jednej krótkiej rozmowy, z której niewiele wynikało.

„Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa na swój sposób”. Nasz pierwszy nalot. Może pierwszy z wielu, pierwsze bomby spadające na nasze domy, niszczące wszystko, co mamy. Wyteżałam słuch, ale samoloty musiały gdzieś odlecieć. I gdy tak w tle rozbrzmiewało miarowe tykanie zegara, poczułam się uwięziona w pułapce samego czasu. Było tak, jakby każda chwila stała się jednocześnie dłuższa i krótsza; bardziej znacząca, bo niewykluczone, że ostatnia, a jednocześnie tak ulotna i bezcelowa. Wszystkie te chwile łączą się, budując moje życie niczym narzuta pozszywana z kawałków materiału najróżniejszych kształtów i kolorów, z dobrych i złych dni, które razem tworzą niewygodną, niedopasowaną całość.

I wtedy rozległ się dźwięk syreny odwołującej alarm. Pojedynczy sygnał, który w jakiś sposób brzmiał pokrzepiająco i przyjaźnie, chociaż to dokładnie ta sama okropna syrena przeciwlotnicza. Pułkownik spojrzał na panią Tilling, która wstała, wygładziła brązową wełnianą spódnicę i zwróciła się do mnie, jakby jego w ogóle tam nie było:

– Kitty, mam nadzieję, że to nie za późno, żebyś sama pobiegła do domu? Ale jeśli masz ochotę, zawsze mogę cię przenocować.

– Dziękuję pani, ale mama będzie się martwiła.

Kiedy pani Tilling ruszyła po schodach, spojrzałam na potężnego pułkownika, który kończył pisać list, i życzyłam mu dobrej nocy.

– Ja tobie także – powiedział lekko, podnosząc wzrok i uśmiechając się do mnie. – Dziękuję, że przyszedłeś.

Powiedziałam dobranoc pani Tilling i pośpiesznie ruszyłam drogą w stronę placu. Księżyc oblewał cmentarz upiorną poświatą; miejsce spoczynku mieszkańców grzebanych tutaj przez setki lat, wszystkich tych gnijących pod ziemią ludzi, po których jedynym śladem były nagrobki – symbole ich śmierci.

Biegłam coraz szybciej, aż znalazłam się w połowie naszego podjazdu i szumiącej masy Peasepotter Wood po mojej lewej stronie, gdy nagle w lesie rozległ się ogłuszający huk wystrzału. Zatrzymałam się, dygotałam ze strachu. Po chwili usłyszałam kolejny okropnie głośny strzał. Papa kilka razy zabrał mnie ze sobą na polowanie, ale ten dźwięk brzmiał zupełnie inaczej. Był donośniejszy i ostrzejszy, jak martwy grom z czystego nocnego nieba.

Starłam się wyrównać oddech i uspokoić serce, które waliło mi jak młotem. Nasłuchiwałam, czy rozlegną się kolejne strzały, ale w lesie panowała cisza. Po kilku minutach ruszyłam na drżących nogach dalej. Kiedy wychodziłam zza zakrętu, wyczułam coś przed sobą, jakiś ruch wśród cieni. Zamarłam i wbiłam spojrzenie w ciemność. Z trudem rozpoznałam przygarbioną sylwetkę Progetta,

który przedzierał się przez leśne poszycie.

Odczekałam dłuższą chwilę i zaczęłam skradać się dalej, aż wreszcie puściłam się biegiem do domu, dopadłam bocznych drzwi i wśliznęłam się przez nie do środka. Nieświadomie oczekiwałam, że wewnątrz będzie panować zamieszanie, że wszystko będzie jakieś odmienione.

Ale tak nie było. Wszystko było dziwnie normalne.

Pod szklanym kloszem na stole leżały dwie bułki, więc schowałam je do kieszeni i ruszyłam do swojego pokoju. Na schodach spotkałam mamę. Miała w oczach ten okropny wyraz jak przerażona mysz, niezdolna do ucieczki. Czyli papa znów jest na wojennej ścieżce.

– Gdzie byłaś? Słyszałaś syrenę? – wyszeptła.

– Byłam u pani Tilling – odparłam, usiłując przejść obok.

– Widziałaś Venetię? – Brzmienie jej głosu przywodziło na myśl popękany lód.

– Nie, dlaczego?

Przez chwilę miałam wrażenie, że mama patrzy na mnie i wcale mnie nie widzi, ale zaraz się opanowała.

– Po prostu chciałam ją o coś zapytać, nic więcej.

– Wszystko w porządku?

– Tak, oczywiście. – Uśmiechnęła się nerwowo. – Pora spać. Dobranoc.

Dowlokłam się do mojego pokoju, zaciągnęłam zasłony i padłam na łóżko. Zastanawiałam się, co się stało z Venetią, że mama jest taka przestraszona. No, ale z moją siostrą co chwila jest jakaś draka.

Pewnie to nic wielkiego.

PAMIĘTNIK SILVIE

Czwartek, 1 sierpnia 1940 r.

Dziś brygadier bardzo się rozgniewał na Venetię. Wrócił późno do domu i na nią nakrzyczał. Mówił, że jest w ciąży. To znaczy, że będzie miała dziecko. Z panem Slaterem. To źle. Brygadier zabrał ją do siebie do gabinetu i mówił do niej okropne rzeczy. A potem ją uderzył. Venetia krzyknęła i wybiegła w noc.

– Zabiję go! – zawołał brygadier. Poszedł po broń.

Bałam się. Pobiełam za Venetią. Ale ona przepadła.

Więc schowałam się w moim pokoju. Potem usłyszałam, jak Kitty wchodzi po schodach. A później rozległ się warkot samolotu, coraz głośniejszy, nisko na niebie. Naciągnęłam koc na głowę.

**PIERWSZA STRONA „THE KENT TIMES” PIĄTEK, 2 SIERPANIA
1940 R.**

CHILBURY ZBOMBARDOWANE

Wczoraj późnym wieczorem pojedynczy niemiecki samolot zrzucił na wieś trzy bomby. Członkowie lokalnego ochotniczego pogotowia ratunkowego przez całą noc walczyli, by ocalić rannych i ugasić pożar, który objął Church Row i kilka innych budynków. Trzech osób nie odnaleziono. Istnieje obawa, że nie żyją.

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL

Ivy House,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Piątek, 2 sierpnia 1940 r.

Kochana Angelo!

Jestem całkowicie wyczerpana, w każdy możliwy sposób. Jak na pewno już wiesz, wczoraj w nocy Chilbury zostało zbombardowane. Byłam tam, kiedy to się stało – patrzyłam, jak nasz świat się rozpada na moich oczach – ale lepiej zacznę od początku.

Straszliwie pokłóciłam się z ojcem. Dowiedział się, że jestem w ciąży, i groził, że zabije Alastaira. Wybiegłam w noc, rozpaczliwie pragnąc go ostrzec, powiedzieć mu o dziecku, o naszym dziecku. I wtedy usłyszałam w lesie wystrzał, a potem drugi, i pomyślałam, że papa znalazł Alastaira i go zastrzelił. Przerażona puściłam się pędem do wioski. Musiałam się przekonać, czy nic mu nie jest. Nic innego się nie liczyło, musiałam jak najprędzej dotrzeć do domu Alastaira.

Z początku starałam się nie zwracać uwagi na odległy warkot samolotu, ale kiedy dobiegłam do drogi prowadzącej na plac, warkot był już o wiele głośniejszy. Samolot znajdował się nisko na niebie i wydawał z siebie gardłowy ryk, na przemian niknąc w chmurach i wyłaniając się spomiędzy nich. Biegłam dalej, usiłowałam uciec od tej całej sytuacji, od tej wojny, od wszystkiego.

Kiedy dobiegłam do placu, dźwięk samolotu nagle stał się ogłuszający, był tuż za mną, niziutko, jakby mnie ścigał.

Z drugiej strony placu usłyszałam krzyki – ktoś chyba wołał do pastora, żeby włączył syrenę, bo chwilę później rozległo się powolne wycie, które przenikało się z rykiem samolotu, tak straszliwie głośnym, że bałam się, że rozerwie mi bębenki w uszach.

Ale było już za późno. Za późno. Przykrył mnie jakiś cień, a kiedy podniosłam wzrok, zobaczyłam wiszący złowrogo tuż nade mną niemiecki samolot. Huk był ogłuszający i na widok tej potwornej ciemnoszarej sylwetki skuliłam się ze strachu. Unosiła się nade mną niczym widmo śmierci. A gdy tak wpatrywałam się w czarny spód kadłuba, zobaczyłam, jak otwierają się drzwiczki i bomby, jedna po drugiej, wysypują się w nocne niebo, lecąc prosto na Church

Row.

Pognałam do domku Alastaira, rozpaczliwie pragnąc dotrzeć tam przed bombami i ostrzec go. Samolot nade mną poderwał się, wziął zakręt i zawrócił, nie czekając nawet na nieuchronną eksplozję.

Przed sobą zobaczyłam nagły rozbłysk bieli, gdy przy wtórze ogłuszającego huku noc rozdarł wybuch pierwszej bomby, potem drugiej, a po chwili trzeciej. Kawałki budynków, mebli i fragmenty ludzkich ciał pofrunęły w powietrze i posypały się z powrotem na ziemię. Widziałam ogień górujący nad zniszczeniami: ogromne złoto-niebieskie płomienie, potężniejące i wznoszące się w niebo, pełne dymu i szczątków.

Siła eksplozji przewróciła mnie na ziemię, a odłamki szkła poraniły mi twarz i rękę. Wstałam i pobiegłam w stronę pożaru. Wydawało się, że jego centrum znajduje się w domu Alastaira, choć większość Church Row była zrujnowana; leje po bombach wśród ocalałych ścian, spowitych płomieniami. Z jednej ręki płynęła mi krew, jakby ktoś mi ją rozplątał, ale ja nie mogłam się zatrzymać. Czy to możliwe, żeby ktoś wydostał się z domu, zanim uderzyła w niego bomba? Czy ktokolwiek przeżył? Czy Alastair przeżył? A Hattie? Co z Hattie?

Krzyknęłam:

– Alastair, Alastair! – Ale odpowiedziała mi cisza. Słysząc tylko wszechogarniające trzeszczenie ognia i od czasu do czasu potężny wybuch, ilekroć płomienie natrafiły na coś łatwopalnego.

W miarę jak się zbliżałam, żar stawał się nie do zniesienia, ale widziałam przed sobą zarys domu Alastaira i Hattie, tuż obok.

Przez moment stałam i patrzyłam, jak pożera je ogień, jak każde wspomnienie i każdy atom Alastaira zostaje przez niego pochłonięty i znika gdzieś we wszechświecie. Zaczęłam szlochać. Wciąż wykrzykiwałam jego imię, nie myślałam nawet o zakryciu twarzy. Błagałam Boga, by sprawił, żeby Alastair wyszedł z płomieni nietknięty.

I wtedy usłyszałam płacz. Zamilkłam przerażona i wsłuchałam się w krzyki dziecka. Rose. Córeczka Hattie. Spojrzałam w stronę jej domku. Był mniej zniszczony niż Alastaira, piętro nadal znajdowało się na swoim miejscu, ale wiedziałam, że zaraz runie, strawione przez ogień.

Obejrzałam się za siebie. Nikogo nie było.

– Pomocy! – wrzasnęłam w stronę placu, ale nie odpowiedział mi żaden głos.

Dziecko znów krzyknęło. Mój żołądek wywinął koziołka. Ostrożnie zbliżyłam się do domu i kopnęłam w drzwi wejściowe, które rozsypały się, odsłaniając płomienie szalejące wewnątrz tego, co zostało z budynku. Odkoczyłam i wrzasnęłam jeszcze raz.

– Pomocy!

W powietrzu było tyle dymu i pyłu, że musiałam się wycofać, żeby zrobić porządkny wdech, a nawet tutaj było tak gorąco, że niemal nie dało się oddychać. Potem osłoniłam czoło ramionami i wbiegłam do domu. Wiedziałam, że schody są tuż obok drzwi, więc wbiegłam na górę i znalazłam Rose w łóżeczku w małej sypialni. Niebieskie płomienie lizały przeciwległą ścianę, a w powietrzu pełno było gęstego czarnego dymu. Porwałam na ręce małą zawiniętą w kocyk i wypadłam z powrotem na schody. Żar był nie do zniesienia. Czułam, jak stopnie uginają się pod moimi stopami, gdy na złamanie karku gnałam w dół, wstrzymując oddech i modląc się, żebym zdołała się wydostać, zanim dom się zawali.

Kiedy dobiegłam na dół, rozpadł się ostatni stopień, a ja przewróciłam się na podłogę przy drzwiach, ale łokciami osłoniłam maleństwo przed ciężarem mojego ciała. Krew z mojego ramienia trysnęła na kocyk i na moją sukienkę. Dźwignęłam się z trudem i chwiejnie ruszyłam przez drzwi. Przeszłam przez szczątki, nie widząc, co mam pod nogami, bo widok zasłaniało mi przytulone do piersi dziecko. Wreszcie znalazłam się na tyle daleko, że powietrze stało się chłodne, wolne od dymu i sadzy, a ja przystanęłam, żeby złapać oddech i obejrzeć się w stronę domu. Na moich oczach eksplodował, rozpadając się na milion odłamków.

Przycisnęłam dziecko do siebie i patrzyłam na ogień i wybuchy. Z kilku ran ciekła mi krew, a ja otaczałam ramionami malutką, tuląc ją do siebie tak, jakby była moją ostatnią deską ratunku. Nagle podszedł do mnie potężny mężczyzna – przygotowałam się na nowe niebezpieczeństwo, ale on przystanął zdumiony.

– Venetia!

Był to pułkownik Mallard, jego twarz wyrażała niezwykle przejęcie i niepokój.

– Czy to dziecko? – zapytał gorączkowo i w jednej chwili odebrał mi zawiniątko, w momencie kiedy poczułam, że ziemia chwieje się pode mną i zbliża coraz bardziej, wychodząc na spotkanie mojemu słabemu, zakrwawionemu ciału, które osunęło się na nią i znieruchomiło pośród szczątków.

Musiałam stracić przytomność, bo nie mam pojęcia, jak dostałam się do domu pani Tilling, ani nawet która była godzina, kiedy w końcu się ocknęłam. Wiedziałam tylko, że jestem w jakimś dziwnym ciasnym pokoiku, na niedużym miękkim łóżku. Ledwie mogłam się ruszyć. Okropnie bolało mnie całe ciało, a najbardziej ramię. Po prostu tam leżałam i mrugałam w ciemności powiekami, aż wreszcie zdałam sobie sprawę, że jestem w łóżku, w tym nieużywanym pokoju w głębi domu. Ramię miałam obandażowane i byłam ubrana w starą, białą koszulę nocną. Wszystko wydawało się rozmazane, a kiedy zakasłałam, poczułam się tak, jakbym miała w gardle worek pełen żwiru.

– Jak się czujesz? – zapytała pani Tilling i pogłaskała mnie po czole. Kiedy spojrzałam w jej zaniepokojone oczy, w jednej chwili wszystko mi się przypomniało i zanosłam się płaczem, chociaż niezbyt gwałtownym, ponieważ

wszystko mnie bolało.

– Co się stało z dzieckiem? – wyszlochałam.

– Nic jej nie jest. Uspokoila się i teraz śpi w szufladzie na dole.

– W szufladzie?

– Tak, nie mamy łóżeczka, więc pułkownik Mallard opróżnił jedną ze swoich szuflad, wyciągnął ją z komody, ustawił na stole w kuchni i wymościł kocykami. Przyznam, że używanie szuflady jest nieco staroświeckie. – Wzruszyła ramionami. – Ale to dla Rose najmniejszy problem. Uszła z życiem, i to tylko dzięki tobie.

– A jej mama? Czy Hattie...

Pani Tilling pokręciła głową.

– Nie przeżyła – wyszeptala ze ściśniętym gardłem. – Prim także zginęła.

– Przez jej twarz przemknął wyraz gniewu, ale zaraz zastąpiło go skupienie na kwestiach praktycznych. – Nie wiemy, co stanie się z małą Rose. Nie ma żadnych innych bliskich krewnych. Victor ma ciotkę, siostrę matki, w Wiltshire, więc jutro do niej napiszę.

Wiadomość przepłynęła nade mną niczym ciężka burzowa chmura, gotowa wylać swoją zawartość za jakiś czas. Nie ma już Hattie. Ani Prim. Dla mnie na razie były to tylko słowa.

– A Alastair?

Pani Tilling wzięła mnie za rękę, która także była zabandażowana.

– Nie wiemy, co się z nim stało – powiedziała cicho. – Czy wczoraj wieczorem miał być w domu? Czy na ciebie czekał?

Spojrzałam na nią niepewna, co ma na myśli.

– Jeszcze go nie odnaleziono – powoli ciągnęła dalej, starannie dobierając słowa. – Nie wiemy, czy był w domu, kiedy uderzyła w niego bomba. Pomyśleliśmy, że może ty będziesz wiedziała.

Mąciło mi się w głowie. Czy on tam był? Przez mój umysł przewinęły się wszystkie inne możliwe miejsca. Mógł być na spotkaniu ze szpiegami albo spekulantami albo leżeć zastrzelony w Peasepotter Wood. Przypomniał mi się ten rozgniewany wysoki mężczyzna, z którym się widział, ten w przykrótkim ubraniu, któremu Alastair wręczył paszport.

Czemu wcześniej o tym nie pomyślałam? Ten człowiek musiał być zestrzelonym niemieckim pilotem, poszukiwanym przez ochotników z Obrony Cywilnej. To by wyjaśniało niedopasowany strój i chęć ucieczki z kraju. Nie mogłam w to uwierzyć. Alastair pomagał żołnierzowi wroga. Jak on mógł coś takiego zrobić?

I jak ja mogłam kochać takiego człowieka?

W głowie zakręciło mi się z bólu. Mimo całej tej gmatwaniny wątpliwości i strachu nadal nie potrafiłam znieść myśli, że mogłby nie żyć. Czy to możliwe, że

wczoraj wieczorem był w domu? Czy ja się naprawdę tego spodziewałam? Nie umówiliśmy się na spotkanie. Ostatnim razem widzieliśmy się poprzedniego dnia rano, kiedy pobiegłam do sadu bez pożegnania.

Nigdy się ze sobą nie pożegnaliśmy.

Znów zaczęłam płakać bezgłośnie, a pani Tilling wzięła moją rękę w swoje dłonie. Za dużo było dla mnie tego wszystkiego. Alastair zaginął, Prim nie żyła, Hattie – moja kochana przyjaciółka – odeszła, zostawiając swoją córeczkę bez matki. Za dużo tego wszystkiego.

W końcu znów usnęłam. Pani Tilling musiała siedzieć przy mnie przez całą noc, bo wciąż tam była, kiedy obudziłam się rano na dźwięk płaczu dziecka, rozlegającego się w całym domu.

– Kto się nią zajmuje? – zapytałam. Ten płacz mnie zdenerwował, chociaż pewnie właśnie do tego służy; ma skłonić nas, kobiety, żebyśmy poderwały się z miejsca i wzięły do roboty. Dźwięk urwał się nagle, jakby ktoś wziął Rose na rękę.

– Pułkownik Mallard – odpowiedziała pani Tilling. – Wygląda na to, że ma do tego dryg. – Uniosła z zaskoczeniem brwi, choć mnie jakoś całkiem to do niego pasowało.

– Nic jej nie jest? Ten dym...

– Kaszle, ale naprawdę, Venetio, to istny cud, że ona żyje. I ty także!
– Spojrzała na mnie, nagle rozgniewana. – Zdawałaś sobie sprawę, że budynek zaraz się zawali, kiedy po nią weszłaś?

– Nie pomyślałam. – Podniosłam się na łóżku, bo poczułam się przytomniejsza, chciałam wstać i dowiedzieć się, co się stało z Alastairem. – Nie mogłam wytrzymać tego płaczu i, cóż, właściwie nie miałam wyboru. – Przypomniałam to sobie z całą wyrazistością. – Wołałam o pomoc, ale w pobliżu oprócz mnie nikogo nie było, a mała nie przestawała krzyczeć. Musiałam pójść.

– Myślę, że powinnaś zostać w łóżku, Venetio. – Pani Tilling zaprowadziła mnie do niego z powrotem i otuliła mnie wysłużoną kapą. – Straciłaś dużo krwi.

Spojrzałam na bandaż na moim ramieniu i przypomniałam sobie o ranie.

– To coś poważnego?

– Założyłam ci kilka szwów – odparła spokojnie.

– A dziecko? Moje dziecko? – szepnęłam.

– Na razie wszystko jest w porządku – powiedziała pani Tilling. – Ale musisz dojść do siebie po wstrząsie, a w dodatku jesteś obita i poraniona. Dziecko będzie miało marne szanse na przeżycie, jeśli ciągle będziesz próbowała wstać. Mam wybrać się do twojej mamy i powiedzieć, żeby po ciebie przyjechała?

Podniosłam na nią wzrok.

– Ale ja muszę odszukać Alastaira.

Powoli pokręciła głową.

– Venetio – powiedziała w taki sposób, że zalałam się łzami, bo wiedziałam, co zaraz usłyszę. Pani Tilling poklepała mnie po ramieniu, bym się nie podnosiła.
– Jeśli był w tym domu, nie miał szans na przeżycie.

Zaniosłam się szlochem.

– Co pani mówi? Czy to pewne?

– Nie mamy pewności, że tam przebywał. Czy on zawsze na ciebie czeka, Venetio?

– Zazwyczaj – skłamałam.

Dosyć często nie zastawałam go i to ja czekałam. Otwierałam drzwi własnym kluczem, kładłam się na kanapie i przeglądałam jego wiersze albo patrzyłam na mój akt z mieszaniną podziwu i awersji. Kiedy Alastair przekraczał próg, zmieniały się barwy i odcienie w pokoju, przygaszone szarości przeistaczały się w złoto i brązy. Niekiedy ja się spóźniałam z powodu trudności z wydostaniem się z Chilbury Manor, złej pogody, wścibskich sióstr czy surowego ojca. Oboje byliśmy gotowi czekać, czekać tak długo, jak będzie trzeba.

– W takim razie... – Pani Tilling urwała. Nie była w stanie dokończyć.

Po chwili milczenia po prostu wyrzuciłam z siebie to, co cały czas miałam z tyłu głowy.

– Myślę, że mój ojciec mógł go zastrzelić.

Pani Tilling na moment przerwała ocieranie mi łez z twarzy i spojrzała na mnie z niepokojem.

– Czy twój ojciec wie o ciąży?

– Tak. – Podniosłam na nią wzrok. – Ktoś musiał mu powiedzieć wczoraj wieczorem, zanim wróciłam do domu.

– Czy to mogła być panna Paltry? Rozmawiałaś z nią?

Wyrwał mi się cichy okrzyk.

– Ale przecież by mu nie powiedziała, skoro wiedziała, że by mnie zabił?

– Nagle zaschło mi w ustach. – Prawda?

Pani Tilling się skrzywiła.

– Nie jestem pewna, kochanie. – Pokręciła ze zdumieniem głową. – Naprawdę nie jestem pewna.

Otuliła mnie kołdrą i poszła zagrzać mleko, żeby ułatwić mi zaśnięcie. Martwi się, że stracę dziecko, a mnie też to przeraża, bardziej, niż potrafię opisać. Jeśli Alastair naprawdę zginął, czy od bomby, czy zastrzelony w lesie, w takim razie to dziecko jest jedynym, co mi po nim pozostało. Wiem, że brzmi to sentymentalnie i niedorzecznie, ale tęsknię za nim tak, jakbym w jakimś sensie umierała, moje wnętrzości nikną, powoli rozpływają się w nicość. To dziecko, jego dziecko, jest moją jedyną nadzieją, jedyną jasną gwiazdą w tym zropanym ciele.

Och, Angie, to takie straszne, że nie ma Cię teraz przy mnie. Biedna Hattie.

Wciąż nie mogę uwierzyć, że nasza urocza, ciepła, promienna przyjaciółka nie żyje. Nie wiem, co bez niej pocznę. Cały czas rozbrzmiewa mi w uszach jej głos: „Venetio, musisz się nauczyć troszczyć o siebie”. Kiedy słyszę gaworzenie Rose, czuję bliskość Hattie. Stwierdziłam, że jestem winna Hattie, która była dla mnie jak starsza siostra, żeby być starszą siostrą dla Rose.

Napisz, proszę, gdy tylko będziesz mogła.

Ucałowania,

Venetia

DZIENNIK PANI TILLING

Sobota, 3 sierpnia 1940 r.

Co za okropne kilka dni. Mam naprawdę złe przeczucia na temat tej wojny: że zostaniemy podbici, stracimy swój kraj, swoją kulturę, swoją wolność. Że damy z siebie wszystko, będziemy walczyć ile sił, oddamy nasze nadzieje i marzenia, poświęcimy samych siebie. A potem przyjdą hitlerowcy, a nam nie zostanie już nic. Będziemy pustymi szkieletami, pozwolimy im deptać po sobie, rządzić naszym życiem, naszymi domami, naszymi dziećmi – o ile cokolwiek z tego ocaleje.

Według pułkownika Mallarda bombowiec prawdopodobnie leciał nad Dover, zapędził się za daleko, pobłądził, a potem musiał zrzucić bomby, żeby móc dolecieć z powrotem nad kanał La Manche. Nie powinien był atakować ludności

cywilnej. Ta cała tragedia była po prostu wynikiem straszliwej pomyłki, głupim przypadkiem.

Dziś rano Venetia wróciła do domu, ale nadal nie czuje się dobrze. Straciła dużo krwi, a ja się niepokoję, że straci także dziecko. To był poważny wstrząs; nie doszła po nim do siebie. Mocno przeżywa śmierć Hattie, a o Slaterze wciąż mówi tak, jakby miał wrócić. W ruinach jego domu nie znaleziono żadnego ciała, ale Venetia nie potrafi powiedzieć, gdzie indziej mógł być.

Jedna strona placu jest teraz zrównana z ziemią. Ciężko pracujemy – my, kobiety z naszej wsi – żeby ją oczyścić. Staramy się zrobić najlepszy użytek z nierównej sterty cegieł i różnych zniszczonych przedmiotów. Niektóre ze znalezisk są naprawdę przejmujące: sukienka Hattie, potłuczone złote ozdoby Prim. Tymczasem coraz większa liczba rabusiów plądruje ruiny w poszukiwaniu biżuterii i cennych bibelotów. Wczoraj widziałam, jak Ralph Gibbs odpycha na bok jakąś kobietę, żeby móc pierwszy położyć na czymś łapy. Jest opętany chciwością; ta wojna obudziła w nim potwora.

Dom panny Paltry także się zawalił, ale na szczęście udało się wyciągnąć ją spod rumowiska; miała tylko złamane biodro. Zabrali ją do szpitala w Litchfield, więc może jak będę miała chwilę, to wybiorę się do niej, żeby popytać o tę dziwną historię z noworodkami.

Wczoraj pani Quail znalazła szczątki gramofonu Prim i kilka innych przedmiotów. Pastor powiedział, że możemy przekazać je jutro siostrze Prim. Mają przyjechać jutro na specjalne niedzielne nabożeństwo, na którym zostanie wygłoszona mowa pożegnalna.

Znalazłyśmy także trochę rzeczy Hattie, w tym blaszaną puszkę po ciasteczkach z jej listami. Wszyscy stwierdzili, że najlepiej będzie, jeśli ja je wezmę i dam ciotce Victora, kiedy przyjedzie po małą Rose. Przyniosłam więc puszkę do domu i poprosiłam pułkownika, żeby otworzył ją siłą, bo metal się stopił i sama nie potrafiłam sobie z tym poradzić.

– Czy to przypadkiem nie jest nielegalne? – spytał sztywno pan porządnicki.

– Proszę to otworzyć – odparłam. – Jeśli będzie pan miał jakieś problemy, wezmę winę na siebie. I sama znajdę sposób, żeby dostać się do środka, jeżeli pan mi nie pomoże.

Spojrzał na mnie, jakbym postradała zmysły.

– Ktoś w końcu musi ją otworzyć – powiedziałam cicho. – I jestem pewna, że Hattie wolałaby, żebym tym kimś była ja, a nie ciotka Victora, nie sądzi pan?

Chrząknął, a potem zabrał się do podważania wieczka śrubokrętem. Kiedy wreszcie się udało, podał mi puszkę, a ja zaczęłam przeglądać jej zawartość.

– Nie ma pani uczucia, że grzebie w cudzym życiu osobistym?

– Nie, ale czuję, że w tym momencie brak mi czasu na odpowiadanie na pytania. – Przez chwilę dalej robiłam swoje, a potem podniosłam na niego wzrok.

– Chcę po prostu mieć pewność, że nowa rodzina pokocha małą i będzie życzliwie wspominać Hattie. Że ciepło przyjmą Rose w swoim domu. – Znów spojrzałam na puszkę. – Nie możemy dopuścić, żeby odkryli, że ten list miłosny nie jest od ich bratanka – dodałam, wyciągnęłam jeden z listów i odłożyłam go na osobną kupkę. – Albo ten.

– Rzeczywiście – przyznał pułkownik. – Pewnie ma pani rację. Jak zawsze. Przerwałam wertowanie listów i popatrzyłam na niego.

– Po prostu na jej miejscu życzyłabym sobie, żeby ktoś zrobił to samo dla mnie.

Myślałam, że się rozplaczę. Znałam Hattie tak dobrze, wiedziałam, jak bardzo kochała to małżeństwo i swojego męża. Prawdziwa ironia losu: tak się martwiła, że coś stanie się Victorowi gdzieś na Atlantyku, a tymczasem to ona zginęła.

– Jest pani dzielną kobietą – powiedział łagodnie pułkownik, położył mi na ramieniu swoją dużą dłoń i trzymał ją tam przez chwilę; było to dziwnie krzepiące w bezlitosnym świetle nowego dnia.

Znalazłam fotografię Hattie, na której widniała z całą paczką: Venetią, Henrym, Angelą Quail, moim Davidem i Ralphem Gibbem ze sklepu. Byli na drodze prowadzącej do Chilbury Manor. Ktoś zrobił im zdjęcie, kiedy nikt nie patrzył, może Victor? Szli dwójkami: uśmiechnięte Hattie i Venetia pod ramię; David i Ralph śmiali się i przepychali – sprawiali wrażenie takich młodych i niewinnych. To było, zanim nadeszła wojna i w jednej chwili wepchnęła ich w dorosłość. A w głębi, na wpół schowani, stali Angela i Henry, trzymali się za ręce. Ona szeptała mu coś do ucha, drugą ręką dotykała jego ramienia, a on się śmiał. Wyglądali jak kochankowie. Nie wiem, czemu do tej pory na to nie wpadłam. Angela kochała się w Henrym, ale on był zawsze zapatrzony w Venetię. Kiedy przyjrzeć się zdjęciu uważniej, widać, że jego oczy utkwione są w Winthropównie, sunącej na czele grupki, podczas gdy Angela patrzy w bok, na niego. Ciekawe, czy Venetia wiedziała. Pewnie nie.

– Co zamierza pani z nimi zrobić? – zagadnął pułkownik, spoglądając na moją kupkę.

– Schowam je do koperty i dam ją Rose, gdy będzie już na tyle duża, by zrozumieć – odparłam. Wyrównałam starannie odłożone listy, jakby miały być cennym skarbem dla przyszłych pokoleń. – Pewnie niewiele będzie wiedziała o matce, w końcu wychowywać ją będzie samotny ojciec. Te kilka listów pomoże jej uzupełnić niektóre luki.

– Nie sposób odmalować wizerunku kogoś, kto nie żyje – powiedział pułkownik szczerze. – Proszę mi wierzyć, próbowałem. W człowieku tyle rzeczy jest nieuchwytnych, wszystkie te drobne szczegóły, przeszłość, irytujące przyzwyczajenia, sposób, w jaki mówi, naturalny zapach. To właśnie te rzeczy

– i mnóstwo innych – dają tej osobie pełnię życia, której po prostu nie da się odtworzyć. Można korzystać z fotografii, portretów, perfum, wszystkiego, co tylko uda się znaleźć, żeby przypomnieć sobie tego kogoś, jednak próba przekazania kwintesencji matki jej dzieciom zawsze będzie co najwyżej fragmentaryczna.

– Pan stracił żonę? Tak mi przykro... – Musiałam zrobić się czerwona jak rak na myśl o tym, jak okropnie traktowałam tego biednego człowieka, który stracił żonę. Tak samo jak ja męża. A mi nawet nie przyszło do głowy go o to zapytać.

– Tak. – Spojrzał przez okno na ogród, gdzie wietrzyk bawił się klematisem, kołysał fioletowe kwiaty w tę i z powrotem. – Moje córki miały po sześć, dziewięć i dziesięć lat, kiedy Vera zmarła. Pamiętają matkę jako chorą kobietę, wymagającą, drażliwą, nierzadko dość przykrą. Trudno jest przekonać je, że kiedyś była piękną, pełną życia osobą. – Wziął do ręki zdjęcie Hattie i spojrzał na nie ze smutkiem. – Ona także miała mnóstwo energii i marzeń, tak samo jak ta nieszczęsna dziewczyna.

Jego słowa wywarły na mnie wielkie wrażenie. Nie wiedziałam, że miał żonę, która zmarła, choć rzeczywiście wspominał coś o dzieciach. Nagle zrobiło mi się go strasznie żal; w końcu wiedziałam, jakie to uczucie, być całkiem samą, samotnie wychowywać dzieci i z wysiłkiem brnąć naprzód.

– David miał zaledwie osiem lat, kiedy zmarł Harold. Musieliśmy radzić sobie we dwójkę, bardzo nas to zbliżyło. A gdzie są teraz pańskie dzieci?

– W Oksfordzie, z ciotką, czyli moją siostrą. I są teraz starsze: mają kolejno dwanaście, czternaście i piętnaście lat. Myślałem o wynajęciu domu i sprowadzeniu ich tutaj, żeby zamieszkały ze mną. Brakuje mi ich, wie pani. – Odchrząknął cicho, żeby pokryć zmieszanie. – Ale teraz...

– No tak, teraz pewnie lepiej będzie im tam – odparłam cicho. Przyłapałam się na tym, że zrobiło mi się przykro na myśl, że pułkownik rozważał wyprowadzkę z Ivy House i wynajęcie domu. Czy źle się tu czuje? Dlaczego nic mi nie mówił? Może powinnam była serdeczniej się do niego odnosić.

Toteż zaparzyłam nam dzbanek świeżej herbaty, a kiedy usiadł ze mną przy kuchennym stole, zaczęłam wypytywać go o córeczki.

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Poniedziałek, 5 sierpnia 1940 r.

Życie bez Prim

Dziś wieczorem miałyśmy szczególną próbę chóru, pierwszą bez Prim. Ledwie potrafiłam zmusić się, by wejść do zimnego kościoła ze świadomością, że nigdy więcej jej tam nie spotkam. Nasz chór już nigdy nie będzie taki sam. Wiele z nas nie ma możliwości pojechać na pogrzeb Prim w Londynie, dlatego pastor odprawił wczoraj specjalne niedzielne nabożeństwo w jej intencji.

Poprosił mnie, żebym powiedziała kilka słów – to był dla mnie wielki zaszczyt – więc postanowiłam opowiedzieć wszystkim o chwilach, które spędziłam z Prim. O tym, jaką niewiarygodną siłą była w życiu nas wszystkich. Kiedy jednak przyszedł czas na moje przemówienie, nagle straciłam pewność, że dam radę, i weszłam na ambonę drżąc ze zdenerwowania i smutku.

Ale wtedy przypomniałam sobie o Prim. Ona chciałaby, żebym była dzielna.

– Podczas mojej pierwszej lekcji w domu Prim rozmawiałyśmy o śmierci. Powiedziała mi, że o mało nie umarła na malarię. I że myśl o śmierci nie jest dla niej straszna. Że zdanie sobie sprawy z tego, iż czeka nas śmierć, tak naprawdę czyni życie lepszym, bo dopiero wtedy możemy zdecydować się żyć tak, jak naprawdę chcemy, a nie tak, jak każą nam inni. I z głębi serca cieszyć się każdą minutą naszego życia.

Umilkłam, żeby wziąć się w garść. W kościele była cała nasza wieś, a także kilka osób z Litchfield. Wszyscy czekali, co powiem.

– To wstrząsające, że Prim odeszła, lecz ona nie chciałaby, żeby to nabożeństwo koncentrowało się wokół jej śmierci. Życzyłaby sobie, żebyśmy podczas niego uczcili jej życie. Bo ona sama była tak pełna życia – taka energiczna, taka prawdziwa – że w mojej pamięci będzie żyła zawsze.

Zaczęłam płakać i pani Tilling podeszła do ambony, żeby pomóc mi wrócić na miejsce w ławce. Tak trudno jest pogodzić się z faktem, że nie ma już z nami tej niezwyklej osobowości.

Kiedy śpiewałyśmy *Come Down, O Love Divine*, po twarzach spływały nam łzy. Tak bardzo będzie nam brakować jej żarliwej odwagi. Kiedy rozglądałam się po stallach, zaczęłam się zastanawiać, czy to możliwe, że jakaś jej częśćka udzieliła się każdej z chórzystek. Że poprzez sam fakt obcowania z nią same stałyśmy się

dzielniejsze i bardziej nieustraszone, gotowe mimo jej braku stawiać czoło światu.

Co się dzieje, kiedy ludzie umierają

Ich dusze mogą iść do nieba, gdzie niewykluczone, że spotkam ich po mojej śmierci (choć nie jestem pewna, jak wtedy będą wyglądać).

Ich ciała trafiają do ziemi, gdzie stają się ucztą dla robaków.

Ich obecność żyje w każdym, kto ich znał, jakbyśmy podczas pierwszego spotkania przyjmowali na siebie tę odpowiedzialność, nawet jeśli nikt nas nie pytał o zgodę.

Ich esencja wraca do wszechświata, gdzie nadaje kolor powietrzu, i w końcu zlewa się w barwy zachodu razem z innymi odcieniami. I tak co wieczór umarli defilują przed naszymi oczami.

Kto poprowadzi Chilburyjski Chór Żeński?

Dziś na próbie musiałyśmy ustalić, co zaśpiewamy na pogrzebie Hattie, który odbędzie się jutro. Jak łatwo się domyślić, pani B. natychmiast weszła w rolę kierowniczkę, ale jej apodyktyczny sposób bycia wydawał się przesadnie dziarski i pozbawiony polotu w zestawieniu ze świeżymi wspomnieniami o Prim.

– Po tygodniu pełnym tragicznych wydarzeń zebrałyśmy się dziś, żeby przeciwżyć pieśni na pogrzeb Hattie – rozpoczęła. – Była jednym z naszych najlepszych sopranów i uczymy jej pamięć, śpiewając najpiękniej, jak potrafimy.

– Jesteśmy jej to winne – włączyła się pani Tilling, która również wyszła na środek. – Wzdragam się na myśl, że mamy wystąpić bez niej, wiem jednak, że ona by sobie tego życzyła. Chciałaby, żebyśmy na jej pogrzebie zaśpiewały piękniej niż kiedykolwiek.

Rozległ się szmer aprobaty, po czym pani B. nas uciszyła.

– Tak, tak, wszyscy o tym wiemy. Dziękujemy pani Tilling za podzielenie się swoimi przemyśleniami. Weźmiemy je pod uwagę. – Wskazała pani Tilling miejsce w stallach, ale ta była zajęta wertowaniem jakichś nut, więc pani B. rada nierada zaczęła mówić dalej: – Po głębokim namyśle uznałam, że najlepiej byłoby jeszcze raz zaśpiewać na pogrzebie *Ave Maria*. Pod moim kierownictwem zrobimy, co w naszej mocy, żeby powtórzyć nasz niezapomniany występ w Litchfield.

Znów poruszenie. Nikt nie chciał znowu śpiewać *Ave Maria*. Wydawało się to w jakiś sposób niewłaściwe, by odtwarzać coś, co śpiewałyśmy, żeby wygrać konkurs, skoro ta okazja w żaden sposób nie kojarzyła się ze zwycięstwem. Spojrzenia pobiegły ku pani Tilling, zaaferowanej przeglądaniem sterty nut.

– Tego nie możemy zaśpiewać! – oświadczyła, podnosząc głowę. – Ta pieśń zupełnie nie pasuje do sytuacji. Nie, potrzeba nam czegoś innego. Czegoś specjalnie dla Hattie.

– Może spróbujemy zaśpiewać *Lacrimosa* Mozarta, skoro Uroczystość Żałobna, którą planowała Prim, została... odwołana. Wiem, że musimy jeszcze nad nią popracować, ale Mozart napisał ją z myślą o pogrzebie – odezwała się pani Quail.

– Nie, to też nie pasuje – westchnęła pani Tilling. – Jest zbyt ciężkie i dramatyczne. Hattie wolałaby coś prostszego, może ulubioną pieśń.

– Czyżby? – wtrąciła pani B. ironicznym tonem. – A wyświadczy nam pani tę łaskę i zdradzi, jaką pieśń mianowicie ma pani na myśli?

– Cóż, pastor zostawił nam wszystkie nuty do pieśni kościelnych. Są co prawda trochę przykurzone, ale jestem pewna, że uda się coś wśród nich znaleźć.

Podeszłam do pani Tilling i zaczęłam przeglądać nuty razem z nią. Niektóre kartki były mocno sfatygowane, innych by nie starczyło dla całego chóru, choćbyśmy nawet miały jedną na trzy czy cztery osoby. Nie zdążyłybyśmy przepisać ich do jutra.

– A to? – zapytałam i podniosłam jedną z kartek. – *Mesjasz* Haendla?

– To może odrobinę zbyt uroczyste, Kitty – odparła życzliwie pani Tilling, szukając dalej. – O, jest! *Amazing Grace*, jedna z najbardziej poruszających pieśni, jakie kiedykolwiek napisano.

W apsydzie znów rozległ się pomruk i większość zgodziła się, że to znakomity wybór.

– Ten piękny hymn ogarnia całe ludzkie życie – powiedziała pani Tilling ze wzruszeniem, a po chwili dodała stanowczo: – Właśnie czegoś takiego było nam trzeba.

– A poprowadzi nas pani? – spytałam. Nadaje się do tego doskonale, bo umie czytać nuty i ma bardzo dobry głos.

– Właśnie, będzie pani nami dyrygować? – odezwał się jakiś głos spośród altów.

– Cóż – zająknęła się pani Tilling.

Widziałam, że czuje się niezręcznie, zajmując miejsce Prim – osoby tak wyjątkowej i cieszącej się takim autorytetem – zmarłej zaledwie kilka dni temu.

– Niech się pani nie da prosić! – zawołała pastorowa zza organów. – Kto, jak nie pani?

Pani B., która wcześniej stała z przodu, teraz przesunęła się na środek i powiedziała:

– Doprawdy nie powinniśmy zmuszać do tego biednej pani Tilling. W końcu wyszła przed szereg tylko po to, żeby pomóc nam znaleźć odpowiednią pieśń. Skoro utwór jest już wybrany, alty z pewnością bardzo jej potrzebują.

– Uśmiechnęła się dobrotliwie do pani Tilling i ręką wskazała jej dawne miejsce w stallach.

Przez chwilę wyglądało na to, że pani Tilling posłusznie wróci między alty, ale potem coś ją powstrzymało; wyprostowała się i odwzajemniła uśmiech pani B.

– Myślę, że sobie poradzę – stwierdziła. – Nie będzie to oczywiście to samo, co z Prim, ale wszystkie musimy po prostu starać się najlepiej, jak umiemy. Powinnam umieć prowadzić chór, pilnować tempa i uważać, żeby crescendo i rallentanda były wykonywane, jak należy. Tak, biorę to na siebie.

– Brawo! – zawołała pani Quail, i zawtórowało jej kilka innych głosów. – Pani się do tego najlepiej nadaje! Na pewno sobie pani poradzi!

Odprowadziłam wzrokiem panią B., która z wysoko uniesioną głową wróciła na swoje miejsce, starając się ukryć rozdrażnienie. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby ktokolwiek tak ją pokonał, a zwłaszcza jej zazwyczaj lojalna stronniczka, pani Tilling. Sytuacja zaczyna się odwracać.

Pani Tilling nie miała batuty, ale podniosła ręce i skinęła siedzącej przy organach pani Quail, żeby zaczęła grać. Potem spojrzała prosto na mnie, jakby wiedziała, że wprowadzę soprany, a mnie łzy napłynęły do oczu, bo przypominałam sobie uroczą Hattie, dziewczynę, która od zawsze była częścią mojego świata. Świat ten powoli, lecz nieubłaganie zaczynał się kruszyć, rozpadać w sposób nieodwracalny.

Całe Chilbury mówi o Venetii!

Na placu panuje chaos. Sklep jest nieczynny. Ale co najgorsze, wszyscy uważają Venetię za bohaterkę! Gdziekolwiek pójdę, zaraz zasypują mnie pytaniami o nią. Jak udało jej się uratować małą Rose? Czy dostała ciasto, które upiekła dla niej pani Quail? Czy dadzą jej medal za odwagę? Nic, tylko Venetia to, Venetia tamto, „biedna Venetia” i „zuch dziewczyna”.

Trafiło się ślepej kurze ziarno – po prostu znalazła się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. Każdy na jej miejscu zachowałby się tak samo. Ja w każdym razie na pewno. I wtedy to ja byłabym bohaterką.

Ale Venetia jest w ciąży!

Powiedziała mi o tym dziś rano nasza służąca, Elsie. Specjalnie upiekła babeczki, żeby zwabić mnie do kuchni.

– Słyszałaś nowinę? – zagadnęła cicho. Podawała mi kolejną posmarowaną hojnie masłem babeczkę i przesunęła w moją stronę spodeczek z dżemem

truskawkowym.

– Jaką nowinę? – spytałam z pełną buzią.

– Że Venetia będzie miała dziecko.

Odwróciła się tak, żebym nie widziała jej twarzy. Fartuszek zafurkotał wokół jej smukłej sylwetki jak u baletnicy. Jest wysoka i z daleka wygląda bardzo malowniczo. Dopiero kiedy człowiek przyjrzy jej się z bliska, dostrzeżga w jej oczach gorycz i pretensję, które psują cały efekt. Dziś jednak sprawiała wrażenie weselszej, a w wielkich zielonych oczach miała błysk, jak u przebiegłego kota czarnoksiężnika.

– Słyszałam, że uratowała dziecko – zaczęłam. Ale ona przerwała mi w pół zdania.

– Nie, będzie miała własne dziecko. – Odwróciła się i przysunęła swoją spiczastą twarz do mojej. – I pana Slatera.

Cofnęłam się o krok.

– Venetia jest w ciąży?

– Óóó – odparła szybko. – Nie mów nikomu, że ci powiedziałam.

Pewnie się boi, iż ktoś uzna, że plotkuje albo robi zamieszanie. Odwróciła się na pięcie i wybiegła. Zostałam sama w kuchni. Zbita z tropu i skonsternowana.

Nagle wszystko stało się zrozumiałe!

Dlaczego papa jest wściekły na Venetię

Dlaczego Venetia się do niego nie odzywa

Dlaczego mama aż tak się przejmuje jej zdrowiem

Dlaczego Venetia tak przeżywa zniknięcie Slatera

Dlaczego wszyscy tak dziwnie się zachowują i, co gorsza,

Dlaczego nikt mi nic o tym nie powiedział

Chociaż to dosyć dziwne, że akurat Elsie mnie wtajemniczyła. Normalnie prawie w ogóle ze mną nie rozmawia. Nieraz się zastanawiałam, czy czasem nie ma żalu do świata o to, że jest służącą. Venetia mówi, że to dlatego w dzisiejszych czasach tak trudno znaleźć kogoś do służby. Nikt nie ma ochoty, żeby nim rządzono. Może Elsie odgrywała się za to na nas, tym bardziej że teraz ma dwa razy więcej pracy, od kiedy odszedł Proggett. Nie widzieliśmy go przez cały dzień i w końcu wyważyliśmy drzwi do jego pokoju. Był puściuteńki. Proggett musiał się wymknąć tej nocy, kiedy był nalot. Wszyscy są zdumieni, z wyjątkiem papy. Ten klnie, na czym świat stoi.

Postanowiłam odszukać mamę i zapytać ją, czemu mi nie powiedziała o ciąży Venetii, ale kiedy znalazłam ją w pokoju dziecięcym z płaczącym Lawrence'em, uznałam, że lepiej nic nie będę mówić. Czasem najlepiej jest

zachowywać się, jak gdyby nigdy nic, żeby nikt się nie domyślał, że ja wiem. Myślałam o tej sprawie przez cały dzień, rozważałam ją z każdej strony. Nie mogę nic poradzić, że z przyjemnością myślę o tym, iż to będzie koniec Venetii.

Ta historia będzie się za nią ciągnęła przez całe życie.

DZIENNIK PANI TILLING

Wtorek, 6 sierpnia 1940 r.

W ponure, dżdżyste popołudnie nasza zapłakana grupka stała przed starym kościołem. Zziębnięte i rozdygotane czekałyśmy na pogrzeb, ostatnie pożegnanie naszej uroczej Hattie. Uroczysta ceremonia miała stanowić godne zakończenie jej życia, ale potem wydała się nam niestosowna. Nie pasowała do energicznej, ciepłej osoby, jaką była Hattie.

– Trudno uwierzyć, że ona zaraz nie wyłoni się zza węgła, roześmiana jak zwykle – wyszeptła Kitty, głośno pociągając nosem, a my spojrzałyśmy w kierunku, z którego Hattie mogłaby nadejść.

– Czuję, że jest z nami duchem – odpowiedziałam i mocniej przytuliłam malutką Rose. Miała pogodną twarzyczkę, choć ten dzień oznaczał dla niej koniec pewnej epoki – i początek nowej, bez wątpienia gorszej.

– Ona nie zdaje sobie sprawy, że jej matka umarła, prawda? – wymamrotała Kitty.

– Nie i dopiero za kilka lat to zrozumie. Nie będzie pamiętała Hattie, tylko Victora i ludzi, którzy będą się nią zajmować.

– A kto się nią zajmie do powrotu Victora? – Kitty oderwała oczy od dziecka i wbiła je we mnie.

Dobre pytanie. Ciotka Victora napisała, że nie ma już dość sił, żeby opiekować się Rose. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest już po osiemdziesiątce. Nawet przyjazd na pogrzeb okazał się dla niej za dużym wysiłkiem. W rezultacie Rose na razie mieszka z nami, z pułkownikiem i ze mną, w Ivy House. Przypuszczam, że będę musiała znaleźć dla niej dom, jakąś miłą rodzinę, która ją przygarnie.

Victor od wielu miesięcy nie daje znaku życia, choć pułkownik sprawdził doniesienia o jego okręcie i wygląda na to, że nadal pływa gdzieś na odległych krańcach Atlantyku. Victor pewnie nawet jeszcze nie wie o śmierci Hattie. Możliwe, że nadal żyje w innej rzeczywistości, w której żona i córeczka mieszkają sobie bezpiecznie w ich małym, przytulnym domku, podczas gdy to jemu zagrażają bomby, to on w śmiertelnym niebezpieczeństwie walczy o wolność. O, okrutna ironia wojny.

Zanim pastor otworzył nam podwoje kościoła, wymknął się, żeby zamienić ze mną słowo.

– Nie mamy karawaniarzy – wyszeptał pospiesznie.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Nie ma mężczyzn do niesienia trumny – wyjaśnił, pokaszując, by ukryć zażenowanie. Rozejrzeliśmy się. Przed kościołem pojawiły się jeszcze matki z dziećmi ze szkoły Hattie, ale z wyjątkiem starego pana Dawkinsa i brygadiera, który wyraźnie nie był w nastroju do noszenia trumien, na pogrzeb przyszły wyłącznie kobiety. Świat zaczął mi blaknąć przed oczami. Kochana Hattie była dla mnie jak córka, którą los tak wcześnie mi odebrał, a my nie możemy nawet godnie jej pożegnać.

– Przykro mi – wymamrotał pastor. – Nasi stali karawaniarze są na wojnie, pracują w polu albo przy produkcji bomb. Nic na to nie poradzę.

– Wszyscy są teraz tacy zabiegani – powiedziałam cicho, ale ze złością, że przez tę przekłętą wojnę na nic nie mamy czasu. Dlatego my, kobiety, często musimy sobie radzić same.

I wtedy mnie oświeciło.

– My poniesiemy trumnę – oznajmiłam.

Morze twarzy zwróciło się w moją stronę.

Przez chwilę wszyscy byli w szoku i przenieśli wzrok ze mnie na pastora, żeby ocenić sytuację.

Następnie, po kilku szeptach i paru pomrukach, kobiety, jedna po drugiej, zaczęły podchodzić: najpierw Kitty, potem pani Winthrop i Venetia, pani Gibbs, pani Turner z panią Poulitce, następnie pani B., aż wkrótce wszystkie obecne wyraziły milczącą gotowość pomocy.

– Chilburyjski Chór Żeński poniesie ten ciężar – oznajmiła pani B., jak zwykle przejmując ster, co choć raz okazało się przydatne. – Zaprowadzimy Hattie, nasz lojalny drugi sopran, na miejsce ostatniego spoczynku.

Kiedy pastor ruszył do zakrystii, zdałam sobie sprawę, że ktoś musi wziąć ode mnie małą Rose. Rozejrzałam się, oceniłam sytuację i uznałam, że muszę ją przekazać brygadierowi.

– Potrzyna pan przez chwilę Rose? – spytałam ostro i wetknęłam mu ją w rękę. Zaskoczony, chwycił niemowlę i, marszcząc brwi, spojrzał na zawiniątko w niebieskim szalu. Obserwowałam go przez chwilę, bo zastanawiało mnie, czy zdał sobie sprawę, że ta śliczna dziewczynka – jeśli moje podejrzenia są słuszne – jest jego dzieckiem. Czy poczuł choć cień skruchy?

– Pastorze, proszę prowadzić – zakomenderowała pani B.

Ruszyliśmy więc za nim do zakrystii, gdzie wszystkie zrobiłyśmy gwałtowny wdech na widok żalostnej, lichej trumny, w której spoczywały doczesne szczątki naszej ukochanej Hattie. Dziarska i energiczna młoda kobieta stała się smętnym, szarym zewłokiem zamkniętym w pudle.

– Jak ją podniesiemy? – zapytała nerwowo pani Gibbs.

– Kto tylko czuje się na siłach, niech chwyta przy rogach, reszta z nas podeprze brzegi – zarządziła pani B.

Atmosfera zrobiła się jeszcze bardziej posepna, kiedy podnosiłyśmy była członkinię naszego chóru. Na początku trumna trochę nam się chwiała, ale potem ją ustabilizowałyśmy i ruszyłyśmy w kierunku drzwi, w oczekiwaniu, aż pani Quail zacznie grać hymn procesyjny.

Pani Quail miała jednak inny pomysł. Gdy tylko wyszłyśmy z nawy bocznej, stary kościół zatrząsł się od dźwięków *Pozostań ze mną*⁶, prostej, ale przejmującej melodii, która popłynęła z organów. Natychmiast zaczęłyśmy śpiewać, wszystkie razem, dla Hattie, dla Prim, dla naszej małej, lecz silnej społeczności, dla naszego ukochanego pogrążającego się w ruinie kraju.

*Trwaj przy mnie, Panie, szybko gęstnieje ciemność,
Nadciąga wieczór, Panie, pozostań ze mną.*

I tak chór dwunastu roztrzęsionych żalobnic śpiewał, najpierw cicho, a potem głośniej i pewniej, krocząc powoli przez kościół. Wkładałyśmy w tę pieśń całe serce, jakby od naszego wykonania zależała wolność kraju, jakbyśmy pasją i odwagą miały dać świadectwo okrucieństwom, które nas spotkały. Byłyśmy razem, zjednoczone i silne, i w tamtej chwili wiedziałam, że nic, absolutnie nic nie złamie ducha Chilburyjskiego Chóru Żeńskiego.

Początkowo nie byłam w stanie śpiewać – czułam zbyt silne emocje, niesamowity dźwięk procesji odbijający się echem w pustym kościele był dla mnie zbyt przejmujący, by przyćmić tragiczną ostateczność śmierci, a ciężar trumny sprawiał, że omdlewało mi ramię. Kitty, która szła przede mną, z trudem dawała radę, a pieśń w jej wykonaniu była spazmatyczna i poszarpana.

Za sobą miałam Venetię – niepokieszona, płakała rzewnymi łzami. Wiem, że uczą nas postrzegać śmierć jako łagodne przejście duszy z jednego świata na drugi, ale trudno w to wierzyć, kiedy młoda matka ginie od bomb i silny, młodzieńczy duch zostaje tragicznie unicestwiony. Venetia położyła mi dłoń na ramieniu, dzięki czemu nagle poczułam się mniej osamotniona w swoich ponurych rozmyślaniach nad ludzkim losem. Odnalazłam też swój głos – najpierw zgrzytliwy i ochrypły, ledwie słyszalny przez łzy, ale stopniowo coraz mocniejszy, czystszy, bardziej zdecydowany. Wreszcie poczułam, jak chór naszych głosów otula nas jak opiekuńcza aureola. To dzięki niej zdałyśmy sobie sprawę, jak cenne jest życie, które mamy – i jak wiele znaczy, niezależnie od tego, ile trwa.

Kiedy wybrzmiała ostatnia podniosła nuta, przystanęłyśmy, lekko zdyszane, wsłuchując się w dźwięki, które jeszcze wokół nas wibrowały.

Ze sporym wysiłkiem delikatnie opuściłyśmy trumnę na niską ławę, a podczas tej operacji pani B. nieustannie powtarzała ochrypłym szeptem: „ostrożnie, pani Gibbs, ostrożnie”.

Potem rozejrzałyśmy się dookoła po zionącej pustką świątyni. Po jednej

stronie stały matki z uczniami, po drugiej tylko stary pan Dawkins, brygadier z Rose na rękach i Henry, który doszedł, kiedy byliśmy w zakrystii.

Potem w samym tyle kościoła zauważyłam pułkownika, który usiadł ukradkiem w ławce po lewej stronie, na moim ulubionym miejscu. Uśmiechnął się do mnie smutno, a ja wskazałam głową na brygadiera. Miałam nadzieję, że pułkownik domyśli się, o co mi chodzi, i odbierze od niego Rose. Zrozumiał mnie doskonale. Potem został z małą z przodu, podczas gdy Chilburyjski Chór Żeński zajął miejsce w ławkach.

Pastor, wyraźnie roztrzęsiony, odprawił ponurą mszę. Wypowiadał ciągi słów zupełnie nieadekwatnych do żalu, który czułam. I choć próbowałam odpędzać od siebie czarne myśli, zaczęłam się zastanawiać, co bym zrobiła, gdyby przyszedł tragiczny telegram w sprawie Davida. Katastroficzne scenariusze zaczęły mnożyć się w mojej głowie.

Kres położył im dopiero pastor, gdy oznajmił:

– A teraz zaśpiewa dla nas Chilburyjski Chór Żeński.

Wstałyśmy, wzięłam kilka głębokich oddechów i ruszyłam naprzód, zdenerwowana i niepewna w swojej nowej roli dyrygentki, którą obejmowałam w takiej chwili – zastępowałam zmarłą poprzedniczkę, wspaniałą Prim, prawdziwą czarodziejkę, która już nas opuściła, i debiutowałam na pogrzebie biednej Hattie.

A potem ogarnął mnie gniew. Co im zrobili ci podli brutale? Nagle poczułam się dumna z tego, co reprezentujemy. Z Hattie, że nie załamała się po tragicznej śmierci rodziców. Z Prim, za to, że w nas uwierzyła i wyniosła nasz chór na wyżyny. I z Chilburyjskiego Chóru Żeńskiego, za to, że tak rzetelnie spełniamy swoją powinność: cieszymy się życiem, jesteśmy na tyle silne i wytrzymałe, żeby przetrzymać ataki wroga i sprawić, że śmierć naszych przyjaciółek nie pójdzie na marne.

Pusty kościół wypełniły pierwsze takty hymnu *Amazing Grace*, a melodia omiotła nas jak rześka bryza. Chwyciłam batutę i zaczęłam przygotowywać chór do najwspanialszego występu w naszej krótkiej, burzliwej karierze. Niespodziewanie poczułam podszyty smutkiem zachwyt, kiedy powietrze przeszły czyste, kryształowe, piękne głosy, jakie mogą wydobyć się tylko z kobiecych gardeł – biała gołębicą wyfrunęła triumfalnie z nieustannej wojennej wrzawy.

Kiedy skończyłyśmy, pastor zapowiedział, że teraz dla swojej ukochanej nauczycielki zaśpiewają uczniowie. Serce mi pękało, kiedy patrzyłam na małe dzieci, głównie ośmio- i dziewięciolatki, które nie mogły zrozumieć, co stało się z ich wspaniałą panią Lovell.

To była jedna z najsmutniejszych scen, jaką w życiu oglądałam. Uczniowie zakrywali twarze rączkami, żeby nie patrzeć na trumnę, zszokowani brutalną realnością śmierci – jak można unicestwić coś tak ciepłego i pełnego życia?

Podczas pochówku nasza grupka stała w milczeniu, obserwowałyśmy, jak trumna z Hattie jest opuszczana do rozmokłej ziemi i spoczywa w grobowcu obok jej rodziców. Potem ruszyliśmy do Ivy House na herbatę i kanapki. Ja szłam obok pułkownika, który włożył śpiącą Rose do wózka – czarnego, pożyczonego od mojej znajomej pielęgniarki z Litchfield, bo niebieski wózek Rose został zgnieciony w czasie nalotu. A Hattie tak się nim cieszyła. Pamiętam, jak przyszła mi go pokazać, dumna jak paw – to jedno z wielu wspomnień, które teraz mnie prześladują.

Rozmyślałam o Hattie i Prim, o ich życiu i o tym jego skrawku, jaki mam jeszcze przed sobą, a który w każdej chwili mogą odebrać mi bomby, ataki i Bóg wie co jeszcze. Później, kiedy po łzawych uściskach smętne towarzystwo się rozeszło, zaczęłam rozmawiać o tym z pułkownikiem.

– To równie dobrze mógł być mój pogrzeb – powiedziałam cicho. Usiadłam przy kuchennym stole i przejechałam paznokciem po szczelinie na blacie. – Ta bomba mogła spaść sto jardów dalej i uderzyć w nas.

– Tak, ale nie ma co gdybać – odparł pułkownik i przysunął sobie krzesło. Był wczesny wieczór i ponury szary dzień przechodził stopniowo w niespokojną, burzliwą noc.

– Ale jeśli nie myślimy o śmierci, to jak mamy zdecydować, jak chcemy żyć? – Spojrzałam na swoje ręce, chude, kościste i wysuszone, już bez dawnej jędrności. – Gdyby to był mój pogrzeb, ceremonia byłaby ponura.

– Jest pani zmęczona – powiedział pułkownik, podnosząc się. – Zrobię herbatę. – Wstał i poszedł napełnić czajnik.

– Rozmyślałam właśnie o Hattie i Prim. Zastanawiałam się, czemu spędziłam życie na uszczęśliwianiu innych. Czemu nie zadbałam o to, żeby moje własne życie było weselsze i szczęśliwsze, żeby miało jakiś sens?

Pułkownik usiadł z powrotem.

– Proszę posłuchać – powiedział bardzo władcym tonem. – Miała pani wspaniałe życie. Ma pani piękny dom, wychowała pani Davida...

– ...który jest na froncie i może już nie wrócić – przerwałam mu.

– Ma pani syna – ciągnął pułkownik – i służy pani pomocą wszystkim wokół. – Położył ręce na stole i zaczął gestykulować z przejęciem. – Czy nie widzi pani, jak bardzo ta wioska pani potrzebuje? Bez pani sobie nie poradzą!

Spuściłam głowę z zakłopotaniem, a potem nagle poderwałam się i chwyciłam za ścierkę. – Dość tych lamentów – wymamrotałam. – Muszę przygotować kolację. Obawiam się, że będzie dziś trochę później.

Pułkownik stanął obok mnie, położył mi swoje mocne, duże dłonie na ramionach i zaprowadził z powrotem do stołu.

– Proszę sobie posiedzieć – powiedział łagodnie. – Dziś ja mogę coś ugotować. – Po czym poszedł do spiżarki i zlustrował jej zawartość. – Świetnie,

mamy jajka! A jajka to moja specjalność. – Wyjął pojemnik z jajkami i natychmiast rozpoczął poszukiwania garnka. – Jajecznicą czy na twardo? – zapytał i otworzył szafkę, w której zaczął coś głośno przestawiać.

– Jajecznicą – odpowiedziałam z uśmiechem. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz ktoś dla mnie gotował, choćby jajka.

– Doskonały wybór, madame – odparł wesoło. – Moje córki twierdzą, że robię najlepszą jajecznicę w całym Oxfordshire.

Choć trochę za bardzo ją wysmażył, rzeczywiście była bardzo dobra. Kiedy stał nad patelnią, przez cały czas śpiewał *It's a Long Way to Tipperary*, straszliwie przy tym fałszując. Oczywiście poczułam się w obowiązku mu zawtórować, bo cały czas mylił słowa i za szybko przechodził do refrenu. Całe to kuchenne śpiewanie nad jajecznicą było absurdalne, ale niezwykle poprawiło mi nastrój.

A zatem, drogi dzienniku, kładę się dziś do łóżka i myślę o tym, że ta wojna jest dla mnie punktem zwrotnym. Muszę być pewniejsza siebie i jak najlepiej wykorzystać czas, który jeszcze mi pozostał.

Muszę podnieść głowę i mówić tak, żeby mnie słyszano.

LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY

Szpital Litchfieldzki,

Litchfield,

hrabstwo Kent

Wtorek, 6 sierpnia 1940 r.

Kochana siostro!

Dlaczego mnie to spotkało? Mój dom został po prostu zbombardowany i utknęłam tu w tym przeklętym szpitalu w Litchfield, bez szansy na odnalezienie pieniędzy pogrzebanych w zgliszczach, w oczekiwaniu, aż szabrownicy znajdą je pierwsi.

Pewnie zastanawiasz się, co się wydarzyło? Cholernie wielka bomba – właśnie tak! Czwartkowej nocy, gdy tylko ułożyłam się wygodnie w łóżku, usłyszałam syrenę i musiałam dźwignąć swoje zmęczone ciało. Szłam właśnie do skrytki w podłodze, by zabrać pieniądze, gdy nastąpił wybuch! Nic nie pamiętam, do chwili gdy obudziłam się w tym paskudnym miejscu z bólem biodra silniejszym, niż możesz sobie wyobrazić i zabandażowaną nogą.

– Proszę zachować spokój i ciszę, panno Paltry – zwróciła się do mnie pielęgniarka protekcjonalnym tonem. – To tylko złamane biodro. Wyjdzie pani za kilka tygodni. Mamy pacjentów z o wiele cięższymi urazami niż pani.

„Co z moimi pieniędzmi?!” – miałam ochotę krzyknąć.

Ale zamiast tego popłakałam sobie w rękaw i zaczęłam obmyślać plan. I wtedy to do mnie dotarło. Kobieta na sąsiednim łóżku to ta okropna zbieraczka chmielu z farmy Dawkinsa i odwiedza ją kilkoro młodych znajomych. Wczoraj spytałam, czy jej bratanek mógłby wyświadczyć mi przysługę, za którą mu zapłacę. Jeśli można mu ufać. Następnego dnia przysłała go do mojego łóżka, żebym powiedziała mu, o co chodzi.

– Co mam zrobić, proszę pani? – spytał bez ogródek. Przyjrzałam mu się niepewnie. Był wysoki i patykowaty, brudny jak kominiarz, miał zwieszoną rękę i ziemistą, wilgotną cerę.

– Jesteś Tom, prawda? – powiedziałam, starając się nie marszczyć czoła. Naprawdę nie mogłam trafić lepiej? – Czy mogę mieć pewność, że dotrzymasz słowa, Tom? Mam dla ciebie ważne zadanie, ale muszę być pewna, że mogę na tobie polegać.

– Mnie może pani zaufać, psze pani – odpowiedział szybko i oparł ręce na biodrach. To raczej ostatnia rzecz, jaka mogłaby wzbudzić zaufanie, niemniej jednak mówiłam dalej.

– Widzisz, mam pewną sumę pieniędzy ukrytą w ruinach mojego domu. Niewielką sumkę, ale, widzisz, odkładałam ją dla mojej biednej siostry, która potrzebuje wózka inwalidzkiego.

– Być może teraz to pani będzie go potrzebować. Z tą nogą i tak dalej – powiedział, nie zdając sobie sprawy ze swojego nietaktu. Poczulałam, że muszę dać za wygraną.

– Może będę go potrzebować, a potem ona będzie mogła go używać. W najbliższym czasie będę tkwić zamknięta w tym szpitalu, a w tym czasie mój dom prawdopodobnie zostanie splądrowany. Proszę, żebyś zabrał stamtąd moje pieniądze i przyniósł mi je tutaj. Dam ci część w zamian za fatygę.

Spojrzał na mnie i zagryzł wargi.

– Ile?

– Dziesięć szylingów – powiedziałam stanowczym tonem.

– W porządku. – Pociągnął nosem i wytarł go rękawem koszuli. – Gdzie one są?

Wstrzymałam się i poprosiłam, żeby przyniósł mi szklankę wody. Jego bez troskie podejście mnie rozstroiło. Teraz zadowolił się dziesięcioma szylingami, ale gdy zobaczy grubą plik banknotów, może szast-prast zmienić śpiewkę. Czy zobaczę jeszcze te pieniądze? Fakt, że nie chciał się targować, wzbudził moje wątpliwości.

– Woda, psze pani. – Podał mi szklankę. Może źle go oceniłam. Może był tylko prostym dzieciakiem, który chciał pomóc.

Nie miałam wielkiego wyboru, droga siostrze. Pieniądzy mogło już nie być albo mogły obrócić się w popiół. To był jedyny sposób na ich odzyskanie. Jedyna nadzieja.

– Dobrze zatem. Słuchaj uważnie. – Pochylił się w moją stronę i zaczęłam tłumaczyć, gdzie ukryłam pieniądze. Upewniłam się, czy rozumiał, że wybuch mógł przemieścić podłogę lub pieniądze w inne miejsce. Kazałam mu sprawdzić cegłę po cegle.

– Zrobię, co się da – powiedział. Odstłonił w uśmiechu krzywe zęby, a we mnie zamarło serce. Na co mi przyszło?

Dam Ci znać, jak poszło. Obiecał wrócić, gdy tylko je znajdzie. Do tego czasu mogę tylko leżeć tu i starać się nie tracić nadziei.

Edwina

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL

Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Wtorek, 6 sierpnia 1940 r.

Kochana Angelo!

Nie uwierzyłybyś, jaki zapanował tu zamęt i smutek po wybuchu bomby. Na samą myśl o tym wpadam w rozpacz. Staram się jak najwięcej odpoczywać w swoim pokoju, ale dotarłam na pogrzeb Hattie – to było rozdzierające. Wciąż nie mogę uwierzyć, że już jej z nami nie ma. Przyjaźniłyśmy się od urodzenia i byłyśmy zawsze razem, jako niemowlęta, małe dziewczynki, nastolatki, i teraz jako dorosłe kobiety. A raczej, teraz została już tylko jedna kobieta – ja sama. To tak, jakby ogromna część mojego dawnego życia została zniszczona.

Nadal jestem bardzo słaba. Pani Tilling przychodzi codziennie, żeby na mnie fukać, że jej zdaniem nie robię wystarczających postępów. Mama jest wspaniała i pomaga mi przez to przejść, karmi mnie zupami i dobrym jedzeniem. Martwię się, że oddaje mi swoje racje, a nawet pewnie też racje Kitty, bo w tym tygodniu codziennie jadłam jajka, a bekon przynajmniej trzy razy. Ojciec jest wściekły, że mama jest dla mnie taka dobra, ale trzyma się ode mnie z daleka, za co tylko mogę mu być wdzięczna. Myślę, że chce przeczekać. Czai się w domu i czeka, aż wydobreję na tyle, by stawić czoło jego gniewowi.

Spodziewa się, że szybko za kogoś wyjdę i będę udawać, że ojcem dziecka jest mój mąż – wszyscy mają na myśli Henry'ego, ale nikt nie powie tego głośno. Chciałby raz na zawsze zamieść to wszystko pod dywan. Nie przyjdzie mu do głowy, że mogę nie chcieć wychodzić za nikogo innego. Chcę, żeby Alastair wrócił. Zastanawiam się, czy gdzieś się nie błąka, a jeśli tak, to czemu do mnie nie wraca. Wyobrażam sobie, że wchodzi do domu i obejmuje mnie, jak gdyby nigdy nic. Wiem, że powinnam go teraz nienawidzić, ale nie potrafię. Czuję, że kocham go jeszcze bardziej, kocham go ze wszystkich sił. To tak, jakby dzięki tym bombom wszystko stało się jasne: teraz pragnę tylko jego.

Tymczasem od bombardowania minęło pięć dni i z każdym następnym maleją szanse, że Alastair przeżył, bo gdzie mógłby się podziwiać? Istnieją trzy możliwe powody jego zniknięcia, a żaden z nich nie jest dobry. Po pierwsze, mógł

zostać zastrzelony w lesie, albo przez mojego ojca, albo przez swoich znajomych z półświatka, i teraz leży martwy w jakimś rowie. Po drugie, mógł zginąć, gdy bomba spadła na jego dom, ale podobno w ruinach nie znaleziono ciała. Po trzecie, tego wieczora, gdy się pokłóciliśmy, mógł wyjechać z miasteczka i nie wrócić.

Codziennie noszę jego medalik ze świętym Krzysztofem. Wsuwam go pod przód sukienki, by nikt nie mógł go zobaczyć. Za jego sprawą myślę, że Alastair gdzieś jest i myśli o mnie, czy to tu na ziemi, czy gdzieś w niebie, skąd patrzy na mnie z góry.

Tymczasem Henry przyjechał na pogrzeb Hattie i odwiedził mnie dziś po południu. Oczywiście widziałam się z nim tuż po pogrzebie, rozmawialiśmy o Hattie i muszę przyznać, że to miło z jego strony, że tam był – kolejna osoba z naszej paczki przyjaciół z dzieciństwa. Jest dla mnie taki miły, że trudno nie czuć do niego sympatii. Chociaż teraz nie wydaje się mną aż tak zainteresowany jak na wiosnę i zastanawiałam się, ile się dowiedział o Alastairze. Pani B. to okropna plotkara, ale jestem pewna, że nie wie dokładnie, co między nami zaszło. Henry z pewnością nie pochwałaby tego, że spędzałam czas z Alastairem, jednak nigdy nie dałby tego po sobie poznać.

Mama błagała mnie, żebym zeszła zobaczyć się z Henrym. Oparta na jej ramieniu dałam się zaprowadzić do salonu, który w porównaniu z moim pokojem wydawał się taki jasny i wesoły. Otworzyła drzwi na taras i do środka wpadł świeży zapach skoszonej trawy. Promienie słońca odbijały się w wielkim srebrnym lustrze wiszącym nad kominkiem. Ślizgały się po meblach i białych ścianach, a ja zastanawiałam się, jak cudownie byłoby żyć w dawnych latach, kiedy ludzie byli uprzejmi i opanowani, i kiedy wszystko jeszcze miało sens. Kiedy niewinni ludzie nie ginęli w bombardowaniach i nie rozpływali się w powietrzu.

– Henry – powiedziałam ostrożnie, podając mu dłoń i siadając na sprężystej, szarej sofie. Nie wiedzieć czemu byłam spięta. Umalowałam usta i uczesałam się. On wyglądał nadzwyczaj porządnie i godnie w swoim wyczyszczonym mundurze, a jego uścisk dłoni był wyważony.

– Witaj, Venetio – powiedział, patrząc mi z uśmiechem w oczy. – Jak dobrze cię widzieć. Rozejrzał się po pokoju, wybrał kanapę naprzeciwko mnie i usiadł. Zdjął kapelusz i położył go na siedzeniu obok. – Słyszałem, że stałaś się miejscową bohaterką.

– Tak mówią. – Zaśmiałam się zażenowana. – Tak naprawdę to było dość głupie, biec w stronę eksplodującego budynku.

– Ależ wykazałaś się wielką odwagą. Nie każdy byłby gotów ryzykować własne życie. Ludzie mówią, jak dzielnie sobie radzisz ze swoimi ranami i w ogóle.

Zadrzałam na słowa „i w ogóle” i zaczęłam się zastanawiać, czy jakimś cudem dowiedział się o ciąży. Ależ nie, oczywiście, że nie. Nawet Alastair nie wiedział. Zobaczyłam, że zauważył ten ruch, więc szybko wzięłam się w garść.

– Tylko robią aferę. – Uśmiechnęłam się i spróbowałam zmienić temat. – Ale przecież ty też, pani B. mówi, że masz dostać medal.

– Cóż, mama wyobraża sobie różne rzeczy, i nie jestem pewien, czy dostanę medal, ale zestrzeliłem dużo samolotów wroga, a przecież w tym rzecz.

– Tyle zawdzięczamy wam, pilotom, że walczyacie z hitlerowcami. Już dawno by na nas najechali, gdyby nie to, że ich odstraszyliście.

Chciałam zrobić wrażenie silnej i odważnej, ale wszystkie słowa wychodziły mi koślawe.

Widziałam, że odbierał moje próby zachowywania się normalnie, jakbym była mniej piękna, a bardziej zaniedbana. Jakby myślał, jak bardzo się zmieniłam. Bo rzeczywiście się zmieniłam. Jednak z jakiegoś powodu nie chciałam, żeby tak myślał. Chciałam, żeby myślał, że jestem dokładnie taka sama.

– Obawiam się, że wyglądam okropnie – powiedziałam. Odgarnęłam włosy tak, jak to miałam w zwyczaju, i starałam się mówić bardziej swobodnym tonem.

– Od czasu nalotu nie czuję się najlepiej.

– Tak, słyszałem – powiedział ciepło. – Mam nadzieję, że nie sprawiam ci kłopotu, że wyciągam cię z pokoju?

– Nie, cieszę się z twojej wizyty. Przecież za kilka dni wyjeżdżasz, nie chciałabym się z tobą minąć.

– Dziwnie jest być tu z powrotem, po tym wszystkim, co się wydarzyło. Nalot, śmierć Prim i Hattie, zniknięcie tamtego faceta, jak on się nazywał? – Wstał i podszedł do półki nad kominkiem. Przyglądał się temu, jak została wykonana, i gładził palcami jej misterną białą krawędź.

– Slater – powiedziałam szybko, starając się nie zmieniać głosu. – Pan Slater. Nikt nie wie, co się z nim stało.

– Słyszałem, że byłaś w drodze do jego domu tego wieczora, gdy był nalot.

– Nie odwrócił się, tylko wciąż patrzył na półkę. – Zastanawiałem się, czy coś cię z nim nie łączyło.

– Tak się składa, że łączyło – powiedziałam śmiało. Nie mogłam kłamać, skoro teraz wszyscy już wiedzieli, ale przyznam się, że nie chciałam na ten temat rozmawiać z Henrym. Nie chciałam, żeby o tym wiedział. To nie była jego sprawa i jakoś nie sądziłam, żeby taka rozmowa cokolwiek nam dała. – Ale to nie było nic poważnego. Tylko tak dla zabawy.

– Rozumiem. – Obrócił się i spojrzał mi prosto w oczy. – Po prostu się zastanawiałem. – Podszedł do mnie i usiadł obok na sofie. Na jego twarzy malowało się zmartwienie. – Czy wszystko w porządku, Venetio? To znaczy, czy dobrze się czujesz? Tak w głębi duszy?

Mało brakowało, a rozplakałabym się.

Oczywiście, że nic nie jest w porządku. Mężczyzna, którego kocham, odszedł, a ja pod sercem noszę jego dziecko. Śmiertelnie się boję, że je stracę, więc

całymi dniami leżę w łóżku. Na myśl o przyszłości wpadam w przerażenie.

– Nic mi nie jest. – powiedziałam cicho i wygładziłam sukienkę na kolanach.
– Naprawdę.

– Po prostu wyglądasz zupełnie inaczej, nie jesteś tą samą Venetią co kiedyś. Wydajesz się... – zamilkł, szukając słowa – zagubiona.

Musiałam wstać. Ta bliskość i jego przerażająca szczerość to było dla mnie za wiele. Jakże łatwo by było rozplakać się na jego ramieniu. Znamy się od dzieciństwa. Jest jednym z moich najlepszych przyjaciół, ale wiem, że przyznanie się do wszystkiego nic by mi nie dało. Podeszłam do fortepianu i zaczęłam rozprostowywać nuty, bo te, które leżały na wierzchu, były pogniecione.

– Po prostu straciłam dużo krwi. Prawdę mówiąc, było to bardzo męczące.

– Tak – rzekł, ale zdawało się, że myśli o czymś zupełnie innym. – Co zrobić? – Nasze spojrzenia się spotkały i wiem, że próbował mnie przejrzeć, zobaczyć, co przed nim ukrywam. Musiał zauważyć, że na chwilę straciłam czujność, bo wstał szybko i zrobił krok w moją stronę. – Venetio.

Nie wiem, czy chciał mnie objąć, czy pocałować, czy po prostu być bliżej, ale cofnęłam się, by zachować odległość.

– To okropne z mojej strony, że nie poczęstowałam cię herbatą. – Rzuciłam się w stronę drzwi. Gdy wychodziłam, zdążyłam zauważyć jego rozczarowanie – a może to była irytacja – z powodu mojej ucieczki i z zażenowaniem przypomniałam sobie, że podczas naszych poprzednich spotkań mogłam go zachęcać. Przez myśl przemknęła mi przykra wizja z pożegnalnego przyjęcia Davida. Czemu prowadziłam z nim tę absurdalną grę?

Wróciłam kilka minut później, a on stał przy drzwiach na taras i patrzył na żółknący trawnik, niepoprzycinane róże i na fontannę, którą trzeba było wyłączyć, żeby oszczędzać wodę. Zupełnie zmienił ton na uroczy i oficjalny. Zachowywał się teraz jak pilot RAF-u na wycieczce, zabawiający kolegów anegdotkami. Zrobił się dowcipny, rozbawił mnie opowieścią o tym, jak jego znajomy zrobił taki kawał, że umówił się z kilkoma dziewczynami naraz. Wiem, że piloci mają niesamowite powodzenie, i podejrzewam, że musiał mieć wiele okazji z uwagi na tę swoją ujmującą dobroduszość, ale zatęskniłam za tamtym napięciem sprzed chwili i na próżno usiłowałam je znów przywołać. Do końca pozostał przy tonie lekkim i beznamiętnym.

To znaczy aż do chwili, kiedy wychodził. Odprowadziłam go do frontowych drzwi i stanęliśmy razem na progu. Niebo ciemniało, tracąc swój blask, a dobiegający z lasu krzyk sowy płomykówki przeszywał stojące powietrze. Henry odwrócił się w moją stronę, przeszył mnie wzrokiem i wyciągnął do mnie dłoń.

– Nie chcę cię tak tu zostawiać, Venetio. Proszę, pozwól sobie pomóc. – Po staroświecku ucałował moją rękę i rzucił mi szybkie, lecz głębokie spojrzenie, po czym od razu uśmiechnął się, pożegnał i poszedł w stronę ścieżki. Oparłam się

o framugę drzwi i patrzyłam, jak odchodzi w późnopołudniową mgłę. Był taki męski w swoim mundurze, taki racjonalny i trzeźwo myślący. Aż trudno było przypomnieć sobie chłopca, jakim kiedyś był, kiedy całowaliśmy się nad rzeką, gdy mieliśmy po czternaście lat. Oczywiście szybko o tym zdarzeniu zapomnieliśmy i nigdy o tym nie rozmawialiśmy, jednak gdy tak stałam i patrzyłam, jak odchodzi, zastanawiałam się, jak by to było być żoną Henry'ego. Pewnie wcale nie tak źle.

Resztę nocy spędziłam na długich i intensywnych rozmyślaniach o Alastairze. Gdzie się podziewa? Czemu mnie zostawił? Nawet jeśli nie wiedział o dziecku, to co z jego miłością do mnie? Czy tak mało dla niego znaczyłam, że po prostu odszedł? A co jeśli zginął w płomieniach albo zastrzelony przez papę, albo jakiegoś szpiega czy innego złoczyńcę? A może ucieka przed policją, wojskiem lub wywiadem? Gdzie ja miałam głowę, że zakochałam się w takim mężczyźnie?

A jednak, gdy sobie przypominam tę namiętność, tę poezję...

Co się z nią stało, Angie? Co się z nim stało? Jak mógł mnie opuścić w chwili, gdy najbardziej go potrzebuję?

Zaczęłam się nad tym zastanawiać od strony praktycznej. Jeśli się ukrywa albo udał się w bezpieczne miejsce, to znaczy, że nie jestem dla niego ważna i powinnam zacząć radzić sobie sama, jak potrafię najlepiej. Natomiast jeśli nie żyje, to, no cóż, też muszę sobie radzić sama. Tak czy inaczej, nie mogę siedzieć w swoim pokoju i czekać, aż do mnie wróci. Jestem w ciąży. Niedługo będzie zbyt późno, żeby coś z tym zrobić.

Dziś wieczorem zdjęłam medalik ze świętym Krzysztofem i poczułam jego lekkość na mojej dłoni, a potem spojrzałam przez otwarte okno na nocne niebo i z całej siły modliłam się do pierwszej gwiazdy, którą ujrzałam, żeby Alastair wrócił.

I tak, kochana Angie, kładę się dziś spać z ciężkim sercem. Być może, gdy nadejdzie nowy dzień, on stanie pod moimi drzwiami. Z każdą chwilą jednak szanse maleją coraz bardziej, niczym odległa gwiazda, której blask powoli zamiera i staje się słabym, niedostrzegalnym mgnieniem wspomnienia.

Niedługo napiszę znowu,

Venetia

DZIENNIK PANI TILLING

Czwartek, 8 sierpnia 1940 r.

Od jakiegoś czasu codziennie chodzę do Chilbury Manor, żeby odwiedzić Venetię. Nie czuje się dobrze, nadal jest trupio blada i osłabiona utratą krwi. Gołym okiem widać, że ma złamane serce. Niemal podczas każdej rozmowy wybucha płaczem. Prawie w ogóle nie tyka też jedzenia, choć pani Winthrop przetrząsa całe hrabstwo, żeby zdobyć jej ulubione przysmaki i owoce. Boję się, że może nie donosić ciąży, choć czasem myślę, że to... Cóż, zobaczymy, jak to się wszystko ułoży.

Kiedy dziś wychodziłam z Chilbury Manor, pani Winthrop wzięła mnie na słówko. Okazało się, że Venetię odwiedził Henry. Jest na przepustce, a ponieważ RAF wylatuje teraz codziennie, a liczba ofiar ciągle wzrasta, łatwo się domyślić, po co przyjechał.

– Oświadczył się jej? – zapytałam.

– Nie, ale chyba nosi się z takim zamiarem. Oczywiście o Slaterze nie wie prawie nic, a o dziecku nie ma pojęcia.

– Przyjmie go?

– Nie wiem. – Obrzuciła mnie długim, przenikliwym spojrzeniem. – Zdaje sobie sprawę, że jest w nieciekawym położeniu. Zaklina się, że Slater ją kocha, ale gdzie on się do licha podziewa?

Wróciłam do domu i wieczorem, po kolacji i myciu naczyń, usiadłam z herbatą w salonie obok zaczytanego w gazecie pułkownika. Czekałam, aż przerwie, żeby z nim porozmawiać. W końcu uśmiechnął się i podniósł głowę.

– Wiem, że mnie pani obserwuje. – Zaśmiał się lekko. – Co mogę dla pani zrobić?

– Muszę pana o coś zapytać – odparłam. Uznałam, że najlepiej przejść prosto do sedna. – Potrzebuję informacji na temat Slatera. Mam przeczucie, że pan wie, co się z nim stało.

Spojrzał na mnie znad gazety, a potem z szelestem przewrócił kartkę

i z pietyzmem ją wyrównał.

– Przecież pani wie, że nie mogę ujawniać takich informacji – powiedział spokojnie.

– Wiem, ale zastanawiam się, czy ten jeden jedyny raz, w drodze wyjątku, nie mógłby pan trochę nagiąć tej zasady? Widzi pan, jest pewna młoda kobieta, której złamał serce. A teraz ona rozważa, czy nie przyjąć oświadczyn kogoś innego – urwałam, żeby się zastanowić, jak najlepiej to ująć. – Wiem, że nie może mi pan nic wyjawiać, ale byłoby wspaniale, gdyby dał mi pan chociaż jakąś małą wskazówkę, czy on w ogóle żyje.

– No cóż, obawiam się, że nie mogę. – Wrócił do czytania i udawał całkowicie zaabsorbowanego.

– To może chociaż umówimy się, że jeśli żyje, przewróci pan kartkę. – To był spontaniczny pomysł. Akt desperacji.

Pułkownik zastanawiał się przez kilka minut, a potem przewrócił kartkę gazety.

– A czy jest w więzieniu? Albo gdzieś, skąd nie może się z nią skontaktować?

Tym razem kartka została przewrócona dużo szybciej, a pułkownik nie oderwał wzroku od tekstu.

– Więc nie powinna wychodzić za tego drugiego mężczyznę?

Na to pułkownik zsunął gazetę na kolana i spojrzał mi prosto w oczy.

– Slater żyje tylko dlatego, że miał szczęście. Pewnego dnia zginie albo wyląduje w jakimś więzieniu. Moim zdaniem ta dziewczyna będzie szczęśliwsza z tym drugim.

– Ale ona go nie kocha. Nadal jest zakochana w Slaterze.

– To nierozsądne. Slater nie jest typem człowieka, w którym należy się zakochiwać. – Po tych słowach znów podniósł gazetę, potrząsnął nią, żeby wyprostować kartki, i wrócił do lektury.

– Nie każdy potrafi wybierać, w kim się zakochuje – stwierdziłam, lekko poirytowana jego kategorycznością.

Opuścił gazetę, przyglądał mi się przez chwilę w zamyśleniu, i odpowiedział:

– Ma pani rację.

Rozlałam herbatę do filiżanek.

– No to mam jej powiedzieć, żeby na niego poczekała?

– To zależy od tego, ile ma czasu – odparł cicho, a po chwili zastanowienia dodał: – I ile bólu jest w stanie znieść, bo on będzie ciągle ryzykował życie, aż w końcu je straci.

Nic więcej od niego nie wyciągnęłam. Choć próbowałam swoich najsprytniejszych sztuczek, milczał jak głaz. Co za uparty człowiek!

Zacząłam się zastanawiać, u kogo jeszcze mogę zasięgnąć języka na temat Slatera, i przypomniałam sobie o Carringtonie, który pracuje teraz w tym samym wydziale co pułkownik. Może czegoś by się dla mnie dowiedział? Carrington nie miałby wątpliwości, że można mi zaufać. Chociaż było już dość późno, wykręciłam jego numer.

– Parnham House – oznajmił z namaszczeniem kamerdyner.

– Chciałabym rozmawiać z porucznikiem Carringtonem – odpowiedziałam, siląc się na pewny i zdecydowany głos.

– Nie może teraz podejść.

– To dosyć pilna sprawa – rzuciłam szybko.

Kamerdyner przez chwilę milczał, a potem lekko zakasłał.

– Zapytam. Kto chciałby z nim rozmawiać?

– Margaret Tilling z Chilbury.

Po minucie w słuchawce rozległ się cichy, arystokratyczny głos Carringtona odbijający się echem w przestronnym pokoju.

– Dobry wieczór – chyba ucieszył się, że zadzwoniłam, co było dobrym znakiem. – Mam nadzieję, że wyszła pani z nalotu bez szwanku?

– Ja tak, ale moja przyjaciółka jest w trudnej sytuacji. Sprawy sercowe. Zastanawiam się, czy nie mógłby pan wykorzystać swoich kontaktów w Litchfield Park i dowiedzieć się o losach pewnej osoby?

– Spróbuję – odpowiedział natychmiast. – Ale niczego nie mogę obiecać. O kogo chodzi?

– O niejakiego Alastaira Slatera. Nie wiem, czy handluje na czarnym rynku, siedzi w więzieniu czy zginął na froncie, ale pańscy współpracownicy na pewno coś o nim słyszeli. Mnie zależy tylko, żeby się dowiedzieć, co się z nim stało. Czy moja przyjaciółka ma na niego czekać, czy nie.

– Tak, to zrozumiałe. Zajmę się tym natychmiast – odpowiedział radośnie. Najwyraźniej starał się zataić przed kimś charakter naszej rozmowy. A potem zamilkł, a ja usłyszałam w tle jakieś głosy.

– Proszę posłuchać – wyszeptał. – Obawiam się, że muszę już kończyć. Ale wiem, co robić, popytam i zadzwonię do pani, jeśli się czegoś dowiem. Dobranoc.

I się rozłączył. Pułkownik zszedł na dół i spojrzął na mnie podejrzliwie, więc chwyciłam za ściereczkę i zaczęłam odkurzać telefon. Posyłałam Mallardowi radosny uśmiech.

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Czwartek, 8 sierpnia 1940 r.

Pieniądze

Dziś rano poszliśmy z Silvie przyrzeć się gigantycznej stercie zrujnowanych budynków na placu. Wiele osób zaczęło już się przez nią przekopywać; niektórzy są po prostu uczynni i chcą pomóc dawnym mieszkańcom w odnalezieniu ich rzeczy, ale większość to rabusie, którzy kradną, co popadnie.

Ku swojemu zaskoczeniu zastałyśmy tam Toma. Stał na szczycie sterty z rękami na biodrach, umorusany jak jakiś bandyta.

– Próbuję odszukać kopertę z pieniędzmi – wyznał nam ściszym głosem, kiedy wdrapałyśmy się do niego. – Panna Paltry mnie poprosiła. Mówi, że schowała je pod deską w podłodze.

– No to szukasz nie tam, gdzie trzeba – oznajmiłam surowo. – Dom panny Paltry był obok Hattie, o tu.

Zaprowadziłam go we właściwe miejsce, a potem znów całą trójką wspięliśmy się na górę i zaczęliśmy szukać pieniędzy. Marzyłam, żeby je znaleźć i stać się bohaterką, tak jak Venetia. I w końcu dopięłam swego; podniosłam kopertę wysoko w górę i zawołałam do Toma:

– Jest!

Oczywiście wszyscy się obejrżeli, a niektórzy podeszli bliżej, żeby zobaczyć, co to takiego.

Nieopodal stał też Ralph Gibbs i nie odrywał wzroku od wypchanej koperty.

– Wiecie, ile tam jest?

– Nie – odparł Tom, po czym ku mojej irytacji wyrwał mi kopertę i wepchnął ją sobie w szorty, jakby nie mógł już znaleźć obrzydliwszego miejsca.

– Chodź, Kitty. Idziemy.

– Ale teraz to ja jestem bohaterką!

Dosyć gwałtownie złapał moją rękę i odciągnął mnie stamtąd. Silvie ruszyła truchtem za nami.

Popędziliśmy dróżką, a potem przez pola, tam, gdzie mieszkają zbieracze chmielu, wpadliśmy do szopy Toma i zamknęliśmy za sobą drzwi. Śmiejąc się, otworzyliśmy kopertę i wyciągnęliśmy z niej pieniądze.

Wszystkie pieniądze!

Ile ich było!

– Skąd ona tyle ma?

– Nie wiem – wyszeptał Tom.

– Chodźcie, urządzimy sobie przyjęcie. – Zerwałam się z miejsca. – Pójdę zobaczyć, czy robotnicy w stodole nie mają jakichś ciastek albo mleka.

– Pójdę z tobą – oznajmił Tom. – Silvie, ty pilnuj pieniędzy.

Pognaliśmy do stodoły; Tom był ode mnie troszeczkę szybszy, chociaż tak naprawdę wcale się nie ścigaliśmy. Na miejscu nie było jednak nikogo i dosyć szybko zdaliśmy sobie sprawę, że niczego tu nie znajdziemy.

Sprawdzałam właśnie w ostatnim kącie, kiedy Tom nagle złapał mnie w tali, przyciągnął do siebie i wycisnął mi na ustach mokry pocałunek.

– Przestań, co ty robisz? – wrzasnęłam, odpychając go od siebie. – Nie wiesz, że jestem zaręczona?

– Nie, a jesteś? – zaśmiał się z niedowierzaniem i otarł usta.

Nagle jak spod ziemi wyrosła Silvie i spytała niewinnie:

– Co robicie?

– Nic, Silvie. – Wzięłam ją pod rękę i ruszyłam w stronę drzwi. – Nie udało się znaleźć żadnych ciastek, więc będziemy musieli obejść się smakiem, prawda, Tom?

Podszedł do mnie z drugiej strony i też wziął mnie pod rękę, szczerząc zęby w irytującym uśmiechu, po czym powędrowaliśmy do szopy.

Kiedy doszliśmy na miejsce, drzwi Toma były otwarte. Poskrzypywały i kołysały się w zawiasach.

– Silvie, wzięłaś ze sobą kopertę? – spytał chłopak.

Pokręciła głową, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

Wbiegliśmy do środka, żeby sprawdzić, co z pieniędzmi, ale chyba już wtedy wiedzieliśmy.

Przepadły.

Choć nikogo nie było widać, spojrzeliśmy po sobie – nie mieliśmy wątpliwości, kto przyszedł tu za nami. Silvie i ja z markotnymi minami ruszyliśmy do domu, zostawiając Toma z problemem, co ma powiedzieć pannie Paltry.

– Cóż, przynajmniej nie były to nasze pieniądze – odezwałam się, gdy wyszliśmy z lasu.

– Czemu nie pocałowałaś Toma? – spytała Silvie. – Miły jest.

Stałam jak wryta.

– Silvie, jestem narzeczoną Henry’ego. Chyba nie wypada, żeby osoba zaręczona obcałowywała się ze zbieraczami chmielu, prawda?

Jak coś podobnego mogło jej w ogóle przyjść do głowy?

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL

Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Czwartek, 8 sierpnia 1940 r.

Kochana Angelo!

Gdy obudziłam się dziś rano, z przerażenia aż ścisnęło mnie w żołądku, jak gdybym wiedziała, co ten dzień przyniesie: jakie wydarzenia i decyzje.

Dzwonek zadzwonił o dziesiątej i nie byłam zaskoczona, gdy mama zapukała do mojego pokoju, by powiedzieć, że znów odwiedził nas Henry. Od razu wiedziałam, że chcę, żeby wszystko było inaczej niż wczoraj. Nie potrzebowałam jego współczucia ani komentarzy, że wyglądam, jak to ujął, na „zagubioną”. Włożyłam więc moją żółtą sukienkę, by wyglądać weselej, i szczotkowałam włosy dopóty, dopóki nie nabrały złotego połysku. Chciałam, by traktował mnie tak samo jak zawsze, jakby nic się nie zmieniło. Jakby wszystko było dokładnie takie samo jak pół roku temu, kiedy miałam niekwestionowaną pozycję królowej w tym miasteczku.

Przejrzałam się w lustrze, pomalowałam usta starą, czerwoną szminką i byłam zadowolona ze zmiany. Czy to nie niesamowite, że można wyglądać jak królowa, a czuć się jak kruchy cień?

Siedział na tej samej kanapie co poprzednio, wyglądał wprost nieskazitelnie w mundurze. Próbowałam zrobić wejście, tak samo jak dawniej – omiotłam framugę drzwi moją żółtą spódnicą, zalotnie uniosłam dłoń do włosów i drwiącym tonem powiedziałam głośno:

– O, Henry. Widzę, że nie mogłeś się powstrzymać.

Jednak wypadło to bezbarwnie i zbyt teatralnie.

On wstał i zdrętwiał, chociaż wciąż miło się uśmiechał. Henry zawsze jest miły – nie mogę się zdecydować, czy to urocze, czy nudne. Przestałam bawić się spódnicą i zaczęłam się zastanawiać, jak powinnam się zachować. Byłam skrupowana, z jednej strony pragnęłam, żeby mnie uwielbiał, jak zawsze, a z drugiej nie chciałam tego. Przepraszam, jeśli brzmi to bezsensownie, Angie. Muszę przyznać, że dla mnie to też nie ma sensu. Już naprawdę nie wiem, co mam myśleć.

– Jak się dziś czujesz? – spytał. Podeszedł do mnie i zaprowadził mnie za ramię do krzesła, jakbym była inwalidką.

– Nic mi nie jest, Henry – wymamrotałam. Odsunęłam jego dłoń i stanęłam przy sofie. – Proszę, nie rozmawiajmy dziś o mnie. Wolałabym posłuchać o tobie, twoim samolocie i o tym, ile wygrałeś pojedynków. – Spojrzałam na niego błagalnie. Przyglądał mi się przez chwilę, a potem uśmiechnął się łagodnie i przechylił głowę na bok.

Następnie ukląkł na jedno kolano.

Zamarłam. Nie jestem pewna, czego się spodziewałam po tym spotkaniu, i wiedziałam, że papa jest przekonany, że wystarczy jedno moje słowo, a Henry natychmiast do mnie przybiegnie, ale ja już nie byłam taka pewna. Nie byłam już niczego pewna. Dlaczego nagle miałabym być zainteresowana jego oświadczeniami, przecież nie wydarzyło się nic, przez co stałam się bardziej chętna albo bardziej zaczęłam ich potrzebować? Dlaczego on nagle pomyślał, że ma u mnie szansę?

Czyż nie był to dla niego spacer po linie pomiędzy byciem najlepszym przyjacielem, który oferuje miłość, wsparcie i pomoc w trudnej chwili, a byciem mężczyzną, który widzi okazję czy słabość, i to wykorzystuje?

– Venetio, najdroższa – powiedział, ujął moje dłonie i lekko je przycisnął, czym dał odrobinę do zrozumienia, jak ważna jest to sprawa. – Proszę, pozwól mi zabrać cię stąd i otoczyć miłością i radością, które noszę w sercu. – Uśmiechnął się tak cudownie, a jego oczy pieściły moje nadzieją i szczęściem. Łzy napłynęły mi do oczu i jedna potoczyła się po policzku. Gdybym tylko mogła kochać tego człowieka, pomyślałam. Gdybym nigdy nie spotkała Alastaira i nigdy nie zaznała prawdziwej miłości. Ale wtedy nie byłabym w takim stanie jak dziś. Byłabym starą Venetią i w życiu nie zadowolilibym się Henrym Brampton-Boydem.

– Czy uczynisz mi ten zaszczyt, Venetio, i zgodzisz się zostać moją żoną? – spytał szeptem, unosząc do ust moje dłonie. – Chcę ci dać wspaniałe życie, wygodę cudownego Brampton Hall oraz gorącą i nieprzemijającą miłość.

Przez moją głowę szybko przemknęła cała seria obrazów: cień kobiety w zaawansowanej ciąży, ukrywanej w domu rodziców, a następnie zabranej do klasztoru, dziecko wyszarpięte z jej ramion, dziecko, którego miałyby nigdy więcej nie ujrzeć. Wiedziałam, że tak wygląda moja alternatywa. Teraz dostałam możliwość wyjścia z tej sytuacji, był to okrutny kompromis między dwoma poświęceniami. Wiedziałam, że muszę działać.

– Tak – powiedziałam. Usłyszałam swoje słowa, jakby zostały wypowiedziane przez inną, bardziej praktyczną Venetię, Venetię, która pragnęła łatwego życia, bogactwa, wysokiego statusu i dzieci urodzonych w małżeństwie, mieszkania we wspaniałym Brampton Hall, egzystencji na poziomie, do którego przywykła. Venetię, która zawsze będzie patrzeć na swoje najstarsze dziecko

z żalem i poczuciem winy połączonym z przykrym uczuciem narastającego niezadowolenia.

Czyżby ta Venetia mogła być mną?

Puściłam jego dłonie i usiadłam, z całej siły starałam się nie rozplakać. Uśmiechałam się i spokojnie, z podniesioną głową stawiałam czoła sytuacji. Zdałam sobie sprawę, że na tym właśnie polega dorosłość: trzeba decydować się na najlepszy ze złych wyborów i starać się wyciągnąć coś dobrego ze strasznych kompromisów. Trzeba nauczyć się uśmiechać, radzić sobie, jak najlepiej się potrafi w sytuacjach, kiedy cały świat się wali i staje się miejscem wygnania, fotografią w sepii, ukazującą dawne złudzenia.

Zamarłam, gdy usiadł obok mnie na sofie. Trochę się przesunęłam i poprawiłam żółtą spódnicę. Bałam się tego, co stanie się za chwilę.

Zobaczyłam, jak jego twarz zbliża się do mojej i ze wszystkich sił musiałam się powstrzymać, żeby się nie cofnąć. Delikatnie dotknął ustami moich ust i – chociaż świat nie stanął w miejscu – nie było to nieprzyjemne. Jego umiejętności w tym zakresie znacznie się poprawiły od czasów pocałunku w sędzie – który był raczej mokry i dławiący. Ten był delikatny, bez pośpiechu, bez namiętności, zupełnie inny od pocałunków Alastaira, gorących i upojnych. Nie mogły się od siebie bardziej różnić.

– Moja ukochana – powiedział, a w jego ustach brzmiało to dziwnie. – To najszczęśliwszy dzień mojego życia. – Uśmiechnął się, wyglądał na szczerze uradowanego. Udało mi się odwzajemnić uśmiech i przybrać maskę radości na mojej twarzy i w pozie. Było to niezwykle niezręczne.

– Musimy szybko ustalić datę – szepnął mi do ucha. Nachylił się i zaczął całować mnie w szyję. – Nie wiem, jak długo jeszcze będę w stanie czekać.

– Nie, nie czekajmy – zgodziłam się ze słabym entuzjazmem. Zastanawiałam się, jak długo jeszcze uda mi się ukrywać ciężę. – Im szybciej, tym lepiej.

– Więc uzgodnione! – wykrzyknął i z radości uderzył dłońmi o kolana. – Powiem dowódcy pułku, gdy tylko wrócę do bazy. Powinni dać mi kilka dni wolnego pod koniec miesiąca. – Podniósł do ust moją rękę i najpierw pocałował ją z wierzchu, a potem obrócił ją, odgiął palce i pocałował wewnątrz dłoni.

Pokój zaczął mnie dusić, stał się wilgotny i dławiący, miałam ochotę otworzyć na oścież drzwi na taras i biec, biec przez trawnik aż do doliny niczym dziki koń, i uciekać coraz dalej, bez końca. Wiedziałam, że tak byłoby już zawsze. Że spędziłabym resztę mojego życia na ucieczce.

– Powiedzmy mamie! – krzyknęłam. Zabrałam dłoń od jego ust i poderwałam się w stronę drzwi. – Nie mogę się doczekać, aż zobaczę jej minę.

Wybiegłam na korytarz, a on szedł za mną, gdy wchodziłam po okazałych schodach. Z każdym krokiem kurczowo łapałam się poręczy, rozpaczliwie marzyłam o wstrzymaniu wyroku.

Znaleźliśmy mamę w pokoju dziecięcym razem z Silvie. Pomagała Silvie zacerować sukienkę lalki. Cierpliwie pokazywała, jak stębnować, żeby szycie było mocniejsze, tak samo jak niegdyś Kitty i mnie, kiedy byliśmy małe. To było tak dawno temu...

– Mamo! – zawołałam od drzwi bez tchu. – Zareczyliśmy się.

Wstała i szybko zamieniła wyraz paniki na uśmiech, gdy tylko Henry stanął obok mnie.

– O, to dobrze! – powiedziała i podeszła do okna, by wpuścić trochę świeżego powietrza. Zrobiła głęboki wdech, a potem obróciła się, by pocałować Henry’ego w policzek. – Tak bardzo się cieszę. – Spojrzała mi prosto w oczy, które znajdowały się nie więcej niż piętnaście centymetrów od jej oczu, a z jej ust padły słowa: – Na pewno będą gadać w miasteczku. – Jej spojrzenie zdawało się mówić, że czuje się, jakby zaraz miała ją zmiażdżyć tona węgla. Wiem, że nigdy nie była szczęśliwa z papą – zmuszono ją do małżeństwa ze względu na interesy rodziny. Jej spojrzenie odzwierciedlało ciężar tych wszystkich lat. Chciała, żebym postąpiła właściwie, ale jednocześnie nie mogła zapomnieć o swoim nieszczęśliwym, pozbawionym miłości życiu. Spojrzała na Silvie, swoją nową podopieczną, i odezwała się do Henry’ego: – Musisz natychmiast iść powiedzieć swojej matce. Będzie wściekła, jeśli się okaże, że nie dowiedziała się o tym pierwsza! Venetio, ty zostań, omówimy plany.

– Ma pani rację, na pewno wpadłaby w szal. Wie pani, jaka ona jest! – Zachichotał w ten swój wesoły sposób, a ja poczułam, że już go nie lubię. – Wobec tego, moja kochana – znów wziął mnie za rękę – teraz muszę się pożegnać, ale wrócę po południu. Może poszlibyśmy na długi spacer i porozmawiali o planach na wesele i miesiąc miodowy? – Oczy mu błyszczały, a spojrzenie przesunęło się po moim ciele.

Wybiegł wesoło z pokoju, a my stałyśmy w milczeniu i słuchałyśmy jego kroków na marmurowych schodach i w korytarzu, aż wreszcie zabrzmiał stłumiony huk zatraskiwanych frontowych drzwi. A potem nastąpiła cisza.

Załamalam się. Mama pomogła mi usiąść na krześle i posłała Silvie po herbatę.

– Musiałam to zrobić, mamo – wychlipałam. – Wiesz, że musiałam.

Nic nie powiedziała, tylko długie, ciche „ćśśś”, jakby była przekonana, że wszystkie problemy tego świata mogą zostać wchłonięte i wytłumione przez spokojne, nieprzerwane pragnienie, by ich nie było. Wtedy nagle zrozumiałam, że ona przez ostatnie dwadzieścia lat wciąż stara się zagłuszać ten nieustanny hałas w tle.

Silvie wróciła z herbatą. Piłyśmy powoli i rozmawiałyśmy o tym, co teraz będzie. W dzisiejszych czasach śluby odbywają się bardzo szybko, co w mojej sytuacji jest błogosławieństwem, jednak popatrzyłyśmy na siebie z przerażeniem,

gdy wyobraziłyśmy sobie, że mogłoby się to wydarzyć nawet w przyszłym tygodniu.

– Oczywiście, może będziesz chciała, jak by to powiedzieć, skonsumować małżeństwo wcześniej – powiedziała mama pośpiesznie, trochę zawstydzona. Chyba musiałam na nią spojrzeć, jakby postradała rozum, bo szybko dodała: – Żeby nie miał wątpliwości, że jest ojcem dziecka. – Uśmiechnęła się do Silvie, która robiła wrażenie wyjątkowo uważnej, a ja nie mogłam uwierzyć, że obie wciąż utrzymują tę absurdalną grę pozorów, że Silvie nie ma pojęcia, co się dzieje i jak do tego doszło.

Po chwili zrezygnowałam z komfortu pokoju dziecięcego i poszłam do siebie – gdzie właśnie teraz jestem. Mój umysł wciąż wiruje: czemu tu jestem, co mi strzeliło do głowy, dlaczego to niby ma być najlepszy wybór? Przecież musi być jakaś alternatywa, a poza tym gdzie on jest? Gdzie jest Alastair? Czy nie słyszy, jak mój ból coraz głośniejsz rozbrzmiewa we wszechświecie, obejmuje tysiące galaktyk niekończącym się skowytom?

Gdzie on jest?

Usiadłam przy sekretarzyku, wyjęłam medalik i modliłam się, by Alastair wreszcie się zjawił, niczym rycerz w lśniącej zbroi, i mnie stąd zabrał. Albo żebym się obudziła i żeby się okazało, że to był straszny sen, a ja jestem inną Venetią, na innej planecie, gdzieś wysoko, wysoko nad tym okrutnym, obojętnym światem.

Niedługo napiszę znowu.

Ucałowania,

Venetia

LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY

Szpital Litchfieldzki,

Litchfield,

hrabstwo Kent

Czwartek, 8 sierpnia 1940 r.

Kochana Claro!

Co za dzień! Po pierwsze, ten głupi chłopak przyszedł powiedzieć mi, że zgubił pieniądze. Nie mogę uwierzyć, że powierzyłam swoją fortunę tak niekompetentnemu idiocie. Znalazł kopertę, zabrał ją do swojej szopy, a potem ktoś ją po prostu ukradł. Jego zdaniem to Ralph Gibbs, więc będę mieć z nim do pogadania, gdy stąd wyjdę.

Po drugie, leżę sobie w tym parszywym szpitalnym łóżku, gdy nagle wpada pani Tilling, już od drzwi wlepiając we mnie świdrujące spojrzenie, a na twarzy ma wypisaną determinację. Ubrana jak z żurnala w granatowy płaszcz, w którym nigdy wcześniej jej nie widziałam – przeciwieństwo tego starego, szarego czegoś, co zwykła nosić. Torebka z brązowej skóry, którą nosi, sprawia wrażenie, że gdyby Pani Tilling porządnie się nią zamachnęła, mogłaby przyprawić kogoś o paskudnego siniaka.

– Jak się pani odpoczywa? – zaświergotała po swoim, przyoblekając twarz w wymuszony, nieprzyjazny uśmiech, jak ten, który pojawia się na twarzy sędziego na chwilę przed ogłoszeniem wyroku skazującego. – Miło móc tak sobie poleżeć.

Poklepała mnie po nodze, a ja skrzywiłam się na myśl o bólu, który mogłaby mi zadać, gdyby przyszła jej ochota. Dziękowałam Bogu, że to taka niedojda, jednak muszę przyznać, że nie jest już tą samą sponiewieraną wdową. Wojna naprawdę dodała jej skrzydeł. Widać to po jej postawie, jest bardziej wyprostowana, żadnych zgarbionych ramion ani przygnębienia na twarzy. Dawniej drobiła, jakby nie mogła nadażyć, teraz chodzi pewnym krokiem, jakby była więcej warta niż my wszyscy, więcej robiła, więcej poświęcała dla tej wojny, dla naszej wspólnoty. A my powinniśmy okazać jej trochę szacunku.

– Ach, pani Tilling, jaka miła niespodzianka! – Uśmiechnęłam się słodko. – Jak to ładnie z pani strony, że odwiedza mnie pani w szpitalu, schorowaną biedaczkę. Właśnie sobie myślałam, że jest pani jedyną osobą, tak dobrą i życzliwą, by do mnie zajrzeć.

– Cóż – westchnęła. – Właściwie przyszedłam, by zadać pani kilka pytań o ten dzień, kiedy urodziło się dwoje dzieci.

Na twarzy nadal miałam spokojny uśmiech, ale naprawdę nigdy bym nie przypuszczała, że ta kobieta zmieni się w psa gończego.

– Chętnie pani pomogę. To był dzień! – Upiłam łyk wody ze szklanki stojącej obok mojego łóżka, by dodać sobie odwagi.

– Tak, co za dzień! – Przysunęła krzesło, sadowiąc swój spięty zadek na jego skraju. – Tak sobie myślałam – zaczęła niepokojąco cichym głosem. – To dziwne, że oba niemowlęta miały ten sam problem z oddychaniem, wymagający koniecznie resuscytacji akurat w pani domu.

– Tak, to był bardzo ciężki dzień, ale trzeba dawać z siebie wszystko. Widzi pani, te przypadłości są dużo częstsze, niż się pani wydaje. Na szczęście miałam odpowiedni sprzęt. To niewiarygodne, jak dziesięć lat doświadczenia może przeważać szalę między życiem a – pauza, zmrużenie oczu dla efektu – śmiercią.

– Jakie to szczęście, że była tam pani – powiedziała, unosząc cienką brew. – Jednak gdyby pani tam nie było, dzieci zostałyby przy swoich rodzonych matkach.

W głowie miałam jedną myśl – już po nas!

Lecz wtedy na jej usta wypłynął paskudny uśmieszek, a ja zobaczyłam, że ta kobieta sądzi, iż właśnie wygrała. Wiele można o mnie powiedzieć, Claro, ale na pewno łatwo się nie poddam, więc wzięłam się w garść i zastanowiłam chwilę. Przyszła tu, żeby powiedzieć to wszystko, bo myśli, że mnie przestraszy i zmusi do przyznania się, ale nic ze mnie nie wyciągnie, bez względu na to, jak bliska jest prawdy.

– Co ma pani na myśli? – Uśmiechnęłam się.

– Tylko tyle, że kiedy miała pani w domu w tym samym czasie dwoje niemowląt, mogła je pani zamienić. Mogła pani oddać chłopca pani Winthrop, a dziewczynkę Hattie.

– Co za nedorzeczna sugestia – warknęłam łamiącym się głosem. Postanowiłam to wyśmiać, zrobić z niej wariatkę. – Skąd przyszedł pani do głowy tak potworny pomysł, pani Tilling? Straciła pani rozum? – Potrząsnęłam głową z niesmakiem.

– Nie zmyśliłam tego, panno Paltry. – Spojrzała mi prosto w oczy. Jej głos był spokojny i opanowany jak głos sędziego ogłaszającego wyrok ostateczny. – To fakty doprowadziły mnie do tej prawdy.

Odetchnęłam głęboko, by przywołać jakieś fakty. Nagle sobie przypomniałam.

– Obie matki знаły płeć dzieci, zanim im je zabrałam. Były zachwycone. Ja również. Dlaczego miałabym zrobić coś tak okropnego?

– Żadna z kobiet nie widziała swojego dziecka z bliska, zanim je pani

zabrała, panno Paltry. – Jej głos stawał się coraz bardziej miękki, jak przejrzała śliwka, obniżał ton, nabierał mocy. – Obie powiedziały mi, że poznały płęć dzieci, gdy pani im ją oznajmiła.

– Och nie, proszę nie łączyć wątków z różnych źródeł. Wiem, żałuje pani, że jej tam nie było, ale nic na to nie poradzę.

Pochyliła się do przodu, wbijając we mnie wzrok. I w tym momencie powiedziała coś, czego się nie spodziewałam.

– Zawarła pani umowę z brygadierem, mam rację?

Byłam przerażona. Jeśli wie, że brygadier miał z tym coś wspólnego, i ujawniła to przed nim, jestem trupem.

– O czym pani mówi?

– Wiem, że spotkała się pani z nim tego wieczoru, kiedy był nalot, i domyślam się, jaką informację chciała mu pani sprzedać.

Spojrzałam na nią wstrząśnięta. Skąd mogła o tym wiedzieć? Nie było nikogo w pobliżu. Przysięgam. Tylko ja i brygadier, nikogo więcej.

– Spotkaliśmy się przypadkiem. Rozmawialiśmy o pociągach. Mają potworne opóźnienia.

– Czy aby nie było trochę za późno na łapanie pociągu?

Coś we mnie pękło. Jakim prawem ta głupia kobieta przychodzi tu dręczyć mnie oskarżeniami? W każdym razie moje przymilne zachowanie nie przyniosło żadnych rezultatów. Byłam dla niej po prostu łatwym celem. Musiałam się jej stąd pozbyć.

– Mogę czekać na pociąg, kiedy mi się podoba, łaskawa pani. – Spojrzałam groźnie, podnosząc głos. Usiadłam prosto i poprawiłam chorą nogę na łóżku. – Jak pani śmie przychodzić tu i oskarżać mnie o te niedorzeczne zbrodnie. Jak pani śmie, przecież jest pani pielęgniarką! Powinna pani rozumieć, że rekonwalescent potrzebuje ciszy i spokoju.

Siedziała niewzruszona i ze spokojnym uśmiechem na twarzy patrzyła, jak wzbiera we mnie irytacja.

– Zorientowałam się, gdy zobaczyłam Venetię z małą Rose w ramionach – powiedziała, popisując się tym, jak sprytnie mnie przejrzała, jak jakaś cholerna panna Marple. – Dziewczynka była do niej bardzo podobna. Venetia mogłaby być jej matką. – Spojrzała na mnie, unosząc brew. – Albo siostrą.

Przekląty dzieciak i ta cholerna dziewczyna. Gdyby nie była taka piękna, nikt by się nie zorientował. Czułam, że jestem w potrzasku.

Nagle przyszło mi do głowy rozwiązanie, jak ostatecznie uciąć te pogroźki. Sięgnęłam po szklany dzbanek stojący obok łóżka i krzyknęłam, jak mogłam najgłośniejsz:

– Sostro! Sostro! – I z cichym śmiechem wypuściłam dzbanek z dłoni, prosto na zimną, pokrytą kafelkami posadzkę.

Potężny huk przerwał ciszę, kaskada drobnych odłamków szkła wzbiła się w powietrze, by następnie opaść, pokrywając podłogę, łóżka i meble połyskującym szronem.

Sprzątnięcie tego na pewno zajmie długie godziny.

Nadbiegły pielęgniarki z miotłami i ścierkami w rękach i rzuciły się do sprzątanania. Kazały pani Tilling zejść z drogi, zabrały krzesło, zmieniły mi koc i uspokoiły mnie, że nic się nie stało.

Staralam się sprawiać wrażenie roztrzęsionej i niewinnej, kiwałam głową przepraszając. Gdy zerknęłam na panią Tilling, stała z dala od łóżka, z dłońmi zaciśniętymi na torbie, a jej twarz wykrzywiała wściekłość. Kipiała ze złości. W końcu jedna z sióstr podeszła do niej, upomniała ją, wzięła jej granatowy płaszcz i zaprowadziła ją do drzwi. Pani Tilling, wychodząc, odwróciła się w moją stronę. Miała smutną minę i poirytowane spojrzenie, wyglądała jak dawniej, kiedy popychano ją i przesuwano z miejsca na miejsce. Tylko tym razem nie była z tego zadowolona. Tym razem chciała, żeby wszystko było po jej myśli. Poczułam zimny dreszcz przebiegający mi po plecach i szyi, gdy zamykały się za nią drzwi.

Jakie będą jej dalsze kroki? W pierwszej chwili przyszło mi oczywiście na myśl, że mogłaby zażądać ode mnie pieniędzy, wyłudzić jakąś nagrodę w zamian za milczenie, ale to nie w stylu kobiet z rodziny Tillingów. Miała wystarczająco pieniędzy, by prowadzić swój praktyczny, skromny styl życia. Bardziej prawdopodobne, że zrobi coś w imię moralności lub przyzwoitości, albo z innego przyprawiającego o mdłości powodu. Ma chorobliwą potrzebę wyróżniania się wśród innych szlachetnością, a to małe zwycięstwo mogło wynieść ją na szczyt.

Oczywiście jest szansa, że wyświadczy nam wszystkim wielką przysługę i zapomni o całej sprawie. W końcu po co miałaby zawracać sobie głowę i przekazywać sprawę dalej? Nie posiadała żadnego dowodu. Jej droga Hattie nie żyje. Pani Winthrop ogromnie cieszy się ze swojego chłopca. Zamiana niemowląt z powrotem nie jest w niczyim interesie. To tylko podzieliłoby ich małą społeczność i spowodowało więcej problemów, niż jest tego warte. Każdy by jej nienawdził. Nie jest przecież taka głupia, żeby tego nie wiedzieć.

To prowadzi mnie do ostatecznego, niepokojącego wniosku. Może pójść wypłacić wszystko brygadierowi, powiedzieć, że go zdradziłam, wykorzystać to, by zdobyć nade mną przewagę.

A brygadier przyjdzie tu i urwie mi głowę, tak jak obiecał zrobić, gdy ktoś się dowie. Boże, czuję się jak w potrzasku, otoczona przez sferę psów.

Postarałam się, by przenieśli moje łóżko blisko pielęgniarek, tak żebym była bezpieczna. Gdy zdążyłam się już ulokować w nowym miejscu, przyszedł nie kto inny, jak Elsie we własnej osobie. Wystroiła się w zieloną, kwiecistą suknię, była śliczna jak młody łabędź, dopóki nie otworzyła gęby.

– Słyszałam od Kitty, że chłopak szukał twoich pieniędzy. – Nachyliła się

bliżej. – Należy mi się część z nich.

– Nie próbuj mi grozić – odparłam. – Zresztą nie mam żadnych pieniędzy. Przepadły. Odnalazły się, a potem ktoś je ukradł. Jeśli potrzebujesz forsy, szukaj gdzie indziej.

Przygładziła włosy.

– Też o tym pomyślałam – powiedziała. – Planuję wyjść bogato za mąż. Potrzebuję na kieszonkowe wydatki. Chcę wyglądać jak dama.

Parsknęłam śmiechem.

– Musisz się bardziej postarać. Nie wystarczy wygląd, jeśli chcesz złapać mężczyznę z pozycją.

– Jeszcze zobaczysz – prychnęła. – Ale potrzebuję pieniędzy i wiem o czymś, co pozwoli mi je z ciebie wycisnąć.

Zaczęłam się denerwować.

– Elsie, nie mam żadnych pieniędzy.

– Gdzie w takim razie przepadły?

– Tom uważa, że ukradł je Ralph Gibbs. Jeśli możesz, daj mu znać, że chcę je z powrotem. – Byłam już wściekła. – To moja forsa i on dobrze o tym wie.

Na jej pięknej twarzy pojawił się wyraz zamyślenia, wykrzywiła usta.

– W takim razie lepiej już pójdę – powiedziała. Najwyraźniej postanowiła odebrać mu pieniądze sama. Z tymi słowami wyszła z wysoko podniesioną głową i uśmiechem na szerokich ustach, pewnym siebie i chytrym, jakby połknęła ropuchę.

Oparłam głowę na poduszce i jęknęłam. Ostatnie, czego potrzebuję, to kolejny poszukiwacz moich pieniędzy, pani Tilling i brygadier depczący mi po piętach.

Lepiej spal ten list, Claro, oraz pozostałe, na wypadek gdyby sama-wiesz-kto wpadł na ich ślad. Dziś nigdy nie wiadomo, która ściana ma uszy.

Edwina

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Czwartek, 8 sierpnia 1940 r.

Czego nie należy robić

Dowiedziałam się o Venetii i Henrym. Powiedziała mi Silvie, która przybiegła do stajni, by mnie znaleźć.

– Mam nowinę! – wykrzyknęła, gdy mnie zobaczyła. Nakładałam akurat siodło na Amadeusza, który teraz zaczął kręcić się nerwowo.

– Jaką nowinę?

– Venetia wyjdzie za Henry’ego! – zawołała zdyszana, podchodząc i spoglądając na mnie z przejęciem. – Zgodziła się!

– Co?

– Henry poprosił Venetię o rękę, a ona się zgodziła – powtórzyła zmartwiona Silvie.

– Nie może – odpowiedziałam rzeczowo. – Jest w ciąży ze Slaterem.

– Wiem. Dlatego wychodzi za Henry’ego.

– To nie fair! – wykrzyknęłam, przytłoczona tym wszystkim. – Biedny Henry! Czy on się nie dowie? Nie będzie trzeba odwołać zaręczyn?

– Nie wiem – odparła Silvie, stając przy mnie.

– Ale czemu poprosił ją o rękę, skoro jest zaręczony ze mną?

– Może zapomniał – podsunęła cicho. – Kitty, on bardzo lubi Venetię. Zawsze chce z nią rozmawiać.

Odwróciłam się i wrzasnęłam:

– Nie wiesz, o czym mówisz!

Uciekła szybciej, niż kiedykolwiek widziałam, a ja zostałam z Amadeuszem. Głaskałam go i tłumaczyłam sobie, że Silvie coś źle zrozumiała, że to tylko jakiś idiotyczny żart.

– Chodź, Amadeuszu – wyszeptałam w końską szyję. – Przejedziemy się.

Kiedy już wdrapałam się na jego grzbiet i spojrzałam z góry na wszystko wokół, na zielono-złotą szachownicę pól i łąk, poczułam, że teraz mogę swobodniej zastanowić się nad tym, co usłyszałam od Silvie.

Dlaczego Venetia nie może wyjść za Henry’ego

Kocha pana Slatera
Jest z nim w ciąży
Henry ma ożenić się ze mną

Po prostu nie tak miało być. Kiedy spoglądam w przyszłość, zawsze widzę Henry'ego i mnie, jak mieszkamy w Brampton Hall z czwórką dzieci, trzema kotami i wielkim psem o imieniu Mozart. Nie widzę tam Venetii. Nie pasowałyby do Hall, nie sądzę, żeby chciała mieć aż tyle dzieci, i nawet nie lubi psów, ani zresztą Mozarta.

To by się nie sprawdziło.

Pokłusowałam na Amadeuszu ścieżką, a kiedy dotarliśmy na pastwisko, puściłam się cwałem. Nie zastanawiałam się, dokąd jadę, ale bez zaskoczenia odkryłam, że znajduję się przed Brampton Hall, rozległą neogotycką rezydencją z czerwonej cegły, lśniącą w blasku słońca. Wybudował ją kilka pokoleń temu pierwszy Brampton – kupiec, który wzbogacił się w Indiach. Teraz są liczącą się i szanowaną w okolicy rodziną, a pani B. koniecznie chce jeszcze dodać im splendoru i znaczenia.

Kiedy zadzwoniłam do drzwi, otworzył mi sam Henry. Sprawiał wrażenie dosyć zakłopotanego, a mnie się przypomniało, że nie został u nich już nikt ze służby.

- Henry – rozpromieniłam się.
- Kitty? Miło cię widzieć.
- Pomyślałam, że może miałbyś ochotę wybrać się na spacer.

Obejrzał się przez ramię.

- Dobrze. Tylko uprzedzę mamę.

Odszedł w głąb domu i nie zamknął za sobą drzwi.

Wróciłam do Amadeusza.

- Widzisz, wcale nie jest zaręczony z Venetią. Silvie coś pokręciła.

Henry po chwili wrócił i ruszyliśmy przed siebie. Pośpiesznie zapinał sobie kołnierzyk i przygładzał włosy. Szłam pieszo, chociaż musiałam co chwila podbiegać, żeby dotrzymać kroku mojemu wysokiemu towarzyszowi, a Amadeusz truchtał obok mnie. Prędko doszliśmy do drogi; po bokach mieliśmy teraz dwa strome nasypy porośnięte trawą, a nad sobą błękitne, bezchmurne niebo.

– Kitty, obawiam się, że dziś nie mogę sobie pozwolić na długi spacer – odezwał się Henry. – Widzisz, mam wspaniałą nowinę.

– Coś związanego z wojną? – zapytałam i poczułam, że droga drży mi pod stopami, jakby zaraz miało ją rozerwać jakieś straszliwe trzęsienie ziemi.

– Nie. – Henry spojrział na mnie z szerokim uśmiechem. – Chyba akurat przed tobą nie muszę się z tym kryć. Venetia uczyniła mnie najszczęśliwszym człowiekiem na świecie, zgodziła się wyjść za mnie za męża.

Ze zgrozy wrosłam w ziemię.

– To prawda – wyjąkałam, oślepiąca przeszywającym blaskiem słońca. – To prawda.

– Tak. – Henry zatrzymał się i zwrócił w moją stronę. – Słyszałaś już o tym? Kitty, wszystko w porządku?

Podniosłam na niego wzrok.

– Ale my mieliśmy się pobrać, Henry! – wykrzyknęłam. – Powiedziałeś, że się pobierzemy, jak dorosnę. Tak powiedziałeś.

Po moich policzkach popłynęły obfite, bezsensowne strugi łez.

Na twarzy Henry'ego odmalował się wyraz przerażenia.

– Ale, Kitty – zaczął cicho. – Przecież ja nic takiego nie mówiłem. Kiedy? Gdzie?

– Nad rzeką, na pikniku na wzgórzu. Powiedziałeś, że jeśli pomogę ci znaleźć Venetię, to się ze mną ożenisz.

– Naprawdę? To okropne z mojej strony. Przepraszam, Kitty, tak mi przykro. To musiało być jakieś nieporozumienie albo żart, albo coś w tym guście. – Rozłożył ręce i zaśmiał się krótko, z zakłopotaniem. – Ale teraz będziesz moją siostrą, a ja twoim bratem, i to będzie jeszcze lepsze niż bycie mężem i żoną, prawda?

– Wcale nie! – zawołałam. – Nie chcę, żebyś był dla mnie jakimś głupim bratem, nawet jeśli w końcu ożenisz się z moją siostrą, w co bardzo wątpię.

– Czemu tak mówisz?

– Ona jest w ciąży ze Slaterem! – wrzasnęłam mu w twarz, opryskując go kropelkami śliny. Cofnął się i spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

– Kitty, naprawdę nie powinnaś żartować z takich spraw.

– Idź i sam ją spytaj. Ona go kocha. Chce urodzić jego dziecko. Ale on zniknął. Więc musi zadowolić się tobą.

Ramiona Henry'ego opadły, w oczach pojawiła się pustka, i nagle, jak w jakimś straszliwym lustrze, zobaczyłam, jak mój ból przechodzi na niego, wypływa ze mnie niczym gruby żółto-czarny strumień i zalewa jego ciało powodzią wściekłości i rozpacz. Henry usiadł na nasypie, oparł łokcie na kolanach, ukrył twarz w dłoniach i mamrotał coś do siebie. Przez jakiś czas stałam i obserwowałam, jak mój bohater w jednej chwili traci całą pewność siebie, i nagle dotarło do mnie, co właśnie zrobiłam.

– Idź sobie, Kitty – powiedział cicho i spokojnie, nie patrząc na mnie.

– Henry, przepraszam, ja...

– Podziękuję ci za to, że mi powiedziałaś, a teraz odejdz. – Podniósł głowę i spojrzał na mnie dzikim, gniewnym wzrokiem.

– Ale, Henry...

– Nie zbliżaj się do mnie! – warknął wściekle, zrywając się z miejsca. –

Gdybym ci powiedział, co chciałbym teraz z tobą zrobić, wolałabyś nigdy mnie nie poznać. A teraz idź. Natychmiast! – krzyczał, groził mi. Nigdy nie przypuszczałam, że może się tak zachowywać, że jego piękne niebieskie oczy mogą stać się czarne jak rozwścieczone węże.

Złapałam za lejce Amadeusza i puściłam się biegiem, zanosząc się nieopanowanym szlochem. Miałam uczucie, jakby skończył się świat.

Kiedy już znalazłam się z powrotem w ciemnej stajni, położyłam w kącie starą derkę i zwinęłam się na niej w kłębek. Leżałam tam i szlochałam, a Amadeusz trącał mnie ze współczuciem swoimi aksamitnymi chrapami.

Czemu to zrobiłam? Czemu on to zrobił?

Kilka godzin później usłyszałam za plecami cienki głosik. To Silvie zaglądała do mrocznego wnętrza boksu.

– Czego chcesz? – zapytałam.

– Mam dla ciebie kanapki – powiedziała cicho.

– Połóż je na ławce pod stajnią.

– Wszyscy cię szukają – dodała.

Nic nie odpowiedziałam, przyjęłam tylko do wiadomości te słowa. Papa oczywiście będzie wściekły. Chciał, żeby Venetia wyszła za Henry'ego. Wszystko świetnie się składało. Venetia leżała w łóżku. Papa chciał przemówić jej do rozumu. Mama próbowała negocjować. Venetia zmieniła zdanie i zgodziła się wyjść za Henry'ego. Mama płakała w nocy. A teraz? Papa zabije mnie jak amen w pacierzu, chyba że Venetia dorwie mnie pierwsza.

– Dziękuję za kanapki – odezwałam się do Silvie, bo przypominałam sobie, że teraz to mój jedyny sprzymierzeniec. Wycofała się w zmierzch, niepewna, czy mądrze wybrała sobie przyjaciółkę.

Zapadła noc, kiedy wróciłam do domu, głodna i przemarznięta, drżąca ze strachu. Ktoś zostawił otwarte drzwi do spiżarni, a w chlebaku leżała bułka. Wzięłam ją i tylnymi schodami przekradłam się do swojego pokoju, gdzie mnie teraz zastajesz, drogi pamiętniczku. W domu panuje cisza. Spodziewałam się, że cała rodzina będzie na mnie czekać, że wszyscy będą krzyczeć i płakać. Ale to, ten bezruch jest w jakiś sposób jeszcze bardziej niepokojący.

Myślę, że dziś po północy, kiedy wszyscy będą spali, spakuję swoje rzeczy i zniknę.

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAI
Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Czwartek, 8 sierpnia 1940 r.

Kochana Angelo!

Znów do Ciebie piszę, tym razem z wiadomością, że zaręczyny zostały dramatycznie zerwane. Mogę tylko dziękować Bogu, że udało mi się wyjść z tego cało – skąd miałam wiedzieć, że Henry Brampton-Boyd potrafi być takim potworem? Jestem odrętwiała i wyczerpana, i z tego wszystkiego dostałam gorączki. Przykazano mi leżeć w łóżku i szczerze mówiąc, z przyjemnością zastosuję się do tego zalecenia.

Kiedy wczesnym przedpołudniem usłyszałam, że przyszedł Henry, przyjąłam to z mieszanymi uczuciami. Miał się pojawić dopiero później – mama upierała się, że potrzebuję odpoczynku, a ja cieszyłam się, że będę miała okazję dojechać do siebie po całej tej gehennie. Ale koło pierwszej nagle usłyszałam, że ktoś mocno pociąga za dzwonek, potem jeszcze raz, a po chwili w hallu rozległy się podniesione głosy wykrzykujące moje imię.

Od razu wiedziałam, że coś się stało. Że on się musiał dowiedzieć. Odetchnęłam głęboko, wygładziłam moją żółtą suknię i wyszłam na podest, z którego jest widok na hall. Zobaczyłam Henry'ego. Patrzył na mnie czerwony na twarzy, wściekły, miał zaciśnięte pięści, włosy w nieładzie i rozchełstany pod szyją, przekrzywiony mundur.

– Venetio! – ryknął.

Nigdy dotąd nie widziałam go rozgniewanego, ale pręcej spodziewałabym się śmierci niż czegoś takiego – takiej furii, takiej zjadłości. Zawsze był taki łagodny i dystyngowany. Czułam się tak, jakby na moich oczach labrador przeistoczył się w wilka.

Powoli zeszałam po schodach, wstrzymując oddech i modląc się, żeby to się jak najszybciej skończyło.

– Muszę z tobą pomówić, kochana – powiedział Henry półgłosem, po czym chwycił mnie za ramię, zaciągnął do bawialni i zamknął drzwi, żeby mama, która stała w alkowie, nie mogła wejść do środka. Tak naprawdę niewiele to zmieniło, bo w hallu słyhać było każde słowo. Nigdy nie przypuszczałam, że Henry potrafi tak podnieść głos. Cały dom trząsał się od jego wrzasków, a żyrandole podzwaniały.

– Odpowiadaj – zażądał. Popchnął mnie na kanapę i stanął nade mną wściekły. – Jesteś w ciąży?

Wolno skinęłam głową. Szczerze mówiąc, Angie, byłam tak wykończona tym wszystkim, że po prostu nie potrafiłam wykrzesać z siebie energii, żeby się mu przeciwstawić. Z jednej strony przerażona tak, że sobie nie wyobrażasz, a z drugiej aż osłabłam z ulgi, że Henry zrywa zaręczyny. Że będę wolna, choćby nawet miało się to okazać ciężkim brzemieniem. W tamtym momencie zrozumiałam, że jestem dość silna, by je udźwignąć, niezależnie od tego, czy moja rodzina zechce mnie wspierać.

– Tak, Henry – powiedziałam. – Jestem.

– Co?! – ryknął. Twarz miał wykrzywioną i purpurową. – Zamierzałaś wyjść za mnie, wiedząc, że nosisz dziecko innego człowieka?

– Przepraszam, Henry. To był błąd. Teraz to widzę.

– Naprawdę sądziłaś, że coś takiego ujdzie ci płazem? – Spiorunował mnie wzrokiem.

– Nie wiem – odparłam po prostu, patrząc na swoje dłonie. – Myślałam, że tak będzie najlepiej, ale teraz widzę, że się myliłam.

– Mogliśmy się pobrać! Mogliśmy żyć tak przez całe lata, a ja bym o niczym nie wiedział! Ciekaw jestem, kiedy ktoś pofatygowałby się z udzieleniem mi tej informacji, gdyby nie to, że dziś rano dowiedziałem się od Kitty?

– Od Kitty – powtórzyłam cicho. No przecież. Ona go kocha. Zagrała jedyną kartą, jaka jej została. Nie mogłam jednak powstrzymać uczucia zadowolenia, że to zrobiła. Byłam z niej niemal dumna, a duma ta miała w sobie coś z dziwnej serdeczności. Chociaż przypuszczalnie wynikało to z mojej ogromnej ulgi, że ktoś mu jednak powiedział i zakończył tę straszliwą farsę. Nie do wiary, że mogłam myśleć, iż tak będzie najlepiej.

– To wszystko, co masz do powiedzenia? „Ach, od Kitty!”. Jakby w ogóle cię to nie obchodziło?

– Cieszę się, że już wiesz – odparłam sztywno.

– Czyżbyś poczuła skruchę? – zapytał z ironią. Usiadł obok mnie i nachylił się, przysuwając do mojej twarzy swoją groźną i mściwą. – A może odkryłaś, że gdzieś w głębi twojej duszy drzemie coś na kształt sumienia?

– Chyba tak – powiedziałam zmieszana. – Czuję, że to wszystko było niewłaściwe.

– Ach tak. – Henry zerwał się z miejsca. – Panienska zdaje sobie sprawę, że wyjście za kogoś za mąż, gdy jest się w ciąży z innym, to „niewłaściwe” zachowanie. Coś takiego, Venetio. – Zaśmiał się sarkastycznie. – Jak się nad tym zastanowić, to w dużej mierze na tym opierał się twój urok: na braku sumienia. Na twojej całkowitej, nieustającej koncentracji na sobie. Zastanawiam się, jak to możliwe, że do tej pory cię nie przejrzałem. Jesteś tylko pustą skorupą, Venetio. Piękną dziewczyną bez duszy. – Podeszedł do drzwi balkonowych, spojrzął na opadające kwiaty wistarii i obłuczony bruk, i dodał cicho, jakby do siebie:

– Cieszę się, że w końcu widzę cię taką, jaka jesteś naprawdę.

Zapadła cisza; moment, w którym powinnam coś powiedzieć, obronić się jakoś, przeprosić, spróbować go ugłaskać. Ale tego nie zrobiłam. Alastair pokazał mi, że jestem istotą z krwi i kości, kryjącą się za fasadą, którą Henry’emu wydawało się, że przejrzał. Wszystko, co teraz mówił, było bez znaczenia. Nie znał mnie teraz, a być może tak naprawdę nigdy. Byłam tylko zła na siebie, że w ogóle zgodziłam się za niego wyjść, i po cichu miałam nadzieję, że ta gehenna niebawem się skończy. Byłam obolała, pękała mi głowa i czułam, jak jakiś niewidzialny zimny wiatr wdziera się do pokoju i owiewa mi szyję.

– Ale Venetio! – Henry się odwrócił. Mówił teraz całkiem innym głosem, błagalnym i pełnym rozdzierającej tęsknoty. – Czemu mi to zrobiłaś? Przecież wiesz, jak bardzo cię kocham. Znamy się od dzieciństwa. Dlaczego to zrobiłaś?

Zalała mnie fala mdłości.

– Myślałam, że nic ci nie będzie, Henry. Nie chciałam cię skrzywdzić. Wydawało mi się, że będziesz zadowolony, jeśli za ciebie wyjdę. Wiem, że zawsze tego chciałeś. Zdaję sobie sprawę, że było to dalekie od ideału, ale pomyślałam, że zapomnę o przeszłości, że zacznę wszystko od nowa. Że powiem, że szybko zaszłam w ciążę i nikt się nie dowie, że to nie twoje dziecko. Mnóstwo osób tak robi.

– Ale my to nie „mnóstwo osób”! – ryknął, ruszając w moją stronę. – Jestem odrębną jednostką, Venetio. Czasem się zastanawiam, czy kiedykolwiek to zauważałaś. – Usiadł obok mnie na sofie. – Spójrz na mnie, Venetio. Przyjrzyj mi się dobrze.

Jego głos był stanowczy i rozkazujący. Kiedy podniosłam oczy, napotkałam jego wzrok. Wyglądał inaczej niż kiedykolwiek dotąd; wydawał się otwarty i pełen życia, jakby ta chwila wydobyła z niego wszystko, co do tej pory ukrywał.

– Tak, wiem – mruknęłam.

Gdy jego oczy spotkały się z moimi, nagle się zmieniły, przymrużyły i jakby odprężyły: wściekłość ustąpiła miejsca pożądaniu.

– Venetio, tak bardzo cię pragnę. Byłem niemal gotów zignorować to dziecko i poślubić cię mimo wszystko. Staralem się zepchnąć tę wiedzę najgłębiej, jak się da, ale nie potrafiłbym żyć z czymś takim. Nienawidzę Kitty za to, że mi powiedziała. Gdyby ona wszystkiego nie zniszczyła, byłoby cudownie. Byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na Ziemi. A ty byłabyś moja. – Omiótł wygłodniałym wzrokiem moje ciało, a jego dłoń znalazła się na mojej talii. – Byłabyś moja – powtórzył. Jego ręce poruszały się błyskawicznie, przesuwały w górę i w dół, a grube, niezdarne palce miętosily moje uda. Wołałam, żeby przestał, usiłowałam odepchnąć jego dłonie, ale on dalej robił swoje, krzycząc: – Taka z ciebie dziewczyna, Venetio? To ci się podoba?

Dotarło do mnie, że muszę się stamtąd wydostać, więc zebrałam wszystkie

siły, odepchnęłam go od siebie i zerwałam się, żeby uciec z pokoju. Szybko odzyskał równowagę i ruszył za mną. Spoliczkował mnie tak mocno, że z łoskotem runęłam na podłogę.

I nagle znalazła się nade mną mama, która zaczęła wołać:

– Co tu się dzieje? Co ty wyprawiasz?

Henry w jednej chwili opanował się i zaczął przyglądać sobie włosy.

– Myślę, że powinieneś już pójść – powiedziała mama ostro, pochyliła się, dotknęła mojego czoła i pomogła mi wstać.

Henry z rozdrażnieniem zacisnął wargi.

– Owszem, mam jej już dosyć – powiedział znacząco i z zadartą głową wymaszerował z bawialni.

Smutne spojrzenie mamy spotkało się z moim. Po raz drugi tego dnia słuchałyśmy stukotu jego kroków na marmurowej posadzce w hallu i głosu służącej, która go żegnała. Rozległ się huk zatrzaszczanych drzwi, a w powietrzu zawirowały drobinki kurzu i opadły powoli niczym znikające widziadło.

Zaczęłam płakać; ból w całym ciele był nie do zniesienia, a w skroniach mi łupało. Mama pomogła mi dojść na górę, gdzie osunęłam się na łóżko.

Przez jakiś czas spałam, a potem usłyszałam krzyki papy na dole. Siedząca przy moim łóżku mama wstała cicho i przekręciła klucz w drzwiach. Widziałam, że boi się o mnie znacznie bardziej niż ja sama. Jak dla mnie mógł sobie tu wchodzić. Wiem, że wytrzymam jego złość; wszystko wytrzymam. Jestem kompletnie odrętwiała.

I tak oto zastajesz mnie tutaj, Angie; siedzę na łóżku i staram się połapać w tym całym rozpaczliwym chaosie. Mama mówi, że mam gorączkę, a ja muszę przyznać, że jestem szalenie zmęczona, więc muszę Cię pożegnać i trochę odpocząć.

Venetia

DZIENNIK PANI TILLING

Piątek, 9 sierpnia 1940 r.

Co to była za smutna noc.

Po dwunastej Kitty zastukała do frontowych drzwi. Pułkownik jej otworzył

i poszedł po mnie. Zarzuciłam stary brązowy szlafrok Harolda i zbiegłam na dół, żeby się dowiedzieć, o co chodzi.

– Z Venetią nie jest dobrze. Chyba musi pani tam iść – powiedziała cicho Kitty, a potem dodała lekko drżącym głosem: – A czy ja mogłabym tu trochę zostać?

Odparłam, że może przespać się w małym pokoju, i popędziłam do sypialni, żeby coś na siebie włożyć i zabrać torbę pielęgniarską. Potem wyruszyłam w ciemną noc. Biegłam całą drogę i dwa razy omal nie upadłam, bo moja latarka dawała tylko nikłe światło na wyboistą ścieżkę. Kiedy dotarłam do Chilbury Manor, weszłam bocznym wejściem i popędziłam na górę. Dopiero przed drzwiami przystanęłam na chwilę, żeby złapać oddech.

Zapukałam, weszłam i moje najgorsze obawy się potwierdziły – Venetia poroniła. Scena wyglądała tragicznie. Lampka przy łóżku rzuciła różowawe światło na Venetię, która zwijała się z bólu i, szlochając, krzyczała, że nigdy sobie tego nie wybaczy. W pokoju czuć było ostry zapach krwi. Pani Winthrop uwijała się przy dziewczynie, donosiła ręczniki i szmatki.

Usiadłam na łóżku obok Venetii i zaczęłam uspokajać ją cichym głosem. Równocześnie oceniałam jej stan, żeby zdecydować, co należy zrobić i czy trzeba zabrać ją do szpitala. Cięża była jeszcze na wczesnym etapie, więc Venetia przynajmniej nie musiała przechodzić przez poród. Powoli, tuż nad ranem, jej wątłe ciało usunęło pozostałości płodu.

– Wyjdzie z tego? – zapytała pani Winthrop.

– Tak – odparłam, choć wcale nie miałam pewności. Venetia była wychudzona, wyczerpana i doznała szoku. Poza tym gorączkowała i straciła dużo krwi.

– Doszło do incydentu z Henrym – ciągnęła pani Winthrop. – Dowiedział się, że jest w ciąży, i uderzył ją tak, że upadła na podłogę.

Objęłam panią Winthrop ramieniem i razem usiadłyśmy przy łóżku. Wściekłość Henry'ego była kroplą, która przepelniła czarę goryczy skrajnie wyczerpanej, wykrwawionej i stęsknionej za ukochanym Venetii. Przyglądałyśmy się jej w ciszy. Poczułam ulgę, kiedy nad ranem jej stan się ustabilizował i zapadła w lekki sen.

– Proszę teraz iść i trochę się zdrzemnąć. O ósmej muszę wracać – wyszeptałam do pani Winthrop.

– Jestem zbyt zdenerwowana, żeby spać – odparła. – Ale pójdę nam zrobić herbatę.

Kiedy wyszła, delikatnie sprawdziłam Venetii temperaturę. Po chwili pani Winthrop wróciła z tacą, na której stały herbata i flakonik fioletowych hortensji z ogrodu. Odsunęła trochę zasłony, wpuszczając do pokoju bursztynowe światło wschodzącego nad wzgórzami słońca.

Było już po wszystkim i Venetia przeżyła.

Po przebudzeniu leżała wyraźnie przygnębiona. Wbijiała wielkie, szeroko otwarte oczy w sufit. Potem je zamknęła i spod powiek popłynęły jej rześiste łzy.

– Co ja narobiłam? – szeptała od czasu do czasu. – Co ja sobie myślałam? Nie mogłabym wyjść za Henry’ego. Co ja narobiłam?

Popatrzyłyśmy z panią Winthrop po sobie. Wyglądało na to, że nastąpił moment kulminacyjny i Venetia się załamała.

Z dołu dochodził straszny harmider – brygadier zachowywał się tak, jakby kuchnia była polem bitwy. Odgłosy tłuczonych naczyń i trzaskania drzwiami kontrastowały z ciszą naszego żalobnego kącika.

Po ósmej przygnębiona ruszyłam do wioski, żeby trochę odpocząć przed porannym dyżurem. Z niewyspania bolała mnie głowa. Kiedy dotarłam do Ivy House, pułkownik właśnie wyprawiał się do Litchfield.

– Wszystko z nią w porządku? – zapytał. Nie miałam pojęcia, skąd wiedział, gdzie byłam, bo o niczym mu nie wspomniałam.

– Tak – odparłam. – Wyjdzie z tego.

– A z panią? – Stanął bardzo blisko, tak że jego zwalista postać górowała nade mną.

– Ze mną... – Zaczęłam jak zwykle odpowiadać, że w porządku, ale to nie była prawda. – Jestem zmęczona. Szczerze mówiąc, to było straszne. – Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się blado.

– To proszę iść się na chwilę położyć. – Lekko opuścił głowę. – Jestem pewny, że w szpitalu jakoś sobie bez pani poradzą.

Mogłam wypłakać się na jego potężnym ramieniu, ale próbowałam zachować się rozsądnie i stłumić łzy.

– A co z ludźmi, którzy na mnie czekają?

Przez chwilę stał i wpatrywał się we mnie, a potem wyciągnął ręce, jakby zamierzał mnie objąć. Zmienił jednak zdanie i położył je mocno na moich ramionach.

– Musi pani trochę odpocząć. Inaczej nikomu pani nie pomoże.

– Spróbuję – odparłam i odsunęłam się zażenowana nagłą bliskością. – A gdzie Kitty? Muszę jej zrobić śniadanie.

– Kitty już zrobiła śniadanie, również dla mnie. Jeśli ją pani ładnie poprosi – uśmiechnął się i uniósł jedną brew – na pewno też coś pani dostanie.

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Piątek, 9 sierpnia 1940 r.

Ostre światło dnia

Kiedy tego ranka obudziłam się, mrużąc oczy w małym pokoju na zapleczu u pani Tilling, przez kilka chwil rozpaczliwie próbowałam zebrać w całość te wszystkie straszne wydarzenia, które miały miejsce wczoraj. Mój szybki, wściekły upadek w otchłań tak głęboką, że nigdy nie będę w stanie się z niej wydostać.

Przyszłość

Papa wpadnie w furję – będę musiała opuścić dom w niełasce.

Gniew Venetii, jej nieustająca udręka.

Wstyd nie do opisania, który będzie mi towarzyszył niczym cień śmierci.

Złamane serce, przemieniające moje wnętrze w ciekłą lawę.

Zniweczone marzenia – koniec wszystkiego, co znałam i czego pragnęłam.

Zeszłam na dół, do kuchni, gdzie czekało na mnie śniadanie.

– Czy pani Tilling już wstała? – zapytałam pułkownika.

– Nie wróciła jeszcze z Chilbury Manor – odpowiedział i zaczął szukać w szafkach czegoś do jedzenia. – Spędziła tam całą noc.

– O Boże... – wymamrotałam, sięgając po owsiankę. – Na pewno chodzi o Venetię. Mam nadzieję, że wszystko z nią dobrze.

Przygotowałam herbatę i owsiankę dla pułkownika, ale nie mogłam przestać myśleć o Venetii i o tym, że to właśnie przeze mnie tak potwornie pokłóciła się z Henrym. Musiał się na nią wściec. Nie powinnam mu była mówić. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak źli ludzie mogą żyć sami ze sobą i swoimi przewinieniami. Czułam, jak poczucie winy czyha gdzieś wewnątrz mnie niczym trująca maź rozprzestrzeniająca się po całym ciele, która sprawia, że wszystko, co robię i mówię, ma żółtawo-brązowy kolor i cuchnie wymiocinami.

Pułkownik siedział przy stole z gazetą i komentował na bieżąco przeczytane wiadomości.

– A więc już oficjalnie nazwali to „bitwą o Anglię”. Niemcy bombardują nasze lotniska i fabryki.

– Doprawdy? – odpowiedziałam, wcale nie słuchając.

Zerknął na mnie, kiedy powoli mieszałam owsiankę.

– Sprawdźmy, czy piszą o czymś bardziej radosnym.

W gazetach zawsze jest kilka humorystycznych lub dobrze kończących się historyjek, które mają za zadanie podnieść ludzi na duchu. Przeczytał mi jedną z nich. Opowiadała o dowódcy cywilnej obrony przeciwlotniczej. Mężczyzna przebywał na zwolnieniu warunkowym w wiosce Upper Leigh. Pewnego razu poczuł nagle, że ktoś przyłożył mu broń do pleców. Od razu pomyślał, że napadli na niego hitlerowcy. Podniósł ręce w górę, a kiedy powoli się odwrócił, okazało się, że został zatrzymany przez olbrzymią czaplę – po ciemku nadział się na dziób ptaka.

Uśmiechnęłam się, ale mój nastrój wcale się nie poprawił. Pułkownik poklepał mnie mocno po ramieniu i wyruszył do Litchfield Park. Jestem pewna, że gdyby usłyszał, co się wydarzyło, wcale nie byłby taki miły.

Zajęłam się sprzątaniami kuchni i usłyszałam, że pani Tilling wróciła. Rozmawiała cicho z pułkownikiem na korytarzu, a później usłyszałam, jak drzwi wejściowe zamykają się za mężczyzną.

– Dzień dobry – przywitała mnie pani Tilling, wchodząc do kuchni. – Pułkownik powiedział mi, że zrobiłaś mu śniadanie. Bardzo miło z twojej strony. Zagotuj wodę w czajniku i porozmawiamy sobie trochę.

– Czy wszystko z nią dobrze? – wyrzuciłam z siebie, napełniając czajnik wodą.

– Dojdzie do siebie – odpowiedziała pani Tilling, a ja odetchnęłam z ulgą.
– Ale straciła dziecko.

Wiedziałam, co to oznacza. Wiedziałam też, że to, co powiedziałam Henry'emu, było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowała, gwoździem do trumny. Od czasu nalotu była taka osłabiona. Runęłam na krzesło, oparłam ręce na stole i schowałam w nich głowę.

– To wszystko moja wina.

– Nie Kitty, to nie twoja wina – odpowiedziała pani Tilling i przytuliła mnie.

– Henry powinien brać odpowiedzialność za swoje czyny, chociaż mówienie mu o tym raczej nie pomogło. Potworna sytuacja, która przerosła twoją siostrę.

Bezskutecznie próbowałam powstrzymać łzy. Biedna pani Tilling miała tyle na głowie i jestem przekonana, że irytująca skarżypyta wyplakująca się jej na ramieniu była ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowała. Ale za każdym razem, kiedy przestawałam szlochać, łzy wzbierały kolejną falą. Moje życie wydawało się serią następujących po sobie koszmarnych zdarzeń.

Pani Tilling pogładziła mnie po plecach.

– Wszyscy musimy pamiętać o tym, że jesteś jeszcze młoda i wiele musisz się w życiu nauczyć. Henry nie powinien dopuścić do tego, żebyś myślała, że chce

się z tobą ożenić. Ale nie chodzi tylko o to. Twoja mama powinna była porozmawiać z tobą o ciąży Venetii, zamiast udawać, że nic się nie stało. Venetia nie powinna przyjąć oświadczeń i oszukać Henry'ego. Twój tata nie powinien wywierać na Venetię presji odnośnie do Henry'ego. Henry nie powinien uderzyć Venetii. Slater nie powinien zniknąć, zostawiając Venetię ze złamanym sercem. To wszystko jeden wielki bałagan. Nie możesz brać na siebie całej odpowiedzialności za to, co się stało.

– Ale dlaczego Henry kocha ją, kiedy mógłby kochać mnie? Przecież to ja chcę go poślubić. Dlaczego ludzie nie kochają tych, którzy obdarzają ich miłością? Dlaczego każdy kocha niewłaściwą osobę?

– Kitty, spójrz na mnie – powiedziała pani Tilling. Podniosłam zapuchniętą twarz. – Dorastanie to trudna rzecz. Nie mamy wpływu na to, w kim się zakochujemy, ani na to, kto zakochuje się w nas. Cokolwiek wydarzy się w twoim życiu, musisz pamiętać, że nie możesz zmienić tego, jakie uczucia żywią do ciebie inni. Miłość to bardzo dziwna emocja i nierzadko bardzo mało ma wspólnego ze zdrowym rozsądkiem. Czasem jest ciepło i przyjemnie, jakbyś otulała się grubym kocem, a innym razem uczucie uderza w ciebie z taką siłą, że nic nie możesz zrobić. – Pani Tilling umilkła na moment. Rozmyślała nad czymś, ale po chwili wróciła do rozmowy. – Henry na pewno kocha cię jak siostrę, ale do Venetii czuje zupełnie inny rodzaj miłości.

– Ale ja wiem, co to znaczy być zakochaną! – załkałam. – Niech pani mi nie mówi, że to, co czuję, jest nieprawdziwe!

– Oczywiście, że jest prawdziwe, Kitty. – Przytuliła mnie znowu. – Bardzo prawdziwe.

Nie mogłam przestać płakać. Wszystko zrujnowałam. Venetia mnie znienawidzi, a Henry już nigdy nie pokocha. Zniknie z mojego życia.

– Znajdziesz sobie kogoś nowego – kontynuowała pani Tilling.

– Wcale nie. – Potrząsnęłam głową. – Nigdy nikogo sobie nie znajdę. A już na pewno nie kogoś takiego jak Henry. Nikt nie jest taki przystojny i zabawny, nikt nie patrzy na mnie tak jak on! Kiedy się zjawia, to tak, jakby zaświeciło słońce. Wszystko, co złe we mnie, w wiosce, w kraju, na całym świecie, przestaje być złe. Wszystko jest wtedy idealne, wspaniałe, niebiańskie! – Otworzyłam usta, żeby nabrać powietrza przed kolejnym napadem płaczu, i schowałam głowę w dłoniach. – Już nie będzie niebiańsko. Nigdy. Henry'ego nie ma. Wszystko znowu będzie złe. Zawsze. I nie zniknie.

Jeszcze długo po tym, jak pani Tilling wyszła do szpitala, siedziałam przy stole. Późnym popołudniem postanowiłam, że muszę się przejść, więc wyruszyłam w bliżej nieokreślonym kierunku. W trakcie spaceru zorientowałam się, że zmierzam w stronę domu. Dręczyła mnie potrzeba rozmowy z Venetią. Im bliżej celu byłam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że właśnie tak

powinnam postąpić. Czuję, że muszę ją przeprosić.

Ale czy Venetia kiedykolwiek mi wybaczy?

Kiedy otwierałam boczne drzwi, nagle uświadomiłam sobie, że zapomniałam o swoim największym przeciwniku. Papie. Jeśli mnie zobaczy, zabije mnie. Cały gniew na swoją kochaną Venetię, jaki w sobie nosił, przeleje właśnie na mnie. W końcu byłam najmłodszą, najbardziej bezbronną, najczęstszą ofiarą jego wybuchów złości. Dlaczego więc miałby zmieniać ten życiowy nawyk? Gwałtowny huragan odwetu będzie we mnie uderzał dopóty, dopóki nie zostanie nic prócz wszechobecnej ciszy zmiażdżonej duszy.

Wzdrygnęłam się ze strachu, idąc powoli w stronę tylnych schodów. W domu panowała cisza, a na korytarzu pobrzmiwał dźwięk tykania zegara. Bezszelestnie wślizgnęłam się na schody i delikatnie zapukałam do pokoju Venetii. Otworzyła pani Tilling, która przyszła do nas prosto po porannym dyżurze.

– Kitty – wyszeptła. – Co ty tutaj robisz?

– Muszę porozmawiać z Venetią.

– A co, jeśli twój ojciec cię tutaj zobaczy? – powiedziała zaniepokojona i wciągnęła mnie do ciemnego pokoju.

– Muszę zobaczyć się z Venetią. – Rozejrzałam się wokół. Zastony były zaciągnięte i tylko mała lampka nocna – ta fioletowa, należąca do Venetii – rzucała na pokój sine światło. Pomieszczenie było posprzątane, zniknęły leżące tu zazwyczaj śmieci, porozrzucone ubrania, rozlane perfumy, książki i pudełka na biżuterię. Nawet sterylnie czysta toaletka czekała na nowe jutro.

Venetia poruszyła się w łóżku. Pani Tilling podeszła do niej i wyjaśniła, że tu jestem i że przygotowuje dla nas herbatę.

– Pozwól jej się powoli dobudzić, Kitty – usłyszałam. – I pamiętaj, co się stało. To nie ty zaprzątasz teraz głównie jej myśli. Nie złość się na nią, kiedy będzie się na ciebie gniewała.

Stałam w tym samym miejscu jeszcze kilka minut po tym, jak pani Tilling wyszła.

– Chodź Kitty, usiądź tutaj – dobiegł mnie słaby głos dochodzący z łóżka.

Podeszłam do niego i usiadłam.

– Venetio, tak bardzo mi przykro. Nie potrafię opisać tego, jak okropnie się czuję. Zachowałam się strasznie. Wszystko wiem, nic nie musisz mówić. Wiem, że Henry był w tobie zakochany i że chciałaś dobrze dla wszystkich. Teraz to wiem, ale wczoraj nie byłam tego świadoma, przepraszam.

Venetia leżała nieruchomo na łóżku, a ja zastanawiałam się, czy ma wystarczająco dużo sił na tę rozmowę. Jej otumanione oczy spoglądały w moje i zaszkliły się albo za sprawą zadumy, albo gorączki. Nie miałam pojęcia, o czym myśli.

– Wiesz, w pierwszej chwili, gdy dowiedziałam się, że powiedziałaś

wszystko Henry'emu, znenawidziłam cię – rzekła Venetia ochryłym głosem. – Ale potem uświadomiłam sobie, że to wcale nie było takie złe. Wiem, że nie chciałaś, żeby tak wyszło. Tak czy owak, teraz wiemy, że Henry to zły człowiek, okrutny, nieczuły mężczyzna, pomimo tego jak dobrze wygląda. Zasługujesz na kogoś lepszego, Kitty.

Nie powiedziałam ani słowa. Wpatrywałam się jedynie w siostrę. Jej twarz była wychudzona. Posklejane włosy przylegały jej do buzi i zwisały do ramion. Pomimo tego, że ktoś spryskał pokój wodą lawendową, nie udało się zatuszować zapachu czegoś złego, być może krwi. Łóżko było mokre od potu i łez. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam.

Zaczęłam płakać.

Drzwi się otworzyły i do pokoju wbiegła pani Tilling.

– Kitty, musisz stąd iść. Twój ojciec jest w domu i wie, że przyszłaś. Widział cię na podjeździe, kiedy parkował. – Złapała mnie za ramię i pociągnęła do góry. – No już, zmykaj. Ojciec grozi, że spierze cię na kwaśne jabłko.

Pani Tilling wypchnęła mnie z pokoju, a ja zbiegłam po schodach najciszej, jak potrafiłam. Tuż przed chwyceniem barierki czułam, że serce wali mi jak oszalałe i że ze zdenerwowania cała się trzęsę. Zeszłam na dół i przyłgnęłam do ściany, żeby upewnić się, że droga jest wolna. Miałam przed sobą najniebezpieczniejszy fragment przeprawy – pokonanie tylnej części korytarza prowadzącej do kuchni, czyli minięcie gabinetu taty.

Drzwi do pomieszczenia były uchylone i ze środka dobiegały jakieś dźwięki. Nie mogłam tam zajrzeć, ale po szeleście, jaki słyszałam, wywnioskowałam, że jest w środku i przegląda dokumenty. Postawiłam na prędkość i cicho policzyłam: raz, dwa, trzy, a następnie rzuciłam się biegiem po marmurowej podłodze. W całym tym pośpiechu stopa wykręciła mi się na bok i runęłam na podłogę. Próbowałam się podnieść i biec dalej przed siebie, ale zorientowałam się, że drogę zastąpił mi agresywny i nieobliczalny mężczyzna – mój ojciec.

Na mój widok rzucił się w dół, a jego purpurową twarz wykrzywił grymas wściekłości. Wyciągnął ręce w kierunku mojego gardła, jakby chciał mnie udusić. Cofnęłam się przerażona, potykając się o własne nogi.

– Nasza mała zdrajczyni! – wrzasnął. – Musimy porozmawiać. – Złapał mnie za ramię, zaciągnął do gabinetu i postawił na podłodze na wprost swojego biurka. – Chcę dokładnie wiedzieć, dlaczego próbujesz zrujnować dobre imię naszej rodziny. – Podeszedł do biurka z drugiej strony i wziął do ręki swój pejcz, a potem ruszył w stronę miejsca, w którym przykucnęłam, rytmicznie uderzając szpicrutą o swoje buty. Słyszałam ten odgłos z każdym jego krokiem. Świst, trzask. Świst, trzask. Świst, trzask.

– Nie, proszę – wybelkotałam przerażona. Pamiętam, jak raz tatuś prawie zatłukł szpicrutą konia na śmierć – musieli go potem uśpić – i szczerze mówiąc, nie

widziałam dla siebie żadnych szans. – Porozmawiajmy, proszę. Pozwól mi się wytłumaczyć. Przestań!

Ale tata już zaczął swoje. Nie patrząc, gdzie uderza, bez szczególnej finezji, smagał mnie biczem najmocniej, jak mógł. Skuliłam się tak, że cała siła uderzenia spadała na moje ramiona i plecy. Czułam, jak rozrywa mi się sukienka, krzywiłam się z bólu, gdy pejcz przecinał materiał, a potem moją skórę. Struzka krwi pociekła mi po plecach, mieszając się z potem. Nie mogłam powstrzymać łez. Łkałam, krzyczałam, wyłam z bólu, nie wiedziałam, co robić. Za każdym razem, kiedy próbowałam się podnieść, czułam but, który przygniatał mnie do podłogi. Byłam zdana tylko na łaskę swojego oprawcy. Spróbowałam doczołgać się do jego nogi, złapać za kostkę i błagać, by przestał, ale odepchnął mnie rozjuszony.

– Ty bezwartościowy – trzask – zakłamaný – trzask – kapryśny – trzask – żalony – trzask – bachorze.

I wtedy usłyszałam głos kogoś innego.

– Brygadierze, co pan wyprawia? Proszę natychmiast odłożyć ten pejcz. – Na początku trudno było mi rozpoznać, kto wszedł do pokoju. Ton, którym mówiła ta osoba, tak bardzo różnił się od jej codziennego miękkiego głosu. Dzisiaj zabrzmiał głośno, stanowczo, choć spokojnie. Silna kobieta.

Pani Tilling. Stała w otwartych drzwiach. Wyprostowana, pewna siebie, przypominająca zniesmaczoną panią dyrektor, która natknęła się na niegrzecznego uczniaka.

– Wynocha, ty wścibskie babsko! – zapienił się ojciec. – To nie ma z tobą nic wspólnego.

– Myślę, że jednak ma – odpowiedziała krótko pani Tilling.

Nastąpiła chwila ciszy. Papa odwrócił się, ja też, i zobaczyłam panią Tilling: najdelikatniejszą i najpotulniejszą ze znanych mi osób, ostrożnie zamykającą drzwi i wykonującą zdecydowany krok naprzód.

– O czym ty mówisz, kobieto?! – wrzasnął tato, zbliżając się do pani Tilling. Bicz uderzał groźnie o jego nogę.

– Niech pan ze mną nie zadziera, brygadierze – odparła ostro pani Tilling. – Nie chce pan mieć wroga w kimś, kto wie tak dużo o pana życiu i pana niemoralnym czynie – wyrzucała z siebie słowa gwałtownie, jak sprawna maszyna do szycia, którą obszywa się rąbek materiału.

Papa zatrzymał się, na jego twarzy ciągle malowała się wściekłość.

Słowo „zdziwiona” nie oddaje tego, jak się czułam. Jeszcze nigdy w życiu nie słyszałam, żeby pani Tilling postawiła się komukolwiek, o moim tacie nie wspominając. Teraz, kiedy byłam w potrzebie, znalazła w sobie na tyle siły – to coś! – żeby wejść do gabinetu taty i uratować mi życie. Chciałam pobiec i paść jej w ramiona pełna miłości i wdzięczności, a zaraz potem ostrzec ją, że powinniśmy jak najszybciej się stąd wynosić.

– Niech pani nawet nie próbuje mi grozić – parsknął. – Nic pani nie wie.
– Zmrużył groźnie oczy.

– Wcale się pana nie boję, brygadierze. – Pani Tilling wciąż niewzruszenie stała w tym samym miejscu, wyprostowana i opanowana, tak jakby wstąpiła w nią nowa siła i poczucie sprawiedliwości. – Wiem wystarczająco dużo, żeby uruchomić całe śledztwo. Tego właśnie pan chce? – wypowiadała powoli każde słowo. – Wystarczy jeden krótki telefon.

– Proszę dać sobie spokój z tymi gierkami – rozkazał tata. – Nie ma pani pojęcia, w co się pani pakuje. Byłoby niezwykle nieodpowiedzialnie z pani strony zaprzętać sobie tym głowę, narażać naszą małą społeczność na szwank, dobić nas w środku tej okrutnej wojny.

Tata potrafi być niezwykle przerażający, kiedy wpada w ten nastrój, dlatego przez chwilę obawiałam się, że pani Tilling wycofa się i opuści pokój, a tortura zadawana pejcem momentalnie zacznie się na nowo.

Ale pani Tilling wciąż stała w tym samym miejscu. Zobaczyłam nawet cień uśmiechu na jej twarzy. Takiego nieśmiałego, delikatnego uśmiechu, jaki można dostrzec na turnieju szachów u kogoś, kto wie, że wygra dużo wcześniej niż reszta.

– Nie tym tonem, brygadierze. – Pani Tilling zrobiła dwa kroki w kierunku papy, stali już bardzo blisko siebie. – Nie ma żadnego powodu, dla którego miałabym się pana bać. – Delikatnie strzepnęła pyłek z jego ramienia. Był to potępiający, pogardliwy gest. – Wprost przeciwnie, zapewniam pana.

Papa był wyraźnie zaniepokojony. Cofnął się o krok i rozejrzał po pokoju tak, jakby szukał w nim jakiejś inspiracji, jakiegoś niepodważalnego argumentu. Zmarszczył brwi, jego oczy pociemniały, a kąciki wąskich ust opadły. Przypominał sztubaka, któremu ktoś pokrzyżował plany.

Cofnęłam się jeszcze bardziej w kąt pokoju. Pani Tilling nie tylko postawiła się tacie. Ona miała na niego jakiś haczyk. Nie byłam pewna, jak na to zareaguje. Nawet w swoich najlepszych momentach tata nie lubi kobiet; ledwie toleruje mamę, mnie i Venetię. Co takiego wiedziała pani Tilling, że mogło go to zmusić do poddania się? Papa jak do tej pory jeszcze nigdy nie przyznał się do porażki. Ani razu pośród wielu różnych walk. Nawet pani B. obchodziła się z nim jak z jajkiem, a przecież wszyscy wiemy, jak bezwzględna potrafi być.

Pani Tilling skinęła w moim kierunku, dając mi do zrozumienia, żebym podniosła się z ziemi.

Wstałam niepewnie, spojrzałam na ciemne kropelki krwi na parkiecie i spróbowałam wygładzić rozdartą sukienkę i poprawić włosy.

– A teraz, proszę, przepros – zwróciła się pani Tilling ze spokojem do papy.

– Przepros, Kitty! – wrzasnęła na mnie papa.

– To nie ona ma przeprosić! – krzyknęła (tak, pani Tilling krzyczała). – To pan ma powiedzieć, że ją przeprosza. Ta dziewczyna ma trzynaście lat, a pan

maltretuje ją szpicrutą. Powinien się pan wstydzić.

– Doprawdy, proszę pani, nie widzę, dlaczego...

– Przepróż – w oczach pani Tilling było coś, czego nie widziałam nigdy wcześniej; jak u Temidy, która kładzie na szali czyjeś uczynki i stwierdza, że zasłużył na karę.

– Wybacz Kitty, pani Tilling najwyraźniej postradła zmysły – powiedział papa lekko zmieszany.

– Niech pan nie przeprasza za moje czyny. Bóg jeden raczy wiedzieć, do czego jestem zdolna, jeśli zajdzie taka potrzeba. Przepróż za to, że ją biczowałeś.

– Przepraszam, Kitty – wyrzucił z siebie papa. Zacisnął mocno pięści, wściekły, nie patrząc na żadną z nas. – Myślę, że powinnaś już pójść, Kitty. Pani już chyba też wystarczająco dzisiaj zrobiła – powiedział ostro.

– O nie. – Kobieta zbliżyła się do mnie, przytuliła i odprowadziła mnie w stronę drzwi. – Myślę, że pańska rodzina ma dość tej tyranii. Te kobiety latami znosiły wszystkie okrucieństwa z pana strony. Nie widzę powodu, dla którego miałyby to robić choćby minutę dłużej. – Zatrzymała się nagle i odwróciła w stronę papy, wskazując palcem na okno. – Tam toczy się wojna. Prawdziwa wojna. Ludzie giną w obronie naszej ukochanej ojczyzny, a jedyne co pan potrafi zrobić, to zmuszać swoje dzieci do posłuszeństwa przemocą. Ale to się już więcej nie powtórzy. Zrozumiano? – Odwróciła się do mnie: – Idź i doprowadź się do porządku, Kitty. Ojciec już nigdy więcej nie będzie ci groził. A jeśli to robi, masz mi o tym natychmiast powiedzieć. – Pani Tilling popatrzyła na papę i upewniła się, że zrozumiał jej słowa.

Kiwnęłam głową i szybko wybiegłam z pokoju, wstrzymując oddech. Przeskakiwałam schody co dwa stopnie i jak burza wpadłam do pokoju Venetii, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

– Kitty, słyszałam krzyki. Co się stało? – wyszeptęła.

Pokazałam jej swoje plecy.

– O nie, znowu – westchnęła i skinęła, żebym wzięła z toaletki myjkę.

Przyniosłam miskę wody i myjkę, zwilżyłam ją i usiadłam na łóżku obok siostry, tak żeby mogła się podeprzeć i przemyć mi rany. Widok był godny pożałowania – jedna ofiara pomagająca drugiej. Ale było w tym coś zwyczajnego – jak gdybyśmy z natury były swoimi sprzymierzeńcami.

Opowiedziałam Venetii o rozgrywce, której przed chwilą byłam świadkiem.

– Kto by pomyślał, że pani Tilling jest do tego zdolna! – wykrzyknęła zdumiona Venetia. – Ciekawe, co wie.

– Może papa ma romans? – odpowiedziałam. – Chociaż trudno byłoby mi uwierzyć w to, że tak bardzo martwiłaby go konieczność utrzymania go w tajemnicy – nie szanuje mamy praktycznie wcale. A może ma to związek z kupowaniem na czarno gazu od tego mężczyzny w Chartham? Nie, jego status

i znajomości w armii na pewno unieważniłyby każde wykroczenie. Twierdzi, że wszyscy tak robią. To musi być coś innego. Coś znacznie gorszego.

– Tak, to na pewno coś gorszego. – Umilkła na chwilę, ostrożnie dotykając gąbką moich ran, podczas gdy ja krzywiłam się przy każdym jej ruchu. – Pani Tilling jest ostatnio taka odmieniona. Zupełnie jakby odkryła, że jest w niej coś więcej.

– To ta wojna – odparłam. – Każdego ustawia na innej pozycji, nie sądzisz?

– Zgadza się – odpowiedziała cicho Venetia, uśmiechając się delikatnie.

– Teraz to my, kobiety, przejmujemy dowodzenie – dodała już swoim dawnym, nonszalanckim tonem. – Chilburyjski Chór Żeński zawładnie światem!

Przy całym bólu, jaki odczuwałam, kiedy Venetia obmywała mi rany, twarz rozpromienił mi szeroki uśmiech, bo pomimo wszystkich groźnych hałasów w tle i otaczającej nas ciemności coś w głębi duszy mówiło mi, że wszystko będzie dobrze.

**LIST OD ELSIE COCKER DO PORUCZNIKA LOTNICTWA
HENRY'EGO BRAMPTON-BOYDA**

Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Sobota, 10 sierpnia 1940 r.

Kochany Henry!

Mam ochotę tańczyć z radości, bo uczyniłeś mnie najszczęśliwszą dziewczyną w całej Anglii. Tak mi dobrze i błogo ze świadomością, że teraz jestem Twoja. Kiedy przypominam sobie to popołudnie, kiedy odprowadziłam Cię do domu, po tym jak wyszedłeś z Chilbury Manor, a Ty otrząsnąłeś się z tej strasznej złości tam w szopie w lasku, aż trudno mi uwierzyć, że naprawdę spotkało mnie takie szczęście. I cokolwiek by się działo, wiem, że myślisz o mnie i czekasz, aż znów będziemy razem, kiedy wreszcie skończy się ta głupia wojna.

Dlatego złożyłam wymówienie w Chilbury Manor, tak jak mi powiedziałeś. Myślałam, że zapytają mnie, co zamierzam robić dalej, ale wygląda na to, że nic ich to nie obchodzi. Nawet lepiej, bo nie wiedziałam, jak zareagowaliby na wiadomość, że Ty i ja mamy się pobrać. Brygadier jest tak staroświecki, że chyba dostałby zawału serca, gdyby usłyszał, że służąca wychodzi za takiego wielkiego pana. To by dopiero było!

W tej chwili nie wiem jeszcze, dokąd pójdę. Mam zostać do końca okresu wypowiedzenia, a potem będę musiała się wyprowadzić. W zasadzie postanowiłam już, że zapytam Twoją matkę, czy mogę zamieszkać u niej, skoro teraz jesteśmy razem. Wiem, że nie będzie zachwycona pomysłem naszego ślubu, ale w końcu się przyzwyczai. Pomyślałam, że może mógłbyś napisać do niej list, żeby opowiedzieć o nas i spytać, czy mogę się do niej przenieść.

Na razie to wszystko, najdroższy. Cały czas myślę o Tobie i o naszym uroczym popołudniu. Proszę, napisz prędko.

Z wyrazami miłości,

Elsie

LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY

Szpital Litchfieldzki,

Litchfield,

hrabstwo Kent

Sobota, 10 sierpnia 1940 r.

Kochana Claro!

Mam szczęście, że żyję! Choć czuję, że to nie potrwa długo. Jestem przerażona, Claro. Przerażona tak, że nie potrafię znaleźć wyjścia z tej sytuacji.

Rano odwiedził mnie brygadier, toczył pianę z ust jak jadowita ropucha. Ubrany był jak zwykle w mundur, obwieszony medalami i atrybutami ogłaszającymi światu, kto tu rządzi. Zawsze gotowy do walki. Rozejrzał się po sali, wzbudzając niepokój wszystkich kobiet. Dostrzegł mnie, choć starałam się ukryć pod kocami. Podszedł do mojego łóżka i stanął nade mną, dysząc z wściekłości, miał twarz czerwoną jak burak. Żyłki na szyi i skroniach pulsowały mu jak wijące się węże.

– Co powiedziałaś pani Tilling? – ryknął. – Powinienem był się domyślić, że spartaczysz. Wpakujesz nas w kłopoty przez swoją kompletną głupotę. Nie powinienem był nigdy ufać kobiecie. – Pochylił się w moją stronę, opierając pięściami na łóżku. Zawisł tuż nade mną, dyszał, a z jego ust wydobywał się smród zepsutego mięsa albo rozkładającej się padliny.

– Nic jej nie powiedziałam, głupcze – syknęłam cicho, tłumiąc złość. – Po prostu się domyśliła.

– Jak mogła się domyślić?! – wrzasnęła, wstając i opierając ręce na biodrach, w pozie bezwzględny tyrana. – Jak mogła się domyślić, jeśli nie przez twoje zaniedbanie?

W odpowiedzi spojrzałam na pielęgniarkę siedzącą przy swoim stoliku,

żywo zainteresowaną naszą dyskusją.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęłam się wesoło i pomachałam do niej.

Zniżył głos do ostrego szeptu.

– Jak pani Tilling się domyśliła, skoro nie zostawiłaś żadnych śladów?

– Dziewczynka jest wierną kopią Venetii – powiedziałam zgodnie z prawdą.

– Drugie dziecko jest podobne do Hattie. Pozostałe części układanki po prostu pasują. Domyśliła się przypadkiem.

– Wie zbyt wiele, żebyśmy uwierzył, że to przypadek.

– Nie ma dowodów i nie wyobrażam sobie, jak mogłaby je zdobyć inaczej, niż od któregoś z nas.

Zapadła cisza. Spojrzał na swoje dłonie, różowe i szorstkie, przypominające wysuszone morskie stworzenie, pełznącego małża pozbawionego muszli, skazanego na wyschnięcie. Nagle odwrócił się i usiadł ciężko na łóżku jakby pokonany.

– Próbuje mnie zastraszyć – wyszeptał.

– Może łapówka? – zapytałam cicho.

– Nie zniżyłaby się do tego. Twój zwyrodniały umysł nie mógł podpowiedzieć ci niczego innego! – burknął w złości. – Ujawnienie prawdy.

– Spojrzał na gęste chmury za oknem, zapowiadające deszcz. – Więzienie.

– Musimy wszystkiego się wyprzeć i do niczego nie przyznawać – odpowiedziałam ostro. – Nikt nie ma żadnego dowodu dopóty, dopóki któreś z nas się przyzna. Musimy trzymać się razem – mówiąc to, zwróciłam się do pielęgniarki. – Mój towarzysz właśnie wychodzi, a ja potrzebuję pomocy z nogą – powiedziałam spokojnie i siostra podeszła posłusznie, by zobaczyć, czego mi trzeba.

Brygadier wstał energicznie i rzucił mi zdeglustowane spojrzenie.

– Nie ma nic gorszego, niż być skazanym na takich jak ty. Tylko czekaj, aż stąd wyjdiesz, panno Paltry. – I dodał groźnie: – Czekaj cię poważna rozmowa na ten temat. – Po tych słowach obrócił się na pięcie, burknął coś na pożegnanie do mnie i pielęgniarki i wyszedł pewnym krokiem.

Osunęłam się ciężko na poduszkę, jakby lecąc z wysokiego klifu prosto w morze najeżone skałami.

Jedyny plan, jaki mam, to zniknąć, gdy tylko moje biodro wyzdrowieje i wypuszczą mnie ze szpitala. Najpierw będę musiała udać się do Chilbury, spróbować odzyskać pieniądze od Ralpa Gibbisa. Nie będzie łatwo, ale mam swoje sposoby, Claro, a w zaistniałej sytuacji jestem wystarczająco zdesperowana, by wytargować połowę. Potem pojedę do Birnham Wood, by spotkać się z Tobą. To wszystko jednak nie wzbudza we mnie radości, będę szczęśliwa, jeśli przeżyję. Boże, jaka jestem wściekła, że się w to wplątałam. Tak bym chciała nie mieć z tym nic wspólnego.

Módl się za mnie, Claro, żebym chociaż wyszła z tego wszystkiego w jednym kawałku.

Edwina

**LIST OD PORUCZNIKA LOTNICTWA HENRY'EGO
BRAMPTON-BOYDA DO ELSIE COCKER**

Baza Lotnicza 9463, Daws Hill,

hrabstwo Buckinghamshire

Poniedziałek, 12 sierpnia 1940 r.

Moja Droga!

Cóż za niespodzianka, doprawdy. Twój list zaskoczył mnie zarówno przez sam fakt, że go napisałaś, jak i ze względu na niepokojącą treść. Obawiam się, że

mogłaś opacznie zrozumieć moje uczucia do Ciebie oraz charakter naszych stosunków; pozwól więc, że wyprowadzę Cię z błędu.

Po pierwsze, „nasze uroczę popołudnie”, o którym wspominasz, to nic więcej jak jedno uroczę popołudnia. Ze swej strony nie zakładałem, że pociągnie za sobą kolejne uroczę popołudnia. W gruncie rzeczy na tym właśnie polegał jego urok: było jednorazową ucieczką od szarej rzeczywistości. Jeśli wspomniałem coś o zmianie zajęcia, było to jedynie wyrazem zatroskania sytuacją w kraju, który coraz bardziej potrzebuje, by także kobiety włączały się w wysiłek wojenny. Czy nie byłoby właściwiej, gdybyś odbyła szkolenie dla pielęgniarek albo dołączyła do innych oddziałów, zamiast trwonić energię jako służąca w cywilnym domu?

Poza tym w związku z powyższym nie widzę potrzeby, byś kontaktowała się z moją matką. Muszę dodać, że w razie gdybyś postanowiła zlekceważyć moje ostrzeżenie, niewątpliwie wzbudzisz jej gniew, stawiając się w ten sposób w kłopotliwej sytuacji i narażając swoją pozycję w wiejskiej społeczności.

Życzę Ci powodzenia przy wyborze nowego zajęcia.

Z poważaniem,

porucznik lotnictwa Brampton-Boyd

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL

Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Poniedziałek, 12 sierpnia 1940 r.

Kochana Angelo!

Czy to nie dziwne, że w jednej chwili dzieją się rzeczy doniosłe – katastrofa, choroba, śmierć – a zaledwie tydzień czy dwa później wydaje się, że wszystko wróciło do normy? Dziś pierwszy raz po przerwie poszłam do pracy: dojechałam do Litchfield autobusem o siódmej czterdzieści, minęłam budkę telefoniczną na rogu, te same twarze, te same chmury nad głową. Skierowałam się do naszego starego biura. Na miejscu była już Elizabeth, która robiła herbatę i podała mi ją w tej samej wyszczerbionej filiżance co zawsze. Usiadłam przy swoim biurku i zaczęłam przeglądać papiery. Nie było mnie tutaj raptem kilka tygodni, a mam wrażenie, jakby minęła wieczność. A właściwie jakbym ja była zupełnie inną osobą. Dawna Venetia odeszła, a na jej miejsce pojawił się ktoś nowy, kto wygląda jak Venetia i pamięta, jak się wykonuje jej obowiązki, jednak wcale nie jest tą samą osobą.

Nikt nie wie, co mnie spotkało, poza pułkownikiem Mallardem, który przyszedł zapytać, jak się miewam; to było naprawdę ujmujące. Wszyscy wiedzą, że uratowałam dziecko z pożaru, bo pisano o tym w gazetach. Nie wiedzą natomiast, że straciłam własne dziecko. Wzdrygam się za każdym razem, kiedy kolejna osoba podchodzi, żeby mi pogratulować. „Wspaniale się spisałaś z tym dzieckiem!”, mówią albo: „Teraz pewnie nabrałaś chęci, żeby mieć własne!”. Wiem, że mówią to w dobrej wierze, ale zaczęło mnie irytować, że co chwila muszę biec do łazienki, żeby sprawdzić, czy tusz mi się nie rozmazał.

Po pracy pułkownik Mallard podwiózł mnie do Chilbury, a ja zajrzałam do pani Tilling, żeby przywitać się z nią i małą Rose. Jest tak słodka, pulchniutka i roześmiana, że natychmiast mam ochotę ją przytulić. Czasami pani Tilling pozwala mi ją nakarmić.

– Chcę pomóc w opiece nad małą, jestem to winna Hattie – powiedziałam, kołysząc Rose w ramionach.

– O tak, rozumiem – odparła pani Tilling z uśmiechem, a ja oblałam się rumieńcem na wspomnienie tego, jaka kiedyś byłam samolubna i oschła – zwłaszcza wobec Hattie.

– Pewnie mogłam być lepszą przyjaciółką dla Hattie, ale teraz mogę chociaż pomóc jej córeczce.

– Będiesz miała ku temu więcej okazji, bo twoja mama zgodziła się wziąć ją do czasu powrotu Victora. Rose będzie mieszkać z wami w Chilbury Manor.

Rozpromieniłam się i z całej siły przytuliłam do siebie małą. Ale zaraz pojawiła się inna myśl.

– A co z papą?

– Wszystko w porządku, Venetio. Nie musisz się już więcej nim przejmować.

Przypomniały mi się słowa Kitty o tym, że pani Tilling coś wie. Dobra nasza!

Uszczęśliwiona jeszcze raz uściskałam Rose. Ma się do nas sprowadzić w piątek, a ja będę mogła karmić ją co wieczór.

W Chilbury Manor panuje ostatnio nietypowy spokój. Kitty wciąż ma okropne wyrzuty sumienia i zachowuje się wyjątkowo miło. Papy prawie nie ma w domu – poświęcił się bez reszty bronieniu Chilbury przed hitlerowcami. Swój choleryczny temperament wyładowuje co drugi dzień na spotkaniu Chilburyjskiej Obrony Cywilnej. To dla nas prawdziwa ulga.

Mama kazała mi się położyć, gdy tylko wróciłam z pracy. W końcu dotarło do niej, że może zostawić małego Lawrence'a z nianią i że naprawdę nic mu nie będzie. Po kolacji Kitty i Silvie postanowiły przynieść do mojej sypialni gramofon, żebyśmy trochę się rozweseliły. Słuchałyśmy płyt, które Prim pożyczyła Kitty przed bombardowaniem. Kitty chciała oddać je siostronom naszej dyrygentki, kiedy przyjechały po jej rzeczy – a właściwie to, co z nich zostało – ale siostry powiedziały, żebyśmy zatrzymały płyty i przez wzgląd na Prim czerpały z nich jak największą radość.

Tego wieczora było tak miło i przytulnie: siedziałyśmy sobie we czwórkę i przeglądałyśmy płyty – jest ich chyba ze czterdzieści, a wiele pochodzi z Ameryki. Mama przyniosła imbryk z herbatą, a ja miałam ciasteczka z pracy, więc urządziliśmy sobie małe przyjęcie.

– To moja ulubiona. – Kitty wyjęła płytę z opakowania. – Prim mówiła mi, że ona też ją bardzo lubi, więc mam nadzieję, że spogląda teraz na nas z góry i słucha jej razem z nami.

– Co to takiego? – spytała mama.

– Zaraz się przekonasz – odparła moja siostra, podnosząc igłę.

Po chwili trzasków popłynęła muzyka. Zespół grał szybki amerykański numer, całkiem zabawny. Kitty i Silvie najwyraźniej słuchały go już wcześniej, bo znały wszystkie słowa.

– *Keep young and beautiful* – podśpiewywały, paradując po pokoju. Kitty złapała ściereczkę i zaczęła udawać, że to boa z piór.

Była to doprawdy znakomita rozrywka, wszystkie cztery pękałyśmy ze śmiechu. Potem ja znalazłam płytę z *Blue Moon* i ją nastawiłyśmy. Śpiewały jakieś siostry z Ameryki. Dołączyłyśmy do nich, a Kitty zawtórowała jako drugi głos. Mówię Ci, co za magiczna piosenka.

Mama wybrała coś starszego, zatytułowanego *Putting on the Ritz*.

– Muzyka na płycie przypomina mi czasy, kiedy chodziliśmy z tatusiem na tańce. Niekiedy ludzie tańczyli charlestona. Zawsze miałam ochotę spróbować – wyznała zawstydzona.

Kitty i Silvie wstały i zrobiły kilka kroków w tył i w przód, a potem

pociągnęły za rękę mamę, żeby się do nich przyłączyła. Silvie szło całkiem dobrze, za to Kitty tak beznadziejnie, że uznałam, iż muszę wstać i pokazać im, jak to się tańczy. Mama o dziwo nie kazała mi natychmiast wracać do łóżka.

– Teraz to. – Kitty nastawiła popularną angielską piosenkę, którą wszystkie znałyśmy, *Kiss Me Goodnight, Sergeant Major*. Śpiewałyśmy, siedząc obok siebie na łóżku, trzymając się pod rękę i kołysząc z boku na bok. W pewnym momencie Kitty wychyliła się za daleko i spadła, lądując ze śmiechem na podłodze.

– Powinnyśmy z tym wystąpić! – zawołała rozpromieniona. – Nauczyć się wszystkich słów i zaśpiewać przed publicznością!

– To może spiszesz słowa i następnym razem spróbujemy pośpiewać do płyt – zaproponowałam z nadzieją, że mama nie zachowa się jak nudziara i nie powie, że to dla mnie zbyt wyczerpujące.

Ona jednak powiedziała:

– Jaki uroczy pomysł. Może zaprosimy część pań z chóru, żeby się przyłączyły.

– Hurra! – wykrzyknęła Kitty, a Silvie klasnęła w dłonie, podskakując na łóżku.

– To będzie nasza nowa odsłona – stwierdziłam. – Chilburyjski Chór Żeński przerzuca się na występy estradowe!

Będę Cię informować, jak nam idzie, i czy występ kiedykolwiek rzeczywiście dojdzie do skutku. W każdym razie jestem przekonana, że Kitty tak łatwo się nie zniechęci.

Ucałowania,

Venetia

DZIENNIK PANI TILLING

Wtorek, 13 sierpnia 1940 r.

Hitler najwyraźniej postanowił zintensyfikować naloty na Anglię – od kilku dni niebo nieustannie przecinają formacje myśliwców. Naziści celują w bazy wojskowe. Żyjemy w przerażeniu, że zaatakują Litchfield Park albo Parnham Airfield.

Kiedy dziś wróciłam do domu, zastałam Carringtona. Szczupły i elegancki siedział na wybielonej ławce na werandzie, podziwiając pomarańczową poświatę późnego popołudnia. Miał na sobie mundur, ale zdjął czapkę, zamknął oczy i wystawił twarz do słońca. Gdy mnie dostrzegł, zerwał się i podbiegł, by pomóc mi z rowerem.

– Jak miło pana widzieć, poruczniku – powiedziałam, bo na widok jego serdecznego uśmiechu od razu zrobiło mi się weselej. – Czy z pańską nogą już trochę lepiej?

– Tak, w porządku. Lekarze mówią, że już nigdy nie będę szybko biegał, ale ja się cieszę, że w ogóle żyję.

– Proszę wejść, napijemy się herbaty – powiedziałam, zapraszając go do środka. – A jak tam praca w Litchfield Park?

Wszedł za mną i usiedliśmy w salonie.

– Przydzielili mnie do wywiadu, więc jest bardzo ciekawie. Mam nadzieję, że dostanę przeniesienie do Londynu.

Zrobiłam herbatę, przyniosłam ją do salonu i usiadłam naprzeciw Carringtona. Byłam ciekawa, czy czegoś się dowiedział.

– Zdobyłem kilka informacji – powiedział, kiedy rozlałam herbatę. – Musiałem trochę powęszyć, ale przynajmniej trafiłem na dobry trop. Znalazłem kogoś, kto wie, jak ci ludzie działają, i bingo! Mam kilka odpowiedzi – był wyraźnie zadowolony z siebie – ale musi mi pani obiecać, że nikomu pani nie powtórzy tego, co powiem. To naprawdę ściśle poufne informacje i będę miał poważne kłopoty, jeśli ktoś się dowie, że je ujawniłem.

– Oczywiście – odparłam szybko. Od czasu sprawy z pierścieniem Berkeleeya wiedział, że może mi ufać.

– Slater jest szpiegiem. Jednym z naszych najlepszych. Przyjechał tu, żeby rozbić nazistowską grupę wywiadowczą skupioną wokół Litchfield Park. Znalazł jednego z ich informatorów – o ile się nie mylę, czyjegoś kamerdynera. Uciekł z nim i jeszcze jednym donosicielem do Londynu, gdzie zdemaskował całą siatkę niemieckich szpiegów. Można powiedzieć, że to prawdziwy bohater. – Po tych

słowach Carrington wziął do ręki filiżankę i oparł się wygodnie w fotelu, podczas gdy ja próbowałam przyswoić to, co właśnie usłyszałam.

Zatem od początku źle oceniłam Slatera. Miałam rację tylko w jednej kwestii – niewątpliwie coś ukrywał! Nagle przypomniało mi się wszystko, co powiedział mi pułkownik – ile to Venetia będzie musiała wycierpieć, ponieważ on ciągle będzie ryzykował życie, aż w końcu je straci. Oczywiście teraz to wszystko ma sens.

– Czy on wyjechał tej nocy, kiedy spadła bomba?

– Tak, ale to nie miało z bombą nic wspólnego. Musiał na gwałt wracać do Londynu. Miał powody przypuszczać, że ktoś ich podejrzewa, jakaś dziewczyna.

Pomyślałam, że pewnie chodzi o Kitty. Przypomniało mi się, że tamtej nocy rozmawiała z pułkownikiem Mallardem, a on potem gdzieś dzwonił. Doskonale pamiętałam samoloty, wycie syren, spadające bomby.

– Po powrocie do Londynu ktoś skontaktował ich z wysoko postawionym szpiegiem i zdołali nakryć całą siatkę. Niektórych udało się zrekrutować na podwójnych szpiegów, więc teraz znów są w terenie, tyle że pracują dla nas.

W głowie kręciło mi się od pytań.

– Skoro był tajnym agentem, to przypuszczam, że nie mógł powiedzieć niczego kobiecie, która go kocha? Nie mógł jej wyjawić, kim jest ani co robi?

– Rzeczywiście, musiał milczeć.

– Dlatego nie mogła niczego pojąć.

– Tak. Wygląda na to, że zaangażował się w paserstwo, żeby wzmocnić swoją pozycję. Czyli w efekcie był tajnym agentem, który udawał niemieckiego szpiega, który udawał pasera, który udawał artystę. Sprytu mu nie brakowało.

– Po co udawał pasera?

– Musiał zdobyć fałszywe papiery, żeby dostarczać nazistom jedzenie i kartki na przydział. Musiał się im jakoś przysłużyć, udowodnić, że jest jednym z nich.

– A co będzie robił, jak już z tym wszystkim skończy? Będzie mógł jej wszystko powiedzieć?

– Potem gdzieś go wyślą. Nie będzie mógł wdawać się w szczegóły, ale coś będzie jej mógł wyjaśnić.

Rozległ się dźwięk otwieranych drzwi i usłyszeliśmy jakieś głosy z korytarza, więc natychmiast przerwaliśmy rozmowę. Na szczęście, bo do salonu weszła Venetia, a za nią pułkownik. Wyglądała przepięknie w sukni w lawendowe kwiaty. Choć nadal miała podkrążone oczy i bardzo schudła, jej uroda była teraz jeszcze bardziej oszałamiająca, niż kiedy Venetia była „cesarzową”. Zbliżyła się i przysiadła na oparciu sofy.

– Pan pułkownik zaoferował, że mnie podwiezie, więc postanowiłam wpaść i się przywitać – powiedziała z uroczym uśmiechem.

– To porucznik Carrington. Może się znać z Litchfield Park?

Carrington, który na widok Mallarda stanął na baczność, patrzył na nią jak zauroczony. Najpierw wpatrywał się w jej twarz, a potem zlustrował całą sylwetkę. Zdziwiło mnie, że jest nią tak zachwycony, ale potem zobaczyłam jego minę. To nie był zachwyty – na twarzy Carringtona malowało się zdumienie.

Venetia przez chwilę z nami rozmawiała. Opowiadała, jak się pracuje w ciasnych schronach.

– Wszyscy się myją dużo częściej niż zwykle, bo cały czas jesteśmy w strasznym ścisku i łatwo wyczuć, kiedy ktoś się nie wykąpał.

Roześmiała się i Carrington uprzejmie jej zawtórował, choć nie sądzę, żeby w ogóle słuchał tego, co mówiła.

Po jej wyjściu koniecznie chciałam się dowiedzieć, czemu tak na nią patrzył.

– Znał ją pan wcześniej? – zapytałam.

Zaczerwienił się i zaczął oglądać sobie dłonie.

– Gapiłem się na nią? Bardzo przepraszam. – Uśmiechnął się. – Widzi pani, ojciec zdobył ostatnio nowy obraz do swojego gabinetu i... – Zawahał się. – Jest na nim kobieta, która wygląda identycznie jak Venetia.

– Cudownie – powiedziałam. – Mam nadzieję, że artysta wiernie oddał jej urodę.

– No cóż, tak – powiedział, tłumiąc śmiech. – Widzi pani, to akt.

Próbowałam zachować powagę, ale bezskutecznie, więc kiedy pułkownik zszedł na dół, zastał nas pękających ze śmiechu przy drzwiach.

– Slater musiał ją namalować. Ale heca. Skąd pański ojciec wytrzasnął ten obraz? – Chichocząc, odprowadzałam Carringtona do wyjścia.

– Kupił od innego podejrzanego handlarza nazwiskiem Gibbs – wyjaśnił z rozbawieniem.

– O! Ciekawe, jak Ralph Gibbs go zdobył. Nie sądzę, żeby Slater dał mu go w prezencie.

– Szczerze wątpię. Ale muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem jego talentu. Maluje wspaniale jak na szpiega.

Wyszliśmy już na drogę i nadal nie przestawaliśmy się śmiać. Carrington zostawił rower oparty o mur tuż przy mojej pnącej róży.

– Dziękuję za odwiedziny – powiedziałam. – I za informacje. Choć Bóg jeden wie, co mam z nimi zrobić. Przypuszczam, że po prostu zostawię je dla siebie i będę czekać, aż on się pojawi.

– Tak – odparł Carrington, wsiadając na rower. – Najlepiej zachować dyskrecję. – Przepięknie się do mnie uśmiechnął, rzucił pogodne „do widzenia” i ruszył w stronę Litchfield.

Wróciłam niespiesznie do domu, rozmyślając o tym, czego się dowiedziałam. Mam powiedzieć Venetii o Slaterze? Postanowiłam, że na razie się

wstrzymam. Wygląda na to, że powoli dochodzi do siebie, nie chcę znów robić jej nadziei.

Kiedy weszłam do salonu, pułkownik spojrzał na mnie znacząco.

– Nie wiedziałem, że przyjaźni się pani z młodym Carringtonem.

– Tak – odparłam, zerkając na niego z ukosa. – Dobrze mieć przyjaciół w odpowiednich miejscach.

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Czwartek, 15 sierpnia 1940 r.

Ta przebrzydła wojna!

Wszystko zaczęło się dziś wczesnym popołudniem, kiedy razem z Silvie wróciliśmy z przejażdżki, podczas której Silvie galopowała przez pola, jakby jej życie od tego zależało. Weszliśmy do domu bocznymi drzwiami i przez kuchnię dotarliśmy do jadalni, w nadziei że zastaniemy mamę pijącą herbatę i że zrobi dla nas kilka kanapek. W wyłożonej marmurem galerii odbijały się echem dwa głosy: rozwlekłe przemowy mamy i flegmatyczne odpowiedzi Venetii. Silvie i ja wymieniliśmy uśmiechy – miałyśmy szczęście.

Bardziej się nie mogłam mylić! Kiedy zbliżyliśmy się do drzwi, poczułam, jak drobna, chłodna dłoń Silvie chwyta mnie za ramię i powstrzymuje. Spojrzałam na nią pytająco, lecz ona tylko przyłożyła palec do ust.

– Ćśśś.

– Wiem – mówiła mama. – Naprawdę nie mam pojęcia, jak jej o tym powiedzieć. Pozwól, że ci przeczytam, co mi napisano.

Zakaszła cicho, a chwilę później dobiegł do nas szelest listu.

– „Z przykrością informujemy, iż rodzice Silvie zostali schwytani. Przez ostatnich kilka miesięcy ukrywali się w stodole sąsiadów, państwa Dornaków”.

Zerknęłam na Silvie, a ona skinęła głową i szepnęła:

– To nasi znajomi, bawiłam się z ich córką.

– „Jednakże odkryto ich, a Dornakowie zostali rozstrzelani za ukrywanie Żydów”.

Silvie wbiła wzrok w podłogę, jej twarz pobladła jak prześcieradło. Postanowiłam otworzyć drzwi i ujawnić naszą obecność. Kiedy jednak ujęłam Silvie za rękę, szarpnęła się i obdarzyła mnie spojrzeniem tak pełnym złości, że nie ośmieliłam się wykonać żadnego ruchu.

– „Jej rodziców zabrano do obozu pracy dla Żydów w północnej Czechosłowacji. O bracie nic nie wiadomo”.

Przez moment twarz Silvie zdawała się niemal przezroczysta, jakby była bladym duchem dziecka z pradawnych czasów, a potem odwróciła się na pięcie i uciekła. Pobiegła przez korytarz, kuchnię i boczne drzwi, wypadła na dwór w objęcia szmaragdowej przyrody i bursztynowego blasku późnego lata, maleńka

figurka pod przestworem błękitnego nieba. Pomknęła jak strzała, by zniknąć w gęstwinie lasu jak ścigane zwierzątko w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Resztę popołudnia spędziliśmy na poszukiwaniach.

Pierwsze miejsca, w których szukałam Silvie

Nie było jej w stajni, przy Amadeuszu.

Żaden koń nie zniknął, więc nie mogła nigdzie odjechać.

Nie było jej przy tamie nad strumieniem ani przy ulach.

Nie było jej przy krzaku Starego George'a w Peasepotter Wood.

Mama i Venetia pospieszyły do wsi, by sprowadzić pomoc, więc kiedy zmęczona i markotna wróciłam do domu, na naszym dziedzińcu stała już grupka kobiet, a pani B. prowadziła odprawę.

– Dziś przed nami arcyważna misja – zagaiła, przechadzając się w tę i z powrotem. – Naszym zadaniem jest odnaleźć przed zapadnięciem zmroku bezbronną dziewczynkę, którą powierzono naszej pieczy. Musimy jej uświadomić, że choć straciła rodzinę, może liczyć na to, że my, jej nowa społeczność, zaopiekujemy się nią i ochronimy przed hitlerowskimi łotrami. – Rzuciła groźne spojrzenie w stronę wybrzeża. – Musimy jej uświadomić, że są wciąż takie miejsca, gdzie dobrzy, uczciwi ludzie powitają ją jak jedną ze swoich.

Rozległy się okrzyki aprobaty, a pani B. zaczęła wydawać podniesionym głosem rozkazy, jakby szykowała wojsko do bitwy.

– Ja przeschukam Peasepotter Wood, ze mną pani, pani i pani... – Wskazywała palcem kolejne kobiety, które występowały przed szereg. – Reszta niech przeczesze pola. Pani Quail zabierze kilka osób na farmę Dawkinsów, a grupa pani Gibbs niech rozejrzy się na zachód od wsi. Spotkamy się tu ponownie o wpół do piątej na herbacie.

Wszyscy rozeszli się na poszukiwania. Stałam z rękami na biodrach, wciąż zdyszana po biegu, a Venetia patrzyła na mnie z zamyślonym wyrazem twarzy.

– Musi być jakiś sposób, by domyślić się, gdzie mogła pójść – rzekła cicho, niemal jakby mówiła do siebie. – Zastanówmy się, Kitty. Gdzie byś poszła, gdybyś była na jej miejscu?

– Do stajni, ale tam już sprawdzałam.

– Wyobraź sobie, że jesteś Silvie. – Podeszła bliżej. – Właśnie się dowiedziałas, że twoi rodzice wciąż żyją i są w obozie. Z jednej strony jesteś oszołomiona wieścią, że nie stało się to, czego się cały czas lękałaś. Nie zginęli. Ale teraz jeszcze bardziej boisz się tego, co może się dopiero zdarzyć. Twój młodszy brat zniknął. Filary, na których opiera się twój świat, kruszeją, a jeśli runą, to nie wiesz, czy przeżyjesz taką katastrofę.

– Chciałabym uciec i odnaleźć mamę – odpowiedziałam. – Nie do zniesienia byłoby tak po prostu siedzieć i czekać na dalsze złe wiadomości.

– Właśnie tak. Ja też chciałam ją odszukać.

Rozpłakałam się. To było po prostu zbyt wiele. Biedna Silvie, jaki potworny wybór przed nią stał. Uważa zapewne, że musi albo zostać tutaj i być może nigdy już nie ujrzeć swojej rodziny, albo narażać życie w podróży do Europy, żeby do niej dołączyć. Co za straszna sytuacja, w jakiej się znalazła!

– Może pobiegła na stację – wydukałam, powstrzymując łzy. – Chociaż nie jestem pewna, czy wiedziałyby, dokąd jechać ani co robić, ani czy w ogóle ma pieniądze na bilet. Musiałyby jechać przez Londyn, rzecz jasna.

Zmarszczyłam czoło, a w głowie zabłysła mi iskierka pomysłu.

– Tom! – zakrzyknęłam. – On pochodzi z Londynu. Do niego zwróciłyby się o pomoc.

Nie marnując czasu, obróciłam się i ruszyłam biegiem w stronę lasu, okrążając sad i mknąc na łeb na szyję ze wzgórza, rozłożonymi rękoma pomagając sobie utrzymać równowagę niczym nurkująca jaskółka.

Ponieważ było czwartkowe popołudnie i wszyscy pracowali w polu, szopy zbieraczy chmielu opustoszały. Na placyku leżało drewno na opał i stały wózki, a z boku wały się puszkami. Pomiędzy chatkami hulał wiatr jak w miasteczku duchów. Jakże dziwna była myśl, że za kilka godzin będzie tu z powrotem czterdzieści czy pięćdziesiąt osób, gwarzących, śpiewających i szykujących się do wieczoru.

Zastanawiałam się, czy aby się nie pomyliłam. Może Silvie wcale nie zamierzała tu przychodzić. Zastanawiałam się, czy sama miałabym ochotę siedzieć w tym miejscu. A co, jeśli Tom nie ma możliwości pomóc jej dostać się do Londynu? Przecież sam jest jeszcze dzieckiem.

Czując się jak intruz, przeszłam ostrożnie przez placyk. Miałam w pamięci Starego George'a i obawiałam się, że wciąż gdzieś tam się czai, gotów wyskoczyć na mnie z nożem w ręce. Podskoczyłam przestraszona nagłym hałasem, lecz to było tylko obłuzowane skrzydło drzwi kolebiące się na wietrze. Podeszłam i zamknęłam je, tak na wszelki wypadek.

I wtedy ją zobaczyłam.

Najpierw jej oczy, wielkie i czarne jak u skamieniałej ze strachu myszy. Silvie siedziała skulona na końcu rzędu domków, wciśnięta między jeden a początek następnego; na mój widok skuliła się jeszcze bardziej, wtopiła w cień i zanim się zorientowałam, uciekła między szopy i dalej w pole pełne zboża. Popędziłam za nią, odkryłam w sobie nowe siły, przebierałam nogami z szybkością, jakiej się po sobie nie spodziewałam. Znalazłam się na pasie zieleni za chatkami w ostatnim momencie, by dostrzec skrawek niebieskiej spódnicy i łydkę znikającą za jednym z domków przy placyku.

Okrążyłam biegiem szopę i zobaczyłam, jak Silvie pędzi do domków po przeciwnej stronie, wpada do jednego z nich i zamyka za sobą drzwi.

Sama złapała się w pułapkę.

Z trudem łapiąc oddech, podeszłam do chatki, w której się ukrywała, i pociągnęłam za klamkę.

Drzwi były zamknięte.

– Silvie – powiedziałam. – Otwórz.

Bez odpowiedzi.

– Silvie – powtórzyłam łagodniej. – Chcę ci pomóc.

Nadal cisza.

– Silvie, proszę, wyjdź. Mogę ci pomóc wrócić do domu, obiecuję.

Usłyszałam ruch, a po chwili rozległ się metaliczny zgrzyt zasuwu i drzwi z wolna się otworzyły. Na zewnątrz wydostał się zatechły zapach brudnych ubrań. Siedziała na podłodze w półmroku i patrzyła na mnie wielkimi, zaczerwienionymi i niewiarygodnie smutnymi oczami.

Czemu mała dziewczynka musi doświadczać takiej rozpacz?

Weszłam do domku i objęłam ją. Wtuliła twarz w moje ramię i zapłakała rzewnymi łzami. Patrzyłam na ten nędzny spłachetek ziemi pełen rozklekotanych szop. Co za tragedia urodzić się w tak przygnębiającym świecie.

– Muszę do nich wrócić – łkała. – Muszę.

– Nie jestem pewna, jak się tam najszybciej dostać – powiedziałam, sama nie wiedząc, czy chcę pomóc jej w ucieczce, ale jednocześnie czułam, że nie mam wyjścia, skoro obiecałam. Wówczas dotarło do mnie, że jedynym sposobem, by Silvie została, było przekonanie jej, jak niebezpieczna jest ta wyprawa. Usiadłam więc obok niej na progu i przyciągnęłam ją do siebie.

– Sądzę, że najlepszym wyjściem jest jechać do Dover i tam spróbować wsiąść na statek do Francji.

Jej drobne ciało przeszedł dreszcz.

– Czy we Francji nie ma hitlerowców? – zapytała.

– Są – odrzekłam powoli. – Może być trudno znaleźć kogoś, kto zgodziłby się nas zabrać. Nie wiem, czy wiele statków wypływa w tamtym kierunku, ale na pewno nasz kraj wysyła tam szpiegów i tym podobnych, którzy płyną na gapę lub udają przemytników.

– Kto to przemytnicy?

– Paskudni przestępcy, którzy kradną rzeczy z innych państw. – Umilkłam na chwilę, zastanawiając się, czy nie przesadzam. – Musiałybyśmy siedzieć przez cały czas w ukryciu, a gdyby nas znaleźli, toby nas pewnie zabili.

– Jak dostaniemy się z Francji do Czechosłowacji? – wyszeptwała.

– Kiedy już dotrzemy do Francji, będziemy się musiały ukrywać po krzakach i lasach, bo jeśli nas złapią, to zostaniemy zabrane do jakiegoś obozu pracy...

– I wtedy będę z mamą?
– Nie, wsadzą nas do innego.
– Ale kiedy już dowiedzą się, kim jestem, nie wyślą mnie do tego, gdzie są moi rodzice?

– Nie, oni wolą rozdzielać ludzi. Tak więc musiałybyśmy się ukrywać, co oznacza, że pewnie byłybyśmy bardzo głodne i nie miałybyśmy jak kupić jedzenia. Czy mówisz przypadkiem po francusku?

– Nie – mruknęła ze zniechęceniem, a ja spostrzegłam, że mój plan zaczyna działać.

– Myślę, że mogłybyśmy zabrać trochę jedzenia ze sobą, ale nie jestem pewna, czy starczy nam na dłużej niż miesiąc.

– Miesiąc? Aż tyle by nam to zajęło?

– Nie mogłybyśmy podróżować pociągiem ani autobusem. Musiałybyśmy iść na piechotę.

Położyła głowę na moim ramieniu i znów zaczęła płakać.

– Nigdy nam się nie uda! Obie zginiemy. Umrzemy z głodu albo hitlerowcy nas zabiją.

Tuliłam ją do siebie, gdy szlochala nad beznadzieją całej sytuacji.

– Silvie, przykro mi z powodu twojej rodziny.

Łkała jeszcze przez chwilę, aż wreszcie przyłożyła palec do ust i powiedziała:

– Ćśśś. – Wbiła we mnie przelęczony wzrok. – Wiem, co się stało z moim bratem. – Głos miała napięty i zdławiony łzami. Rozglądała się z drżeniem, jakby w obawie, że ktoś może nas podsłuchać.

– Co? – szepnęłam.

– Moja mama go oddała. – Ukryła twarz w dłoniach i jej chudymi ramionami wstrząsnął kolejny szloch. – Oddała go znajomej, która nie jest Żydówką.

Objęłam ją mocniej, a moje oczy też wezbrały łzami. Więc taką nosiła w sobie tajemnicę.

– To było straszne, ona go kochała, kochała nas wszystkich tak bardzo mocno. Był za mały, żeby wsiąść ze mną do pociągu. Wiedziała, że to jego jedyna szansa. Tego dnia, kiedy wróciła bez niego do domu, próbowała udawać, że wszystko jest w porządku. Ale nie było. Płakała całą noc. To był koniec jej świata. – Głos Silvie przeszedł w cichutki jęk, a ja mogłam jedynie myśleć o tym, w jakiej desperacji musieli być ci ludzie, skoro oddali swoje własne dzieci obcym, by je ocalić.

Odsunęłam się i spojrzałam na nią.

– Nigdy nie zapominaj, że twoja matka kochała ciebie i brata. Nigdy. I pomyśl tylko, kiedy ta straszna wojna się skończy, będziemy mogły wrócić do znajomej twojej matki i odnaleźć go. Czy wiesz, gdzie ona mieszka?

Silvie przytaknęła.

– Więc zrobimy tak. Ta wojna nie może trwać wiecznie. Nie pozwolimy, by wszystko nam zabrała.

Przywarła do mnie całym ciałem i siedziałyśmy przytulone, podczas gdy nad naszymi głowami zaczęły zbierać się chmury i wkrótce spadły pierwsze ciche krople deszczu.

Na niebie pojawiła się pustułka, zatoczyła koło i zapikowała. Na tle deszczowego nieba jej skrzydła wyglądały jak dwie rozpostarte czarne dłonie. Chwilę później już jej nie było.

Silvie zaczęła cicho podśpiewywać, na początku głosem nie wyższym od szeptu, lecz z każdą chwilą coraz bardziej rytmicznie i kojąco. Gardłem wciąż pełnym łez recytowała kadisza, jakby opłakiwała swoją stratę. Dołączałam do niej w miejscach, w których pamiętałam słowa; nasze głosy odbijały się dziwnym echem pośród pustych chat, jakby nie miało znaczenia, czy żyjemy dziś, czy tysiąc lat temu. Przeżywałyśmy tę samą groźbę niepewności.

Minęło może dwadzieścia minut, a może godzina, kiedy dotarły do naszych uszu gwizdy i pokrzykiwania zbieraczy chmielu wracających do obozowiska. Po chwili zza wzgórza wyłoniło się kilku ścigających się chłopców. Tom dobiegł pierwszy, uderzył dłonią w jedną z szop i podniósł ręce w geście zwycięstwa, co wyglądało dość głupio, zważywszy, że reszta chłopców była od niego rok czy dwa lata młodsza. To było niemal oszustwo.

– Co tu robicie? – Podbiegł do nas lekkim truchtem.

– Byłyśmy na spacerze i schowałyśmy się tu przed deszczem. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.

– Nie, jasne, że nie – odrzekł, patrząc na zaczerwienione oczy Silvie, którą wciąż obejmowałam. Usiadł obok niej i położył dużą, chudą dłoń na jej ramieniu.

– Wszystko w porządku, dziewczuszko?

– Zabrali jej rodziców do obozu – powiedziałam, niepewna, czy powinnam wyjawiać tę informację Tomowi. Kiedy jednak Silvie uniosła wzrok, z twarzą wykrzywioną smutkiem, przypomniałam sobie, jak bardzo go lubi. Jak obie go lubimy.

– Musimy wracać do domu – rzekłam, wstając.

– Pójdę z wami – powiedział Tom, skacząc wokół nas jak tyczkowaty błazen. – Spróbuję was trochę rozweselić.

Bez słowa Silvie wsunęła drobną, bladą rączkę w jego dłoń i pozwoliła mu, żeby pomógł jej wstać. Tom ujął również moją rękę i poprowadził nas z powrotem do Chilbury Manor.

Dotrzymał słowa i zabawiał nas przez całą drogę opowieściami z całego dnia – o znalezionym truchle królika w stanie rozkładu (nie oszczędził nam żadnych obrzydliwych szczegółów), o chłopcu, który zjadł jabłko z robakami, i o jednej

z rodzin, która musiała skończyć pracę wcześniej, gdyż matka zaczęła rodzić.

Zanim dotarliśmy do domu, humory nam się trochę poprawiły. Kiedy okrążyliśmy Peasepotter Wood i weszliśmy na drogę, naszym oczom ukazał się tłum kobiet siedzących na ławkach na trawniku i popijających herbatę. Pani B. przechadzała się długimi krokami i zapisywała coś w notatniku. Wreszcie ujrzała nas, zwróciła się do pozostałych i wszyscy wstali, klaszcząc i wiwatując.

– Znalazłaś ją! – wykrzyknęła pani Quail.

– Dobra robota! – poparła ją jedna z pań z Koła Szwaczek, a ktoś inny obiecał mi w nagrodę słodycze.

– Dobrze cię znów widzieć, Silvie. – Venetia podeszła do nas, uśmiechając się z ulgą.

Dalej nastąpiło sporo poklepywania po plecach, aż wreszcie mama wzięła w objęcia Silvie, która znów wybuchnęła płaczem.

– Musisz nam obiecać, że z nami zostaniesz – mówiła mama, kucając i tuląc ją. – I że nigdy, przenigdy nie uciekniesz.

Silvie pokiwała głową i ukryła twarz w ramionach mamy.

– A co z papą? – szepnęłam do stojącej obok mnie pani Tilling. – On nie pozwoli Silvie zostać.

– Och, nie przejmuj się nim, Kitty. – Uśmiechnęła się, zadowolona z siebie jak kot, który złapał mysz. – Nie będzie już sprawiał problemów.

Odwróciłam się, żeby zadać jej więcej pytań, ale ona już odeszła, by rozgłaszać wieść o odnalezieniu Silvie, a mnie pozostało jedynie zastanawiać się, co miała na myśli.

Tom podszedł, czym wyrwał mnie z zamyślenia.

– Niezła z ciebie bohaterka, jak widać – stanął obok mnie, niemal mnie dotykając.

– Oczywiście, że tak! – fuknęłam. Ale potem przypomniałam sobie o niedawnych niepowodzeniach z Venetią i Henrym. – Naprawdę tak uważasz?

Roześmiał się i klepnął mnie w plecy, aż się zatoczyłam.

– Jesteś najlepsza, Kitty. Nieustraszona piękność, która ratuje sytuację!
– Wziął mnie za rękę i ścisnął ją niezgrabnie.

**PIERWSZA STRONA „THE KENT TIMES” NIEDZIELA, 18
SIERPANIA 1940 R.**

NALOT NA LITCHFIELD

Wczoraj wieczorem około dziewiętej nad Kent nadleciało dwanaście nieprzyjacielskich samolotów, które zrzuciły na miasto Litchfield sześćdziesiąt bomb. Większość z nich spadła na Litchfield Park. Pożary szalały przez całą noc. Śmierć w wyniku bombardowania poniosło ponad sto osób, a setki zostały bez dachu nad głową.

DZIENNIK PANI TILLING

Niedziela, 18 sierpnia 1940 r.

Gdy tylko alarm został odwołany, wsiadłam na rower i w ciemną noc popędziłam do Litchfield. Musiałam dołączyć do sanitariuszy i pomagać rannym, ale przede wszystkim martwiłam się o znajomych, którzy tam byli. Venetia znów zaczęła pracować. No i oczywiście pułkownik – czy byłby na tyle nierozważny, żeby nie zejść do schronu? Nie dalej jak wczoraj wspomniał, że ma już dość odrywania się od pracy i od jakiegoś czasu mimo alarmu nie wstaje od biurka.

Przez całą drogę, pedałując ile sił, modliłam się, żeby dziś było inaczej. Boże spraw, żeby ten jeden jedyny raz rozsądek zwyciężył u niego z sumiennością.

Kiedy wyjechałam na wzgórze, zobaczyłam łunę nad Litchfield Park. Nie można jej było nie zauważyć. Wznoszące się ku niebu jęzory ognia pochłaniały większość głównego budynku. Mniejsze zabudowania też zajęły się ogniem. Zastanawiałam się, ile osób jest uwięzionych w pożarze. Wiedziałam, że przed rozpoczęciem pracy muszę spróbować odszukać pułkownika.

Wjechałam przez bramę i zagadnęłam umundurowanego mężczyznę, który obserwował pożar.

– Co się stało z ludźmi? Udało im się wydostać?

– Raczej nie – odparł lekko oszołomiony. – Jeden ze schronów nie wytrzymał i wielu osób nadal nie udało się odnaleźć. – Spojrzał na mnie z przerażeniem w oczach. – Podobno nie wszyscy przeszli do schronów.

– A gdzie są ludzie, którzy tu pracują? Jak mogę się dowiedzieć, czy mojemu przyjacielowi nic się nie stało?

– Dostali rozkaz rozejść się do domów. Albo udać się do którejś z kwater tymczasowych, jeśli na ich dom spadła bomba. Oczywiście, wielu zostało, żeby pomagać. Kogo pani szuka?

– Pułkownika Mallarda – odpowiedziałam. – Został zakwaterowany w moim domu. Ale go tam nie było, kiedy wyjeżdżałam.

– Nie przypominam sobie, że bym go widział od początku bombardowania. W schronie chyba też go nie było. – Przez chwilę się zastanawiał, a ja miałam ochotę brutalnie nim potrząsnąć. No myślże, człowieku, myśl!

Ale on tylko pokręcił głową.

– Dziękuję – odparłam szybko i wskoczyłam na rower. Jeśli pułkownik przeżył, na pewno został, żeby pomagać rannym. Tylko gdzie? Litchfield nie jest duże, ale domów do ewakuacji były setki, więc Bóg jeden wie, gdzie pułkownik się podziewa.

Postanowiłam jechać do szpitala i rozglądać się po drodze. Przedzierałam się przez ponure pandemonium i z bólem serca patrzyłam na rannych i bezdomnych, którzy snuli się ulicami. Widok był przerażający – ludzie płakali przy zbombardowanych budynkach, być może wiedząc, kto leży pod gruzami. Kobiety zatrzymywały mnie i prosiły o pomoc, a ja musiałam im tłumaczyć, że jestem pielęgniarzką i muszę jak najszybciej dostać się do szpitala. Mimowolnie przyglądałam się wszystkim mężczyznom, wypatrując znajomej zwałistej sylwetki i jej niezgrabnych ruchów.

W szpitalu już panowała ciasnota. Znalazłam przełożoną, która zorganizowała mi stanowisko przy wejściu. Stał tam stół ze stołówki, przy którym miałam oceniać stan pacjentów i kierować ich do odpowiednich lekarzy albo, jeśli to możliwe, sama udzielać im pomocy. Natychmiast osaczył mnie tłum rannych – niektórzy mocno krwawili, inni mieli pokiereszowane kończyny. Byli wśród nich mężczyzna ze wstrząśnieniem mózgu, niemowlę, które się dusiło, człowiek, któremu musiałam przyszyć rękę, modląc się, żeby jakoś się przyjęła. Wiele osób było mocno poparzonych. Jedna biedaczka miała spaloną prawie całą skórę na nodze – powiedziała, że utknęła pod płonącą belką swojego zbombardowanego domu i musiała czekać, aż ratownicy ją uwolnią.

Spanikowany tłum zachowywał się bardzo głośno, a wokół unosił się przerażający zapach sadzy i spalonego ciała. Próbowalam wyłowić z jazgotu znajomy głos pułkownika i kiedy tylko miałam szansę, rozglądałam się dookoła, żeby sprawdzić, czy nie leży na którychś noszach. Wokół mnie tłoczyło się jednak tylu ludzi, że widziałam między nimi tylko wąskie prześwity. Raz czy dwa odcszłam od stanowiska, bo wydawało mi się, że pułkownik gdzieś mi mignął. Ale jego wciąż nie było. W żołądku czułam coraz większy ucisk.

Gdzież on jest?

W końcu około północy zwolnili mnie na krótką przerwę. Natychmiast wybiegłam ze szpitala i wskoczyłam na rower. Nie miałam pojęcia, dokąd jadę, wiedziałam tylko, że jeśli pułkownik przeżył, to na pewno jest w terenie i pomaga rannym. Przemierzałam ulice, objeżdżałam zbombardowane miejsca, wyęzając wzrok, żeby nie przeoczyć go w ciemności. Widziałam, jak ludzie wbiegają do budynków, wynoszą z nich swój dobytek, przesuwiają meble czy plądrują cudze domy.

Po dziesięciu minutach gorączkowego pedałowania wiedziałam, że muszę wracać, ruszyłam więc tą samą drogą przez zgliszcza do szpitala.

I wtedy go dostrzegłam.

Musiałam dwa razy się upewnić. Jego masywna sylwetka rysowała się na tle płomieni – stał przed płonąca szkoła, którą strażacy bezskutecznie próbowali ugasić.

Zeskoczyłam z roweru, rzuciłam go na ziemię i puściłam się pędem, wołając:

– Pułkowniku Mallard! Pułkowniku Mallard!

Najpierw obrócił głowę, a kiedy zobaczył, że to ja, zwrócił się w moim kierunku, wyciągnął ręce i, biegnąc wielkimi susami, wołał:

– Pani Tilling!

Pędziłam na szkolny dziedziniec, szybciej i szybciej, a potem gwałtownie zahamowałam i zatrzymałam się o kilka kroków od pułkownika, bo nagle ogarnęło mnie onieśmielenie.

Czy on zaraz mnie przytuli?

– Myślałam, że pan zginął – powiedziałam zdyszana, zupełnie nie wiedząc, jak poradzić sobie z całą sytuacją.

– Przypuszczałem, że tak pani pomyśli – odparł i skrzyżował ręce na piersiach, jakby od początku właśnie to zamierzał zrobić. – Poprosiłem Venetię, żeby po powrocie do domu do pani zajrzała, ale oczywiście pani już tu była, prawda?

– Tak – powiedziałam i zachichotałam nerwowo, wbijając wzrok w swoje stopy.

Pułkownik rozłożył ramiona i zrobił krok w moją stronę. Kiedy podniosłam głowę i spojrzałam na jego mocny podbródek, wziął mnie w objęcia. Miałam wrażenie, że stoimy tam tysiąc lat, a równocześnie, że trwa to ledwie ułamek sekundy. Nie mogłam zebrać myśli, choć w głowie kołatało mi się mnóstwo pytań. Tyle że na żadne nie znałam odpowiedzi. W życiu jednak nie zawsze chodzi o pytania i odpowiedzi. Czasem ważniejsze są doświadczenia i uczucia, jak wtedy, gdy ktoś w chłodną noc trzyma cię w ramionach obok płonącego budynku. To jest prawdziwsze. Mimo to teraz nie jestem w stanie przywołać tamtego wrażenia – uleciało w przeszłość, przeminęło razem z chwilą.

Odsunęłam się, zanim on to zrobił. Wiedziałam, że lepiej to zniosę. Pułkownik spojrzał na mnie, uśmiechnął się i chwycił mnie za ręce.

– Miło, że ktoś się o mnie troszczy na tyle, żeby się martwić.

– Cieszę się, że gonienie po zgłiszczach jak szalony pies ratownik uważa pan za troskę. – Uśmiechnęłam się. – Poza tym nigdy nie wiadomo, kogo by mi przydzielili następnym razem.

– O której tu pani przyjechała?

– Mniej więcej kwadrans po dziewiątej. Litchfield Park płonęło jak pochodnia. Słyszałam, że jeden schron nie wytrzymał.

– Tak, to straszne. Straciliśmy połowę ekipy przeciwlotniczej, wspaniałych ludzi. To wielka tragedia.

– Ale pana tam nie było?

– Nie, miałem szczęście. Poszedłem do innego schronu, po drugiej stronie jednostki. – Spojrzał na mnie z wielkim smutkiem w oczach. – Bo to tylko kwestia szczęścia, prawda?

– Czasem tak – odparłam, a po chwili dodałam: – Ale tylko czasem.

Z płonącej szkoły dobiegł nas głośny wybuch, może zapalił się jakiś niewypał albo ogień dostał się do farby czy parafiny. Zobaczyłam, że z budynku wybiegają ludzie, niektórzy w płonących ubraniach, więc ruszyłam im na ratunek.

To była długa, ciężka i niezwykle smutna noc. Musiałam wrócić do szpitala i zająć się tłumem rannych. Atmosfera się zmieniła, zapanowała cicha rezygnacja, przerywana jękami cierpiących i pochrapywaniem tych, którzy zapadli w niespokojny sen. Światła zostały przygaszone, żeby pacjenci mogli spać. Na podłogach rozłożono rzędy koców i pledów, na których leżeli dorośli i dzieci. W półmroku wyróżniały się białe bandaże, które mieli na rękach, nogach i głowach.

– Co za ponury widok – powiedziałam do drugiej pielęgniarki.

– Przynajmniej nie leżą w kostnicy po drugiej stronie wioski – odparła.

– Podobno brakuje tam miejsca, więc ułożyli ciała na chodniku przed wejściem. Fabryka amunicji zaoferowała, że może je przyjąć do magazynu, ale nikomu nie spieszy się z przenoszeniem. Lepiej być pod dachem niż na chodniku, ale nie wiem, czy po tragicznej śmierci chciałabym leżeć wśród pocisków.

O świcie powoli popedałowałam do domu, zostawiając względnie spokojny szpital. Po powrocie umyłam się i poszłam spać. Pułkownika nie było i zastanawiałam się, czy udało mu się choć na chwilę zdrzemnąć. W końcu dziś znów czeka go ciężki dzień – przejmuje kontrolę nad zgliszczami, które dawniej były bazą wojskową Litchfield Park.

LIST OD PANNY EDWINY PALTRY DO JEJ SIOSTRY CLARY

Szpital Litchfieldzki,

Litchfield,

hrabstwo Kent

Poniedziałek, 19 sierpnia 1940 r.

Kochana Claro!

Dziś wyrzucili mnie ze szpitala, bo potrzebowali łóżek dla nowych rannych. Zadrzałam, gdy przynieśli mi ubrania. Pomyśleć, że nie mam nic prócz osmalonej koszuli nocnej, w której mnie przywieźli, i tych nędznych starych kapci. Używana spódnica i bluzka, którą mi dali, pasują na mnie, ale buty są za ciasne i obcierają mi haluksy. Coś okropnego. Nie skarżyłam się jednak. Byłam zbyt przerażona tym, co mnie czeka za drzwiami.

W głowie ułożyłam sobie dokładny plan dnia. Najpierw musiałam odzyskać pieniądze od Ralpha Gibbsa. Bez nich nie miałam nic, żadnej drogi ucieczki przed panią Tilling, która zagroziła, że odda mnie w ręce policji lub brygadiera, który przysiągł mnie zabić.

Potrzebuję załatwić to, zanim pani Tilling lub brygadier zauważą moją obecność. Muszę działać szybko, po cichu i zdecydowanie.

Oczywiście nie spodziewałam się, że Ralph Gibbs tak po prostu wręczy mi pieniądze. Postanowiłam postraszyć go, że doniosę policji o jego nielegalnych interesach i sprzedawaniu żywności w zamian za przysługi zamiast kartek żywnościowych.

Miałam ze sobą nożyce. Ukradłam je z biurka pielęgniarki, gdy nie patrzyła – wielkie i niezgrabne, ciężkie niczym młotek. Choć nie wyglądały równie groźnie jak nóż albo sztylet, wiedziałam, jak się nimi skutecznie posłużyć. Nie planowałam go zabić ani nic takiego, tylko pomachać mu nimi przed nosem, by wiedział, że rozmawiamy o interesach. Poprosiłam, by moją starą koszulę nocną, książeczkę z kartkami żywnościowymi i maskę gazową zapakowano w papierową torbę, a nożyczki wsunęłam do środka. Ich ciężar sprawiał, że czułam się bezpieczna.

Wyszłam na sierpniowy upalny poranek, wzięłam głęboki oddech i ruszyłam w drogę. Złapałam autobus do Chilbury (w szpitalu dali mi drobne na podróż – moje jedyne pieniądze), niecierpliwiłam się, gdy objeżdżaliśmy pola, zanim zatrzymaliśmy się na placu. Wygramoliłam się z autobusu i skierowałam prosto do

sklepu. Otworzyłam drzwi pchnięciem tak, że dzwonek zadzwonił głośno, i ujrzałam potężną postać Ralpa Gibbsa. Pojawił się za ladą i przyglądał się mi złośliwie.

Wyglądał inaczej. Zapamiętałam go jako drobnego, niedużego chłopaka, włóczącego się za starszymi dziećmi, płatającego figle i robiącego z siebie błazna. Cóż, od tego czasu zmienił się zupełnie i z pewnością nie wyglądał na błazna. Był wyższy, zwalisty, muskularny i dobrze zbudowany. Miał długą, nierówną, czerwoną bliznę biegnącą poniżej twarzy, widoczną wyraźnie pod płowym kilkudniowym zarostem. Jego przekrwione oczy otaczała obwódka w ciemnobrązowym kolorze, tym samym co drobne zadrapania i skaleczenia na twarzy i dłoniach.

Nie przyszło mi wcześniej do głowy, jak bardzo mogła go zmienić służba w wojsku, jak walka na linii frontu czyni młodych mężczyzn niebezpiecznymi. Przypomniałam sobie, jak ktoś wspominał, że Ralph Gibbs doznał urazu mózgu i matka ma z nim problemy. Przypuszczałam, że jest trochę niedołączy.

Teraz rozumiałam dokładnie, co mieli na myśli, mówiąc o problemach.

– Co pani tu robi? – mruknął.

Wyprostowałam się, ściskając papierową torbę.

– Przyszłam po moje pieniądze – powiedziałam z większą determinacją, niż faktycznie czułam.

– Jakie niby pieniądze? – spytał opryskliwie. Za jego plecami pani Gibbs wśliznęła się do sklepu i stanęła schowana za kasą. Ralph wyszedł leniwym krokiem zza lady na środek sklepu i stanął przede mną.

– Dobrze wiesz, o jakich pieniądzach mówię – prychnęłam. Ręka swędziała mnie, by sięgnąć po nożyce. – Pieniądze, które ukradłeś chłopakowi zbierającemu chmiel. To moje pieniądze, Ralphie Gibbsie. Musisz mi je oddać! – krzyczałam na niego, krzyczałam i płakałam, wypowiadając każde słowo, jakby było moim ostatnim. – Straciłam dom, straciłam wszystko. Potrzebuję tych pieniędzy.

Stał, przyglądając mi się chwilę, na wpół znudzony, na wpół rozbawiony, a potem powiedział:

– Bo co?

– O co ci chodzi? – jęknęłam.

– Co dokładnie planuje pani zrobić? – Jego ton był lekceważący, żartobliwy.

– Jeśli ich nie mam albo nie mogę oddać?

– Powiem policji o twoich brudnych interesach. – Zrobiłam groźną minę, jakby to miało załatwić sprawę. – O tym i twoich zwyczajach racjonowania żywności w sklepie. Od razu wsadzą cię za kratki.

– Naprawdę, panno Paltry? – Wydawał się niezrażony. Oparł się rękami o ladę i rozejrzał po półkach. – Nie sądzę, żeby zrobili coś takiego, nie mając dowodów.

– Na pewno szybko je znajdą – jęknęłam. Czułam, że sytuacja wymyka mi się z rąk.

– To wszystko, na co panią stać, panno Paltry? – Uśmiechnął się z politowaniem. – To naprawdę wszystko, na co panią stać?

Dosyć tego. Sięgnęłam do torby tak szybko, jak tylko mogłam, i zacisnęłam palce na nożycach.

– Zaraz cię urządzę – powiedziałam z lubością, wymachując mu nożycami przed twarzą.

Zaśmiał się. Właśnie tak. Zaśmiał się i cofnął o krok.

– Nie chce pani tego, panno Paltry – powiedział lekko.

– Chcę moich pieniędzy! – wrzasnęłam, celując w jego ramię.

– Wcale nie – powiedział ostro i w mgnieniu oka, jedną ręką chwycił koniec nożyc, drugą moje obie dłonie. W przeciągu sekundy wykręcił mi ręce, wytrącając nożyce, które uderzyły o podłogę z metalicznym brzękiem. Poczułam dżgnięcie czegoś ostrego i spiczastego pod brodą i przeszywający ból z rany, z której sączyła się krew. Okazało się, że miał przy sobie nóż. Wydałam z siebie pisk, przerażona, że mnie zabije, podrzynając gardło jak świni. Wiłam się, próbując wyrwać z jego uchwytu, ale tylko głębiej zraniłam się ostrzem.

– Ostrzegalem cię, Paltry – warknął mi do ucha złowieszczo. – Gdy się rozszłoszczę, nie panuję nad sobą.

Cichy dźwięk dzwonka przy drzwiach sprawił, że Ralph odchylił się do tyłu i obrócił mnie przodem do siebie.

Zgadnij, kto przyszedł? Nie kto inny jak pani Tilling, która najwyraźniej podsłuchiwała, bo starała się, by dzwonek nie zadźwięczał, gdy ostrożnie otwierała drzwi.

Na ułamek sekundy wszyscy zamarliśmy – Ralph niepewny, czy mnie puścić, pani Tilling oceniająca sytuację, pani Gibbs nadal wyglądająca zza kasy i ja, unieruchomiona tym cholernym ostrzem.

– Co się tutaj dzieje? – spytała pani Tilling ostrym jak brzytwa głosem, podchodząc do Ralpa, który zdecydował się rozluźnić chwyt i spokojnie wsunął nóż do kieszeni.

– Nic – powiedział, pocierając dłonie, by zetrzeć ślady krwi. – Tylko pokazuję pannie Paltry, czego nauczyłem się w wojsku. – Bezczelnie wysunął koniec języka.

– Posunąłeś się za daleko – powiedziała gniewnie pani Tilling, podchodząc i przyglądając się mojemu skaleczeniu. – Czy zdajesz sobie sprawę, że zraniłeś ją do krwi?

– Czyżby? – Udał zaskoczenie. – Mogło mnie trochę ponieść. – Buntowniczo skrzyżował ramiona na piersi, trochę jak mężczyzna, który był na wojnie, trochę jak chłopak obawiający się matki kolegi.

– Wystarczy tego. – Zmierzyła go wzrokiem pełnym dezaprobaty. – Wrócę, żeby z tobą porozmawiać. Jestem pewna, że posterunkowy Richards chętnie posłucha, co tu się wydarzyło.

Ralph przechylił się na piętach. Chciała go wydać w ręce policji? Częściowo wierzyłam, że doniesie na chłopaka, bo to by mu dobrze zrobiło. Onaczałoby też, że będę musiała ujawnić pochodzenie moich pieniędzy i skończę w więzieniu razem z Ralphem. Westchnęłam głośno.

Pani Tilling zwróciła się w moją stronę i natychmiast cofnęłam się w cień.

– Może pójdzie pani ze mną do domu, panno Paltry? – Jej łagodny ton napęłnił mnie lękiem przed tym, co mnie czeka. – Opatrzę pani to paskudne skaleczenie. – Z tymi słowami podniosła nożyce i włożyła do brązowej torby. Chwyciła mnie mocno za łokieć i wyprowadziła za drzwi.

Wyrwałam się jej dopiero, gdy skręciłyśmy na rogu placu i ruszyłyśmy drogą w kierunku jej domu.

Stałam jak wryta, zapierając się obcasami.

– Proszę mnie puścić! – wrzasnęłam. – Nie może mnie pani zmusić, żebym z nią poszła.

– Nie, oczywiście, że nie mogę, ale w tych okolicznościach, z których, jak sądzę, zdaje sobie pani sprawę, to lepsze rozwiązanie. – Nie powiedziała, że wezwie gliny, ale mogła to zrobić. Scena, której przed chwilą była świadkiem, dała jej jeszcze jeden powód, by móc mnie wsadzić.

Stałam z dala od niej i myślałam ponuro, że moją jedyną nadzieją na ucieczkę jest, mimo utykania, pobiec natychmiast na stację, ale z łatwością by mnie zatrzymała. Naprawdę zapędziła mnie w kozi róg.

– Zgoda – powiedziałam, wlokąc się obok niej jak naburmuszona pięciolatka.

W końcu zabiera mnie do swojego domu z ulicy, na której mógłby mnie zauważyć brygadier. Pozwoliłam znów chwycić się za łokieć, gdy potknęłam się na brukowanej ścieżce prowadzącej do drzwi frontowych. Otworzyła je szeroko i wprowadziła mnie do swojego słonecznego salonu, gdzie opadłam na najbliższą kanapę, by ulżyć bolącej nodze.

Pani Tilling zniknęła na chwilę, po czym wróciła z herbatą i kanapkami, co wzbudziło moją podejrzliwość.

– Dlaczego mnie pani tu przyprowadziła? – wypaliłam.

Wyglądała na spokojną. Usiadła elegancko na skraju krzesła i zaczęła nalewać herbatę.

– Dobrze się stało, że weszłam do sklepu. Uratowałam panią – powiedziała, zupełnie ignorując moje pytanie. – Ralph Gibbs stał się niebezpieczny.

– Tak – wymamrotałam. – Całe szczęście, że weszła pani do sklepu.

– Szczęście nie ma z tym nic wspólnego – oznajmiła, spoglądając na mnie

znad filiżanek. – Widziałam panią w autobusie i domyśliłam się, dokąd pani jedzie.

Wyprostowałam się zaniepokojona.

– Do Ralpa Gibbsa? – Skąd u licha wiedziała, że przekłety Ralph Gibbs ma moje pieniądze?

Jakby czytając w moich myślach, wyjaśniła:

– Kitty mi powiedziała. – Tak po prostu. Cała ta cholerna wieś jej na mnie donosi. – Proszę się nie martwić – dodała, podnosząc swoją filiżaneczkę. – Nie mam zamiaru pani wydać.

– Jeśli zamierza pani przestać oskarżać mnie o podmiianę niemowląt, mogę tylko powiedzieć: w samą porę – odparłam.

Wydała z siebie długie westchnienie.

– W porządku, panno Paltry. Wiem, że pani to zrobiła. Po prostu postanowiłam zostawić tę sprawę w spokoju. Chce pani, żebym jej pomogła, czy nie?

Siedziałyśmy w ciszy przez minutę lub dwie. Zastanawiałam się, jak mogłaby mi pomóc i czy aby na pewno nie blefuje, mówiąc, że mnie nie wyda. Ona tymczasem w niemożliwie irytujący sposób jadła kanapkę z ogórkiem. Miałam ochotę walnąć ją w tę wytwornie przeżuwigającą gębę.

– Nie uważam, że postąpiła pani właściwie – dodała, połknąwszy kęs – ale stało się i ujawnienie prawdy przyniosłoby więcej szkody niż pożytku, szczególnie biednym dzieciom. Nie podoba mi się ta nieszczerść, nieuczciwość, do której doprowadziło mnie pani oszustwo, ale potrafię spojrzeć na to inaczej. Muszę przedkładać dobro społeczności ponad własną etykę.

Powstrzymałam się przed wzniesieniem oczu do nieba, ale Boziu! Od tych wszystkich morałów mam ochotę jej przyłożyć.

– Jednak zastanawiam się czasem, czy kiedykolwiek czuła pani skruchę za swój czyn? – spytała, mrużąc oczy w zamyśleniu. – Czy nie uważa pani za złe oddać dzieci niewłaściwym rodzicom?

Spojrzałam na nią obojętnie. Dzieci są do siebie bardzo podobne, moim zdaniem. Ale rzeczywiście poczułam się okropnie, gdy okazało się, że wszystko poszło na marne. I z pewnością przede wszystkim nie powinnam była się w to mieszać. Uśmiechnęłam się więc uprzejmie i przyznałam:

– Pewnie, że to nic dobrego. W końcu tak jest napisane w Biblii.

Spojrzała na mnie z dziwnym zaskoczeniem i ciągnęła dalej:

– Obojgu dzieciom jest dobrze u Winthropów, to najważniejsze. Venetia wzięła sobie do serca obowiązki matki chrzestnej i pomaga w opiece nad Rose do czasu powrotu Victora. Muszę przyznać, że widząc ją otoczoną jej prawdziwą rodziną, czuję się spokojna.

– Cieszę się z ich szczęścia i jestem zadowolona, że kończy pani z oskarżaniem mnie – powiedziałam szorstko. – Nie żeby to była prawda, ma się

rozumieć.

– Niech pani da spokój, panno Paltry. Wszyscy troje wiemy, że pani to zrobiła: pani i ja – przerwała, mrużąc oczy – i brygadier. Powiedział mi o pani niemoralnej intrydze. Wiem o wszystkim: spotkaniu, pieniądzech, zamianie, bombie, pani niezdarnych próbach odzyskania pieniędzy i o ich utracie. – Posłała mi ten swój uśmiech panny Marple. – Nie ma pani już nic do ukrycia.

Muszę przyznać, że w tym momencie uleciał ze mnie duch walki. Dotąd trzymał mnie przy życiu, teraz strach ścisnął mi gardło jak wąż owijający się wokół mojej szyi.

– Spokojnie, panno Paltry. – Podeszła, usiadła obok mnie i położyła mi rękę na ramieniu. – Jestem tu, by pani pomóc.

Wzięłam głęboki wdech w oczekiwaniu, co powie dalej.

– Pomóc, w jaki sposób?

– Na początek znalazłam miejsce, gdzie może pani zamieszkać. Jestem oficerem do spraw zakwaterowania, to moja praca. – Uśmiechnęła się i miałam dziwne uczucie, że ta nudna członkini Ochotniczej Służby Kobiet rzeczywiście próbuje mi pomóc. Wyciągnęła jakieś formularze. – To informacja o przyznaniu lokum. Na razie zatrzyma się pani u pastora i pani Quail. Załatwię pani też inne rzeczy: ubrania i sprzęty domowe. Są używane, ale na razie wystarczą.

Wyprostowałam się gwałtownie i spojrzałam na swoją filizankę, nie potrafiąc sprostać sytuacji. Co tu się dzieje? Dlaczego mnie nie zdradziła?

– Panno Paltry, może załatwimy to nieco inaczej.

– Co ma pani na myśli?

– A gdyby opowiedziała mi pani o wszystkim. – Umilkła, przyglądając mi się z zaciekawieniem. – Obiecuję pani nie zdradzić.

– Po co w takim razie chce pani wiedzieć? – spytałam podejrzliwie.

– Chcę wiedzieć, jak do tego doszło, zrozumieć. Chcę poznać prawdę. – Poczulałam, jak zaciska swoją dłoń na mojej. – A w zamian mogę dopilnować, by brygadier trzymał się od pani z daleka.

To dopiero sprawiło, że oprzytomniałam. Jak ta kobiecinka może mieć posłuch u takiego mężczyzny jak on? Musiałam mieć to pytanie wypisane na twarzy, bo uśmiechnęła się i powiedziała:

– Niech się pani nie martwi szczegółami, panno Paltry. On nie będzie pani więcej niepokoić.

Nagle wszystko się zgadzało. To ona groziła ujawnieniem spisku, i dlatego on groził mnie. Wtedy dotarło do mnie, że im więcej pani Tilling będzie wiedziała o sprawie, tym bardziej prawdopodobne, że on nigdy mnie nie tknie.

Wiem, że Ci się to nie spodoba, Claro, ale powiedziałam jej. Powiedziałam jej wszystko. Gdy zaczęłam opowiadać o brygadierze ciągnącym mnie do swojego gabinetu po pogrzebie, historia rozwinęła się tak szybko, że właściwie nie mogłam

przestać. Mówiłam dalej, wyjaśniałam, dlaczego to nie moja wina, że musiałam kraść, by mieć co jeść i gdzie mieszkać, gdy uciekłam od wuja Cyrila i znalazłam się w King's Cross. Dzięki Bogu nadeszła wielka wojna i dostałam posadę w Szpitalu Barta, gdzie mogłam przyuczać się jako pielęgniarka. Byłam zawsze bez grosza, ciągle uciekałam, korzystając z każdej nadarzającej się okazji, nawet najnikczemniejszej. W miarę rozwoju zdarzeń zdałam sobie sprawę, że stało się to moją specjalnością. Nikczemność ogarnęła cały mój świat.

Sama byłam nikczemna.

Nic nie mówiła, tylko kiwała głową i czasem marszczyła czoło, okazując mi, wyobraź sobie, współczucie. Gdy skończyłam opowiadać, łagodnie poklepała mnie po dłoni i powiedziała, że czekają na mnie na plebanii.

Będiesz zaskoczona, Claro, ale tym razem poczułam ulgę. Potrzebuję dać odpocząć biodru, a pani Quail jest niezwykle praktyczna. W dodatku to dobra kucharka.

– Pomyślałam, że będzie pani tam dobrze – powiedziała pani Tilling, chowając moje rzeczy do torby. – Przynajmniej do czasu, gdy znajdzie sobie pani własne miejsce.

– A oni nie wiedzą o... – Prawda wydawała się teraz taka oczywista, tak ewidentna i poza moją kontrolą.

Roześmiała się. Nie głośno, ale jednak się zaśmiała.

– Nie, nikt inny niczego nie podejrzewał.

Ja także zaśmiałam się nerwowo, z czystej ulgi. Jakimś szczęśliwym zrządzeniem losu nadal żyłam i byłam wolna, miałam dach nad głową, pracę.

Spojrzałam pani Tilling prosto w oczy i powiedziałam:

– Dziękuję.

Musiała wiedzieć, że mówię ze szczerego serca, bo położyła swoją ciepłą, chudą rękę na mojej i ucisnęła ją.

– Dlaczego tak mi pani pomaga? – spytałam, zastanawiając się, co ona z tego ma.

– Musimy trzymać się razem i wspierać się nawzajem, panno Paltry, inaczej nigdy nie będziemy mieć szans z hitlerowcami.

Zabawne, kompletnie zapomniałam o wojnie.

Odchodziłam na plebanie, a pani Tilling wyglądała za mną przez frontowe drzwi. Gdy tylko dokużykałam do placu, zaskoczyła mnie jedna rzecz. Widok mojego starego domu, teraz kupy gruzu leżącej przede mną wśród innych kup gruzu, które były kiedyś domami przy Church Row. Moje życie wyglądało tak od lat. Choć nigdy nie byłam tam szczęśliwa, to te lata mimo wszystko należały do mnie.

Dreszcz przerażenia przebiegł mi po grzbiecie, gdy znalazłam się w samym środku katastrofy. Wszystko, co zostało z mojego domu, to mieszanina cegieł

i gruzu, fragmenty ścian nadal pokryte tapetą w błękitne paski, te paskudne zielone kafelki z kuchni. Pożar obrócił w zgłiszcza połowę mojego dobytku, a reszta została splądrowana.

Na podwórku nadal bawiło się kilkoro dzieci. Myszkowały wśród gruzów i popisywały się, gdy coś znalazły. Jedno z nich niosło fragment fotografii, nadal umocowany w kawałku ramki.

– Daj mi to! – wrzasnęłam, zabierając zdjęcie małemu złodziejowi. – To moje. A teraz wynoś się stąd. – Rozpędziłam ich, dając każdemu w ucho. – Wynoście się wszyscy z mojego domu!

Muszę przyznać, że kiedy sobie poszli, osunęłam się na ziemię i rozplakałam się. Wszystko, co posiadałam, było w tym domu, zniszczone, spalone lub rozkradzione.

Popatrzyłam na resztki zdjęcia, które trzymałam w ręku. Byłyśmy na nim ja, ty i mama, niecały rok przed jej śmiercią. Ty miałeś około szesnastu lat, ja dwanaście. Byłyśmy szczęśliwe i niewinne na tym nieszczęsnym świecie. Siedziałyśmy w ogrodzie w Birnham Wood, widać było dom na rogu, wzgórze porośnięte glicynią. Mama uwielbiała glicynie. Zastanawiałam się, co tak oddaliło mnie od tamtej chwili. Jak to możliwe, że jestem tą samą osobą co dziewczynka z fotografii? Kim się stałam?

Po mniej więcej godzinie grzebania w moim dobytku, odnalezieniu widelca i łyżki, kilku spinek do włosów, stłuczonej figurki (tej z sylwetką tańczącej pary, która zawsze mi się podobała), usłyszałam za plecami głos dobiegający ze ścieżki.

– Panno Paltry, czy wszystko w porządku?

To pastor przyszedł, by zabrać mnie do swojego domu. Dotarło do mnie, że nie zauważyłam, jak wielkimi kroplami zaczął padać deszcz. Przybierał na sile, gdy przecinaliśmy plac w drodze na plebanię.

Pastor pokazał mi wygodny pokój, który przygotowali „specjalnie dla pani położnej, naszego gościa”. Gdy się rozgościłam, zjedliśmy rybę na kolację, a potem siedliśmy przy radiu, by posłuchać wiadomości o wojnie, bitwie o Anglię, niemieckich planach bombardowań na południowym wschodzie, i nagle poczułam, jak cenne jest to wszystko, jak wiele trzeba chronić.

Tak więc jestem w zupełnie nieoczekiwanym miejscu. Pisząc te słowa, siedzę w miękkim, ciepłym łóżku, a za oknem pada deszcz. Czuję, że muszę spisać to wszystko tej nocy, by jutro zacząć od nowa, wejść w nowy dzień, nowy początek.

Wiem, że będziesz się na mnie gniewać, Claro, i że planujesz przyjechać dać mi nauczkę. Proszę jednak, nie przyjeżdżaj. Moje biodro jest obolałe i potrzebuję odpocząć jakiś czas, a potem muszę zarobić nieco pieniędzy przy porodach i znaleźć sobie gdzieś własny niewielki kąt.

Potem skoncentruję uwagę na Ralphie Gibbsie. Nie popełnię już żadnego

błędu, Claro. Odzyskam moje pieniądze, choćby nie wiem co.
Tymczasem,

Edwina

**OGŁOSZENIE PRZYPIĘTE NA TABLICY PRZED ŚWIETLICĄ
WIEJSKĄ W CHILBURY W PONIEDZIAŁEK 19 SIERPNIĄ 1940 ROKU**

Każdy, kto chciałby dołączyć do Chilburyjskiego Chóru Żeńskiego i wziąć udział w koncercie na rzecz bezdomnych mieszkańców Litchfield w przyszłą sobotę, jest zaproszony na próbę dziś wieczorem w Świetlicy Wiejskiej, punktualnie o 7.

Pani Tilling i Kitty Winthrop

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL

Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Poniedziałek, 19 sierpnia 1940 r.

Kochana Angelo!

Ponieważ nasze biuro w Litchfield Park zostało zmiecione z powierzchni ziemi, przenoszą mnie do Londynu. To bombardowanie było straszne, wielu ludzi straciło domy, zawaliło się też wiele spośród tych pięknych budynków w stylu Tudorów. Mam wyrzuty sumienia, że tak się cieszę na ten wyjazd, ale naprawdę muszę się stąd wyrwać, żeby zapomnieć o wszystkim, co się ostatnio wydarzyło.

Wciąż tęsknię za Alastaiem, ale nie mogę pogodzić się z faktem, że zostawił mnie w taki sposób. Im dłużej o tym myślę, tym większe mam poczucie, że kryło się w nim dwoje ludzi: złoczyńca i szpieg i drugi Alastair – ten, którego ja znałam – delikatny, mądry i porządny. Zastanawiam się, czy on też jest gdzieś tam i myśli o mnie.

Tymczasem Kitty wymyśliła koncert na rzecz ofiar nalotu na Litchfield. Z początku po prostu podśpiewywałyśmy do wtóru gramofonowi, ale potem mama zasugerowała, że mogłybyśmy wzbogacić repertuar Chilburyjskiego Chóru Żeńskiego o te piosenki. Mogłabym zrobić jakąś dowcipną uwagę o tym, że mieszkańcy Litchfield potrzebują czegoś, co podniesie ich na duchu, a nie doprowadzi do utraty słuchu, ale nie zrobię tego, bo jestem pewna, że będą zachwyceni. W dzisiejszych czasach mamy niewiele dobrych rzeczy do zaoferowania innym – wszystko jest albo na kartki, albo zabronione – ale przynajmniej możemy jeszcze śpiewać. To niewiarygodne, jak bardzo śpiew może poprawić nastrój. Prim zawsze powtarzała, że to za sprawą krwi, która zaczyna szybciej krążyć w żyłach, i dodatkowej porcji tlenu w płucach, dzięki któremu czujemy, że żyjemy. Biedna Prim! Smutno będzie urządzać koncert bez niej. Na pewno by jej się podobał.

Pani Tilling załatwiła nam zgodę na skorzystanie z auli przy kościele w Litchfield w najbliższą sobotę, a Kitty przygotowała kolorowe afisze do rozwieszenia w mieście. Uważają, że na koncert może przyjść ponad siedemdziesiąt osób, więc powoli zaczynamy mieć tremę.

Dziś wieczorem miałyśmy próbę w świetlicy i dotarłyśmy na nią, zastanawiając się, jak to wszystko wypadnie. Aula to zupełnie co innego niż kościół, a muzyka, którą mamy zaśpiewać, mocno różni się od *Ave Maria*. Niemniej jesteśmy szalenie podekscytowane. Trudno o lepszy sposób na poprawę humorów najpierw po bombardowaniu Chilbury, a potem tym grubszym przedsięwzięciu w Litchfield.

– Dobry wieczór wszystkim – zaczęła wesoło pani Tilling. – Na początek zajmijmy miejsca, dobrze? Zapraszam panie na scenę. – Przynagliła maruderki, podnosząc ręce, po czym zajęła się ustawianiem nas. – Sopran na prawo, alty na lewo – zawołała, a następnie wzięła się do wyciągania niższych osób na przód i przesuwania wyższych – w tym mocno zdezorientowanej pani B. – do tyłu. Potem prędko odsunęła się od sceny, żeby przyjrzeć się swemu dziełu, i podeszła do nas jeszcze kilka razy, by wprowadzić drobne poprawki.

– Doskonale! – oznajmiła w końcu i wręczyła każdej z chórzystek po kilka kartek. Były to arcydzieła Kitty i Silvie. Udało im się zmieścić słowa wszystkich dwudziestu piosenek na dwóch kartkach, a potem przepisać to wszystko mnóstwo razy.

Zaczęłyśmy od śpiewania razem z muzyką z płyt, tak samo jak wcześniej u nas w domu, i oczywiście co chwila komuś myliły się słowa.

– Nie martwcie się, jeżeli w tej chwili macie kłopot z nadażeniem za muzyką – odezwała się pani Tilling. – Na razie po prostu spróbujcie jakoś przez to przebrnąć. Pamiętajcie, że możecie ćwiczyć także w domu, a we środę będziemy miały kolejną próbę.

Kitty śpiewa cudowne solo, *Somewhere Over the Rainbow*. Na próbie wyszło jej przepięknie, i trudno się dziwić, bo w domu od rana do wieczora nie słychać nic innego.

Potem pani Tilling rzekła:

– Chciałabym poprosić także Venetię, żeby zaśpiewała partię solową. Zrobisz to dla nas?

Oślupiałam.

– Cóż, mogę spróbować – odpowiedziałam z wahaniem.

Podawała mi nuty do piosenki, którą w zeszłym tygodniu śpiewałyśmy w mojej sypialni, *Blue Moon*. Kiedy spojrzałam na słowa, palce zaczęły mi drżeć. Tekst jest o dziewczynie, takiej jak ja, która jest teraz sama, jak ja, i czeka na kogoś nowego. Ta ostatnia część nie przypomina mnie, i do oczu napłynęły mi łzy. Nie chcę nikogo nowego, chcę, żeby wrócił Alastair. Wiem, że to łajdak i że powinnam nigdy więcej nie chcieć go widzieć, ale nie potrafię wybić go sobie z głowy. I tak naprawdę nie chcę.

– Venetio, nie musisz tego śpiewać, jeśli nie chcesz – powiedziała cicho pani Tilling i wyciągnęła rękę, żeby zabrać nuty z powrotem.

– Nie – odparłam, prostując się. – Mogę to zaśpiewać.

I tak też zrobiłam. Pani Quail zaczęła grać wstęp, a ja zaśpiewałam czysto i nisko, wypełniając salę swoim głosem. Na koniec wszyscy zaczęli klaskać i wiwatować, więc zdaje się, że nieźle sobie poradziłam. Sporo ćwiczę w domu i myślę, że w sobotę powinno się udać.

A potem wyruszę do Londynu, gdzie będziemy razem bawić się tak, jak za starych dobrych czasów, i kto wie, może nawet zacznę powoli zapominać o Alastairze. Czy mogłabym pomieszkać u Ciebie, zanim znajdę coś własnego?

Ucałowania,

Venetia

LIST OD PUŁKOWNIKA MALLARDA DO JEGO SIOSTRY, PANI MAUD GREEN, ZAMIESZKAŁEJ W OKSFORDZIE

Ivy House,

Litchfield Road,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Wtorek, 20 sierpnia 1940 r.

Kochana Maud!

Wygląda na to, że mój wydział zostanie przeniesiony do Londynu, bo jedna z bomb zmieniła całe nasze biuro w kupę gruzu. Moje biurko poszło w drzazgi, i wolę nie wyobrażać sobie stanu, w jakim bym się obecnie znajdował, gdybym wówczas przy nim siedział. Planują zacząć przeprowadzkę, gdy tylko uda się znaleźć dla nas jakiś lokal. Podobno naszą sprawę uznano za priorytetową, więc możliwe, że nastąpi to już w przyszłym tygodniu.

Jeszcze nie poinformowałem mojej gospodyni, pani Tilling. Na pewno przejmie się, że musi szukać sobie nowego lokatora, chociaż w związku z nalotem na Litchfield i faktem, że hrabstwo Kent znalazło się na linii frontu, pewnie nie będzie miała z tym kłopotu. Wiem jednak, że będzie jej brakować towarzystwa, i trochę się martwię, jak jej o tym powiem. Zdążyliśmy się zaprzyjaźnić. Ach, te nasze improwizowane kolacje w kuchni i naloty spędzane wspólnie w piwnicy... Muszę przyznać, że będzie mi brakowało naszych pogawędek.

Tak czy inaczej, wojna trwa, a my musimy się dostosować. Napiszę znów, kiedy już będę znał nowy adres. Uściskaj ode mnie dziewczynki.

Serdeczności,

Anthony

DZIENNIK PANI TILLING

Środa, 21 sierpnia 1940 r.

Chilburyjski Chór Żeński znów wystąpi na scenie! W najbliższą sobotę mamy dać koncert w Litchfield. Wiele z pań było bardzo rozczerwanych, kiedy odwołano konkurs, a teraz będziemy miały scenę tylko dla siebie. Kitty wpadła doprawdy na świetny pomysł.

Próba poszła całkiem nieźle, choć mam nadzieję, że niektóre chórzystki jeszcze solidnie poćwiczą. Planujemy zacząć o siódmej. Przez godzinę będziemy występować same, a potem wykonamy piosenki, które wszyscy znają, jak *My Old Man Said Follow the Van*, *Roll Out the Barrel* czy *We're Going to Hang Out the Washing on the Siegfried Line*. Będą mogli śpiewać razem z nami. W kościele powiedzieli, że być może uda im się zorganizować po koncercie herbatkę, ale specjalnie na to nie liczę. A potem, cóż, powrót do domu i do rzeczywistości.

Pułkownik musi się przenieść do Londynu, prawdopodobnie w przyszłym tygodniu albo w kolejnym. Powiedział mi o tym wczoraj przy kolacji w kuchni. Mielśmy tylko zupę ogonową, chleb i trochę masła, ale chyba nikomu to nie przeszkadzało.

– Wie pani, naprawdę wolałbym tu zostać – powiedział z markotną miną. – Polubiłem tę miejscowość, i nie tylko.

– Tak, chyba i ja przywykłam do pana towarzystwa.

– Naprawdę?

– Tak.

– Czy to znaczy, że będzie pani za mną tęsknić?

– Naturalnie, że tak. – Dalej jadłam swoją zupę, chociaż pułkownik odłożył łyżkę.

– Będzie pani do mnie pisała? – zapytał ostrożnie.

– Oczywiście – odparłam. – Uwielbiam pisać listy. Mam nadzieję, że będzie mi pan odpisywał i opowiadał, jak wszystko wygląda w Londynie, czy wygramy wojnę i tym podobne.

– Ale ja mówię poważnie – rzekł ciszej i z przejęciem.

– Ja także.

Patrzyliśmy na siebie przez kilka chwil, ja z łyżką w połowie drogi do ust, i nagle poczułam się tak, jakbyśmy znaleźli się na jakimś polu bitwy. Było oczywiste, że on lubi mnie, a ja jego. Przywiązaliśmy się do siebie, nauczyliśmy wypełniać nawzajem puste przestrzenie wokół nas. Otuchą i wsparciem, żywymi rozmowami i przekomarzankami, przelotnym uczuciem namiętności, może nawet

miłości. Wiedziałam, że on też to czuje. To coś oplotło naszą dwójkę, połączyło nas w unisono tak, że każdy ruch zbliżał jedno do drugiego.

Przyniósł mi podarunek „z podziękowaniem, że przygarnęła mnie pani pod swój dach”, jak powiedział. Rozdarłam opakowanie z gazety i moim oczom ukazał się nowy szlafrok, miękki i niebieski.

– Dziękuję – powiedziałam zawstydzona, myśląc o mojej sfatygowanej brązowej podomce i zastanawiając się jednocześnie, jak udało mu się w środku wojny wyszukać coś tak ślicznego.

– Ach, to nic takiego. Po prostu zauważyłem, że pani stary szlafrok jest, cóż, stary – wymruczał pułkownik, także zakłopotany.

Po kolacji usiedliśmy w salonie i wysłuchaliśmy wiadomości w radiu, a potem ja nastawiłam kilka płyt gramofonowych z kolekcji Prim, które pożyczyła mi Kitty. Najpierw usłyszeliśmy uroczy numer taneczny *Heaven, I'm in Heaven* w wykonaniu Freda Astaire'a. Ku mojemu zaskoczeniu ledwie zabrzmiały pierwsze takty, pułkownik wstał z miejsca i poprosił mnie, żebym zechciała się do niego przyłączyć – tutaj, na środku salonu.

Początkowo tylko się roześmiałam.

– Chyba pan sobie żartuje.

– Dlaczego? Kiedy ostatnio była pani na tańcach? A zresztą Bóg raczy wiedzieć, jak prędko trafi nam się następna okazja.

Pomyślałam o jego przeprowadzce do Londynu i o niebezpieczeństwie, że jemu także może się coś stać. Fakt, że w Litchfield był o włos od nieszczęścia, mocno mną wstrząsnął. Zaczęłam myśleć o tym, że wszyscy drodzy mi ludzie odchodzą ode mnie jeden po drugim. Pułkownik musiał zauważyć moją minę, bo powiedział:

– Proszę w tej chwili przestać się zamartwiać i spróbować cieszyć się chwilą.

Podniósł mnie z fotela, przyciągnął do siebie i zaczął z galanterią walcować ze mną po ciasnym saloniku. Zaśmiałam się nerwowo. Pułkownik był zaskakująco dobrym tancerzem jak na takiego potężnego, zwalistego mężczyznę. Poruszał się lekko i pewnie prowadził, jedną ręką trzymał mnie w talii, a drugą ujmował moją szczupłą dłoń. Jestem mniej więcej średniego wzrostu, więc oczy miałam na wysokości jego piersi. Musieliśmy wyglądać dosyć komicznie, wirując po skąpo oświetlonym pokoiku, zanurzeni w naszym własnym świetle.

Kiedy piosenka dobiegła końca, zastygliśmy na środku salonu; ciepła czerwień zasłon i dywanika stwarzała przytulny, intymny nastrój. Pułkownik cofnął się o krok i spojrzał w dół, lekko przechylając głowę, a ja zrozumiałam, że zaraz mnie pocałuje.

Ogarnęła mnie panika i odsunęłam się od niego zdenerwowana. Nie chodzi o to, że nigdy nie myślałam o nim w ten sposób. Czy że nie przysłoby mi do głowy go pocałować. Po prostu nigdy nie przypuszczałam, że może do tego

naprawdę dojść. Moja panika wzrosła jeszcze bardziej. Może on opacznie to zrozumiał i pomyślał, że nie mam ochoty go pocałować. A jeśli już nigdy więcej nie spróbuje?

Toteż opanowałam się, wspierałam na palce, położyłam mu rękę na karku i przyciągnęłam go do siebie. Pocałunek wypadł trochę niezgrabnie, ale w końcu się nam udało, i naprawdę było warto. Moje ciało zalała fala nieopisanej błogości i poczucia mocy. Nigdy bym nie pomyślała, że całowanie się może być tak rozkoszne. Chyba musiałam o tym zapomnieć, zatrzaskać w jakiejś ciemnej komórce w mojej głowie, w pudle z napisem: „Nie otwierać”.

Teraz pudło jest otwarte. Po prostu wybuchło.

Przez dłuższą chwilę nie przerywaliśmy pocałunków. Jemu chyba także się podobało, bo patrzył na mnie rozmarzonym wzrokiem. Było późno w nocy, a ja spędziłam wyjątkowo mało czasu na przygotowywaniu się do koncertu.

Co za dziwny rozwój wydarzeń. Być może pułkownik stwierdził, że skoro wyjeżdża, musi dowiedzieć się, co do niego czuję. Może otarcie się o śmierć podczas nalotu na Litchfield sprawiło, że on także coś zrozumiał. Może po prostu nigdy nie miał śmiałości, a teraz, skoro wiedział, że wyjeżdża za tydzień, sytuacja stała się dla niego prostsza. Wiem jedno: cieszę się, że to zrobił. Cokolwiek stanie się w przyszłości, dzisiejsza noc będzie nasza na zawsze, kawałeczek nieba w chaosie świata.

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Sobota, 24 sierpnia 1940 r.

Koncert w Litchfield

Miałyśmy za mało prób, co najmniej dwa soprany odpadły z powodu paskudnego kaszlu, a kiedy dotarłyśmy na miejsce, sala okazała się tak obskurna i brudna, jakby od wieków nikt tam nie zaglądał.

Popatrzyłyśmy po sobie z przerażeniem.

– Całe szczęście, że przyjechałyśmy przed czasem – oznajmiła pani Tilling, zaglądając do szaf w poszukiwaniu mioteł. – A swoją drogą, czy ktoś pamiętał o zabranii dekoracji?

Pani B. wzięła ze sobą kolorowe chorągiewki, które zostały po pożegnalnym przyjęciu Henry’ego, więc teraz zaczęła je rozdzielać i wydawać wszystkim polecenia.

– Lepiej się pośpieszmy, jeśli chcemy, żeby o siódmej to miejsce nadawało się na koncert.

Rozbiegłyśmy się po sali i muszę przyznać, że za kwadrans siódma nasz lokal wyglądał o wiele lepiej. Czerwone, białe i żółte proporczyki naprawdę go rozweseliły, a do tego posklejałyśmy jeszcze łańcuchy z gazet. Ustawiliśmy krzesła dla publiczności, po czym poszłyśmy zająć swoje miejsca na scenie i czekałyśmy, szepcząc sobie do ucha niezawodne sposoby na opanowanie tremy tuż przed występem.

Ale w sali dalej nie było nikogo poza nami.

– Ile ty rozkleiłaś tych afiszy, Kitty? – huknęła na mnie pani B., wychylając się spomiędzy altów, jakby to była wyłącznie moja wina, że nikt się jeszcze nie pojawił.

– Znacznie więcej niż pani! – odcięła się pani Tilling. Wszystkie zachichotałyśmy. Kto by się spodziewał, że właśnie ona będzie potrafiła utrzyć nosa pani B.!

Jednak zegar tykał nieubłaganie, i wciąż nikt się nie zjawiał. Nasze rzędy krzeseł wyglądały smętnie i nie na miejscu w tej wielkiej sali, po której kręcił się tylko kościelny i przybijał coś młotkiem. Była za pięć siódma. Nie mogłam uwierzyć, że nikt nie chce przyjść nas posłuchać. Okleiłam swoimi afiszami połowę latarni w mieście.

– Zamienię słówko z kościelnym – oznajmiła pani Tilling. – Może postanowili odwołać koncert i zapomnieli nas zawiadomić. – Zeszła po schodkach z boku sceny, szybko pokonała długość sali i zniknęła w hallu.

– Raczyliby nas przynajmniej poinformować! – odezwała się pani B., pociągając lekko nosem, jakby to wszystko doprawdy nie licowało z jej godnością.

Wtem od strony wejścia do budynku rozległ się gwar i zamieszanie, i do pomieszczenia wdarła się rzeka ludzi; niektórzy wręcz pędzili, żeby zająć sobie miejsca z przodu. Widać kościelny zapomniiał otworzyć drzwi. W sali zapanował rejdach, ludzie nawoływali się nawzajem, bo udało im się znaleźć miejsca, albo wydawali okrzyki radości, rozpoznając sąsiadów. Było wiele osób w mundurach, ale głównie kobiety, jak to bywa ostatnio. Nie mogłam uwierzyć, że są aż tak podeksytowani. Ci wszyscy ludzie przyszedli tu tylko po to, żeby posłuchać, jak śpiewamy! Czulałam, jak żołądek wypełniają mi trzepoczące motyle. Czemu zgodziłam się zaśpiewać solo? Czy naprawdę nadaję się do życia w blasku jupiterów?

W końcu, kiedy sala pękała już w szwach, kościelny zamknął drzwi i dał znak pani Tilling, że pora zaczynać. Wstała i powoli wyszła na środek sceny, po czym podniosła ręce, pokazując nam, że możemy się ustawić. Po krótkim zamieszaniu, w wyniku którego pani Gibbs nastąpiła pani B. na nogę, wszystkie znalazłyśmy swoje miejsca. Pani Tilling rozejrzała się pogodnie po ogromnej sali w oczekiwaniu, aż wszyscy się uciszą. Kilka osób zaczęło mówić „ciii”, rozmowy przycichły, aż w końcu umilkły zupełnie, zwłaszcza gdy oczy pani Tilling wyłowiły z tłumu dwie sprawczynie największego zamieszania i posłały im karzące spojrzenie.

Następnie wróciła do nas, uniosła pałeczkę i dała znak pani Quail, żeby zaczęła przygrywkę do pierwszej piosenki. Był to śliczny leniwy utwór jazzowy zatytułowany *Summertime* i śpiewając, wszystkie zaczęłyśmy kołysać się lekko, takie to było senne i rozmarzone. Tak się nam przyjemnie śpiewało, że omal nie zapomniłyśmy o widowni, o setkach zasłuchanych osób – niektórzy też się kołysali, inni wybijali rytm stopą, niektórym pewnie udało się na moment zapomnieć o bombach, krwi i zwłokach.

Na koniec wybuchły rześiste oklaski, a nawet rozległo się kilka gwizdów uznania. Wszystkie uśmiechnęłyśmy się radośnie, i wtedy zobaczyłam, że pani Tilling daje sygnał Venetii, że przyszła jej kolej na odśpiewanie *Blue Moon*. Moja siostra chciała, żebym to ja śpiewała pierwsza, ale pani Tilling nalegała.

– Venetio, ty tak świetnie odnajdujesz się na scenie – powiedziała. – Zależy mi, żebyś wystąpiła na początku.

– Powodzenia – wyszeptalam, mijając ją i usuwając się na bok sceny razem z resztą chóru. – Dasz radę, Venetio.

I w tym momencie była już tylko ona, samotna na środku sceny. Widać było,

że jest zdenerwowana, ale wyglądała pięknie, jak to ona. Jej wielkie błękitne oczy wpatrywały się w tłum, żółta sukienka drżała leciutko, a kręcone, złote włosy rozsypały się po ramionach. Jej starannie umalowane usta były lekko rozchylone z przestachu, pierś falowała. Zaczęła się przygrywka, a moja siostra rozłożyła dłonie i zaśpiewała pierwsze nuty *Blue Moon*, najpierw cicho i nieśmiało, ale z każdym kolejnym wersem nabierała mocy i pewności siebie. Naprawdę dawała radę. Śpiewała przed tymi wszystkimi ludźmi.

Rozejrzałam się po twarzach widzów, uśmiechniętych, zasłuchanych, i poczułam, że Venetia jest coraz swobodniejsza, że pozwala swojemu głosowi wznieść się tak, by wypełnić całą tę wielką salę. Zanim się obejrzałam, już była przy drugiej zwrotce. Kołysała lekko biodrami w rytm piosenki i uśmiechała się do publiczności.

I wtedy zobaczyłam kogoś dziwnie znajomego.

Stał z tyłu, trochę na prawo. Początkowo nie potrafiłam stwierdzić, czy to naprawdę on. Wyglądał inaczej. Włosy miał krótsze, strój mniej formalny. Czy to zjawą?

Uśmiechnął się i mrugnął do niej, znacząco i niespiesznie, a ja zrozumiałam, że to naprawdę on. Że on żyje. Że ją odnalazł.

Venetia przestała śpiewać. Słowa po prostu zamarły na jej wargach, utkwiała w nim wzrok. Zobaczyłam, że jego usta się poruszają, wymawiając coś bezgłośnie. „Kocham cię”. Moja siostra w ten sam sposób odpowiedziała mu ponad głowami tłumu: „A ja kocham ciebie”.

Pani Quail grała dalej, chociaż Venetia umilkła, więc szybko pobiegłam na środek sceny i podjęłam piosenkę w miejscu, gdzie ona urwała. Venetia odwróciła się i spojrzała na mnie oszołomionym wzrokiem, po czym ruszyła w stronę schodków z boku sceny. Nie przestawałam śpiewać, podczas gdy ona szła poprzez tłum, który rozstępował się przed nią, aż wreszcie dotarła do pana Slatera.

Stanęli w odległości metra od siebie i patrzyli sobie w oczy, aż ktoś popchnął ją lekko do przodu, i wtedy padli sobie w ramiona, i zaczęli się całować jak w filmie. To była najbardziej romantyczna scena, jaką w życiu widziałam. Wszyscy wokół wiwatowali i po chwili cała sala grzmiała od aplauzu. W tym ponurym świecie pozostaje nam przynajmniej to jedno. Miłość.

Pan Slater wziął ją za rękę i poprowadził poprzez tłum do drzwi, i razem zniknęli w mroku nocy.

A ja śpiewałam dalej, myśląc o samotności i o mojej zaprzepaszczonej przyszłości u boku Henry'ego. Jakie niedorzeczne wydaje mi się to teraz – zadurzenie, które doprowadziło mnie do zrobienia czegoś tak głupiego i dziecinnego.

Ale potem pomyślałam o wszystkich tych wspaniałych ludziach w moim życiu: mamie, która nagle stała się bardziej sobą, Venetii, z którą tak

nieoczekiwanie się zbliżyłyśmy, Silvie, będącej teraz częścią naszej rodziny, Rose, i nawet o Tomie, którego z tym całym śmiesznym uwielbieniem dla mnie mogłam uważać za nowego przyjaciela. I o chórze, który jest niemal jak rodzina złożona z przyjaciółek i sąsiadek wspierających się nawzajem. Widzisz, pamiętniczku, nie jestem już sama. Żadna z nas nie jest.

Tłum wybuchnął aplauzem, kiedy piosenka dobiegła końca. Musiała minąć chwila, żebym zdała sobie sprawę, że oni oklaskują mnie – zupełnie zapomniałam o motylach w brzuchu.

– Kitty, przejdźmy od razu do twojego solo – odezwała się pani Tilling, po czym zwróciła się do pani Quail, żeby zaczęła przygrywkę, i ani się obejrzałam, a już stałam i uśmiechałam się do publiczności, czekając, aż nadejdzie moment, w którym wchodzę. Miałam wykonać przepiękny utwór, *Somewhere Over the Rainbow*.

Kiedy odśpiewałam wymagający początek, złożony z przeplatających się wysokich i niskich rejestrów, słuchacze zgotowali mi owację, a ja przez całą piosenkę uśmiechałam się od ucha do ucha. Słowa płynęły z moich ust bez wysiłku, napędzając całą salę blaskiem nadziei.

Na koniec rozległy się gromkie oklaski, ludzie wiwatowali i gwizdali z uznaniem. Poczułam, że do oczu napływają mi łzy. Mój występ okazał się sukcesem!

Niebawem otoczyły mnie pozostałe chórzystki, składając mi gratulacje i szykując nuty do następnego utworu. Pani Tilling podniosła pałeczkę i dała sygnał do rozpoczęcia kolejnej piosenki, kolejnego jazzowego numeru, a my już po chwili kołysałyśmy biodrami do rytmu wraz z publicznością. Co za frajda. Potem nastąpiła część poświęcona wspólnemu śpiewaniu, którą zakończyła pełna animuszu i dość hałaśliwa wersja *There'll Always Be an England*.

– Miałaś rację, Kitty – odezwała się do mnie pani Tilling, gdy kłaniałyśmy się raz po raz przy wtórze niemilkających oklasków. – Piosenka jest dobra na wszystko.

– To dzięki pani, bo zgodziła się pani poprowadzić nasz chór.

Okrzyki „jeszcze” i „bis” nie ustawały, więc pani B. przedarła się przez szereg altów i szturchnęła naszą dyrygentkę.

– Zaśpiewamy im jeszcze jedną?

Pani Tilling powiodła wzrokiem po naszych pełnych zapału twarzach.

– Ależ tak – powiedziała, po raz ostatni unosząc pałeczkę. – Zaśpiewajmy *The World Will Sing Again*.

Ćwiczyłyśmy to zaledwie kilka razy, ale był to jeden z najbardziej wzruszających utworów, przywołujący na myśl wszystkich tych pogrążonych w żałobie i dający im nadzieję. Pani Tilling poczekała, aż w sali zapadnie całkowita cisza, po czym dała nam sygnał do rozpoczęcia. Zaśpiewałyśmy z prostotą,

pozwalając, by słowa mówiły same za siebie, by wybrzmiała ta niezwykła mieszanka rozpacz i nadziei, straconych marzeń i dzielnych uśmiechów, najczarniejszej nocy, którą zwycięża po cichu nowe światło brzasku. To była magiczna chwila – na widowni panowała cisza jak makiem zasiał. Cisza pełna szacunku dla wszystkich, którzy kogoś stracili, albo których najbliżsi byli daleko, w niebezpieczeństwie.

Kiedy skończyłyśmy, publiczność przez dłuższą chwilę milczała – być może pogrążona w modlitwie – a potem powoli zaczęły się oklaski ogarniające tłum i wypełniające salę niczym fala przypływu. Nie było wiwatów ani gwizdania, tylko głębokie i potężne echo oklasków setek ludzi, okazujących wsparcie osieroconym i pogrążonym w żałobie; tym, którzy nie wiedzą, jak dalej żyć.

Kiedy już aplauz umilkł, poszłyśmy zobaczyć, czy nie ma jakiegoś poczęstunku (nie było) i spotkać się ze wszystkimi. Pojawiło się całe Chilbury, w tym Henry (którego nazywamy teraz z Venetią Henrykiem Haniebnym), był pogrążony w rozmowie z umundurowaną kobietą, przypominającą wyjątkowo zajadłego buldoga.

– To lady Constance Worthing, córka lady Worthing – szepnęła pani Tilling z nutką rozbawienia w głosie. – Jestem zaskoczona, że Henry w końcu uległ namowom pani B.

– Czyżby się do niej zalecał?

Byłam zdumiona. Wcale nie wyglądała na dziewczynę w jego typie. Nie potrafiłam nawet być zazdrosna!

– Ten związek niewątpliwie przysporzy splendoru obu rodzinom. Pieniądze Bramptonów i tytuł Worthingów. – Uśmiechnęła się drwiąco i widać było, że uważa całą tę historię za komiczną. – Ale spójrz tam!

Posłusznie podniosłam wzrok i zobaczyłam Ralpa Gibbsa z nikim innym, jak z naszą dawną służącą, Elsie.

– A oni mają się ku sobie? – spytałam znów.

– Na to wygląda – odparła pani Tilling.

Patrzyłyśmy, jak Ralph nachyla się i szepcze coś do ucha Elsie, która roześmiała się, a potem wzięła go pod ramię i poprowadziła w stronę drzwi. Kto by pomyślał, że taka ślicznotka zechce związać się z takim paskudnym typem.

Co chwila podchodził do nas ktoś z gratulacjami; wszyscy mówili o tym, jak cudownie śpiewałyśmy i jacy są nam wdzięczni. Pewna kobieta opowiedziała mi o swoim zburzonym domu. Od tego czasu razem z czwórką dzieci gniotą się w mieszkaniu sąsiadki. Sporo osób wciąż mieszka w różnych salach, śpią na podłodze. O koc jest obecnie trudniej niż o kotlet wieprzowy. Tego typu dobra stały się walutą wymienną, jak szylingi czy srebro. Postanowiłam urządzić w Chilbury zbiórkę, a pani Quail obiecała mi pomóc.

Przyszedł także Tom, którego pierwszy raz widziałam z uczesany

włosami; muszę przyznać, że wyglądał całkiem przystojnie.

– Kitty, byłaś niesamowita. Tak świetnie to wszystko zorganizowałaś, no i śpiewałaś prześlicznie.

– Naprawdę tak uważasz?

– Wszyscy tutaj tak uważają – odparł Tom, a ludzie wokół nas zaczęli wiwatować. Zawstydziałam się trochę.

– Miałem rację, prawda? – ciągnął dalej Tom.

– Z czym? – spytałam, choć domyślałam się, co zaraz usłyszę.

– W końcu zostałaś prawdziwą bohaterką!

Nachyliłam się i cmoknęłam go w policzek.

I wtedy jak spod ziemi wyrósł papa.

– Co tu się dzieje? – burknął. – Kitty, czas na nas. Chodź. Ile mam czekać? Co się stało z Venetią i tym cholernym facetem? Jak ich znajdę, powiem im, co o tym myślę. Trzeba było go zastrzelić, kiedy miałem okazję.

– Nie wiedziałam, że wybierasz się nas posłuchać – odparłam. Wolałabym, żeby nie przychodził.

– Musiałem zobaczyć, jak robicie z siebie pośmiewisko – huknął papa, ale zaraz parsknął śmiechem. – Ale ostatecznie nie byłyście aż takie złe. – Rozejrzał się wokół, pewnie w poszukiwaniu mamy albo pani Tilling. – Chociaż mam nadzieję, że poprzestaniesz na koncertach dobroczynnych, młoda damo. Doprawdy nie życzyłbym sobie, żeby Winthropówna występowała na scenie.

Uśmiechnęłam się do niego niczym kot z Cheshire.

– Nie martw się, tatusiu. Dalej jestem twoją małą córeczką – odpowiedziałam i dałam nurka w tłum.

Zdaje się, że koniec końców nauczyłam się od Venetii czegoś przydatnego.

LIST OD VENETII WINTHROP DO ANGELI QUAIL

Chilbury Manor,

Chilbury,

hrabstwo Kent

Środa, 28 sierpnia 1940 r.

Kochana Angelo!

Nie mogę w to uwierzyć! Alastair wrócił, żyje! Nie posiadam się ze szczęścia i co chwila muszę szczytać się w rękę, żeby się upewnić, że to nie sen.

Wszystko wydarzyło się podczas naszego koncertu. Wyobrażasz sobie, że stałam sama na środku sceny i śpiewałam *Blue Moon*? I wszystkim się podobało! Ludzie kołysali się do rytmu i uśmiechali, a ja powoli przyzwyczajałam się do tego, że tam stoję, i śpiewałam coraz pewniej, gdy nagle mój wzrok padł na mężczyznę z tyłu sali. Z początku myślałam, że wyobraźnia płata mi figle, potem, że to po prostu ktoś podobny do niego, ale z każdym spojrzeniem upewniałam się, że to on.

Alastair.

Patrzył na mnie spokojnie, z lekkim uśmiechem na ustach, tak jak zawsze, a ja poczułam, jak coś we mnie pęka. Przestałam śpiewać, przestałam oddychać, jakbym zobaczyła zjawę. Na szczęście podeszła Kitty i mnie zastąpiła, a ja zorientowałam się, że przecinam scenę, schodzę po schodkach i ruszam przez ciżbę, jakby wszyscy inni ludzie w sali zniknęli. Był tylko on i ja, szliśmy ku sobie, wpatrując się sobie w oczy, a potem on wziął mnie w swoje najprawdziwsze ramiona.

Ominęła nas reszta występu, bo wyszliśmy z sali i wybraliśmy się na spacer. Wieczór był ciepły i balsamiczny, w powietrzu wciąż unosił się swąd spalenizny, a księżyc niemal w pełni wisiał nad horyzontem, spowity liliową mgiełką.

– Dobrze wybrałaś utwór – odezwał się Alastair, biorąc mnie za rękę. Poczułam, jak zalewa mnie doznaniem niezwykłego szczęścia. Wiem, że powinnam być ostrożna, ale po prostu nie potrafiłam się powstrzymać. Przez tyle czasu byłam pozbawiona czegoś absolutnie niezbędnego do życia i ktoś właśnie mi to zwrócił, przypominając mi, na czym polega szczęście.

– *Blue Moon* – powiedziałam, spoglądając na księżyc z lekkim uśmiechem.

– A teraz zjawiasz się ty. I zastajesz mnie samą. W dodatku na scenie.

– Byłaś fantastyczna – odparł Alastair i poprowadził mnie do małego parku,

nad staw z kilkoma ławkami, po którym pływały parami łabędzie, wyginając wdzięcznie szyje i chowając głowy pod skrzydła. Usiedliśmy, trzymając się za ręce, jak stare dobre małżeństwo na urlopie.

– Alastairze – odezwałam się cicho, spoglądając na jego dłoń splecioną z moją i spoczywającą na moich kolanach. – Gdzieś ty był?

– Niestety musiałem wykonać pewne zlecenie – wyszeptał, odwracając głowę i wtulając twarz w moje włosy. – Nie chciałem wyjeżdżać i nie zadawałem sobie sprawy, że będę musiał zrobić to tak szybko.

– To miało coś wspólnego z tym hitlerowcem w lesie, prawda? – spytałam.
– Bałeś się, że cię złapią?

– Nie, Venetio. – Uśmiechnął się i ucałował moją dłoń. A potem opowiedział mi wszystko, ale kazał przysiąc, że dochowam tajemnicy, więc naprawdę nie mogę Ci nic powiedzieć, moja kochana! Dość na tym, że nie jest złoczyńcą, za jakiego go uważałam. Raczej jednym z pozytywnych bohaterów.

Kiedy skończył mówić, przesunęłam palcami po kołnierzu jego płaszcza, nieco mniej wytwornego niż garnitury, w których do tej pory go widywałam.

– Ale dlaczego mnie zostawiłeś?

– Musiałem wyjechać. Żeby móc śledzić Progetta. Doprowadził mnie do pozostałych. Musiałem mieć pewność, że złapałem wszystkich.

– A te strzały w lesie tamtej nocy... – zaczęłam.

– Tak, to było nieporozumienie między Starym George'em a Progettem. Widziałem wszystko, bo szedłem za waszym kamerdynerem. – A potem dodał z uśmiechem: – Ale obaj fatalnie strzelają. Nie mieli szans zrobić sobie krzywdy. Później jeden i drugi uciekli. – Alastair urwał i spuścił wzrok na moją rękę. – Nie udało mi się z tobą pożegnać, ale przez cały czas planowałem wrócić, gdy tylko będę mógł. Wierz mi, Venetio, nie opuściłbym cię z żadnego innego powodu.

– Ale naprawdę nieźle sobie radziłeś z udawaniem, że jesteś artystą. Czy to wchodziło w zakres przygotowań do akcji? Tak jak uwodzenie miejscowych piękności?

– Chwileczkę, Venetio. To ty uwiodłaś mnie, pamiętasz? Ja usiłowałem zachować profesjonalny dystans. – Posłał mi znaczący uśmiech.

Nagle poczułam, że wcale nie znam tego człowieka. Albo raczej znam go w jednym sensie, ale żadnych szczegółów z jego biografii, więc Alastair powoli zaczął mi je opowiadać. Pochodzi z Somerset, uczęszczał do szkoły z internatem, a potem wstąpił do Cambridge, gdzie studiował, wyobraź sobie, filozofię. I to tam zwrócono się do niego z propozycją „pracy na rzecz kraju”, jak to określa.

– Przeprowadziłem się do Londynu i mam w Bloomsbury mieszkanie, z którego korzystam pomiędzy jednym zleceniem a drugim. Odkąd wybuchła wojna, mam znacznie więcej pracy. Od wielu lat przeczuwaliśmy, że prędzej czy później wyniknie spore zamieszanie, śledziliśmy niemieckie zbrojenia

i rozbudowywanie siatki szpiegowskiej. Szczerze mówiąc, mniej więcej od 1936 roku wojna wydawała się czymś nie do uniknięcia. Rząd nas nie słuchał, rzecz jasna. – Roześmiał się. – Za to teraz słucha.

Byłam lekko zdezorientowana, zwłaszcza kiedy zaczął przedstawiać mi szczegóły swojego zwykłego codziennego życia: opowiadał o starszych, surowych rodzicach, o tym, że uwielbia łowić ryby, o tym, że jego brat bliźniak zmarł w niemowlęctwie, a on sam nigdy potem nie czuł się do końca na swoim miejscu, „jakby stale czegoś mi brakowało”.

– To właśnie czułam, kiedy zniknąłeś – wtrąciłam z poczuciem nagłej obcości wobec tego nowego człowieka. – Nie jestem pewna, czy w ogóle wiem, kim jesteś. To znaczy, kim tak naprawdę jest Alastair Slater, mężczyzna, którego kochałam?

– Wciąż tu jestem, Venetio – odparł, biorąc mnie w ramiona. – Wciąż jestem tym mężczyzną, który kocha ciebie, prawdziwą Venetię. Człowiekiem, który uwielbia przyrządzać dla ciebie kolacje przy świecach, kocha sztukę, poezję i malowanie twojego portretu. Wciąż jestem człowiekiem, który pragnie przysiąc ci miłość i wierność, i nie opuścić cię aż do śmierci. – Umilkł, odsunął się i spojrzał na mnie. – Ale muszę powiedzieć ci jeszcze o jednej rzeczy.

– Co znowu?

– Tak naprawdę nie nazywam się Alastair Slater. To nazwisko zostało wymyślone na potrzeby misji.

– Wobec tego jak się naprawdę nazywasz? Pan Nijaki?

– Nie, John...

– John McIntyre – powiedzieliśmy jednocześnie i wybuchnęliśmy śmiechem.

– Tak samo jak twój dziadek – zauważyłam i sięgnęłam po wytarty wisiorek, który miałam na łańcuszku pod sukienką. – Sporo o nim myślałam, wiesz.

A potem zaczęłam mu opowiadać o wszystkim, co się zdarzyło od czasu jego zniknięcia. Był wstrząśnięty i miał straszliwe wyrzuty sumienia.

– Gdybym tylko wiedział, nie musiałabyś przechodzić przez to wszystko. Tak strasznie żałuję, że mnie nie było i że musiałaś zwrócić się do tego łajdaka.

– W jego oczach odbiło się światło księżyca. – Czy kiedykolwiek zdołasz mi wybaczyć? – Wziął mnie za rękę, odwrócił i pocałował jej wewnętrzną stronę.

– Venetio, najdroższa, czy uczynisz mi ten zaszczyt i wyjdiesz za mnie? – zapytał, a powaga w jego oczach przypomniała mi tę chwilę, kiedy chowaliśmy się za drzewem, jego palce splotły się z moimi, i gdy spojrzał na mnie tak smutno i przejmująco.

Z bólem serca pokręciłam powoli głową.

– Trwa wojna, a każde z nas ma własne życie. Ja w każdym razie potrzebuję czasu, by poznać pana lepiej, panie McIntyre.

To rzekłszy, wstałam z ławki, wyciągnęłam do niego rękę i ruszyliśmy przed

siebie w blasku księżycy, uważając, by nie zbudzić łabędzi.

Od tego czasu każdy dzień spędzamy razem. On jest teraz na urlopie, poznaje szczegóły następnej misji. Nie wolno mu powiedzieć, dokąd się wybiera, ale gdzieś za granicę, i przyrzeka, że to nie będzie nic niebezpiecznego, chociaż trudno mi w to uwierzyć. Gdzie w dzisiejszych czasach nie jest niebezpiecznie? Mieszka w koszarach w Litchfield i spędza mnóstwo czasu u nas w Chilbury Manor – mama nie ma nic przeciwko temu, bo uważa, że to mi służy.

Oboje wyjeżdżamy w przyszłym tygodniu, on w to swoje tajemnicze miejsce, ja do Londynu. Nie mogę się doczekać, kiedy znajdę się tam z Tobą, Angie, i wreszcie będę mogła swobodnie żyć własnym życiem. Wzdragam się na myśl o wyjeździe Alastaira – to znaczy Johna, oczywiście – więc będziemy sobie znajdywać mnóstwo zajęć, prawda? To na razie wszystko, Angie kochana. Widzimy się w przyszłym tygodniu.

Ucałowania,

Venetia

PAMIĘTNIK SILVIE

Środa, 28 sierpnia 1940 r.

Urządziłyśmy sobie występ, i wszyscy się przyłączyli. Śpiewałyśmy niemądre piosenki, na przykład *Run Rabbit Run* i *Knees Up Mother Brown*. Do tej drugiej jest specjalny taniec. Pani Tilling szło kiepsko, za to pani B. bardzo dobrze. Okropnie się śmiałyśmy, takie to było zabawne.

Brygadier powiedział, że mogę zostać, więc należę do rodziny. Do pani Winthrop mówię ciciu Lavinio, a Venetia i Kitty to teraz moje nowe siostry. Wszyscy są dla mnie bardzo dobrzy, szczególnie panie z chóru. Pani Poullice zawsze ma dla mnie jabłko i serdeczny uśmiech.

Dużo myślę o rodzicach. Chcę do nich jechać. Chcę ich zobaczyć, uściskać. Jest mi ciężko. Śnię mi się, a potem budzę się z płaczem. Kitty przychodzi do mnie ze swoim atlasem i planujemy naszą wyprawę po wojnie.

Mam nadzieję, że szybko się skończy.

DZIENNIK PANI TILLING

Środa, 28 sierpnia 1940 r.

Co za intensywny czas! W zeszłą sobotę Chilburyjski Chór Żeński dał swój pierwszy koncert, który okazał się ogromnym sukcesem. Pan Slater powrócił. Spotkanie kochanków nastąpiło na koncercie, co oczywiście podniosło walory widowiskowe występu. Venetia i Slater od tego czasu są praktycznie nierozłączni, chociaż ona w przyszłym tygodniu wyjeżdża do Londynu, a on gdzieś za granicę.

Na koncercie zjawił się też Carrington, którego również wysyłają do Londynu. Z tego powodu jest cały w skowronkach. Szepnął do mnie:

– Genialnie będzie znaleźć się daleko od starego. – A ja wybuchnęłam śmiechem.

Innym zabawnym wydarzeniem, jakie miało miejsce przy okazji koncertu, było pojawienie się lady Worthing z jej okropną córką, lady Constance. Lady Constance jest tak apodyktyczna, że mogłaby śmiało stanąć w szranki z panią B., która widzi w niej przyszłą synową, rzecz jasna wyłącznie ze względu na jej tytuł. Myśl o Henrym u jej boku jest wprost komiczna. Po koncercie udało mi się chwilę pogawędzić z panią B.

– Zawsze sądziłam, że małżeństwo przypomina kupowanie sobie nowego psa – oznajmiła donośnym, pouczającym tonem. – Najpierw trzeba kilka razy dać mu tęgą batę, żeby zrozumiał, czego się od niego oczekuje, i nauczył się wykonywać rozkazy.

Z zapalem klepnęła się po kolanie, a ja musiałam z całej siły zacisnąć wargi, żeby nie ryknąć śmiechem.

Nie mogłam się doczekać, aż opowiem o tym pułkownikowi, ale kiedy wróciłam do domu, nie zastałam go. Uznałam, że pewnie musiał dłużej zostać w pracy, ale i tak przeszył mnie dojmujący chłód samotności, a moja historyjka straciła cały urok. Postanowiłam porządnie wysprzątać kuchnię, zamiast markotnie zaszywać się pod kołdrą, lecz wkrótce przyłapałam się na tym, że siedzę przy kuchennym stole i rozmyślam nad tym, jak bardzo będzie mi go brakowało. Kiedy o pierwszej pułkownik wrócił do domu, byłam już zupełnie nieszczęśliwa i żałosna.

– Co się dzieje? – zapytał, wchodząc do kuchni. Nachylił się i pocałował mnie w policzek. – Dostałaś jakąś złą wiadomość? – dodał zaniepokojony, że przyszedł telegram w sprawie Davida. Z moich oczu polały się nowe strumienie łez.

– Gdybym rzeczywiście dostała telegram, to kto byłby przy mnie, kiedy ty wyjedziesz? – zaszlochałam. – Teraz w tym starym domu zostałam sama ze swoimi

myślami. One mnie wykończą. Opanują mój mózg i przejmą nade mną władzę, a ja będę już tylko wyobrażać sobie najgorsze rzeczy, nie potrafiąc robić nic innego.

– Nic ci nie będzie – odparł, przysuwając sobie krzesło i siadając na tyle blisko, żeby móc objąć mnie ramieniem. – Pani Tilling to silna kobieta.

– Ale ja nie chcę zawsze być tą silną. Kto w tych strasznych czasach potrafi temu podołać? Już nie mogę, mam dosyć duszenia tego wszystkiego w sobie, robienia dobrej miny do złej gry, życia w ciągłym strachu i rozpacz, ukrywania bólu za wątłym uśmiechem. Nie potrafię tak dłużej.

Przez parę minut siedzieliśmy bez słowa, pułkownik głaskał mnie po ramieniu, a ja wpatrywałam się przed siebie niewidzącym wzrokiem, starając się cieszyć ostatnimi chwilami ciepła i otuchy przed jego wyjazdem.

– W takim razie może pojedziesz ze mną? – zagadnął po chwili absolutnie rzeczowym tonem, jakby proponował wspólny piknik albo spędzenie dnia nad morzem.

– Nie żartuj sobie ze mnie – mruknęłam.

– Kiedy ja nie żartuję. Załatwili mi w Londynie przyjemne mieszkanie, i bardzo obszerne. Pielęgniarki są w tej chwili potrzebne wszędzie, więc z łatwością znajdziesz pracę. To będzie nowy początek. Przygoda. Naturalnie będziemy musieli się pobrać, ale to akurat nie będzie żaden kłopot.

– To niedorzeczne.

– Margaret, spójrz na mnie. – Nigdy dotąd nie mówił do mnie po imieniu, więc teraz poczułam się dziwnie, jakby zwrócił się do prawdziwej mnie, tej w środku, nie tej, która wiecznie się krząta, podnosi wszystkich na duchu i zna rozwiązanie każdego problemu. – Mówię poważnie. Marzę o tym, żebyś za mnie wyszła. Przez te kilka miesięcy wspólnie się nam razem mieszkało, więc dlaczego mielibyśmy na tym poprzestać? Kocham cię.

Nagle zabrakło mi tchu, więc stwierdziłam, że najwyższa pora uprzątnąć szafkę pod zlewem. Z hałasem odsunęłam krzesło, podeszłam do zlewu, opadłam na czworakach i zaczęłam wyciągać wszystko z szafki.

– A czy ty mnie nie kochasz? – zapytał pułkownik i przykucnął obok mnie, żeby pomóc mi w wydobyciu dość brudnego i dziurawego blaszanego wiadra.

– Oczywiście, że tak – odparłam, ostrożnie wyciągając stary garnek, z którego wystawały świece. – Ale nie możemy tak po prostu się pobrać. Co z Davidem? Wróci do domu i mnie nie zastanie.

– To już mężczyzna, choć wiem, że dla matki zawsze pozostanie jej małym chłopczykiem. Ale w każdej chwili będzie mógł przyjechać i zamieszkać z nami. Nie możesz wciąż siedzieć tu i czekać, aż wróci do domu.

– A twoje córki?

– Będą tobą zachwycone. Jak wszyscy.

Wstałam, żeby sięgnąć po ścierkę, po czym znów uklęknęłam i zajęłam się

szorowaniem półek wewnątrz szafki.

– A co ze mną? Z moją niezależnością? Moim domem, wioską? Co z Ivy House?

– Jeśli chcesz, możemy tu wrócić po wojnie. – Chwytał moje dłonie, wyjął z nich ścierkę i rzucił ją na podłogę. – Nie chcę odbierać ci twojego życia. Chcę tylko stać się jego częścią. Żyć razem z tobą, tak jak do tej pory. Jak dwoje szczęśliwych ludzi. – Odetchnął głęboko, splatając swoje palce z moimi. – Trwa wojna i wydaje się niestety, że jest coraz gorzej. Nigdy nie wiadomo, co może spotkać któreś z nas. Musimy chwytać szczęście, póki możemy.

Usiadłam i patrzyłam na niego przez dłuższą chwilę.

– Potrzebuję czasu, żeby to przemyśleć. Nie należę do osób, które potrafią rzucić wszystko i z dnia na dzień zmienić swoje życie. – Przysunęłam się do niego, zaplotłam mu ręce na szyi i przyciągnęłam do siebie. – Ale – zaczęłam i umilkłam na moment, poruszona nagle odkrytą prawdą. – Nie wiem, czy potrafię po prostu pozwolić ci zniknąć.

Przez jakiś czas siedzieliśmy na kuchennej podłodze, trzymając się za ręce i na przemian całując i rozmawiając o tym wszystkim – o wojnie, Davidzie, jego córkach – aż około drugiej zawyły syreny, a my zeszliliśmy do piwnicy.

PAMIĘTNIK KITTY WINTHROP

Piątek, 6 września 1940 r.

Niespodziewany ślub

Co to był za nadzwyczajny tydzień! Pani Tilling zadziwiła wszystkich błyskawiczną decyzją i wczoraj wzięła w naszym kościółku ślub z pułkownikiem, z którym ma wyjechać do Londynu. Wiem, że ekspresowe wesela są teraz w modzie, bo nie wiadomo, czy za tydzień wciąż tu będziemy, niemniej byłam pod wrażeniem, że pani Tilling zdecydowała się na takie odważne posunięcie. Podczas uroczystości po raz ostatni stanęła przed Chilburyjskim Chórem Żeńskim z batutą w dłoni. Wybrała pieśń *Wszystkie stworzenia naszego Pana i Króla*⁷ i patrzyła na nas z cudownym uśmiechem na twarzy, śpiewając:

*Słońce i złote jego promienie,
Księżyc i jego srebrzyste lśnienie.*

Po ceremonii mama urządziła nowożeńcom coś na kształt przyjęcia, były kanapki z ogórkiem i babka piaskowa, jak zwykle. Jednak towarzyszył nam nastrój autentycznej radości, jakby nasz chór czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny za wyprawienie pani Tilling na nową drogę życia.

– W dzisiejszych czasach tak trzeba postępować, Kitty – powiedziała panna młoda, całując mnie na pożegnanie. – Trzeba szukać sobie na tym świecie miejsca, gdzie człowiek będzie najszczęśliwszy, gdzie będzie mógł dać coś z siebie innym. I nie należy bać się zmian.

– Ale pani może dać coś z siebie innym tutaj, w Chilbury – zauważyłam. – Nie musi pani jechać po to aż do Londynu.

– Tutaj zrobiłam już, ile mogłam, a teraz przyszła pora, żebym przydała się gdzie indziej. – Uśmiechnęła się w całkiem wyjątkowy sposób: nie tym swoim zwykłym troskliwym uśmiechem, ani tym uprzejmym, ale jakby na jakimś znacznie głębszym poziomie, jakby lśniące promienie słońca przedzierały się przez burzowe chmury.

– Będziemy za panią tęsknić. Napisze pani do mnie, prawda?

– Napiszę. A ty dbaj o nasz chór. Wiem, że mogę na ciebie liczyć, ale mimo wszystko wydaje się to wielkim zadaniem jak dla trzynastoletki.

– Mam prawie czternaście lat – wypaliłam. – I wielkie plany wobec naszego chóru. Niedługo sama pani zobaczy.

Chilburyjski Chór Żeński

W związku z wyjazdem pani Tilling chór wybrał mnie na osobę odpowiedzialną za planowanie koncertów, co jest dla mnie ogromnym zaszczytem. Pani B. z kolei, ku swej wielkiej uldze, została wreszcie dyrygentką i razem tworzymy zgrany zespół. Jeździmy po zbombardowanych miastach i oferujemy nasze usługi. Wyobrażasz sobie, pamiętniczku, że burmistrz Dover poprosił nas, żebyśmy tam wystąpiły? Miasto wyjątkowo ucierpiało wskutek bombardowań i setki ludzi zostały bez dachu nad głową. Pani Quail i ja zaczęłyśmy zbierać dla nich koce.

Jestem pewna, że niebawem znajdą się kolejne miejscowości, którym będziemy mogły służyć kocami i koncertami, bo niemieckie naloty zdają się nie mieć końca, chociaż nasze dzielne spitfire’y dają hitlerowcom popalić. Mówią, że im więcej zestrzelimy ich samolotów, tym mniejsza szansa, że dojdzie do inwazji na Anglię, toteż robimy, co w naszej mocy.

Rodzina się powiększa

W Chilbury Manor jest teraz dwójka niemowląt, więc mama i niania Goodwin mają pełne ręce roboty. Mama oczywiście cała w skowronkach. Maluchy są prawie jak bliźnięta, bo urodziły się tego samego dnia, tyle że są do siebie zupełnie niepodobne – Rose jest rozkoszna i wesolutka, a Lawrence drobny i niespokojny. Silvie pomaga w opiece nad nimi i mówi, że przypomina jej to, jak zajmowała się swoim braciszkiem. W oczach nadal ma melancholię, ale odzywa się już częściej i jest szalenie przywiązana do mamy. Po wojnie planujemy wspólną wyprawę przez całą Europę, żeby odszukać jej rodziców i brata. Silvie powiedziała, że pokaże mi swój dawny dom i całą okolicę, i zaczęła opowiadać mi więcej o swoim życiu. Jakież ono było cudowne, zanim zaczęła się ta koszmarna wojna.

Nowiny ze sklepu

W naszym wiejskim sklepie roiło się dzisiaj od ciekawskich. Ralph Gibbs kupił starą rezydencję po drugiej stronie placu, Tudor Grange. Na pewno mnóstwo

kosztowała i nikt nie ma pojęcia, skąd Ralph wziął pieniądze, bo nawet na czarnym rynku nie sposób dorobić się aż tak szybko. W każdym razie zrobiło się z niego prawdziwe panisko, a pani Gibbs mówi, że zamierza sprzedać sklep. Elsie nie odstępowała go na krok; w końcu stało się jasne, co w nim widzi. Bardzo jestem ciekawa, czy to wszystko może mieć coś wspólnego z pieniędzmi, które znaleźliśmy razem z Tomem.

Wyjazd Toma

Tom niestety wraca do Londynu, bo w jego szkole znów zaczynają się zajęcia (tak samo jak u nas w Litchfield). Obiecał mi, że będzie do mnie pisać, a jeżeli tego nie zrobi, to popamięta, bo zarówno Silvie, jak i ja zdążyliśmy bardzo go polubić. Mówi, że też będzie za nami tęsknił i że wróci w przyszłym roku, a może nawet wcześniej przyjedzie z wizytą.

Nieznajoma

W naszej wsi pojawiła się kolejna nowa osoba, i to nietuzinkowa; długie do ramion, faliste włosy ma stale zaczesane do tyłu, jakby zbyt długo stała na klifie podczas wichury albo przeżyła jakiś straszny szok. Jest starsza od Venetii, może mieć nawet trzydzieści lat, poza tym jest wyższa, nosi tweedową spódnicę i wszędzie jej pełno. Przygląda się wszystkiemu wokół z namiętym zainteresowaniem. Kojarzy mi się z narowistym koniem.

– Jestem dziennikarką – oznajmiła swoim nosowym głosem osoby z wyższych sfer. – Postawiłam sobie za cel odszukanie i zebranie prawdziwych historii kryjących się za tą wojną. Historii nas, kobiet, pozostawionych samym sobie tu na prowincji, zmuszonych do radzenia sobie tak, jak potrafią, i stawiania czoła tragediom i zniszczeniom. Zamierzam napisać o tym, jak na swój niepowtarzalny sposób włączają się w wysiłek wojenny.

Oczywiście natychmiast się jej przedstawiłam.

– Chętnie panią oprowadzę, jeśli pani pozwoli – rzekłam, po czym wzięłam ją pod rękę i zaprowadziłam na zrujnowaną Church Row. – Widzi pani, to lato naprawdę obfitowało w wydarzenia!

– Czy to tutaj spadły bomby? – zapytała dziennikarka, zakładając okulary w czarnych oprawkach i wyjmując notes ze swojej wielkiej skórzanej torby.

– Tak. Dwie kobiety zginęły, a jedna została ciężko ranna. Jedną ze zmarłych była wspaniała dyrygentka chóru, a drugą nasza kochana nauczycielka. Na szczęście udało się uratować jej malutką córeczkę.

Błyskawicznie zwróciła się w moją stronę.

– Ależ to fascynujące!

Rozejrzała się dokoła i pociągnęła mnie na drewnianą ławeczkę nad stawem.

Wrześniowe słońce złoćło liście na drzewach.

– Opowiedz mi o tym – poprosiła. – O której godzinie spadły bomby?

– Mniej więcej wpół do dwunastej.

– Czy noc była jasna?

– Księżyc był chyba w pierwszej kwadrze.

Dziennikarka przez chwilę siedziała jak wmurowana, mrużąc do siebie:

– Czyste czarne niebo z sierpem księżyca, gwiazdy mrugające niczym miliony niewinnych świadków.

– Jak to pięknie brzmi – westchnęłam. – Cudownie musi być umieć tak pisać.

– Mogę cię nauczyć, jeśli masz czas – odparła i wstała z ławki. Wodziłam za nią wzrokiem zafascynowana, podczas gdy ona krążyła wokół stawu, bawiąc się swoim piórem. – Ale najpierw chciałabym, żebyś mi opowiedziała, jak tutejsze kobiety radzą sobie z wojną.

– Wydaje mi się, że na początku wcale sobie nie radziłyśmy, aż pewnego wiosennego dnia zjawiła się nowa dyrygentka i sprawiła, że zaczęłyśmy znów śpiewać. Wskrzesała nasz chór, zmieniając go w taki tylko dla kobiet – Chilburyjski Chór Żeński. W pierwszej chwili wydawało się to czymś zupełnie nie do pomyślenia, ale potem wygrałyśmy konkurs i zdałyśmy sobie sprawę, o ile jesteśmy lepsze, i że możemy zacząć dawać koncerty dobroczynne, właściwie jakie tylko zechcemy. A potem zaczęłyśmy się rozglądać wokół i dotarło do nas, że tyle rzeczy możemy zrobić lepiej na własną rękę albo pomagając sobie nawzajem. Razem stałyśmy się odważniejsze i mocniejsze. Stałyśmy się siłą, z którą należy się liczyć.

Dziennikarka przyglądała mi się jeszcze przez chwilę, a potem przeniosła spojrzenie na wałący się kościół.

– Chilburyjski Chór Żeński. Ta nazwa ma coś w sobie.

– O, tak – odparłam z uśmiechem. – W życiu nie spotka pani drugiej grupy tak niezwykłych kobiet.

PODZIĘKOWANIA

Moja pogodna babka, Eileen Beckley, zawsze raczyła nas wesołymi opowieściami z okresu wojny. Większość z nich była zabawna lub z odrobiną pikanterii, inne z kolei wzruszały strasznymi i smutnymi realiami tamtych czasów. Ale to, co opowiadała babcia, pokazywało przede wszystkim, jak kobiety zjednoczyły się, ciężko pracując i wspierając się nawzajem. Stworzyły Front Domowy, który odegrał tak ważną rolę w wojnie. Chcę najserdeczniej podziękować właśnie babci i kobietom, które walczyły i z bombami, i ze zranionymi duszami. Ta książka jest dla was.

Na początku wojny organizacja znana pod nazwą Mass Observation zaczęła zachęcać zwyczajnych ludzi do prowadzenia dzienników i pamiętników oraz do wysyłania ich do wydawnictw. Niektóre z nich publikowano później w gazetach. Uzupełniły one w dużej mierze braki mojej wiedzy na temat wojny, pomogły mi ją zrozumieć. Szczególną rolę odegrały tu zapiski Nelli Last i jej koleżanek po piórze, dlatego dziękuję im za to, że pozwoliły mi zajrzeć nie tylko do ich życia, ale także do serc i umysłów. Listy, biografie, wspomnienia dostarczają także szczegółów dotyczących tamtych czasów i moje podziękowania przekazuję ich autorom oraz tym, z którymi osobiście rozmawiałam o wojnie. Wiele książek ukazujących kobiety w czasach wojny, ale również książki i artykuły napisane w jej trakcie, umożliwiły poznanie tła historycznego tamtej ery. *Henrietta's War* napisana przez Joyce Dennys zawiera niesamowicie błyskotliwe historie spisane przez ówczesnego dziennikarza i stanowi nieocenioną pozycję, jeśli chodzi o oddanie głosu i ducha tamtej epoki.

W pisaniu tej powieści wspierało mnie wiele osób. Całym sercem dziękuję mojej ukochanej grupie krytyków, do której należą Barb Boehm, Emmy Nicklin i Julia Rocchi, za wszystkie konstruktywne uwagi oraz ogromną ilość wina i ciepła, które pomogły mi w procesie tworzenia. Dziękuję nauczycielom z Johns Hopkins, zwłaszcza Markowi Farringtonowi, którego intuicja do fabuły, bohaterów i narracji jest nie do opisania. Dziękuję także Davidowi Everettowi, Edowi Perlmanowi i Michelle Brafman. Inne osoby, które dzieliły się ze mną informacjami, własnymi historiami i pomagały w trakcie pisania, to: Irene Mussett, Jerry Cooper, David Beckley, Louise i Charlie Hamilton Stubber, Colin Berry, Breda Corrish, Annie Cobbe, Elaine Cobbe, Lorraine Quigley, Seth Weir, Douglas Rogers oraz Grace Cutler.

Już w trakcie pierwszej rozmowy z moją fenomenalną redaktorką w Crown – Hilary Rubin Teeman – byłam zdumiona tym, jak niesamowicie intuicyjnie zrozumiała to, co napisałam. Jej wizja i wyjątkowe umiejętności redaktorskie uczyniły książkę o kobietach z Chilbury tym, czym jest teraz: dziękuję za cały twój

wysiłek i wiedzę. Podziękowania kieruję w stronę wydawcy Molly Stern i wszystkich pomocnych w Crown: Annsley Rosner, Rachel Meier, Mai Mavjee, Davida Drake'a, Kevina Callahana, Rachel Rokicki, Amy J. Schneider, Patricii Shaw, Heather Williamson, Sally Franklin, Anny Thompson. Szczególnie chciałam w tym miejscu wyróżnić Rose Fox – za pomoc, jaką od niej otrzymałam.

Genialna redaktorka w wydawnictwie Borough Press dosłownie porwała mnie swoją umiejętnością wydobywania z książki jej prawdziwego potencjału: dziękuję za twoją bezcenną wnikliwość i spostrzegawczość. Wielkie „dziękuję” dla Kate Elton i Suzie Dooré oraz serdecznej, pełnej entuzjazmu ekipie z HarperCollins: Sarah Benton, Katie Moss i cudownej Charlotte Cray. Wdzięczność za pomysłową okładkę chciałabym wyrazić słynnemu ilustratorowi Neilowi Gowerowi.

Mojej wspaniałej agentce z ICM – Alexandrze Machinist, która potrafi połączyć ze sobą redaktorską wiedzę, instynkt wydawcy i ogromny urok osobisty w niesamowicie czarujący sposób, dziękuję za ostrą jak brzytwa radę i oko eksperta.

Specjalne podziękowania przekazuję Karolinie Sutton, mojej cudownej i wybitnej agentce w Curtis Brown w Londynie. Dziękuję za twoje oszałamiające umiejętności i ogromne wsparcie. Olbrzymie „dziękuję” również dla Sophie Baker, mojej dynamicznej agentki od praw autorskich w Curtis Brown i moich wydawców na całym świecie, w tym Martina Breitfelda w Kiepenheuer & Witsch w Niemczech oraz Anne Michel w Albin Michel we Francji.

Na koniec chcę podziękować również mojej siostrze – Alison Mussett. Za twoje nieocenione pomysły i redakcję najwyższej klasy. Twój dodający otuchy głos po drugiej stronie słuchawki sprawił, że ta książka jest tak samo moja, jak twoja. Żadne słowa nie wyrażą tego, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Z całego serca dziękuję również mamie, Joan Cooper, za jej nieustające wsparcie i wprawne oko czytelnika. Tak samo mocno dziękuję swojej rodzinie, Lily i Arabelli oraz mojemu wspaniałemu mężowi Patowi, bez którego ta książka nigdy by nie powstała.

Przypisy końcowe

Tytuł oryginalny: *Be Thou My Vision* (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). [\[wróć\]](#)

Tytuł oryginalny: *The Lord's My Shepherd*. [\[wróć\]](#)

Mallard oznacza po angielsku kaczkę krzyżówkę. [\[wróć\]](#)

Tytuł oryginalny: *I Vow to Thee My Country*. [\[wróć\]](#)

Tytuł oryginalny: *Can't Get Away to Marry You Today, My Wife Won't Let Me!* [\[wróć\]](#)

Tytuł oryginalny: *Abide with Me*. [\[wróć\]](#)

Tytuł oryginalny: *All Creatures of Our God and King*. [\[wróć\]](#)

